



You have downloaded a document from  
**RE-BUŚ**  
repository of the University of Silesia in Katowice

**Title:** Upadek i nadzieja : powojenna Europa i świat w dziennikach i korespondencji Andrzeja Bobkowskiego

**Author:** Agnieszka Jastrzębska-Piotrowicz

**Citation style:** Jastrzębska-Piotrowicz Agnieszka. (2012). Upadek i nadzieja : powojenna Europa i świat w dziennikach i korespondencji Andrzeja Bobkowskiego. Praca doktorska. Katowice : Uniwersytet Śląski

© Korzystanie z tego materiału jest możliwe zgodnie z właściwymi przepisami o dozwolonym użytku lub o innych wyjątkach przewidzianych w przepisach prawa, a korzystanie w szerszym zakresie wymaga uzyskania zgody uprawnionego.



**Uniwersytet Śląski w Katowicach**

**Wydział Filologiczny**

**Katedra Literatury Porównawczej**

**Agnieszka Jastrzębska - Piotrowicz**

**Upadek i nadzieja. Powojenna Europa i świat w  
dziennikach i korespondencji Andrzeja  
Bobkowskiego.**

**Praca doktorska  
napisana pod kierunkiem  
Profesora dr hab. Krzysztofa  
Krasuskiego**

**Katowice 2012**

## **SPIS TREŚCI**

<b>WSTĘP.....</b>	<b>2</b>
<b>ROZDZIAŁ I: FRANCJA.....</b>	<b>6</b>
<b>1.1. Początki wojny w Europie. W poszukiwaniu strategii przerwania.....</b>	<b>6</b>
<b>1.2. Paryż w przeddzień upadku. Pierwsze symptomy katastrofy.....</b>	<b>24</b>
<b>1.3. Haniebny koniec mitu.....</b>	<b>33</b>
<b>1.4. Południe i Paryż. Wolność i zniewolenie.....</b>	<b>45</b>
<b>1.5. Mroczne miasto światel. Okupacja w Paryżu. W poszukiwaniu         zrozumienia i konsolacji.....</b>	<b>53</b>
<b>1.6. W stronę ostatecznego końca kultury. Refleksja czasu wojny.....</b>	<b>78</b>
<b>1.7. Koniec wojny. Świat na zakręcie.....</b>	<b>89</b>
<b>1.8. Pożegnanie z Europą. W poszukiwaniu przestrzeni wartości.....</b>	<b>101</b>
<b>1.9. W stronę słońca. Podróż do Gwatemali.....</b>	<b>112</b>
<b>ROZDZIAŁ II: GWATEMALA.....</b>	<b>122</b>
<b>2.1. Pierwsze kroki w nowym świecie.....</b>	<b>122</b>
<b>2.2. Lata wysiłku i zachwytu.....</b>	<b>133</b>
<b>2.3. Samotność w kraju bez półtonów.....</b>	<b>141</b>
<b>2.4. Stany Zjednoczone – przestrzeń nadziei.....</b>	<b>153</b>
<b>2.5. Gwatemala. Ostatnie lata.....</b>	<b>168</b>
<b>ZAKOŃCZENIE.....</b>	<b>180</b>
<b>BIBLIOGRAFIA.....</b>	<b>183</b>

## WSTĘP

Twórczość Andrzeja Bobkowskiego jest współcześnie bardzo szeroko dyskutowana i omawiana. Rzecz by można nawet, iż jej popularność stała się swoistym fenomenem w czasach, gdy książki pisarzy emigracyjnych „wiodą nieraz żywot anemicznie wegetujących cieni i rośli bez wody albo w lepszym wypadku – żywot utajony<sup>1</sup>.” U wpływ czasu zweryfikował słowa Romana Zimanda, który w 1983 roku pisał o nieobecności pisarstwa Andrzeja Bobkowskiego w faktycznym obiegu współczesnej kultury polskiej. Badacz dodawał wówczas z żalem: „Gdybyż przynajmniej istniał klan <<wtajemniczonych>>, wąskie grono wyznawców. Choćby tak, jak istnieje klan <<tolkienistów>>, czy jak niegdyś istniał klan wielbicieli *Pod wulkanem*. Mimo snobizm, takie nieformalne grupy bywają bardzo dla kultury pożyteczne. Ale nie, nawet tego nie ma. Co drugi krytyk jest z Gombrowiczem na ty, a o Bobkowskim nie wspomni nikt. *Totschweigen*.”<sup>2</sup>

Dzisiaj, niemal trzydzieści lat później, sytuacja uległa zasadniczej zmianie. Dzieło pisarza stało się pełnoprawnym, dynamicznym elementem kultury, a jego nazwisko pojawia się nie tylko w słownikach, czy elitarnych opracowaniach, ale także przy okazji wydarzeń o charakterze pozajęzykowym<sup>3</sup>, którym Bobkowski „patronuje”. To zainteresowanie twórcą spowodowało, iż obecnie dla czytelnika dostępne są nie tylko „Szkice piórkiem” (ich edycja w 1995 roku zapoczątkowała realną obecność pisarstwa Bobkowskiego w Polsce) ale także – dawniej rozproszone lub nieosiągalne – relacje podróżne, opowiadania, recenzje, artykuły, listy.

Na czym polega aktualność dzieła twórcy? W 2008 roku Włodzimierz Odojewski tłumaczył jej fenomen następująco:

„Bobkowski – mówiąc o konkretnych sprawach Europy okupacyjnej – ukazuje właściwie całe <<ciągi rozwojowe>>, następujące w jej rdzeniu terytorialnym od czasów napoleońskich przynajmniej, a nawet wcześniejszych, przekonując, iż źródła wielu dzisiejszych schorzeń Europy tkwią nie w jednorazowym akcie z trzydziestego ósmego roku, ale w wiele dziesiątek

<sup>1</sup> W. Odojewski, *Andrzej Bobkowski – nowa młodość*, [w:] A. Bobkowski, *Listy z Gwatemali do matki*, Wydawnictwo Książkowe Twój Styl, Warszawa 2008, s.5.

<sup>2</sup> R. Zimand, *Wojna i spokój*, [w:] A. Bobkowski, *Szkice piórkiem*, posłowie R. Zimand, Wydawnictwo CiS, Towarzystwo Opieki nad Archiwum Instytutu Literackiego w Paryżu, Warszawa 2001, s. 558.

<sup>3</sup> Jesienią 2008 roku, z okazji rocznicy urodzin Bobkowskiego, odbyła się w Warszawie manifestacja rowerzystów. Uczcili oni pamięć pisarza przejazdem przez stolicę. Od grudnia do kwietnia 2008 roku w warszawskich Łazienkach można było też obejrzeć wystawę pt. „Andrzej Bobkowski. Chuligan wolności.” Wystawa przygotowana była ze zbiorów Instytutu Literackiego w Paryżu, Marii Stawskiej, Jerzego Czerwińskiego i Joanny Podolskiej. Cieszyła się tak dużą popularnością, iż zdecydowano przedłużyć czas jej trwania. Zob. M. Nowak, „Chuligan wolności” *Przywracanie pamięci*, „Etos” 2009, nr 3-4 (87 – 88), s. 326 – 331. , W. Cieśla, *Tajemnica kartonu z 208 East St.*, Magazyn „Dziennika” z 22 – 23 XI 2008.

lat liczących nawarstwieniach zwyrodnień w sferze kultury, myśli, kształtu urządzeń polityczno – socjalnych, przede wszystkim zaś w wykształceniu się pewnego określonego typu moralności i postawy życiowej, którą my dzisiaj – widząc już pewne rzeczy ostrzej, niż nieżyjący autor – nazywamy m o r a l n o ś c i ą i p o s t a w ą k o n s u m p c y j n ą. Z tej postawy wyrasta oportunizm mas, chwiejność i ugodowość dzisiejszej polityki, ów stan niemocy porażający instytucje demokratyczne w zetknięciu z brutalną przemocą postępującej totalitaryzacji świata, wreszcie intelektualna obłuda myślicieli, którzy swój pospolity strach czy też zafascynowanie siłą usiłują tłumaczyć zawiłymi teoriami historiozoficznymi, koniecznością dziejową lub opcją na rzecz rzekomego postępu. Wszystko to można znaleźć w refleksyjnej tkance okupacyjnych notatek Bobkowskiego, wciąż mającej swe odniesienie do późniejszej, zmieniającej się przecież sytuacji.”<sup>4</sup>

Zatem, wedle opinii Włodzimierza Odojewskiego, o aktualności najważniejszego dzieła pisarza decydować by miała przenikliwość i uniwersalność jego głęboko krytycznych refleksji nad kulturą Europy. Problem bagatelizowania zagrożeń dla wartości fundamentalnych jest wszak (przy zachowaniu proporcji) wciąż na Starym Kontynencie żywy. Nie sposób nie zgodzić się z wnioskiem iż, dzieło Bobkowskiego, nieograniczone zresztą wyłącznie do paryskiego dziennika, doskonale wpisać się może we współczesny dyskurs o kondycji Europy i świata. Stawiane przez twórcę pytania o granice hipokryzji, cenę wygodnej egzystencji, czy, po prostu, o przyzwoitość i to nie tylko w wielkiej polityce, pozostają niezmiennie aktualne. Podobnie zresztą jak niepokojąca konstatacja z której, zdaniem Stanisława Stabro, wynikał pesymizm Bobkowskiego iż „ myśl na przestrzeni wieków będzie zawsze bezbronna nie tylko wobec przemocy, ale i materii historii (co na jedno wychodzi) niezależnie od epoki i okoliczności.”<sup>5</sup>

Jak się jednak zdaje, o renesansie twórczości Andrzeja Bobkowskiego, w kilkadziesiąt lat po śmierci, nie zadecydowała wyłącznie jego ponadczasowa przenikliwość, lecz – szerzej - nieprzeciętna osobowość, magnetyczna, by tak powiedzieć, w sposób niezwykle współczesny. Dzisiejszy czytelnik rzadko odnajduje się w wizji historii, którą proponują starsze pokolenia; bywa ona dla niego koszmarem przerastającym możliwości percepcyjne. Doba masowości, zbrodniczego uprzedmiotowienia jednostki jest niewyobrażalna w czasach, gdy - jak chcemy wierzyć - indywidualność stała się podstawowym czynnikiem sprawczym kultury. Czytając Bobkowskiego, współczesny odbiorca paradoksalnie nawiązuje kontakt z kimś – na pewnym poziomie – bardzo sobie podobnym, z indywidualistą, niechętnym wielkim słowom, który

---

<sup>4</sup> W. Odojewski, *Andrzej Bobkowski – nowa młodość*, s. 9 – 10.

<sup>5</sup> S. Stabro, *Europa odrzucona*, „Twórczość” 1991, nr 9 (550), s.81.

jakby przypadkiem rzucony został w epokę wielkiego szaleństwa i musiał sobie z tym faktem radzić; z kimś odpornym na wszelkie ideologie, a tym samym żyjącym bez znieczulenia, kto przerażająco jasno (niemal tak jasno, jak my z perspektywy kilkudziesięciu lat) widział rozmiary otaczającego go obłędu. Ale na tym nie koniec, Andrzej Bobkowski fascynuje także dlatego, iż w zadziwiający jedyny w swoim rodzaju sposób łączył w sobie wewnętrzne sprzeczności - bezkompromisowość sądów z wątpliwościami, umiejętność stawiania pytań sobie i światu z odwagą udzielania odpowiedzi. Pomimo bardzo ludzkich rozterek w decydującym momencie potrafił też odwrócić się plecami od tego, co narzucone, zorganizowane, zbiorowe by zawalczyć o siebie z dala od skompromitowanej Europy. Przekroczył niemoc osobistą i historyczną by spróbować zaistnieć od nowa, na swoich warunkach. Magia tego gestu - świadomego wyrwania się z pułapki zależności – jest jeszcze jednym powodem dla którego czytelnik nie może pozostać obojętnym na tę postać i wyrosłe z niej dzieło.

Zainteresowanie osobą i twórczością Andrzeja Bobkowskiego pogłębia się wówczas, gdy po przebyciu pierwszego poziomu wtajemniczenia, jakim jest lektura paryskiego dziennika, odbiorca sięgnie głębiej, po korespondencję, formy diarystyczne, opowiadania czy artykuły autora „Spadku”, które powstały już po opuszczeniu Francji czy też w czasie, gdy do tego kroku dojrzawał. Szczególnie ważne, a w moim przekonaniu najpełniej świadczące także o randze pisarstwa Bobkowskiego, będą tu zwłaszcza listy i dzienniki. Te pierwsze w sposób szczególny odkłamują na poły legendarny wizerunek twórcy, będący często rezultatem idealizacji czy uproszczeń. Dekonstruują legendę ale pozwalają dostrzec coś równie cennego; wnikliwie czytane ukazują przede wszystkim człowieka z krwi i kości, żyjącego w pędzie, nierzadko poczuciu niestabilności, walczącego o każdą godzinę twórczej pracy i spełniającego się zawodowo konsekwentnie, lecz w trudzie ponad siły. By ponownie wrócić do fenomenu popularności twórcy, stwierdzić warto, iż taki właśnie, często nieludzko zmęczony twórca, patronować może szerokiemu gronu współczesnych odbiorców, dla których jego udręczenia są aż nadto rozpoznawalne.

Zwycięski, czy przegrany, tworzył Bobkowski ideał aktywnego życia, wyznawał moralność jednostki sinej, mającej realny wpływ na swoją egzystencję. Konsekwentnie próbował nadać jej formę skończoną i pełną, wznieść się ponad los, biorąc na siebie cały ciężar odpowiedzialności za to, co mu się przydarzało. Utrwalony w jego dziele pojedynek ze światem ma charakter ponadczasowy i pozostaje fascynujący mimo upływu lat.

W niniejszej pracy koncentruję się na diariuszach i listach Andrzeja Bobkowskiego, nie ma ona zatem cech monografii, ani też biografii sensu stricto. Formy dziennikowe wraz z

korespondencją pisarza najpełniej odzwierciedlają jego doświadczenia, refleksje, pasje czy przekonania, pozwalając potraktować łącznie życie i dzieło, a tym samym – choć w części – odtworzyć drogę, jaką twórca przeszedł od momentu, gdy wojna zastała go w Paryżu do chwili śmierci w Gwatemali. Umożliwiają też dostrzeżenie, iż pod warstwą historyczną, polityczną, społeczną tamtego czasu krył się dramat jednostki, która próbowała przetrwać w wyjątkowo niesprzyjających okolicznościach. Twórczość Andrzeja Bobkowskiego wyrosła wszak w momencie najostrejszego w dziejach Starego Kontynentu kryzysu wartości, a niepokoje tamtego czasu trawiły bezpośrednio także jego świadomość – jako człowieka i twórcy. Pisarz patrzył na swoją epokę jako na coś do głębi zafałszowanego, pełnego obłudy. Jego refleksje koncentrowały się wokół pytania, czy rozpad dawnego świata pozostawia miejsce na nadzieję. Innymi słowy, czy możliwa jest odbudowa tablic wartości i oddalenie od człowieka groźby pustki, czającej się w obłąkańczych ideologiach. Odpowiedź na to pytanie – twierdzącą – Andrzej Bobkowski postanowił dać swoim własnym życiem. W 1948 opuścił Francję, w której odrodzenie zwątpił, choć przez długie lata jej piękno było dla niego źródłem głębokiego pocieszenia. Ojczyznę z wyboru stała się dla pisarza Gwatemala, gdzie – jak wierzył – możliwy był nowy początek. Trud, jakiego się podjął nie był trudem daremnym; żył a potem umierał w przekonaniu, iż na planie własnej biografii przekreślił okoliczności, które miały go zdeterminować. Udało mu się przetrwać upadek starego świata i odnaleźć chwiejną nadzieję w nowym.

# ROZDZIAŁ I

## FRANCJA

### 1.1. Początki wojny w Europie. W poszukiwaniu strategii przerwania

Paryż był dla Andrzeja Bobkowskiego miastem do którego przynależał. Odnajdywał się tu w różnych rolach : świadka historii, estety, zwykłego paryżanina. To między innymi głęboka identyfikacja z miejscem sprawiła, że mimo realnej bezdomności i odciętej drogi powrotnej do kraju nie czuł się tu w czasie okupacji hitlerowskiej tułaczem, wygnańcem czy emigrantem bez perspektyw. Przynajmniej nie wskazują na to pozostawione przez pisarza teksty, w dużej mierze autobiograficzne. Można powiedzieć, że na swój użytek stolicę Francji Bobkowski zagospodarował intelektualnie i emocjonalnie. Uczynił zeń przestrzeń oswojoną i zrozumianą, co nie przeszkodziło temu, iż bywał wobec miasta, jak też jego mieszkańców, głęboko krytyczny. Wychowany w kulcie Francji, na przestrzeni lat okupacyjnych stanął przed koniecznością intelektualnego a także emocjonalnego rozprawienia się z mitem. Paryż bowiem w oczach diarysty skupił w sobie wszystkie słabości dwudziestowiecznej Europy, by stać się ostatecznie egzemplifikacją ogólnokontynentalnej bezradności wobec zła totalitaryzmów. Bobkowski degradację tego miejsca odczuwał tym dotkliwiej, iż dla niego stolica Francji, metropolia - ikona, była swego rodzaju gwarancją normalności świata. Jej wielowiekowe trwanie rodziło złudzenie przewidywalności życia i historii. Prymat kraju Francuzów w kulturze europejskiej trwał wszak nieprzerwanie od kilkuset lat. W tym miejscu – jak można było być przekonany - nie miało się zdarzyć nic ostatecznego, oznaczałoby to bowiem w pewnym sensie koniec zachodniej cywilizacji. Autor „Szkiców piórkiem” przez dużą część życia kochał Paryż, a Francja, jak sam pisał, była dla niego niemal świętością. Czuł się duchowym spadkobiercą wartości przez nią symbolizowanych; walorów z którymi, do pewnego momentu, zdawała się być organicznie zrośnięta.

A zatem pytania nasuwające się w trakcie lektury paryskich tekstów Bobkowskiego (tych, które były pisane w stolicy Francji lub też o mieście bezpośrednio traktowały) brzmić mogą następująco: Jaką postawę może przyjąć człowiek wobec miasta – symbolu, w momencie gdy ono samo nie dorasta do własnej legendy? Jak poradzić sobie z deprecjacją mitu, której jest się naocznym świadkiem? Co, w swoim jednostkowym zakresie, można – duchowo i fizycznie - w tej sytuacji ZROBIĆ? Czy warto zmieniać swój sposób ujmowania i rozumienia rzeczywistości, aby zaczął przylegać do naraz niepojętego obrazu świata,



jaskrawie sprzecznego z własnym światoodczuciem? Czy też trzeba tę indywidualną percepcję ocalić, zamknąć w słowach, przechować w twórczości, nadając jej tym samym rangę sposobu na istnienie w czasach katastrofy?

Teksty, którymi chciałabym się zająć w pierwszej kolejności, stanowią materiał o tyle ważny, iż przez samego Bobkowskiego zostały mianowane ( choć nie do końca na serio ) jego literackim debiutem<sup>6</sup>. Są świadectwem zmagania pisarza z paryską rzeczywistością na przełomie roku 1939 i 1940. Rzucają snop światła na czas jego pobytu w mieście, poprzedzający pierwszy znany czytelnikom zapis dziennikowy. Słynne „Szkice piórkiem” otwiera bowiem data 20.05.1940, choć Bobkowski zaczął je pisać w maju 1939 roku. Niestety, początkowe fragmenty dziennika zostały zniszczone w okolicznościach, które pisarz przywołuje w zapisie z dnia 25.11.1940 roku<sup>7</sup>. Wobec nieodwołalnej straty początkowych kart diariusza, garść zapisków będących barwnym komentarzem do pralniczego epizodu w życiu pisarza staje się ważnym materiałem, mogącym przybliżyć jego kondycję i sposób patrzenia na świat w tamtym czasie.

Jak wiadomo, Andrzej Bobkowski przebywał w Paryżu wraz z żoną od marca 1939 roku, przygotowując się do objęcia posady w przedstawicielstwie Polskiego Eksportu Żelaza w Buenos Aires. Zmiana sytuacji politycznej sprawiła, że młody ekonomista z dobrej rodziny znalazł się w położeniu zupełnie dla siebie nowym, sprzecznym z całym życiowym doświadczeniem. Perspektywa niezłe zapowiadającej się kariery i poczucie bezpieczeństwa, wynikające z mocnych korzeni, legły w gruzach w obliczu konfliktu zbrojnego, w którym pogrążyła się Europa. Od tego momentu stało się dla niego oczywiste, że indywidualne dążenia będą musiały zejść na dalszy plan, wobec najistotniejszej kwestii przetrwania w skrajnie niesprzyjających okolicznościach historycznych. O ówczesnej powszechności takiego doświadczenia pisał francuski historyk: „ (...) pokolenie, które kończyło dwadzieścia lat około 1940 roku i trochę później, nie miało już poczucia autonomii życia prywatnego. Nieomalże nie było w ciągu dnia takiej chwili, która nie byłaby uzależniona od jakiejś decyzji politycznej czy zakłóceń w życiu publicznym. Te dzieci, ci młodzi ludzie znaleźli się od razu w historii i nie musieli jej odkrywać (...)”<sup>8</sup> Po wybuchu wojny Andrzej Bobkowski jako

---

<sup>6</sup> Por. także: Krzysztof Ćwikliński, *Monsieur Sans – Gene albo pralnia pod wezwaniem Ducha Świętego*, [w:] *Życie Literackie Drugiej Emigracji Niepodległościowej*, pod red. J. Kryszaka i R. Moczkołana, Uniwersytet Mikołaja Kopernika, Toruń 2001, t.1, s.206.

<sup>7</sup>Zob. A. Bobkowski, *Szkice piórkiem. Francja 1940-1944*, Instytut Literacki, Paryż 1957, t. 1, s.206.

<sup>8</sup> P. Aries, *Czas historii*, przeł. B. Szwareman-Czarnota, Gdańsk-Warszawa 1996, s.33.

jeden z pierwszych zgłosił się do wojska. Do armii nigdy go jednak nie przyjęto, ze względu na sanacyjne koneksje niemiłe nowym polskim władzom. Początkowo (do września) przyszedł autor „Szkiców piórkiem” utrzymywał się w Paryżu ze skromnych subsydiów wypłacanych mu przez ojca. W pierwszych miesiącach wojny wspierał go finansowo zamieszkały w Szwajcarii stryj, przed wojną wiceminister komunikacji w rządzie generała Sławoja – Składkowskiego. W tym czasie podstawą utrzymania dla małżeństwa Bobkowskich stała się założona przez pisarza pralnia dla uchodźców „Monsieur Sans – Gene, Chlorcio i Spółka”. Konstruując po latach, utrzymany w żartobliwym tonie, życiorys dla Jerzego Giedroycia Bobkowski tak pisał o sobie w tamtym okresie: „Oczekując na powołanie do wojska i nie chcąc korzystać z pomocy społecznej utrzymuje się z prania bielizny, założywszy polską pralnię dla uchodźców pod firmą << Monsieur Chlorcio i Spółka >>, w której, obok obficie używanego chlorku, czyli żawelu, był jedynym pracownikiem. Wtedy to w przyszłym autorze znakomitych << Szkiców piórkiem >> budzi się po raz pierwszy talent literacki i spostrzegawczość, gdyż prana bielizna wielu osobistości zjawiających się w Paryżu pozwala mu na poznanie tychże osobistości sensu stricto od środka. Wtedy to powstają pierwsze notatki naszego znakomitego pisarza, które zostaną opublikowane jednak dopiero po jego śmierci, a to ze względu na zbyt intymne informacje, jakie autor zebrał w tym czasie dzięki brudnej bieliźnie. Instytut Literacki może z dumą powiadomić już swoich czytelników, iż otrzymał pierwszeństwo na publikację tych notatek.”<sup>9</sup>

Dla moich rozważań istotne będzie to, iż pisarz sporządzając na użytek swojego wydawcy życiorys, połączył inicjację swoich działań twórczych z początkiem działalności pralni. Wszak uczynił to wbrew faktom, gdyż otwierając firmę miał już za sobą debiut literacki, którym była humoreska wydrukowana w 1933 roku w piśmie „Tempo dnia”. Sądzić jednak można, że działanie Bobkowskiego było celowe. Dał wyraźny sygnał swoim przyszłym biografom i komentatorom, iż chciałby by traktować początki jego twórczości jako rodzaj strategii przetrwania. Położenie w jakim się znalazł nie było w tamtym czasie najgorszym z możliwych, niemniej jednak nosiło znamiona tragicznej odmiany losu, pisanie zaś mogło stać się jedną z dróg indywidualnego wyzwolenia, owocem poszukiwań harmonii z dysharmonijną rzeczywistością.

„U nas były mrozy siarczyste – pisał Bobkowski w liście do stryja z 30 stycznia 1940 roku – i teraz jeszcze ciągle siarczyste zimno. Wskutek tych mrozów musiałem przerwać od 10-go b.

---

<sup>9</sup> A. Bobkowski, *Synopsis życiorysu*, [w:] J. Giedroyc, A. Bobkowski, *Listy 1946-1961*, wybrał, opracował i wstępem opatrzył J. Zieliński, Warszawa 1997, s.693.

m. moją pralnię, bo mi stawy w palcach i w łokciach tak zaczęły puchnąć i boleć, że nie mogłem pracować. Bardzo mnie to przygnębiło, ale co robić. Jak się tylko możliwie zrobi i choć trochę cieplej, to zacznę na nowo, tym bardziej, że klientela stale się dopytuje natarczywie o zdrowie << tej pańskiej praczki >>. Ja tymczasem obkładałam się trochę nieśmiertelną naszą rodziną << antiflogestyną >> i kuruję << tę moją praczkę>>. Te mrozy dochodzące do minus szesnastu stopni przetrwaliśmy w naszym gołębniku zupełnie dobrze pomimo braku jakiegokolwiek ogrzewania. Lód był na oknie, woda marzła w miednicy.”<sup>10</sup>

Fizyczna praca w pralni była, zważywszy na przedwojenną pozycję rodziny Bobkowskich, oczywistą deklasacją, pisarz występował zatem przed swoimi klientami jako właściciel firmy. Mistyfikację tę traktował, jak widać, z dużą dozą autoironicznego dystansu. Kłopoty ze zdrowiem, o których pisał do stryja, z czasem pogłębiły się i w konsekwencji trwałym następstwem pralniczego epizodu stał się reumatyzm, utrudniający Bobkowskiemu funkcjonowanie do końca życia. Podkreślić jednak trzeba, że pisarz podejmował zupełnie dla siebie nowe wyzwania, zachowując pogodę ducha i spokój. Było to możliwe dzięki temu, iż potrafił wykreować wokół siebie autonomiczną przestrzeń konsolacji. Jej punktem centralnym była, jak się zdaje, twórczość literacka ale odnajdywanie pocieszenia wbrew nieprzyjaznym okolicznościom, stało się dla niego sposobem na życie w ogóle - jednym z przejawów buntu przeciwko zniewoleniom i udręczeniom swoich czasów. Tworząc swoje pralnicze notatki Andrzej Bobkowski dostrzegł, iż komentowanie rzeczywistości na piśmie osłabia jej „siłę rażenia” i pomaga zachować kontrolę nad sytuacją. Pisanie oznaczało podjęcie walki z własnym pesymizmem i zmęczeniem, było znakiem wolnej woli, nieskrępowanej bezmyślnością świata. Notatki stały się pomysłem na życie, przywróciły równowagę, wyostrzyły poczucie humoru, dlatego pisarz nadał im później rangę debiutu.

„25 listopada Bobkowski – pisała Bożena Shallcross – opisuje powzięty właśnie zamiar otwarcia pralni dla wojennych uciekinierów. Siedem następnych stron kajetu zajmuje buchalteria wprowadzonego w życie pomysłu. Pokazuje ona jak Bobkowski – w nowej roli właściciela pralni – przekształca się z czytelnika książek w ich przyszłego autora. Buchalteria założonego na paryskim bruku punktu usługowego zaczyna się apostrofą do trzech jej patronów. Każda stronica podzielona jest na dwie stosowne rubryki: dochód i rozchód. W tej ostatniej pojawiają się żartobliwie obsceniczne komentarze właściciela pralni o jego klientach. Niewybredność łączy się w tych rymowankach z zabawą literacką i ostrym,

---

<sup>10</sup> *List A. Bobkowskiego do Aleksandra Bobkowskiego*, „Odra” 1994, nr 7/8 (392/393).

szyderyczym śmiechem dystansującym Bobkowskiego wobec czynności prania cudzych brudów.”<sup>11</sup>

W okresie istnienia pralni ( od 27 listopada 1939 roku do 5 stycznia 1940 roku) Bobkowski odkrywał więc, jak dzięki aktywności twórczej przełamywać codzienność, nadawać jej głębszy sens i czynić ją znośniejszą. Pisanie wyprowadzało go z rutyny, stwarzało intelektualną przestrzeń tam, gdzie jej zaistnienie wydawało się niemożliwe. Jak słusznie zauważył Krzysztof Ćwikliński, w tych dosadnych tekstach, często na granicy dobrego smaku „ujawniają się nie tylko zdolności wersyfikacyjno – rymotwórcze wybitnego później prozaika, ale manifestuje się przede wszystkim wysoka kultura literacka i solidne wykształcenie filologiczne wyniesione z krakowskiego Gimnazjum Św. Anny [...]”<sup>12</sup>

Nie bez powodu pisarz, tworząc teksty organicznie związane z jego sytuacją życiową, wyrosłe z trudnego położenia w jakim się znalazł, korzystał ze swoich okazałych zasobów wiedzy filologicznej a także historycznej. W tej społecznie i duchowo ekstremalnej sytuacji poszukiwał, jak się zdaje, przeciwwagi; chciał zaistnieć w kontekście, który sam sobie wybierze, wpisać się w jakąś tradycję, nie odejść zbyt daleko od świata kultury i nie pozwolić aby lodowata woda i wielogodzinny kontakt z cudzą bielizną zdominowały jego myślenie o rzeczywistości. I tak, na przykład, mottem firmy pisarz uczynił trawestację wezwania Beaumarchais’ego: „Śmiejmy się, nie wiadomo, czy świat potrwa jeszcze trzy tygodnie”, które zmienił na: „Pierzmy, bo nie wiadomo, czy świat potrwa jeszcze trzy tygodnie”. Znajomość historii i nieodłączne poczucie humoru przyszłego autora „Szkiców piórkem” zdecydowało także o wyborze patronów firmy, do których zwracał się z prośbą o opiekę nad interesem. Obok głównego patrona – Ducha Świętego, pojawił się także święty Kalesonty i Catherine Hubscher, praczka z Tulonu, żona późniejszego marszałka napoleońskiego Francois Lefebvre’a, księżna Gdańska, niedoszła królowa westfalska a także bohaterka znanej komedii Victoriena Sardou i Emila Moreau „ Madame Sans – Gene” (to przez analogię do tej postaci Bobkowski nazwał się „Panem Bezwstydnym” czy inaczej „Panem bez żenady”), pisarz nie pominął samego Napoleona, którego prosił o wstawiennictwo do wyżej wymienionej żony jego podwładnego. Adresowane w ten sposób inwokacje i apostrofy przeniosły pralniczą działalność pisarza w nieco inny wymiar. Pod takimi auspicjami firma prowadzona przez młodego ekonomistę była już nie tylko (choć nadal przede wszystkim) działalnością gospodarczą ale także dumną, choć na wpół żartobliwą, kontynuacją tradycji pralniczych

---

<sup>11</sup> B. Shallcross, słowo wstępne do: A. Bobkowski, *Pralnia „Pod wezwaniem Ducha Świętego”*, do druku podała Bożena Shallcross, „NaGłos” 1993, nr 12 (37), s. 155.

<sup>12</sup> K. Ćwikliński, *Monsieur Sans – Gene albo pralnia pod wezwaniem Ducha Świętego*, s.206.

epizodów w życiu ciekawych ludzi. Warto zwrócić uwagę na to, iż Bobkowski sytuował siebie i swoją firmę w kręgu kultury francuskiej. Potwierdza to tezę, iż pisarz w owym okresie, rzeczywiście czuł się związany z tym krajem.

Bobkowski miał – o czym będzie jeszcze mowa – dar dostrzegania kontrastów. Zadziwiała go niejednorodna, pełna sprzeczności natura człowieka i świata. Jednostka i ogół, wolność i zniewolenie, wojna i spokój, dostatek i ubóstwo, fizyczność i duchowość. Świadome istnienie wśród tych sprzeczności wiązało się dla niego z koniecznością aktywnych, duchowych poszukiwań odpowiedzi na pytanie o wyznaczniki pełnego człowieczeństwa. Szukając teź, chciał jednak wieść życie szczęśliwe, zadał więc sobie trud przewycięzania kaprysów losu humorem, czego śladem są na przykład pralnicze zapiski. Bobkowski konfrontował się na co dzień z przeciwnościami jaskrawo kontrastującymi z tym, na co przygotowała go wczesna młodość i jego dotychczasowy status społeczny. Mimo to, potrafił zachować spokój a nawet błyskotliwie komentować zwyczaje swoich klientów, czyli pośrednio swój los. Umiał i chciał dostrzegać komizm sytuacji zarówno własnej jak cudzej. Ta umiejętność wpływała bezpośrednio na charakter pralniczych notatek przyszłego pisarza.

Przyjrzyjmy się bliżej omawianym zapiskom. Jest to materiał odnaleziony w Polskim Instytucie Naukowym w Nowym Jorku przez cytowaną wyżej Bożenę Shallcross. Rękopiśmienna spuścizna po Bobkowskim przez lata wydawała się być bezpowrotnie utracona. Badaczom nie było wiadome, iż archiwum pisarza przechowała jego żona, której udało się, przed śmiercią przekazać je wspomnianemu Instytutowi. Odszukane tamże w 1993 roku pralnicze notatki, zostały opublikowane w grudniowym numerze krakowskiego „NaGłosu” i dzięki temu ujrzały światło dzienne.

Materiał ten jest w zasadzie rzetelnie prowadzoną buchalterią firmy ale w rubryce „Rozchód” Bobkowski znalazł miejsce na „Przypisy”, będące często bezwzględnyymi w swej dosadności charakterystykami klientów pralni. Pisał np. „To jakiś dzwonnik, bo wszystkie kalesony wydzwonione w kroku” albo „Rdza moczowa! Podobno Polak, ale to raczej taki Hans Ketling, ino że świnia!”. Zdarzały się także zapiski bardziej wyrafinowane w formie ( bo już nie w treści ), będące żartobliwą próbą wpisania się w tradycję za pomocą aluzji literackiej, a konkretnie nawiązań do „Ojca zadzumionych” Słowackiego, „Powrotu taty” i „Czat” Mickiewicza:

„Hej Witkowski, ty chamie, hej ty plemię borsucze,  
Co na siebie ubierze, to od razu zbrucze.”

Lub o innym kliencie:

„Trzy razy księżyc obrócił się złoty,

Trzy razy Śliwowski dał coś do roboty:

Suknie plugawe i trykociki,

A w gaciach pierniki.”

Jak widać, przyszedł autor „Szkiców piórkiem” dość brawurowo poczynił sobie z polską klasyką. Jej twórcze wykorzystanie w powyższych tekstach wynikało z jednej strony, ze świetnej znajomości rzeczy, którą Bobkowski mógł się pochwalić, zaś z drugiej, z charakterystycznego dla niego braku czołobitności wobec dzieł mistrzów. Być może zresztą w obliczu, doskonale widocznej z perspektywy pralni dla uchodźców, powszechnej deklasacji takie „błuźniercze” wykorzystanie tekstów Słowackiego czy Mickiewicza, nie tylko nie wydawało się pisarzowi ryzykowne, ale wręcz adekwatne do jego życiowej sytuacji. Podkreślało jej paradoksalność, bo wydawało się, podobnie jak ona, niepojęte i nie do przyjęcia. Klasyka literatury polskiej złączona z dosadnym, a niejednokrotnie także okrutnym poczuciem humoru, wydawała się idealnie przystawać do kondycji Polaków na paryskim bruku zimą 1940 roku, a zatem także jego własnej.

Bobkowski wraz z innymi stanął przed koniecznością radzenia sobie z niepewnym jutrem i upokorzeniem pauperyzacji. Wyzwanie rzucone przez los podjął z godnością ( ta kazała mu założyć firmę zamiast rozglądać się za źródłem wsparcia ) i humorem, którego dowodem są omawiane teksty. Często sytuują się one „na granicy dobrego smaku, a nierzadko i poza nią”<sup>13</sup> ale są wyrazem walki o siebie, jaką podjął pisarz. Boju z nieprzychylną rzeczywistością o prawo do niezredukowanego, wielowymiarowego bycia. Notatki te stanowiły nie tylko sposób na uciążliwą codzienność ale stały także znakiem niezgody na bezwarunkową kapitulację wobec historii, na zwycięstwo okoliczności nad charakterem.

Okres działalności pralni, poprzedzony sytuacją utraty mentalnego i realnego *locus standi*, był dla Bobkowskiego, czasem intensywnego zmagania się z losem. Odzyskiwanie gruntu pod nogami łączyło się z pokonywaniem licznych wewnętrznych i zewnętrznych ograniczeń. Był to też dla pisarza moment pierwszych ( jak widać owocnych) przemyśleń na temat strategii przetrwania w dobie katastrofy. Priorytetem swoim uczynił zachowanie wewnętrznej suwerenności a także poczucia humoru jako widomego znaku istnienia tej pierwszej.

Po zamknięciu pralni, w lutym 1940 roku zaczął pracować we francuskiej fabryce zbrojeniowej w Chatillon pod Paryżem. Początkowo jako robotnik, później – urzędnik zajmujący się polskimi uchodźcami, będącymi pracownikami tejże fabryki. Data, która

---

<sup>13</sup> K. Ćwikliński, *Monsieur Sans – Gene albo pralnia pod wezwaniem Ducha Świętego*, s.202.

otwiera wydanie książkowe „Szkiców piórkiem”(20.05.194) jest o kilka miesięcy późniejsza. Wcześniejsze zapiski dziennikowe, prowadzone od maja 1939 roku, zostały zniszczone przez Barbarę Bobkowską, po wejściu okupantów do Paryża, na polecenie francuskich gospodarzy kamienicy, w której oboje z Andrzejem mieszkali.

Dwie z czterech, wyodrębnionych przez Romana Zimanda<sup>14</sup>, części „Szkiców piórkiem” dotyczą bezpośrednio stolicy Francji, która jest, jak to zostało już zaznaczone, najbardziej interesującą mnie w niniejszej pracy przestrzenią zmagania pisarza z uwarunkowaniami historycznymi. Pierwsza część to zapis ostatnich dni miasta przed wkroczeniem Niemców ( 20.V. – 12. VI. 1940 ), zaś druga dotyczy pobytu pisarza w Paryżu, już po jego powrocie z Południa ( 3.X. 1940 – 25. VIII. 1944 ).

Wywód mój ogniskuje się na obecnym w „Szkicach piórkiem” konflikcie jednostki z historią wraz z jego konsekwencjami. Spór toczył się o wartości, a właściwie szanse ich przetrwania w dobie apokalipsy; jego tłem będzie początkowo Paryż, jako przestrzeń duchowych i fizycznych doświadczeń diarysty, w drugiej części pracy zaś – Gwatemala, stolica kraju o tej samej nazwie.

Punktem wyjścia dla moich rozważań, dotyczących okresu paryskiego w życiu twórcy, chciałabym uczynić słowa przywoływanego już Romana Zimanda, który zauważył, iż : „Poetyka <<Szkiców >> jest programowo, manifestacyjnie cywilna i antyheroiczna.”<sup>15</sup> Stwierdzenie to wydaje się być istotne i służy pełniejszej lekturze tekstu przede wszystkim dlatego, iż pośrednio przypomina, że rzeczywistość jest kwestią interpretacji; zaś dziennik to dokonywana na bieżąco subiektywna interpretacja świata i miejsca, jakie piszący w nim zajmuje. Diarysta ma prawo SPOSOBU odczytania okoliczności swojego życia. Zaś gdy nadaje tym odczytaniom konkretny literacki kształt, poniekąd decyduje o tym JAK istnieje, dzięki czemu, w pewnym stopniu, uwalnia się od uwarunkowań losowych. Rzeczywistość nazwana i utrwalona w tekście istnieje po dwakroć i podlega modyfikacji, dzięki sprawczej mocy słowa. Stąd dziennik jest interpretacją, ale też kreacją pewnej autonomii, bo diarysta decyduje, której płaszczyźnie świata pozwoli zaistnieć w podwójnym wymiarze – realnym i tekstowym a którą, poprzez przemilczenie, w dostępny sobie sposób unicestwi. Zabiegi te mają także za zadanie ułatwić piszącemu odszukanie własnej tożsamości i pomóc ukonstytuować ją w trakcie tworzenia dziennika. Oczywiście ważnym kontekstem dla powyższych stwierdzeń jest teoria paktu autobiograficznego Philipa Lejeune’a, według której w zapisach diarystycznych (i pokrewnych im pamiętnikach czy autobiografiach) mamy

---

<sup>14</sup> R. Zimand, *Wojna i spokój*, s. 542,543.

<sup>15</sup> *Ibidem*, s. 546.

do czynienia z tożsamością autora, narratora i bohatera<sup>16</sup>. Z tym z kolei połączony jest wymóg szczerości<sup>17</sup> - konsekwencja wyboru takiego typu piśmiennictwa. Dziennik jest zapisem sposobu myślenia i bez względu na to, w jakim stopniu i w jaki sposób realizuje konwencję intymności (przypomnijmy, że „Szkice piórkem” uznali za dziennik intymny Tymon Terlecki<sup>18</sup> i Roman Zimand<sup>19</sup>), będzie miał sens tylko wtedy, gdy będzie autentyczny. Jednakże nieobecność fikcji literackiej i założenie przekazu wiarygodnego, nie przekreślają istnienia najróżniejszych wcieleń autobiografizmu. Wszak miejsca przemilczeń i akcentów pozostają kwestią indywidualnych wyborów diarysty. Bobkowski wybiera perspektywę niebohaterską, bo dzięki temu zapiski stają swego rodzaju „dziennikiem oporu” wobec uwarunkowań historycznych, których głęboko nie akceptuje. Co nie oznacza, że chce zanegować sens historii w ogóle. Przeciwnie, pamiętać należy, iż mamy do czynienia z diarystą zdolnym do niezwykle głębokiej historiozoficznej refleksji. Bobkowskiego przeszłość fascynuje, jest dla niego wciąż od nowa przedmiotem osądów, retrospekcji, najważniejszym punktem odniesienia dla współczesności. Właśnie dlatego, że historia jest dla niego ważna, że zna doskonale mechanizmy, które nią rządzą, stać go na odruch sprzeciwu wobec niej. W tym ujęciu cywilna poetyka „Szkiców” jest wyrazem tekstowej emigracji z historii jako tej, która ogranicza, stawia warunki, zawłaszcza życiorysy. Podkreślmy, chodzi o emigrację TEKSTOWĄ, częściową odmowę werbalizowania makabry, konstytuowania jej słowami.

Historia w optyce Bobkowskiego jawi się zatem w co najmniej dwóch nakładających się perspektywach. W pierwszej stanowi podstawę najtrwalszych tradycji duchowych Europy i jest najważniejszym kontekstem współczesności. W drugiej staje się rodzajem katastrofy - niepodlegającym systematyzacji żywiołem. Tak czy inaczej zawsze pozostaje tematem do rozmowy.

Gdy w sierpniu 1940 roku Bobkowski odbywał swoją słynną rowerową podróż po południowej Francji w towarzystwie szofera Tadeusza Wylota, ten ostatni „obarczył” go obowiązkiem wyjaśnienia mu mechanizmów rządzących światem i udzielenia odpowiedzi na pytanie o przyczynę zaistniałej wokół apokalipsy. Bobkowski sięgnął wówczas właśnie do zamierzchłej, wydawałoby się, przeszłości obrazowy wykład dla przyjaciela kończąc następująco:

---

<sup>16</sup> Ph. Lejeune, *Pakt autobiograficzny*, przeł. A. W. Labuda, „Teksty” 1975, nr 5, s.42.

<sup>17</sup> Ibidem, s. 42.

<sup>18</sup> T. Terlecki, *Andrzej Bobkowski*, [w:] *Spotkania ze swoimi*, Wydawnictwo Uniwersytetu Wrocławskiego, Wrocław 1999, s. 162.

<sup>19</sup> R. Zimand, *Wojna i spokój*, s.547.



„A więc reasumuję – Grecja wpłaca do banku rozum, poszukiwanie prawdy, walkę z ciemnotą, przesądami i fanatyzmem. Pozwala ona ludziom porozumieć się, stwarza dyskusję. Rzym dorzuca prawo, naukę o prawach i obowiązkach; zaś chrystianizm odróżnienie życia doczesnego od życia wiecznego, pojęcie godności o s o b y ludzkiej, jej wartość nie tylko użytkową. Wytacza on wreszcie granice władzy państwa nad człowiekiem. W momencie zero, od kreski czerwonej począwszy zaczyna się gra. Te trzy wpłaty zostają na stole historii tego naszego świata. [...] Wpłaty są nieraz małe, czasem żadne, kiedy indziej znaczne. Jedni powiększają lub umniejszają wpłatę chrześcijańską, inni grecką, jeszcze inni rzymską. Ta gra raz jest mniej uczciwa, raz więcej, ale jedno jest pewne: nikt nie poddaje w wątpliwość wielkiej i chyba bezcennej wartości – tak, wbij to sobie w głowę – bezcennej wartości wpłat greckiej, rzymskiej i chrześcijańskiej. Dyskutuje się je, kurs ich jest zmienny, ale mowy nie ma o wycofaniu ich z obiegu, z gry. Na świecie jest źle – to prawda, ale dokąd nikt nie traci wiary w te trzy wielkie wpłaty, istnieje nadzieja, że przy ich pomocy uda się rozwiązać wiele problemów.[...] Na świecie robi się tymczasem coraz ciężej.[...] I oto przychodzi najpierw faszyzm, po nim Hitler. To mają być lekarstwa.[...] Cechą charakterystyczną tych lekarstw jest to, co nazwano totalizmem, to znaczy, w sumie, absolutne i zupełne zaprzeczenie wartości tych trzech wielkich wpłat.”<sup>20</sup>

Jak można zauważyć, dzięki historii Bobkowski nie czuje się całkowicie bezradny wobec współczesności. Jest ona wyjaśnieniem niedoskonałym, ale jedynym. Jej rola i znaczenie sięgają jednak znacznie głębiej - wiedza o przeszłości ratuje przed poczuciem wydziedziczenia, a pamięć o wartościach ocala je przed deprecjacją. Diarysta sięgając wstecz znajduje odpowiedź na pytanie dotyczące dwudziestowiecznego rozpadu zachodniego świata. Przyczyną jest degradacja jednostki, czyli właśnie zaprzeczenie dziedzictwu. Poza kontekstem historycznym współczesność zmienia się w nieogarniany, pozbawiony sensu chaos. Wszak właśnie historyczny w swej istocie jest nawet sposób myślenia właściwy naszej cywilizacji:

„Zawsze bowiem, w odróżnieniu od kultur innego typu, przywiązywała ona wielką wagę do swej pamięci. Wszystko skłaniało ją do tego: zarówno dziedzictwo chrześcijańskie, jak i dziedzictwo antyczne. Grecy i Rzymianie, nasi pierwsi nauczyciele, byli narodami historiograficznymi. Chrześcijaństwo jest religią historyków. Inne systemy religijne mogły oprzeć swoje wierzenia i obrzędy na mitologii mniej lub bardziej oderwanej od czasu ludzkiego; natomiast księgami świętymi chrześcijan są księgi historyczne, [...]”<sup>21</sup>

<sup>20</sup> A. Bobkowski, *Szkice piórkem. Francja 1940 – 1944*, t.1, s.78 – 79.

<sup>21</sup> Marc Bloch, *Pochwała historii czyli o zawodzie historyka*, przeł. W. Jedlicka, PWN 1960, s.28.

Powyższe słowa napisał w czasie drugiej wojny światowej Marc Bloch, jeden z najwybitniejszych historyków francuskich. Książka, z której pochodzą, nosi tytuł „Pochwała historii czyli o zawodzie historyka”. Stanowi ona nie tylko credo metodologiczne znakomitego znawcy, ale też wyraz jego apologetycznego stosunku do przedmiotu badań. Urodzony w rodzinie żydowskiej Bloch, pisał w okupowanej przez hitlerowców Francji o tym, że historia „ jest chyba szczególnie predysponowana do pracy na rzecz człowieka”<sup>22</sup>. Naukowy dystans pozwalał mu zachować spokój wobec konieczności życia w „ciekawych czasach”, a nawet dostrzec w niej szansę zawodowego rozwoju. Ukrywający się przed Niemcami znawca, aktywny członek ruchu oporu, swoje indywidualne doświadczenia traktował z dystansem profesjonalisty - jako szansę na empiryczne pogłębienie zawodowej wiedzy. „Czytałem wielokrotnie i sam często opowiadałem historie wojen i bitew; - pisał – ale czy znałem naprawdę, w pełnym tego słowa znaczeniu, wewnętrzną ich treść, dopóki sam nie doznałem okrutnego obrzydzenia, dopóki nie poczułem, czym jest dla armii okrażenie, a dla narodu klęska? Czy wiedziałem naprawdę, co oznacza piękne słowo <<zwycięstwo>>, dopóki sam latem i jesienią 1918 roku nie odetchnąłem jego radosną atmosferą (mam nadzieję, że płuca moje wdychać ją będą raz jeszcze, ale niestety jej zapach nie będzie już zupełnie taki sam).”<sup>23</sup>

Marc Bloch doceniał możliwość „dotykania” przedmiotu swych badań. Pracował nieprzerwanie w najcięższych moralnie warunkach. Chciał pozostać profesjonalistą i dzięki pracy zachować pełen godności dystans między sobą a historią spuszczoną z łańcucha. Dopadło go jednak przeznaczenie - aresztowany przez Gestapo w marcu 1944 roku został po ciężkich torturach rozstrzelany na parę tygodni przed wyzwoleniem Francji.

Przywołałam postać francuskiego uczonego, gdyż jego tragiczne doświadczenie, wpisuje się w koncepcję istnienia pojmowanego jako - w zależności od chwili dziejowej – rozmowy, sporu lub walki jednostki z historią. Z Andrzejem Bobkowskim łączy Marca Blocha nie tylko to samo miejsce i czas, w którym powstawały omawiane teksty (by nie ulec pokusie konstruowania zbyt uproszczonych analogii, przypomnieć należy, iż ten ostatni był od polskiego diarysty 27 lat starszy, a w czasie drugiej wojny światowej miał już za sobą wieloletnią, owocną pracę badawczą), lecz przede wszystkim świadomość fundamentalnego w życiu człowieka „problemu z historią”. To ona wszak sprawia, że jednostkowe, niepowtarzalne zdawałoby się istnienie, staje się z perspektywy czasu jedynie egzemplifikacją losów pokolenia, lub narodu. To z nią człowiek pertraktuje, by uzyskać najlepsze warunki

---

<sup>22</sup> Ibidem, s.34.

<sup>23</sup> Ibidem, s.69.

nieuniknionej kapitulacji. Wieloaspektowość historii nie pozostawia jednostce złudzeń, iż jakiegokolwiek podejmie decyzje, zaistnieć może tylko w ramach narzuconych jej przez bieg dziejów. Pisarskie realizacje mogą stać się w tym kontekście ważnym, jeśli nie jedynym, obszarem zarówno buntu, jak i konsolacji; symbolem granicy między wnętrzem psychiki twórcy a zewnętrznym światem. ( Dzieje się tak co najmniej starożytności, kiedy to Boecjusz na wygnaniu i w obliczu śmierci stworzył swoją słynną „De consolatione philosophiae” – pochwałę filozofii przewyciężającej zły los.)

Nieheroiczna poetyka „Szkiców piórkiem” to wyraz potrzeby odseparowania indywidualnego losu od historycznej maszyny. Niemniej jednak podkreślić należy, iż swego rodzaju tekstowa emigracja Bobkowskiego z dziejów, nie jest równoznaczna z jego fizyczną odmową uczestnictwa w Historii. Był to bowiem – jak pisał Jacek Trznadel – „[...] człowiek zaangażowany moralnie w swoją epokę, wyczulony na problemy historyczne, także te, oglądane własnymi oczyma, osobiście przeżywane. Jak widać, – dodaje badacz – wolność od walczącego szeregu nie oznacza braku historycznego i moralnego zaangażowania.”<sup>24</sup>

Przytoczone słowa przypominają o potrzebie ustalenia zgodności diarystycznej wersji życia Bobkowskiego w latach 1940-1944 z innymi źródłami biograficznymi dotyczącymi pisarza. Cywilna poetyka „Szkiców” wskazywałaby na to, iż diarysta nie znalazł się w gronie aktywnie działających przeciwników faszyzmu. Dał się jej zwieść Paweł Zdziechowski pisząc:

„[...] Lektura *Szkiców piórkiem*” jest nie tylko pociągająca, bo pochłania całkowicie, ale także pożyteczna. Przyczynia się bowiem do burzenia pewnych legend. I tak na przykład okazuje się dzięki niej, że Polak mógł przeżyć cztery lata pod okupacją niemiecką we Francji bez tego, by go aresztowano, i bez tego, by należeć do ruchu oporu.”<sup>25</sup>

Nie należy się dziwić jednoznacznym stwierdzeniom Zdziechowskiego. Wspomniany już pakt autobiograficzny tak steruje procesem lektury, by czytelnik percypował przekaz diarystyczny jako wiarygodny i niefikcyjny. Dziennik, podkreślmy to, postuluje taki właśnie proces odbioru.<sup>26</sup> Stąd automatycznie miejsca przemilczeń są utożsamiane z niezastąpieniem pewnych wydarzeń w życiu diarysty. Tymczasem „Szkice piórkiem” nie są (co wiemy już teraz na pewno) w pełni wyczerpującym źródłem wiadomości, dotyczących autentycznej biografii Bobkowskiego; wyraźnie widoczne jest tu pęknięcie między życiem a tekstem.

---

<sup>24</sup> J. Trznadel, *Andrzej Bobkowski. Unikalne doświadczenie*, [w:] J. Trznadel, *Spojrzenie na Eurydykę. Szkice literackie*, Kraków 2003, s.191.

<sup>25</sup> P. Zdziechowski, *Wizja Andrzeja Bobkowskiego*, „Kultura” 1971, nr 4 (283), s. 131 – 134.

<sup>26</sup> Por. M. Głowiński, *Muza zmyślonych podróży*, „Teksty Drugie” 1991, nr 1/2.

Niemniej jednak i w samym dzienniku możemy odnaleźć fragmenty budzące wątpliwości, jak choćby ten, pochodzący z dnia 25. 08 1944. :

„Myślę nagle, że tej nocy nie grozi mi już żadna rewizja, żadne niespodziewane pukanie do pokoju, żadne...”<sup>27</sup> – zanotował Bobkowski patrząc na amerykańskie wojska wkraczające do miasta. To zdanie oczywiście niczego wprost nie dowodzi, ale każe się zastanowić, z jakimi obawami musiał sobie radzić diarysta na co dzień i z czego one wynikały. Roman Zimand zauważył, że śladem konspiracyjnej działalności Bobkowskiego w „Szkicach” mogą być zapisy, dotyczące sprawy niejakiego I. ,któremu diarysta – jak możemy się domyślać – pomagał wydostać się z Fresnes.<sup>28</sup>

Więcej na temat działalności Bobkowskiego można dowiedzieć się z innych niż dziennik źródeł. Jednym z nich jest książka Szymona Konarskiego „Cztery lata w okupowanym Paryżu. 14.VI. 1940 – 25.VIII. 1944.” Rzec wydano w stolicy Francji w 1963 roku w siedmiuset pięćdziesięciu egzemplarzach. W pierwszych słowach autor zaznaczył, iż uważa za swój obowiązek „dać opis lat ciężkich dla Polaków we Francji, aby przypomnieć ówczesną rolę wielu osób [...]”<sup>29</sup> i przede wszystkim dlatego napisał niniejsze wspomnienia. Wśród wielu nazwisk w książce pada też nazwisko Andrzeja Bobkowskiego. Ma to miejsce, gdy Konarski wspomina współpracownika autora „Szkiców” - Zbigniewa Koziańskiego, opiekuna polskich robotników we Francji. On to:

„Po zajęciu Francji przez Niemców wyjednał u władz francuskich poważne ulgi i przydziały pracy dla swojej grupy. Dzięki temu ani jeden z jego pupilów nie został wysłany przymusowo na roboty do Niemiec, co było wtedy nieuniknionym losem bezrobotnych. Prowadził przy stałej pomocy Andrzeja Bobkowskiego tę opiekę, posuniętą aż do wyszukiwania środków na leczenie, lokowania w szpitalach itp.”<sup>30</sup>

Konarski zaświadcza jeszcze:

„ Niebezpieczną pracę, jego i Bobkowskiego, obserwowałem w czasie całego okresu okupacji niemieckiej.”<sup>31</sup>

Parę zdań później znów wraca do osoby autora „Szkiców piórkiem”, pisząc:

„Zadania jakie były do spełnienia stwarzały konieczność porozumiewania się nas wszystkich między sobą. To było powodem nawiązania bliskich stosunków przyjaźni, która razem z nami przetrwała ciężki czasy okupacji. W rozmowach z tymi osobami znajdowałem obronę przed

---

<sup>27</sup> A. Bobkowski, *Szkice piórkiem...*, t.2, s.439.

<sup>28</sup> Por. R. Zimand, *Wojna i spokój*, s.546.

<sup>29</sup> Sz. Konarski, *Cztery lata w okupowanym Paryżu. 14.VI.1940 – 25. VIII. 1944*, Paryż 1963, s.5.

<sup>30</sup> Ibidem , s.31

<sup>31</sup> Ibidem , s.31.

czarnymi myślami. Szczególnie utkwiły mi w pamięci częste spotkania z Andrzejem Bobkowskim. Zadziwił mnie swoją spostrzegawczością i umiejętnością określania cech ludzkich. Namawiałem go zawsze aby pisał to co mówi, i tak jak mówi, gdyż jego wypowiedzi były zawsze żywe i literackie w formie. Miałem wrażenie, że na moich oczach dojrzeva wielki talent literacki.”<sup>32</sup>

Zatem, jak się zdaje, współpracownikom i dobrym znajomym autora „Szkiców piórkiem” nie było do końca wiadome, że Bobkowski pisał. To może potwierdzać przypuszczenie - do którego chciałabym wrócić w dalszej części pracy - iż dziennik stanowił dla niego swoistą enklawę, przestrzeń wolności, strefę bardzo osobistą.

Wracając do książki Szymona Konarskiego. Powyższe jej fragmenty dotyczą działalności Bobkowskiego, którą prowadził wraz z doktorem Koziańskim przez całą okupację. Początkowo opiekowali się osiemset osiemdziesięcioma trzema osobami, ale z czasem ich liczba rosła.

„Naczelną zasadą jaka kierowała naszą działalnością od początku, był możliwie skuteczna ochrona naszych rodaków wobec niebezpieczeństw, grożących im ze strony Niemców, - pisali w specjalnym sprawozdaniu z 25 września 1944 roku – oraz stworzenie im takich warunków egzystencji, które by – dając najskromniejsze choćby środki utrzymania – pozwoliły im przetrwać okupację i nie zmuszały do szukania pracy u Niemców.”<sup>33</sup>

Zadanie, którego się podjęli wiązało się z ogromnym ryzykiem, wynikającym choćby z konieczności wizyt w niemieckich urzędach i gestapo, gdzie znajdowały się kartoteki Polaków. Ze sprawozdania wynika, że w ciągu czterech lat okupacji Koziański przeprowadził około siedmuset pięćdziesięciu, a Bobkowski czterystu pięćdziesięciu osobistych interwencji u władz. Do dziś kulisy okupacyjnej działalności autora „Szkiców piórkiem” nie są do końca znane. Warto jednak zauważyć, że Konarski, naoczny świadek pracy Bobkowskiego, nie tylko wspominał go w cytowanej książce, ale także ujął się za nim wiele lat później, z całym przekonaniem zaświadczając o jego wysokiej próbie człowieczeństwie.<sup>34</sup> Mowa tu o sytuacji, kiedy to, już po śmierci diarysty, Czesław Miłosz zarzucił mu na łamach „Kultury” faszyzm.<sup>35</sup> Napaść tę, oburzony Konarski określił jako „bolesną krzywdę wyrządzoną pamięci Bobkowskiego”<sup>36</sup>. O prawym postępowaniu autora „Coco de Oro” w czasie okupacji zaświadczył też Andrzej Chciuk, wspominając, iż dostarczał on fałszywych papierów

---

<sup>32</sup> Ibidem , s.32.

<sup>33</sup> A. Bobkowski, Z. Koziański, *Sprawozdanie z działalności Biura Polskiego przy Atelier de Construction de Chatillon w czasie okupacji niemieckiej*, w: J. Giedroyc, A. Bobkowski, *Listy 1946 – 1961*, s.697.

<sup>34</sup> Por. K. Ćwikliński, *Appendix: „sprawa Bobkowskiego”*, „Archiwum Emigracji”, Toruń 1998, z.1. ,s.86 -89.

<sup>35</sup> Cz. Miłosz, *Uwagi do uwag Gombrowicza*, „Kultura” 1962, nr 12.

<sup>36</sup> Sz. Konarski, *List do redakcji*, „Kultura” 1963, nr 3.

francuskiemu Ruchowi Oporu i uratował kilkunastu Żydów.<sup>37</sup> Sam autor „Szkiców piórkiem” nie wypowiadał się na ten temat, poza nielicznymi wzmiankami w prywatnych listach, jak choćby ta w liście do Jarosława Iwaszkiewicza:

„Piszesz mi, że przyjedziesz tu z Twoją Panią. To świetnie; będziesz w Paryżu bez głowy. Jeden Żyd, którym się tu zajmowałem w czasie okupacji, mówił mi: oj, proszę pana, bez żony, to jak bez ręki, a z żoną, to jak bez głowy.”<sup>38</sup>

Zatem wybór poetyki cywilnej, którego dokonał w „Szkicach Bobkowski nie był powodowany „bezpiecznym” stylem życia diarysty; dziennik nie odzwierciedlał rzeczywistości, ale ją modelował. W wyniku tego, pewne fakty z życia autora były przemilczane, marginalizowane, czy niedopowiedziane do końca. Tu jednak pojawia się wątpliwość. Nie można bowiem mieć absolutnej pewności, co do pierwotnej zawartości treściowej „Szkiców piórkiem”. Nie wiemy na pewno, czy w rękopisie istniały fragmenty dotyczące konspiracyjnych działań diarysty. Jeżeli nie, to jaki był tego powód, czy wyłącznie elementarne zasady konspiracji, czy też przyjęcie takiego a nie innego autorskiego konceptu.

Barbara Bobkowska w sporządzonym przez siebie w Gwatemali we wrześniu 1970 roku życiorysie męża napisała:

„Przygotowując dziennik do druku, mąż tylko trochę go skrócił, i niestety wykreślił pewne strony odnoszące się do jego pracy w czasie wojny, mówiąc żonie - << że nie może przecież sam siebie chwalić >>.”<sup>39</sup>

Ile dokładnie było tych kartek i o czym mówiły utracone zapiski, tego już nie sposób się będzie dowiedzieć<sup>40</sup>. Czy pojawiał się w nich na przykład temat ratowanych Żydów, czy też było to dla diarysty absolutnie niedopuszczalne? Jak się zdaje, pisząc powyższy życiorys dla Jerzego Giedroycia, Barbara Bobkowska chciała zaprzeczyć wizerunkowi męża, który on sam utrwalił w diariuszu. Niezgodę mogły budzić przemilczenia dotyczące jego pracy, którą obserwowała w czasie okupacji i wysoko ceniła. Być może, obraz Bobkowskiego zawarty w tej książce, odbierała jako głęboką niesprawiedliwość wobec realnego człowieka.

„Nasze życie nie było taką sielanką jak to opisał w <<Dzienniku>> - napisała czternaście lat po śmierci Andrzeja do Tymona Terleckiego – Oczywiście, nie mógł tych rzeczy wtedy

<sup>37</sup> A. Chciuk, *O Andrzeju Bobkowskim i jego listach*, „Wiadomości” 1962, nr 32/33.

<sup>38</sup> A. Bobkowski, „*Tobie zapisuję Europę*”. *Listy do Jarosława Iwaszkiewicza 1947 – 1958*, podał do druku i opracował J. Zieliński., Warszawa 2009, s.39.

<sup>39</sup> *Życiorys Andrzeja Bobkowskiego, sporządzony przez żonę Barbarę w Gwatemali we wrześniu 1970 r., przesłany redaktorowi Jerzemu Giedroyciowi.*[w:] K. Plucińska – Smorawska, *Między historią a literaturą. O „Szkicach piórkiem” Andrzeja Bobkowskiego.*, Warszawa 2005, s.193.

<sup>40</sup> Jeden z usuniętych przez Bobkowskiego fragmentów *Szkiców piórkiem* ukazał się w „Wiadomościach” już po jego śmierci. A. Bobkowski, *W Chatillon*, „Wiadomości”, 1973 nr 21. Zob. też K. Ćwikliński, *Nieznanym fragment „Szkiców piórkiem”*, „Przegląd Artystyczno – Literacki” 1999, nr 6.

opisywać, a <<Dziennik>> ja trzymałam ukryty. Raz mieliśmy rewizję, w czasie której udało mi się zawrócić głowę <<filcom>> moimi rysunkami i puścili Jędrka wolno, a <<Dziennika>> nie znaleźli. Co wieczór drżałam czy wróci, a ponieważ objeżdżał kwatery naszych robotników, wracał nieraz tuż przed godziną policyjną.”<sup>41</sup>

Pamiętać należy jednak, iż pisarz dokonując nieznaney nam ilości poprawek przed wydrukowaniem „Szkiców piórkiem”, robił to jako dojrzały człowiek, od wielu lat piszący; miał zatem pełną świadomość, jak wpłynie to na ostateczny kształt tekstu. Pytanie zatem mogłoby brzmieć: czy manifestacyjnie cywilna poetyka książki jest wynikiem decyzji diarysty podjętej w latach czterdziestych, czy ponad dziesięć lat później? Żadna z odpowiedzi nie zmienia wszak ostatecznej, znanej czytelnikom treści dziennika. Poza tym, jeśli Bobkowski rzeczywiście pierwotnie poświęcił część swych zapisów konspiracyjnym działaniom, to i tak przeważająca część tekstu pozostała apologią cywilnego, codziennego, jednostkowego istnienia, bo ono – podkreślmy to wyraźnie – stanowi centrum proponowanego w tekście systemu wartości. Ono, z gruntu obce umysłom nawykłym do wojskowej dyscypliny, jest w dobie apokalipsy swoistym sacrum, wartym, by opowiedzieć się po jego stronie z całą twórczą energią.

Zderzenie indywidualnych potrzeb i pragnień poszczególnych jednostek z militarną rzeczywistością było dramatem (mniej lub bardziej uświadamianym) całego pokolenia. Bobkowski – co oczywiście nie mogło być pociechą – nie był w swojej traumie osamotniony. Dylematy związane z falą przemocy zalewającą Europę mieli także rumuński pisarz Mihail Sebastian i litewski diarysta Jonas Mekas (późniejsza legenda nowojorskiej awangardy filmowej). Przywołanie zapisów dziennikowych wyżej wymienionych twórców wydaje się być zasadne o tyle, iż mogą stać się one ciekawym, wykraczającym poza polską literaturę, kontekstem dla twórczości autora „Szkiców piórkiem”. Diariuszowe notatki Bobkowskiego zestawione z fragmentami tekstów innych autorów (rzecz jasna nie tylko tych wymienionych wyżej) pozwalają podejmować próby zrekonstruowania ówczesnego stanu świadomości europejskiej. Uświadamiają istnienie wspólnoty intelektów w Europie tamtego czasu.

Autorem słów cytowanych poniżej, napisanych w maju 1939 roku, był właśnie wspomniany Mihail Sebastian starszy od Bobkowskiego o sześć lat, rumuński pisarz, krytyk literacki i

---

<sup>41</sup> List Barbary Bobkowskiej do Tymona Terleckiego, *Aneks. Korespondencja Barbary Bobkowskiej oraz Toli i Tymona Terleckich*, [w:] A. Bobkowski, *Listy do Tymona Terleckiego 1956 – 1961*, Biblioteka „Więzi”, Warszawa 2006, s.214.

tłumacz. Jego rozgoryczenie wywołała konieczność wystąpienia w mundurze obcego mu ideowo Frontu Odrodzenia Narodowego:

„Czuję się zdruzgotany, – zanotował w diariuszu - zdyskwalifikowany, pozbawiony prawa do napisania słowa ja z tym poczuciem własnej godności i powściągliwej dumy, bez której jego użycie staje się bezzasadne.

<<Jestem cywilem>> - napisałem w eseju *Jak zostałem chuliganem* i byłem dumny z tego oświadczenia, które uważałem za deklarację wolności, niezależności i nonkonformizmu.”<sup>42</sup>

Sebastian był w swoim antymilitaryzmie bezkompromisowy, stąd zestawiając go z Bobkowskim należy pamiętać o zachowaniu proporcji. Rumuński twórca powołany do wojska w związku z groźbą wybuchu wojny, czuł się uprzedmiotowiony i skazany na porażkę. Po przymierzeniu munduru napisał:

„Przed chwilą przeprowadziłem próbę generalną. O Boże, cóż to za żalosna figura! Wyglądam nędznie, jakbym był pobity, unicestwiony, zdeformowany. Nie jestem już sobą: jestem niczym, niczym, niczym. Jestem czymś, co można zabić w ciżbie, nie ma to bowiem żadnego znaczenia, co można unurzać w błocie, wrzucić do stajni, zapomnieć na polu; jestem kimś bez nazwiska, bez osobowości, bez wyglądu, bez woli, bez głosu, bez życia – jestem żołnierzem rumuńskim.”<sup>43</sup>

Gorzkie refleksje na temat żołnierskiej kondycji, uzupełnił później konstatacją, bardzo bliską przekonaniom Bobkowskiego.

„Zaczynam rozumieć, - zanotował poruszony nędzą panującą w koszarach – dlaczego biedota nie jest w stanie dokonać rewolucji. Degradacja fizyczna niszczy zasoby godności. Rewolta jest luksusem.”<sup>44</sup>

Narastający ogólnoświatowy konflikt nie pozostawiał marginesu dla ludzi myślących tak jak rumuński diarysta. Zakwestionowanie przez systemy totalitarne sensu istnienia człowieka poza zideologizowanym, walczącym szeregiem, stało się wspólną tragedią części świadomych sytuacji Europejczyków. Było synonimem końca cywilizowanego świata. Rodziło przymus myślenia militarnego w każdym miejscu na kontynencie, także tam, gdzie celem miała być „tylko” obrona. Stawiało ludzi zbuntowanych czy niepokodzonych w sytuacji rozbitków na morzu przemocy. Jonas Mekas, urodzony w 1922 roku na Litwie, w wieku 22 lat opuścił rodzinne Semeniszki, by przez Niemcy dotrzeć do Ameryki. 19 lipca

---

<sup>42</sup> M. Sebastian, *Dziennik 1935 – 1944*, przeł. J. Kotliński, Sejny 2006, s.307 – 308.

<sup>43</sup> Ibidem, s.311.

<sup>44</sup> Ibidem, s.314.



1944, w pociągu, którym miał nadzieję dostać się na Uniwersytet Wiedeński (będący pierwotnym celem jego podróży) zapisał:

„Nie czuję się żołnierzem ani członkiem podziemia. Nie jestem do takiego życia przygotowany ani fizycznie, ani mentalnie. Jestem poetą.

Niech walczą wielkie kraje. Litwa jest mała. Od zarania historii wielkie mocarstwa ścierały się na naszych ziemiach. Jeśli ktoś próbuje się im przeciwstawić albo jest nieostrożny – toczące się walce Wschodu i Zachodu zgniotą go na miazgę. Jedyne, co możemy robić my, małuczcy, to postarać się przetrwać. [...] Nie chcę brać udziału w tej wojnie. To nie jest moja wojna.”<sup>45</sup>

Składane przez intelektualistów deklaracje cywilności stawały się znakiem buntu i były równoznaczne z wypowiedzeniem historii posłuszeństwa. Sprzeciw ten wyrastał z wiary w prawo jednostki do indywidualnych wyborów, z przekonania o jej unikalnej wartości, a także z żalu nad każdą przedwczesną śmiercią. Bobkowski, pisząc o charakterystycznych cechach polskości, zauważył, iż jedną z nich jest: „absolutny obowiązek umierania za ojczyznę nie tylko, gdy potrzeba, ale przede wszystkim, gdy nie potrzeba.”<sup>46</sup> I dodawał:

„Spróbuj wtedy nie umrzeć. Potrzebna śmierć nie liczy się, bo to podejrzane. Umrzyk mógł mieć jakiś interes osobisty. Prawdziwe bohaterstwo to umrzeć niepotrzebnie i koniecznie z fasonem. I umieramy niepotrzebnie i wspaniale.”<sup>47</sup>

Zakwestionowanie paradygmatu militarnego nie było jednakże powszechnym gestem duchowym. Trzeba pamiętać, iż w Europie owego czasu prowojskowy sposób myślenia, miał rzesze wyznawców i - by tak powiedzieć – ówczesni Europejczycy byli pogodzeni z ewentualnością wojny.<sup>48</sup> Powracała ona wszak, po krótszych lub trochę dłuższych przerwach, od stuleci<sup>49</sup>. Perspektywa konfliktu zdawała się nie budzić sprzeciwu, wydawała się być nieodwołalnie wpisana w los człowieka. Społeczna „zgoda” na wojnę wynikała także z faktu, iż wysiłek militarny nie zawsze był konsekwencją dwuznacznych moralnie zakusów na dobra

---

<sup>45</sup> J. Mekas, *Nie miałem dokąd iść*, przeł. M. Wawrzyńczak, Sejny 2007, s.29.

<sup>46</sup> A. Bobkowski, *Szkice piórkiem...*, t. 2, s.181.

<sup>47</sup> Ibidem, s.181.

<sup>48</sup> O ówczesnej Europie K. Pomian napisał: „[...] traktat wersalski prawnie był traktatem pokojowym, faktycznie pozostał jednak zawieszeniem broni. Świadomość tego była tak powszechna, że młodzi ludzie wkraczający w dorosłe życie w latach dwudziestych nazywali sami siebie pokoleniem międzywojennym.” K. Pomian, *Europa i jej narody*, przeł. Małgorzata Szpakowska, Gdańsk 2004, s.172. Literackim świadectwem klimatu tamtego czasu może być na przykład książka „W stalowych burzach” Ernsta Jüngera, a w szczególności trzecia wersja tego utworu (z 1923 roku), gdzie autor jawi się jako apologeta wojny i nacjonalizmu niemieckiego.

<sup>49</sup> Historia Starego Kontynentu jest historią konfliktów zbrojnych. O rządzących nią prawach K. Pomian napisał: „Państwa nowożytne żyją wojną i dla wojny. Wojna jest ich naturalnym żywiołem. Wygrana – pozwala zdobyć ziemię i łupy, okrywa chwałą zwycięskiego wodza, wzbogaca żołnierzy. Przegrana – grozi utratą suwerenności. Pozostaje zatem najważniejszym sprawdzianem, jaki każdemu państwu może być narzucony przez sąsiadów; jeśli chce ono przeżyć musi mu sprostać.” K. Pomian, *Europa i jej narody*, s.94.

sąsiednich państw. Drugą stroną medalu były wojny prowadzone w obronie granic czy z nadzieją odzyskania niepodległości. Tak czy inaczej sytuacja walczących pozostawała niepokojąco podobna. Wymagano od nich przyjęcia określonego systemu wartości, a w konsekwencji ofiary z życia czy przynajmniej wyrzeczenia się dążeń do jednostkowej samorealizacji.

W czasie drugiej wojny światowej uprzedmiotowienie jednostki wyrastało z jednej strony z ideologii totalitarnych, zaś z drugiej, było nieuniknionym „efektem ubocznym” podjęcia działań w obronie fundamentalnych zasad. W tej sytuacji werbalizowanie antywojennych racji miało wymiar obrazoburczy, mimo że ich podłożem był głęboki humanizm i wątpliwości, które trafnie wyraził Bolesław Miciński w eseju „O nienawiści, okrucieństwie i abstrakcji”:

„Nienawiść do zła jest – zapewne – uczuciem <<słusznym>> i <<sprawiedliwym>>, ale czy można bezkarnie wyzwolić słuszną nawet nienawiść?” – pisał w 1940 roku – „Czy uczucie to – raz rozpętane przez samą swoją dynamikę nie wyzwala w nas równocześnie innych uczuć – potępionych? Worka, w którym Eol zamknął wiatry, nie można otworzyć po to tylko, by jeden pomyślny wiatr uderzył w żagle. Złe wiatry wyrywają się równocześnie z otchłani magicznego worka, strzępią żagle i mącą powierzchnię wód.”<sup>50</sup>

Niezgoda na zignorowanie przez historię fizycznej i duchowej kruchości człowieka, na unieważnienie jego lęków i wahań była podłożem refleksji intelektualistów na temat cywilnego sposobu istnienia. Jednakże, by apologia tegoż mogła zaistnieć na poziomie deklaratywnym, trzeba było, przynajmniej minimalnego poczucia osobistego bezpieczeństwa. Zdecydowanie łatwiej wszak rzucić wyzwanie historii, kiedy samemu nie jest się przez nią rzuconym na kolana. W ogniu walki, czy w obozach zagłady, tego rodzaju rozważania byłyby duchowym luksusem, który mógł jedynie osłabić wolę zwycięstwa czy zmniejszyć szansę przetrwania. Antywojenny bunt był przeto najczęściej głosem wybranych – uprzywilejowanych na tle rzeszy innych.

## 1.2. Paryż w przeddzień upadku. Pierwsze symptomy katastrofy

Przyjrzyjmy się zapisom dziennikowym Bobkowskiego datowanym od 20.V. do 12.VI. 1940. W maju, wciąż niezajęty przez Niemców Paryż, był miastem relatywnie bezpiecznym. Diarysta starał się przyjąć i zachować uprzywilejowaną – bo z definicji związaną z dystansem

---

<sup>50</sup> B. Miciński, *Pisma. Eseje, artykuły, listy.*, Kraków 1970, s.138.

- pozycję obserwatora wydarzeń („Teraz już tylko czekam, co dalej i patrzę.” – Pisał 7.VI.1940 – „Ciekawe to jest – na pewno.”<sup>51</sup>) Dziennik prowadził skrupulatnie ( w tym czasie zapisy powstawały codziennie, oprócz dni 2.VI i 8.VI 1940.), pamiętając, by w polu swojej refleksji umieścić rozmaite aspekty paryskiej rzeczywistości. Początkowe notatki noszą ślady poszukiwań właściwej frazy, przystającej do nowej sytuacji. Diarysta próbował potoczności, humoru, ironii, metafor, by oswajać, a po części także kształtować, wymykającą się spod kontroli rzeczywistość. Notatki mają wyraźnie naprzemienny charakter; częściowo dotyczą sytuacji politycznej i zmian zachodzących na froncie, częściowo zaś życia miasta, zagrożonego, ale wciąż magnetycznego.

Przez omawiane fragmenty „Szkiców” przebija się zadziwienie Bobkowskiego antynomiczną naturą otaczającego świata. Na każdym kroku diarysta dostrzegał niepokojącą, pozornie niemającą prawa zaistnieć równowagę sprzeczności. Na jednej szali znalazło się miejsce dla słońca, ciepła, jazdy na rowerze, wypadów do kina, rozmów z ludźmi, na drugiej – ruchy wojsk, powtarzające się klęski aliantów - zwiastuny nieuchronnego końca ciszy przed burzą.

W tamtym okresie, Bobkowski szukał w pozornie nieziennej paryskiej codzienności symptomów katastrofy. Odczytywał drobne wydarzenia jako metafory nadchodzącej zmiany. 9. 6. 1940 zapisał:

„ Upał straszliwy. Po obiedzie poszliśmy do Bagatelle. Słońce, kwitną tysiące róż. Gdzieś z bardzo daleka dolatywały grzmoty. Może artyleria, może bombardowanie. Stałem przy jednym z krzaków i wsłuchiwałem się w te dalekie odgłosy. Jakiś huk zabrzmiał głośniejsz, niż inne i w tym momencie rozkwitła, biała róża osypała się cicho na ziemię.

Miałem uczucie, że stojąc przy tym krzaku róż, w pustym, prześlicznym ogrodzie, żegnam się bezpowrotnie ze wszystkim: z tą Francją, która była jak sen i pryska jak sen; z całą młodością – może z całą epoką.”<sup>52</sup>

Bobkowski był baczny obserwatorem szczegółu, cechował go, by tak powiedzieć, synekdochiczny sposób patrzenia na otoczenie.<sup>53</sup> Z małych fragmentów rzeczywistości konstruował własny paryski światobraz. Metaforą narodowego charakteru Francuzów było dla niego zachowanie dwóch stróżów prawa, spotkanych 3.6.1940 przed Ministerstwem Pracy.

---

<sup>51</sup> A. Bobkowski, *Szkice piórkem...*, t. 1, s 17.

<sup>52</sup> Ibidem, s.17.

<sup>53</sup> Zwrócił na to uwagę także M. Kopczyk, pisząc o „ swoście <<optycznej>> pamięci autora, z mnogości zarejestrowanych detali wybierającej te, które mocą skrótu zdolne są oddać prawdę o oglądanej rzeczywistości.” M. Kopczyk, *Arkadia i apokalipsa. Refleksja nad kulturą w pisarstwie Andrzeja Bobkowskiego*, Katowice 2003, s.19. O „filmowym” charakterze opisów Bobkowskiego pisał też Stanisław Gębala. Por. S. Gębala, A. Bobkowski „Brzydzą się czystych intelektów”, [w:] *Szkice o polskich pisarzach emigracyjnych*, red. M. Kisiel, W. Wójcik, Katowice 1996.

„Po trawniku chodzą dwaj policjanci, - pisał - pochylają się, przystają, znowu pochylają. Nie mam czasu, ale zatrzymuję się zaciekawiony. W końcu podchodzę bliżej i pytam, czy czegoś nie szukają.

- Mais oui, Monsieur, szukamy czterolistnych koniczyn. Chce pan jedną? – To mówiąc jeden z nich podaje mi piękny okaz z miłym uśmiechem. Biorę i chowam w notesiku. Uśmiecham się także. Ludwik XIV w dzień zdobycia Bastylji zapisał w swoim dzienniku: Rien”<sup>54</sup>

W obliczu zagrożenia stolica Francji zachowywała niefrasobliwy spokój. Być może dlatego, iż przestrzeń realna, jak i duchowa miasta była jeszcze niemal nietknięta. Bobkowski z zapalem przyglądał się ludziom, którzy na własną miarę próbowali poradzić sobie z nową sytuacją, oswoić niepewne jutro. Zdziwiła go beztroska, czy też nieświadomość paryżan, przypisana Francuzom swoista „lekkość bytu”. W diariuszu odnotowywał swoje obserwacje:

„Policjanci chodzą uzbrojeni w karabiny, ale gdy dziś przypatrzyłem się uważniej tej broni, miałem ochotę zapytać, czy naboje do tej pukawki nie znajdują się przypadkiem w Muzeum Inwalidów. Jakiś ostatni model z roku 1870, który służył prawdopodobnie do obrony Paryża – teraz wyciągnięto je przeciwko spadochroniarzom.”<sup>55</sup>

Mimo ambiwalencji uczuć diarysta traktował miasto z czułością. Interesowało go - wraz z jego mieszkańcami, z jego przeszłością, z jego klęską, która nie miała mieć w sobie nic spektakularnego.

„Wychowałem się na micie Francji – zanotował – A teraz co? Wali się – i to wali się jakby po cichu, pęka, jak fastryga, właściwie bez trzasku.”<sup>56</sup>

Paryż Bobkowskiego wymyka się klasycznej poetyce opisu. Diarysta koncentrował się na oddaniu atmosfery miejsca, na odzwierciedleniu stanu niepewności i zawieszenia, w jakim znalazła się stolica Francji. Zdarzało się, iż przyglądając się paryżanom Bobkowski włączał i siebie do ich grona (czego śladem jest forma dziennikowych zapisów). Kiedy indziej zaś, korzystał z dystansu wynikłego z jego narodowej odmienności i nadawał sobie w „Szkicach” status „obcego”, by - na ile to możliwe – zaistnieć jako obiektywny obserwator paryskiej rzeczywistości. Jego niedookreślona pozycja w mieście pozwoliła mu na przyjmowanie różnych punktów widzenia, uwrażliwiła na szczegóły niewidoczne dla autochtonów

Bobkowski nie eksponował w dziennikowych zapisach własnej osoby; w jego przypadku oznaczało to, iż nie roztrząsał szczegółowo położenia w jakim się znalazł i emocji jakie ta sytuacja w nim wzbudzała. Diariusz nie będzie tu przeto narzędziem analizy stanów

---

<sup>54</sup> A. Bobkowski, *Szkice piórkami...*, t.1, s.14.

<sup>55</sup> Ibidem, s.11.

<sup>56</sup> Ibidem, s.16.

wewnętrznych autora. Niemniej jednak, nie werbalizując własnych emocji, nie nazywając po imieniu, diarysta sygnalizował wyraźnie ich istnienie:

„Poszliśmy na piwo. Patronka przywitała Jean’a, jak syna. Ja wziąłem szklankę z piwem i usiadłszy w oknie, patrzyłem w las. Oni wspominali dawne czasy. Dolatywały do mnie jakieś oderwane słowa, jakieś fleurs, Suzanne, mignonie. Piwo nie chciało mi przejść przez ściśnięte gardło.”<sup>57</sup>

A potem:

„[...] jeździliśmy po leśnych drózkach pełnym gazem. Rzucalo nami, trzęsło, aż nagle zaczęliśmy się śmiać – zaśmiewać się głupio i histerycznie.”<sup>58</sup>

Sytuacja, w której się znalazł sprawiła, że odczuł konieczność wypracowania własnego modelu istnienia wobec nadchodzącej katastrofy. Jego filarami były: skierowanie uwagi na zewnątrz, „ku światu”, zachowanie spokoju, wyodrębnienie takich obszarów rzeczywistości, w których możliwe jest decydowanie o sobie, prowadzenie dziennika, będącego – by tak rzecz – bastionem wolnego umysłu.

W tamtym czasie, tuż przed wkroczeniem Niemców, Paryż Andrzeja Bobkowskiego był wysepką względnej normalności, skazaną z góry na zatopienie. Innego, głębszego, znaczenia nabierały zatem dla przyszłego pisarza zwykłe gesty, służące zaklinaniu codzienności - by trwała. Antynomią grozy stał się nie tyle błogostan, lecz właśnie kontynuowana, mimo okoliczności, zwyczajność. W sytuacji oczekiwania na koniec świata każda czynność, o z pozoru niewielkim znaczeniu, stawała się świadomym aktem woli. Dlatego Bobkowski podkreślał swoje uczestnictwo w życiu miasta. W zapisach jest mowa o wyprawach do parku, restauracji, o czytaniu gazet. Wszak dokąd w życiu człowieka trwają codzienne rytuały, dotąd nie ma mowy o wewnętrznej kapitulacji. Taką postawą diarysta wpisywał się w duchowy klimat stolicy Francji, której mieszkańcy wykonywali działania zabezpieczające dyskretnie i - na ile to było możliwe – nie ulegając panice.

„W Paryżu spokój, na zewnątrz nie widać żadnego zdenerwowania. Czasem tylko przemyka ulicą samochód, wyładowany walizkami, z pościelą na dachu. Ludzie wyjeżdżają jak mogą. Czuję dosłownie pod ręką szybkość przebiegania wypadków – jest to tak szybkie, że wydaje się nierealne. Pracuję normalnie, piję zimne piwo po bistrach, czytam gazety i trudno mi uwierzyć, że Niemcy są już o 120 km od Paryża.”<sup>59</sup>

---

<sup>57</sup>Ibidem, s. 13.

<sup>58</sup>Ibidem, s. 13

<sup>59</sup>Ibidem, s. 16 – 17.

O ile dla Bobkowskiego – podkreślmy to wyraźnie - celebrowanie codzienności było wówczas starannie opracowywaną strategią przetrwania, rodzajem medytacji dla umysłu w pełnym wrzeniu, o tyle dla Francuzów zdawała się być przede wszystkim sposobem na nieprzyjęcie do wiadomości zaistniałej sytuacji.

„Po wkroczeniu wojsk hitlerowskich do Polski – pisał Frederic Spotts – we Francji przez osiem miesięcy trwała pseudowojna, a znakomita większość Francuzów zdawała się dotknięta ciężkim paraliżem umysłowym. Cierpienia, jakich doznali podczas wielkiej wojny, były tak dotkliwe, że wycieńczeni, nie chcieli myśleć o kolejnym konflikcie.”<sup>60</sup>

Charakterystyczny dla Francuzów eskapizm obrazuje przytoczona przez badacza anegdota:

„Belgia właśnie składała broń, Dunkierka została otoczona, a tłumy uchodźców uciekały na południe. W tym samym czasie paryscy melomani nieśpiesznie zapelniali do końca wyprzedane miejsca w operze, by obejrzeć premierowe przedstawienie nowego dzieła Dariusza Milhauda *Médée*. <<Muzyka wydała mi się całkiem śliczna, a wykonanie całości było nadzwyczajne – skomentowała łaskawie de Beauvoir. – Przez kilka godzin zapomniałam o świecie>>. Zaledwie dwa tygodnie później oddziały niemieckie maszerowały Champs – Elysées.”<sup>61</sup>

Polski diarysta, szukając słów by oddać charakter niecodziennego oczekiwania na koniec świata, równocześnie nie tracił z pola widzenia sytuacji na froncie. Uwagi na ten temat stanowią lwią część omawianych zapisów. Bobkowski nie ukrywał źródeł, z jakich czerpał wiedzę o przebiegu wydarzeń, pisał:

„Z lektury gazet wynika jedno: [...]”<sup>62</sup>

„Nic nie mówi się o [...]”<sup>63</sup>

„W wieczornych gazetach ukazała się krótka notatka, mówiąca jednak bardzo wiele.”<sup>64</sup>

Autor „Szkiców piórkiem”, jak widać, nie miał lepszego dostępu do informacji niż inni paryżanie. Umiał natomiast interpretować fakty, wysnuwać wnioski, stawiać diagnozy. Śledził światową scenę i przewidywał rozwój wydarzeń z zaskakującą przenikliwością. (Po latach pojawiły się nawet podejrzenia - obecnie całkowicie podważone - iż trafne analizy

---

<sup>60</sup> F. Spotts, *Haniebny pokój. Jak francuscy artyści i intelektualiści przetrwali nazistowską okupację.*, przeł. J. Barczyński, Warszawa 2010, s.18 Na temat Francji w okresie II wojny światowej pisał między innymi także R. O. Paxton. Por. R. O. Paxton, *Francja Vichy. Stara gwardia i nowy ład, 1940 – 1944*, przeł. J. Lang, Bukowy Las, Wrocław 2011.

<sup>61</sup> Ibidem, s.19.

<sup>62</sup> A. Bobkowski, „Szkice piórkiem...”, t. 1. s.14.

<sup>63</sup> Ibidem, s.17.

<sup>64</sup> Ibidem, s.11.

sytuacji zostały dopisane przez diarystę post factum, w trakcie przygotowań dziennika do druku.<sup>65</sup>) W tamtych dniach było dla niego wiadome, że miasto zostało skazane na porażkę.

Bobkowski, odnotowując w dzienniku kolejne klęski, nie chciał, by stał się on wyłącznie kroniką narastającej rozpacz. Starał się kontrapunktować patos chwili historycznej potocznością języka (ta ostatnia jest przecież znakiem normalności). Także humor, czy ironia – swego rodzaju symbole duchowego zwycięstwa nad przeznaczeniem - służyły diaryście do odseparowania wnętrza psychiki od historycznej maszyny. Dziennik stać się miał „wolną strefą” myśli, chwilą oddechu, sposobem na zachowanie dystansu. Jednakże cel ten nie mógł zostać w pełni osiągnięty, gdyż „na przeszkodzie” stanęła świadomość, czy nawet wyczulenie moralne diarysty. To ono, dyskretnie, nieosentacyjnie, obecne w tekście jest wyznacznikiem sposobu bycia w świecie Andrzeja Bobkowskiego:

„Zrzucili 1084 bomby, 900 ofiar, 250 zabitych – reszta ranni. Jak na początek, wystarczy.

Marynarka francuska i angielska dokonały cudu zręczności. Wywiozły z Dunkierki całą Armię Flandrii – około 330 tysięcy żołnierzy. W czasie bezustannego ataku Niemców ze wszystkich stron. Ratowano tylko ludzi. Całe uzbrojenie dwudziestu dywizji zostało na piasku. Chyba jedna z najbardziej bohaterskich klęsk. Zaczynają nam robić konkurencję.”<sup>66</sup>

Bobkowski, śledząc wielką politykę, zawsze widział za nią pojedynczego człowieka. Budziło jego szacunek zachowanie dowódców, dla których życie żołnierzy było cenniejsze niż sprzęt. Intuicyjnie czuł, że w tej wojnie wybór między ratowaniem ludzi a czołgów, nie będzie dla wszystkich oczywisty. Wszak jednym z wyznaczników systemów totalitarnych był brak szacunku dyktatorów dla jednostkowego istnienia (nawet jeśli chodziło o żołnierzy własnej armii, traktowanych wyłącznie jako środek do osiągnięcia celu). Dla Bobkowskiego zaś człowiek stanowił wartość niekwestionowaną, oczywistą, najwyższą. Pisał:

„Tylko człowiek nie jest fikcją – wszystko inne jest fikcją. Cały świat może być ojczyzną i każdy człowiek bratem. Bo świat to człowiek, przede wszystkim człowiek.”<sup>67</sup>

---

<sup>65</sup> Bardzo wyczerpująco wytłumaczył Andrzej Bobkowski, skąd brały się jego przewidywania Tymonowi Terleckiemu. Por. A. Bobkowski, *Listy do Tymona Terleckiego*, op. cit., s. 95 – 99. Współcześnie tematem autentyczności zapisów zajmowali się między innymi K. Ćwikliński, M. Urbanowski, K. Plucińska – Smorawska i Z. Skrok. Por. K. Ćwikliński, *Helikopter i kultura masowa albo kilka uwag o kilku nieuzasadnionych podejrzeniach*, [w:] K. Ćwikliński, *Znani i nieobecni. Studia z problematyki polskiej literatury emigracyjnej i życia literackiego na uchodźctwie*, Wydawnictwo Naukowe Uniwersytetu Mikołaja Kopernika, Toruń 2008, s. 19 – 34. M. Urbanowski, *Szkice piórkem – autentyk czy powieść*, „Dekada Literacka” 1993, nr 15, K. Plucińska – Smorawska, *Między historią a literaturą...*, rozdz. pt. *Zachód, Rosja a sprawa polska*, s. 106 – 133, Z. Skrok, *Bezkompromisowy witalista*, „Literatura” 1998, nr 1. Ostatni z autorów zauważył trafnie, iż o umiejętności prognozowania wydarzeń Bobkowskiego świadczyć może jego korespondencja, która powstała już po *Szkicach piórkem*.

<sup>66</sup> Ibidem, s. 15.

<sup>67</sup> A. Bobkowski, *Szkice piórkem...*, t.2, s.415. .

Tymczasem – w świecie ideologicznych i militarnych zmagania – podmiotowość jednostki została zdewaluowana. Postawiono jej zadanie zniknięcia w tłumie, posłusznego dołączenia do szeregu. Bobkowski miał świadomość, iż nastąpiło pęknięcie – człowiek w jakiego wierzył, niespętany systemem, ustępował miejsca zdegradowanej istocie, systematycznie odzieranej z naturalnej godności. Z głosem autora „Szkiców piórkiem” współbrzmi myśl Bolesława Micińskiego, który w 1940 roku, we Francji, napisał:

„Jesteśmy uwikłani w wojnę, która toczy się między rzeczywistością i abstrakcją – między jednostką a zbiorowością. I dlatego ta wojna jest tak okrutna. I dlatego tak ważna. Bo tylko jednostka jest rzeczywista, tylko jednostka jest nieśmiertelna – tylko przed nią otwarta jest wieczność. Zbiorowość – rasa, naród, klasa – może być długowieczna, nigdy – wieczna. Dzieje każdej zbiorowości kończą się u wrót doliny Jozafata.”<sup>68</sup>

Kontynuacją tych rozważań, niejako dalszym ciągiem hipotetycznej rozmowy dwóch diagnostów współczesnej kultury, mogłyby być, napisane trochę później, bo w 1943 roku, słowa Andrzeja Bobkowskiego:

„Człowiek to wieczna niespodzianka, nie da się ująć w system. Jeśli ktoś dziś zapytałby mnie, w jaki ustrój, ideologię lub system wierzę, byłbym w kłopotcie. Nie wierzę w żaden ustrój, wszystkie ideologie mam gdzieś i systemami w odniesieniu do człowieka pogardzam. Byłbym raczej skłonny odpowiedzieć, że wierzę w każdy ustrój, ideologię czy system w którym jest NAPRAWDĘ mowa o człowieku. Pozwolić człowiekowi żyć – oto jedyny system i ideologia. Pozwolić żyć, a nie KAZAĆ żyć, zostawić mu wybór celu jego życia, a nie narzucać mu z góry. I skończyć z gloryfikacją śmierci.”<sup>69</sup>

Bobkowski bronił życia w jego zwyczajnym, niebohaterskim wymiarze. Był apologetą cielesności, szanował ludzką kruchość, delikatność, niepowtarzalność. Nie znaczy to, iż jednoznacznie negował sens walki zbrojnej. Wydaje się, iż po prostu żałował niespełnionych życiorysów, szans odebranych jego pokoleniu przez głowy państw, ideologów, wojennych strategów. Dla Bobkowskiego życie stanowiło sacrum, każdą przedwczesną śmierć odczuwał zatem jako swoistą profanację.

Autor „Szkiców piórkiem” wiedział, iż jego sposób myślenia pozostaje w sprzeczności z narodową tradycją i może być odczytywany jako duchowa ekstrawagancja. Postawa diarysty była jednak, jak się zdaje, tylko w pewnej mierze kwestią intelektualnego wyboru. W większym stopniu motywował ją naturalny, by nie powiedzieć „spontaniczny” humanizm

---

<sup>68</sup> B. Miciński, *Pisma. Eseje, artykuły, listy*, s.142.

<sup>69</sup> A. Bobkowski, *Szkice piórkiem...*, t.2., s.186.



właściwy Bobkowskiemu, jego głębokie człowieczeństwo, niewymagające skomplikowanych uzasadnień.

„Nie wiadomo dokładnie, jak powinien się zachować filozof na wojnie. – pisał Jan Tomkowski, przyrównując autora „Szkiców” do Sokratesa – Jak poskromić uczucie odrazy, jak powstrzymać się przed pokusą uczestnictwa we wszechogarniającym szaleństwie. Bobkowski był zdania, że jego najświętszym obowiązkiem jest opowiedzieć się po stronie życia. Gdy wszystko zawodzi, gdy świat <<wypada z zawiasów>>, taki wybór nabiera szczególnej wagi [...]”<sup>70</sup>

Wybór – dodajmy - wpisujący się w wojenną działalność twórcy, jak pokazał czas, nie do końca docenioną i, by tak rzec, niespektakularną. Wszak koncentracja na ratowaniu ludzi z opresji, na zwiększaniu ich szans na przeżycie koszmaru, na ratowaniu ich od skrajnej nędzy, odbierającej godność to właśnie dbałość o człowieka, o to, by z potopu historii wyniósł cała głowę i mógł „po prostu żyć”. Apologetyczny stosunek Bobkowskiego do jednostki, ujęty w dzienniku w „ramy teoretyczne”, miał zatem także, o czym warto pamiętać, odzwierciedlenie w realnych działaniach twórcy, którym z kolei w diariuszu, jak to już zostało powiedziane, miejsca poświęcił stosunkowo niewiele.

W zapisie z dnia 10.VI.1940 diarysta odnotował nadejście zmiany - oniryczne dotychczas miasto ogarnęła panika:

„ To, co dzieje się na dworcach jest nie do opisanania. – stwierdził – Paryż nagle przebudził się, nagle uświadomił sobie klęskę – i ruszył do dworców.”<sup>71</sup>

Pierwsza bezpośrednia konfrontacja z katastrofą wiązała się dla Bobkowskiego z intensywnym działaniem na rzecz powierzonych jego opiece polskich robotników. „Szkice” są świadectwem, iż wierzył w sens i konieczność podejmowanych przez siebie starań. Nie bał się odpowiedzialności za przydzielonych mu ludzi, z przekonaniem robił dla nich wszystko, co było w jego mocy. Koniec świata obserwował z perspektywy paryskiego dworca - aktywny, niewyspany, skoncentrowany na pracy. Później zanotował:

„Moją grupę ludzi wyłapałem częściowo jakimś cudem i znowu cudem wprowadziłem ich na peron bocznym wejściem. Jeszcze nigdy nie mówiłem tyle i tak dobrze po francusku. Przeprowadziłem ich przez kordon policji, przez kordon kolejarzy, dołapałem zawiadowcę stacji i z nim razem wsadziłem ich do wagonu, który tym razem stał na bocznym torze i nie

---

<sup>70</sup> J. Tomkowski, *Testament Keyserlinga*, [w:] J. Tomkowski, *Don Juan we mgle. Eseje o wierności*, Rosner&Wspólnicy, Warszawa 2005, s.226.

<sup>71</sup> A. Bobkowski, *Szkice piórkiem...*, t.1, s.17.

był zajęty. Potem wróciłem przed dworzec wyłapywać maruderów, którzy w tym piekielnym tłumie pogubili się. [...] Nad całym Paryżem unosiła się czarna mgła. Podobno Niemcy przechodząc na zachód od Paryża Sekwanę, puścili tę sztuczną mgłę. Dziś przysła nad miasto i osłania. Niemcy ciągle idą naprzód i otaczają Paryż.

Wyskoczyłem przed dworzec i wyłuskiwałem z tłumy naszych ludzi, grupując ich pod jedną z bocznych bram. Wszyscy mieliśmy twarze poczerniałe od tej mgły – jakaś sadza osiadająca powoli. Około 9-ej rano wyłapałem wszystkich i wpakowałem do wagonu. Byli w dobrych humorach, częstowali mnie koniakami. Wypiłem prawie pół butelki bez żadnego skutku. Może zmęczenie. Pociąg w końcu ruszył.”<sup>72</sup>

Bobkowski wspominał sadzę, która w tamtych godzinach „oblepiała” miasto. Obraz zaczadzonej lepłą czernią stolicy Francji wydaje się być rodzajem metafory, symbolem momentu w historii. Stąd pojawić by się mogła wątpliwość, czy tak widziany Paryż, nie jest bytem wyłącznie tekstowym. Znika ona w trakcie lektury dziennika Paula Léautauda, klasyka francuskiej diarystyki, który w tym samym czasie wybrał się z Fontenay do stolicy po żywność<sup>73</sup>. Później zanotował:

„Na przebytej trasie Paryż całkowicie opustoszały. Mówię dokładnie: pusty. Sklepy zamknięte. Rzadcy przechodnie. Ulica de Châteaudun to pustynia. Przyległości Opery wraz z przecznicami – to samo. We wszystkich budynkach zamknięte bramy. W drodze powrotnej zatrzymałem się na chwilę na placu Opery. Wielkie bulwary w kierunku Madeleine i z drugiej strony aż do rogu ulicy Drouot, tak daleko jak sięgał mój wzrok, kompletnie opuszczone, wszystkie sklepy zamknięte. I jaka cisza! Długie prowincjonalne aleje bez spacerowiczów. Rodzaj sadzy opadał z nieba, lepiąc się do twarzy, do rąk. Podobno magazyny nafty paliły się na przedmieściu. Jestem uszczęśliwiony, że widziałem to wszystko, co z pewnością niewielu Paryżan mogło zobaczyć. Dziedziniec wokół Łuku Carrousel bezludny. Ani jednego urzędnika na głównej poczcie przy rue du Louvre. Można by tam podłożyć ogień bez najmniejszego skrępowania. Deszcz czarny od sadzy tworzy kałuże na posadzkach. Miarowy

---

<sup>72</sup>Ibidem., s.19.

<sup>73</sup> O tym wybitnym krytyku teatralnym pisał F. Spotts: „Wehrmacht nie był wystarczającym powodem, by ten ekscentryk z trzydziestoma kotami ruszył się z małego domu w Fontenay – aux – Roses na przedmieściach Paryża. Był germanofilem do szpiku kości i skrajnym konserwatystą – ani więc upadek III Republiki, ani też obecność wojsk niemieckich nie stanowiły dla niego problemu. Opuszczone miasto go zachwycało. [...] Był do tego stopnia urzeczony tą atmosferą, że dwa lata później do niej wrócił: <<Nie pamiętam, jakiego dokładnie słowa lub słów użyłem, by opisać swoje wrażenia. Prawdopodobnie były to: zaskakujące, fascynujące, niezwykle.>>. F. Spotts, *Haniebny pokój...*, s.22 – 23.

odgłos dział. Na dziedzińcu Carrousel zabłąkany pies mija mnie uciekając. Drogę powrotną odbyłem bardzo szybko, podśpiewując. Bo cóż ja poradzę na to wszystko?”<sup>74</sup>

Powyższy fragment nie tylko potwierdza istnienie sadzy, ale też unaocznia zasadniczą różnicę między Polakami a Francuzami w sposobie traktowania ojczyzny, jej dziejów, a pośrednio także siebie samych i świata wokół. Percepcja historii, by tak powiedzieć, była w Paryżu zupełnie inna niż w Warszawie. W kraju Moliера, u progu cywilizacyjnej katastrofy, większość ludzi żyła w przekonaniu, iż uczestniczy w kolejnej, podobnej do innych, odsłonie starego konfliktu militarnego z niemieckim sąsiadem. Nie dostrzeżono w porę, iż przekształcenie się Republiki Weimarskiej w III Rzeszę nie było zwykłą zmianą rządów, ale transformacją państwa demokratycznego w totalitarne. Panowało przekonanie, iż Francja jest wieczna; już po wybuchu wojny przebojem stała się skoczna piosenka pt. „Paryż pozostanie Paryżem”. Francuzi pozostawali w odrętwieniu wynikającym albo z nastrojów pacyfistycznych, albo z wiary w moc linii Maginota. Zrobiliby wiele by móc po prostu zignorować tę wojnę. Cytowany przez Spotts francuski pisarz Jean Giono zapytywał: „Co może nas najgorszego spotkać, jeśli Niemcy wkroczą do Francji? Że zostaniemy Niemcami? Jeśli o mnie chodzi, wolę być żywym Niemcem niż martwym Francuzem.”<sup>75</sup> Bobkowski natomiast wydawał się być w pełni świadomym tragedii. Wiązało się to dla niego z duchowym wyobcowaniem – mocno ugruntowane poczucie bezpieczeństwa Francuzów boleśnie kontrastowało z polskim doświadczeniem. Poza tym zdrowy rozsądek przyszłego pisarza nie pozwalał mu ani na chwilę zignorować wszechobecnych – jeśli tylko chciało się je dostrzec – sygnałów nadchodzącej katastrofy.

### 1.3. Haniebny koniec mitu

Po wyjeździe z Paryża, na który zdecydował się z myślą, iż przyjdzie mu „gdzieś tam i kiedyś jeszcze się bić”<sup>76</sup>, diarysta tym wyraźniej uświadomił sobie, iż postawa Francuzów wobec hitlerowców zasadniczo odbiega od jego rozumienia, już nie tylko pojęcia honoru, ale elementarnych zasad przyzwoitości. 18. 06. 1940 roku zanotował:

„Wstaliśmy rano około 7-ej. Niebo pochmurne i deszcz wisiał w powietrzu. Niemcy załatwili się już z Francją i nie potrzebują pogody. Polski wrzesień i francuski maj – czerwiec były jednakowo słoneczne i pogodne. Hitlerwetter. Biedna i niezasobna Polska i wielka i bogata

---

<sup>74</sup> P. Léautaud, *Journal litteraire*, przeł. K. Brandys, cyt. za: K. Brandys, *Charaktery i pisma*, Londyn 1991, s.107 – 108.

<sup>75</sup> Cyt. za: F. Spotts, *Haniebny pokój...*, s.16.

<sup>76</sup> A. Bobkowski, *Szkice piórkiem...*, t.1, s.20.

Francja broniły się jednak długo. My i obcy uważali naszą obronę za skandal. Obrona francuska na tym tle jest po prostu kryminałem. My chcieliśmy się bronić, ale nie mieliśmy czym. Oni mieli czym i nie chcieli się bronić. Jestem ciekawy, czy Francja potrafi dźwignąć się z tego ciosu.”<sup>77</sup>

Bobkowskiego cechowała bardzo krytyczna, lecz głęboka lojalność wobec Polski; jednocześnie nie chciał by wspólnota polska była dla niego jedyną płaszczyzną odniesienia. Solidarność z Francuzami okazała się jednakże możliwa tylko po części, gdyż na przeszkodzie stanęła diaryście mentalna odrębność ludzi z tego kraju. Odczuwał zażenowanie wobec przykładów organicznej, bezrefleksyjnej beztroski Francuzów. Szkiecował ich zbiorowy portret posługując się konkretnymi przykładami zachowań:

„W mieście pełno wojska i uchodźców. – pisał 16. 06. 1940 roku w Bourges – Siedzą w bistrach, piją wino i kawę i dyskutują. Wieczorna gazeta narobiła ruchu, bo zmienił się rząd francuski, wyewakuowany do Bordeaux. Reynaud podał się do dymisji, na jego miejsce wszedł Petain, wicepremierem został Weygand – prawie cały rząd wojskowy. Na wszystkich twarzach widać obawę, czy przypadkiem nie oznacza to projektów obrony do upadłego”<sup>78</sup>

Parę dni później dodał:

„Wojna jest dla narodu jak rzucenie monety na marmurową płytkę; i choć nienawidzę wojny, to wydaje mi się, że trudno o lepszy probierz. Przypominam sobie, co myślałem o Francji za dawnych lat. Dziś zrozumiałem jedno: cechy, które są czarujące w czasie pokoju, które ceni się wysoko – te cechy francuskie są zgubne w tej epoce. W czasie pokoju zapomnieli o wojnie, w czasie wojny nie potrafili zapomnieć o pokoju. [...] Wiadomość o zawieszeniu broni rozeszła się w mgnieniu oka. Zapanował nastrój radosnego podniecenia. Ludność miasteczka siedziała w oknach lub stała w drzwiach i kiwała z uśmiechem rękami do żołnierzy. Oni jechali ze śpiewem, z harmonijkami w ustach. Zawieszenie broni jakby ich wyprostowało, ubuńczuczniło. Miałem wrażenie, jakby w jednej chwili poczuli się rozgrzeszeni. Bohaterowie, którzy do końca wypełnili swój obowiązek. W miasteczku było święto. W bistrach pozapalane światła, otwarte szeroko drzwi, pijatyka i śpiewy. I tylko w snopach światła przesuwały się nadal czarne sylwetki samochodów, dział i bezładnie idących żołnierzy.”<sup>79</sup>

---

<sup>77</sup> Ibidem, s.30.

<sup>78</sup> Ibidem, s.28.

<sup>79</sup> Ibidem, s.37.

Francja okazała się być niezdolna do obrony, znużona i słaba. Rozleciała się jak domek z kart, budząc, nie tylko w Bobkowskim, zadziwienie i konsternację. Warto, jak się zdaje, spojrzeć na tę klęskę z trochę szerszej perspektywy.

21 czerwca 1940 roku polski oficer lotnictwa Witold D. Sylwestrowicz pisał do żony z Francji:

„Francja przegrała tę wojnę w haniebny sposób. Młodzież po prostu nie walczyła. Zupełnie nie znieśli naporu wojsk niemieckich. Działanie lotnictwa niemieckiego zdemoralizowało oddziały. Francja nie była przygotowana technicznie do wojny. Sprzęt, chociaż może przestarzały, mieli. Podobno Francuzi mieli więcej czołgów niż Niemcy, ale nie umieli ich użyć. Lotnictwo okazało się do niczego. Nikt nie wykazywał chęci do latania. Każdy pocieszał się, że w 1914 roku było jeszcze gorzej, a jednak zwyciężyli. Wierzyli, że do nich nie dojdą. Pełno młodzieży w doskonałych humorach, którym nawet na myśl nie przyszło, że mogliby również walczyć.”<sup>80</sup>

Arcyciekawym dokumentem dotyczącym tamtego czasu są także wspomnienia innego uczestnika kampanii niemiecko – francuskiej, autora wspomnień p.t. „Miedzy Marna i Loarą”, podpisującego się inicjałami F. S. Po brawurowej ucieczce z Węgier do Francji, ten wysoki rangą żołnierz, pozostający pod dowództwem pułkownika (później generała) Maczka dostał się do Francji, gdzie przyszło mu przeżyć szereg zaskoczeń.

„Najpierw – pisał - rzuciły się w oczy wybitne braki w umundurowaniu wojska. Strzegący obiektów kolejowych rezerwiści byli z zasady ubrani na pół po cywilnemu, na pół po wojskowemu.

Podróżujące gromady żołnierzy były ustrojone jak na karnawał [...].

Powiedzieliśmy sobie, że to są oczywiście głębokie tyły, że na pewno wojsko na froncie ubrane jest jak z igły i że w ogóle kwestia umundurowania nie jest najważniejszą.

[...]

Drugą bijącą w oczy sprawą był dziwny stosunek do wojny. Walka, zwycięstwo, to wszystko, co jest właśnie najbardziej istotnym sensem wojny – leżało na jakimś bardzo dalekim planie. Na pierwszym miejscu były sprawy materialne: wszelkie allocations familiales, opłaty za rekwizowany sprzęt, takie lub owakie zyski i straty. [...]

Dalej <<choroba Maginota>>. Była to choroba tak powszechna, dogmat tak silny, tak nieulegający wątpliwości, że człowieka, który ośmielił by się podać go w wątpliwość, (ale takich wówczas nie było) zamknięto by z punktu w domu wariatów.

---

<sup>80</sup> W. D. Sylwestrowicz, *Listy niewysłane. Dziennik z okresu wojny. Wrzesień 1939 – kwiecień 1945*, Paryż 1988, s.46 – 47.

Zupełnie nie można się dziwić, że i my, ubodzy krewni z pobitej Armii, uwierzyliśmy w ten dogmat – a nawet jeżeli mieliśmy, jakieś wątpliwości, nie przyznawaliśmy się do nich sami przed sobą.”<sup>81</sup>

I jeszcze jeden, wiele mówiący o postawie Francuzów, cytat z tej unikatowej książki:

„Co za historie trzeba było przejść, aby z przeładowanego obozu przenieść jakiś oddział w teren, na kwatery. Wymagało to długotrwałych ceremonii, zgody kwaterodawców, mera, oceny położenia z punktu widzenia partyjnych sympatii danej wsi itp.

Pusty château, którego właściciel nigdy w nim nie mieszkał, nie mógł być oddany dla dowództwa pułku, ze względu na grożące mu zniszczenie posiadzek.

Argument, że jest przecież wojna, że pierwsza bomba lotnicza w ciągu sekundy zlikwiduje château, wraz z nietykalną posadzką, spotkał się z odpowiedzią, że wojna ani bomby nie są w stanie naruszyć praw obywatela francuskiego.

[...]

Doprawdy nie było w tem złej woli. Analogiczne przykłady spotykaliśmy również w czasie codziennych masowych nalotów na okolice Paryża, oraz na froncie, w przeddzień wkroczenia Niemców, którzy przecież bardzo mało sobie robili z praw obywatela francuskiego.”<sup>82</sup>

Przegrana Francji z Niemcami w 1940 roku była niewątpliwie kolejnym ciosem dla zmagającej się z faszyzmem Europy. 11 lipca ojczyzna Kartezjusza zawarła z Rzeszą układ o zawieszeniu broni. Mimo iż z pozoru sprawiał on wrażenie korzystnego dla Francuzów ( gwarantował im istnienie tzw. „wolnej strefy”, własnego rządu i administracji ), to jednak był przypieczętowaniem klęski, która przez wielu odbierana była, jako najbardziej hańbiące wydarzenie w dziejach kraju. Niepojęta wydawać się mogła zwłaszcza łatwość, z jaką Niemcy zdobyli bogatą i, jak powszechnie sądzono, silną militarnie Francję. Przenikliwą analizę przyczyn owej katastrofy zamieścił w swojej książce pt. „Dziwna klęska”, przywołany już wcześniej, francuski historyk żydowskiego pochodzenia Marc Bloch. Niepogodzony z wiktoryą faszystów spróbował w swoim dziele dać odpowiedź na pytanie: jak stał się możliwy upadek kraju Praw Człowieka i Obywatela, kultywującego – przynajmniej w przekonaniu ówczesnych Europejczyków – najlepsze duchowe i intelektualne tradycje kontynentu. Bloch swój „akt oskarżenia”, pisany jeszcze w czasie okupacji, skonstruował z rozwagą, nie pobieżnie i w sposób przemyślany. Wymienił powody nieszczęścia, dokonując jako żołnierz

---

<sup>81</sup> F. S., *Między Marną i Loarą*, Książnica Polska, Polish Library, 240 Hope Street, Glasgow, C.2. Książka nie posiada daty wydania, widnieją na niej pieczętki Domu Marynarza Polish Sailors Home i Biblioteki Parafii Świętego Stanisława Kostki. Książka stanowi niezwykle, błyskotliwie napisany i właściwie wart zacytowania w całości dokument francuskiej klęski. Ingerencję w tekst cytowanych fragmentów ograniczyłam do uwspółcześnienia ortografii. s.14 – 15.

<sup>82</sup> Ibidem, s.20 – 21.

także swoistego rachunku sumienia. Przyjęta przez niego perspektywa jest zarazem perspektywą osobistego doświadczenia i oglądem profesjonalnego historyka. Wartości dziełu dodaje fakt, iż Bloch pisząc „Dziwną klęskę” był weteranem pierwszej wojny światowej, z autopsji zatem znał realia obu konfliktów i mógł je wiarygodnie porównać. Jego na poły eseistyczna relacja jest dociekaniem powodów, dla których wojna z Hitlerem zakończyła się dla Francji w tak niekorzystny, kompromitujący sposób. Historyk uczestniczył w pracy i życiu sztabów, miał okazję obserwować metody pracy, reakcje ludzi i choć przyznawał, iż nie brał czynnego udziału w walkach, to uznał, iż widział wystarczająco dużo, aby spisać swoje „zeznanie pokonanego”. Podstawową, choć nie jedyną przyczyną przegranej, było – według Blocha – nieudolne dowodzenie, słabość i niekompetencja wojskowych dowódców. Na tych wnioskach badacz nie zamierzał jednak poprzestać, jako historyk starał się bowiem unikać uogólnień i dopatrzyć się konkretnych błędów popełnionych przez poszczególne osoby; charakteryzowała go pokora profesjonalisty i świadomość własnych ograniczeń - nie mając dostępu do źródeł, przyznawał, iż tworząc opierał się wyłącznie na własnym doświadczeniu. Pisząc o dowództwie zachowywał powściągliwość, konsekwentnie uciekał od roli wszechwiedzącego sędziego, pozostawiał ocenę ludzi, sytuacji, przyszłemu czytelnikowi. Przywoływał anegdoty, które często pozostawiał bez komentarza, lub komentował w sposób wyważony i pozbawiony wykrzykników. Poza tym w profesjonalny sposób analizował także głębsze i nieoczywiste przyczyny klęski. Zwrócił uwagę na przykład, iż Niemcy zdecydowanie łatwiej niż Francuzi poddali się przyśpieszeniu, narzuconemu przez przemiany współczesnego im świata. Narzucili przeciwnikom sposób prowadzenia wojny, zmusili ich do przyjęcia tempa, jakiego nie znały dotychczasowe konflikty militarne.

„Niemcy prowadzili z nami wojnę dnia dzisiejszego, - pisał Bloch – przebiegającą pod znakiem szybkości. My natomiast usiłowaliśmy prowadzić wojnę nie tylko wczorajszą, ale nawet przedwczorajszą. Widząc, jak Niemcy rozgrywają swoją wojnę, nie dostrzegaliśmy albo nie chcieliśmy zrozumieć jej rytmu, dostosowanego do przyśpieszonych obrotów nowej ery. Dlatego w istocie na polach bitewnych starli się przeciwnicy pochodzący z dwóch odmiennych epok. Powróciliśmy do walk, jaki toczyliśmy w czasach wojen kolonialnych, kiedy dzidy stawały przeciw strzelbom. Ale teraz my sami graliśmy rolę dzikich.”<sup>83</sup>

Francuzi poczuli się przytłoczeni dynamizmem przeciwnika, zdali sobie sprawę, że uczestniczą w wojnie zupełnie nowego typu, przeciwnej ich mentalności i rytmowi życia.

---

<sup>83</sup> M. Bloch, *Dziwna klęska*, przeł. K. Marczevska, Oficyna Naukowa, Warszawa 2008, s.98 – 99.

Bloch wspominał, iż francuscy żołnierze byli skonsternowani, pozbawieni woli walki, zmęczeni sytuacją i nie przekonani o konieczności obrony. Wspominał:

„Rano 18 maja rozeszła się pogłoska, że nieprzyjaciel się zbliża. Nasze biura mieściły się przy bulwarze w wyżej położonej części miasta. Po przeciwnej stronie jezdni od bulwaru odchodziła w dół ulica wiodąca w stronę centrum. Miał tam kwaterę mój ordynans. Około jedenastej przed południem poszedłem do niego i poleciłem spakować jak najszybciej moje walizki. Po wyjściu stamtąd wracałem w górę ulicą, gdy nagle zobaczyłem u jej wylotu niemiecki oddział maszerujący bulwarem, a zatem między mną a biurem. Ani jednego wystrzału. Francuscy żołnierze, oficerowie stali i patrzyli. Dowiedziałem się później, że kiedy Niemcy spotykali przypadkiem jakiegoś uzbrojonego żołnierza, zmuszali go jedynie do złożenia karabinu i wyrzucenia naboju.”<sup>84</sup>

Błędy popełniane na najwyższych szczeblach władzy nie zaszkodziły Francji tak bardzo, jak brak woli zdecydowanego oporu wśród prostych żołnierzy. Niechętni walce, poruszali się zbyt wolno, poddając się powszechnemu nastrojowi dezorientacji i zagubienia. Bloch przyznawał, że nawet okoliczności spotkań z Niemcami bywały dla nich zaskakujące. Pamiętający poprzednią wojnę żołnierze, nie potrafili dostosować się do reguł gry narzuconych przez przeciwnika. Wizja wojny polegającej na trwającym godzinami wzajemnym ostrzeliwaniu się z okopów, nie przystawała do rzeczywistości nagłych spotkań z czołgami wroga w „szczerym polu”, szczególnie że, jak to ujął Bloch: „Podczas całej kampanii Niemcy zachowywali niemiły zwyczaj pojawiania się tam, gdzie ich być nie powinno.”<sup>85</sup> W fatalnym stanie pozostawała zatem także łączność i w konsekwencji wojna była dla Francuzów pasmem zaskoczeń.

„ <<Cofnęliśmy się, bo tam byli Niemcy>>: w maju i czerwcu tego roku po wielokroć słyszałem te słowa. – relacjonował francuski historyk – Tam, to znaczy w miejscu, gdzie się ich nie spodziewaliśmy, gdzie nic nie wskazywało na to, że możemy ich oczekiwać. Dlatego główną przyczyną pewnych uchybień – obawiam się, że niezaprzeczalnych - był zbyt powolny rytm, do którego przywykły nasze mózgi. Nasi żołnierze zostali zwyciężeni i w pewnym sensie o wiele za łatwo dali się zwyciężyć przede wszystkim dlatego, że myśleliśmy z opóźnieniem.”<sup>86</sup>

---

<sup>84</sup> Ibidem.,s.80.

<sup>85</sup> Ibidem.,s.110.

<sup>86</sup> Ibidem.,s.112.



Podsumowując, historyk dodał, iż Niemcy wierzyli w działanie i zaskoczenie, zaś Francuzi pokładali wiarę w bezruch i w rutynę.<sup>87</sup> W dobie wojny błyskawicznej musiało to spowodować bezprzykładną klęskę tych ostatnich. Marc Bloch pisał także o niedostatkach francuskiego sprzętu wojskowego, z przekonaniem stwierdzając, iż Niemcy byli znacznie lepiej uzbrojeni. W przypisie jednak dodawał:

„Dziś wyraźniej zaczynam sobie zdawać sprawę z tego, że choć z pewnością nie wystarczyło nam sprzętu, wcale nie było go tak mało jak sądzono. Brakowało go na froncie. Na tyłach mieliśmy jednak czołgi zamknięte w magazynach i samoloty, które nie odbyły ani jednego lotu. [...] Znam pewnego pilota lotnictwa cywilnego, zmobilizowanego z zachowaniem wszelkich reguł, któremu ani razu podczas całej wojny nie pozwolono wsiąść do samolotu wojskowego.”<sup>88</sup>

Francuzi przegrali też dlatego, iż – jak twierdzi autor „Dziwnej klęski” – bezlitośnie i z premedytacją nadwyrężano ich wytrzymałość nerwową, sprawność bojowa żołnierzy była z dnia na dzień słabsza gdyż Hitler zadbał o to, by ich osłabić psychicznie. Bloch wspominał, jakie wrażenie wywarły na nim niemieckie bombardowania, będące gehenną nie tylko ze względu na realne zagrożenie, jakie ze sobą niosły, ale także z powodu towarzyszącego im przenikliwego wycia. Przewidywania niemieckich psychologów całkowicie się sprawdziły - w ogniu wojny błyskawicznej Francuzi nie mieli czasu „przyzwyczaić się” do hałaśliwych bombardowań, nie obcy z tego rodzaju niebezpieczeństwem, zastraszeni, z ulgą myśleli o zawieszeniu broni. Nieudolność francuskiej obrony miała jeszcze inne przyczyny. Wedle relacji Blocha należała do nich na pewno niebywała i całkowicie nieadekwatna do sytuacji wojny biurokracja w sztabach, połączona z bałaganem w systemie dowodzenia. Władze wojskowe zgrzeszyły też zgubnym samozadowoleniem, nie rewidowanym od dawna przekonaniem o mistrzostwie francuskiej sztuki strategicznej. Historyk zarzucił im także dramatyczną w skutkach nieumiejętność zmiany sposobu myślenia z czasów pokoju na czas wojny. Dostrzegął, iż ludzie przywykli do wielu niedociągnięć, rzadko mających w okresie pokoju poważne konsekwencje, nie zrozumieli w porę, że skuteczna obrona wymaga pełnej mobilizacji, zasadniczo odmiennego sposobu funkcjonowania. Szok psychiczny i zaskoczenie przebiegiem konfliktu powodowały wśród żołnierzy różne reakcje, Bloch nie wahał się napisać o przydarzającym się im czasem tchórzostwie. Wspominał:

„Kwatera Główna Naczelnego Dowództwa musiała odwołać ze stanowiska pewnego generała, dowódcę okręgu wojskowego – bez rozkazu opuścił on miasto, mając po temu

---

<sup>87</sup> Ibidem.,s.113.

<sup>88</sup> Ibidem.,s.115 – 116.

znakomity powód: uważał mianowicie, że nieprzyjaciel nie znajduje się już wystarczająco daleko.”<sup>89</sup>

Historyk komentując to wydarzenie, stwierdzał wyrozumiale, iż choć podobne przypadki zasługują na potępienie, powinny wywoływać także litość, gdyż:

„Być może w innej atmosferze ci sami ludzie zachowaliby się godnie i przyzwoicie. Los postawił ich tam, gdzie codzienna praca była dalszym ciągiem zajęć z czasów pokoju, a atmosfera duchowa zalatywała zatęchłą wonią biura i urzędu powiatowego. Przede wszystkim zaś zakładali, że nie są na froncie. Nieprzyjaciel złamał umowę. Czemu nie zadbano o to, by zawczasu wyjaśnić tym wiernym sługom, z których większość zjadła już zęby w służbie, że w wojnie błyskawicznej tyły w każdej chwili mogą zamienić się w pole walki?”<sup>90</sup>

Analizując przyczyny francuskiej klęski Marc Bloch pisał o zbiorowym kryzysie postaw moralnych w swojej ojczyźnie, skoncentrował się na czynnikach psychologicznych, które jego zdaniem odegrały w przegranej decydującą rolę. Ale ponieważ jego praca miała z założenia charakter pełnego, wyczerpującego raportu, nie pominął również innych powodów, takich jak przedwojenny ustrój polityczny Francji czy też błędny w założeniach i realizacji francuski system kształcenia. Wskazał także na powszechną niewiedzę o metodach armii niemieckiej i jej doktrynach. Historyk nie ukrywał, iż dla niego przegrana nosi znamiona osobistej tragedii, być może lepiej niż inni zdawał sobie sprawę, że wojna z Niemcami jest konfliktem światów: wolnego i totalitarnego. Ojczyzna Blocha okazała się organizmem słabym i zniedołężniałym, a w konsekwencji nie miała szans w walce ze świetnie zorganizowanym, oszołomionym doktryną przeciwnikiem. Rozmiary jej nieudolności zaskoczyły jednak nawet ją samą. Stolica wolnego świata nie potrafiła obronić wartości, z którymi była utożsamiana, paradoksalnie zdawała się wierzyć, że uda się jej zachować dawny status pomimo obecności w jej murach hitlerowskiego okupanta. Praca Blocha była próbą wstępnego rozpoznania przyczyn francuskiej porażki, pisany na gorąco „zeznaniem pokonanego”, „materiałem dowodowym” dla przyszłych pokoleń zebrany przez naocznego świadka, ale pozostaje przy tym obiektywną i rzetelną analizą polityczno – socjologiczną.

Warto przywołać jeszcze jednego, niebagatelnego, świadka i uczestnika owych wydarzeń.

W pierwszym tomie swoich pamiętników wojennych, noszącym tytuł „Apel 1940 – 1942”, legendarny francuski przywódca Charles de Gaulle także rozważał przyczyny hańbiącej klęski Francuzów. Znamienne zdają się być słowa, od których rozpoczął swoje trzytomowe dzieło:

---

<sup>89</sup> Ibidem., s.183.

<sup>90</sup> Ibidem., s.183 – 184.

„ W ciągu całego mego życia noszę w duchu pewien obraz Francji. Dyktuje mi go zarówno uczucie, jak rozum. Słuchając głosu serca wyobrażam sobie, że Francja, niby księżniczka z bajki lub madonna z fresków ściennych, przeznaczona jest do wzniosłych i niezwykłych losów. Instynkt każe mi wierzyć, że Opatrzność stworzyła Francję do niedościgłych sukcesów lub bezprzykładnych nieszczęść. Jeżeli zdarza się jednak, że jej poczynania stoją pod znakiem przeciętności, odczuwam to jako absurdalną anomalię, za którą winę ponoszą błędy Francuzów, a nie geniusz Ojczyzny. Ale i rozum, realistyczne spojrzenie na rzeczy, mówi mi, że Francja tylko wówczas jest sobą, gdy znajduje się na pierwszym planie, że tylko wielkie poczynania są w stanie skompensować cechujące naród francuski skłonności do rozdrabniania swych sił i że kraj nasz, taki jaki jest w rzeczywistości wśród innych krajów, powinien pod grozą śmiertelnego niebezpieczeństwa mierzyć wysoko i nigdy nie ugiąć kolan. Słowem, w moim przekonaniu Francja nie może być Francją, gdy jest pozbawiona wielkości.”<sup>91</sup>

Wielkość Francji, upersonifikowanej czy wręcz ubóstwionej, jest tu prawdą niepodważalną, aksjomatem. Zaszkozić jej mogą tylko „błędy Francuzów”, co też zdaniem autora pamiętników miało miejsce podczas kampanii w 1940 roku. De Gaulle przedstawił się w swoim dziele jako wnikliwy obserwator sceny politycznej, który zawczasu dostrzegł niebezpieczeństwo wiszące nad ojczyzną. Za jej klęskę obwinił przedwojenny ustrój – parlamentaryzm, zaś ówczesną koncepcję strategiczną Francji na wypadek konfliktu zbrojnego streścił doskonale w jednym zdaniu: „Naród pod bronią miał się więc ukryć za barierą linii Maginota i pod jej osłoną czekać, aż oblężenie wyczerpie siły przeciwnika, a napór wolnego świata powali go na kolana.”<sup>92</sup> Statyczna, „uspokajająca”, koncepcja ewentualnej wojny w pełni odpowiadała nastrojom panującym we Francji.

„Opinia publiczna – pisał de Gaulle – oddawała się złudzeniu, że wypowiadając wojnę wojnie można przeszkodzić agresywnym czynnikom w rozpętaniu nowego konfliktu zbrojnego. Mając jeszcze w pamięci wiele niszczycielskich ataków z okresu pierwszej wojny światowej i nie orientując się w rewolucji, jakiej w siłach zbrojnych dokonał od tego czasu silnik, nie brano w ogóle pod uwagę możliwości działań zaczepnych. Słowem, wszystko składało się na to, aby uczynić z bierności dominującą zasadę naszej obrony narodowej.”<sup>93</sup>

Francuzi zatem, by ująć rzecz wprost, n i e c h c i e l i wojny. Zdawali się wierzyć, iż niechęć ta wpłynie na rzeczywistość, że ukształtuje ją tak, by nadal mogli żyć w swoim rytmie, nie nękani przez nastawionych militarnie sąsiadów. Już po wypowiedzeniu wojny

---

<sup>91</sup> Ch. de Gaulle, *Pamiętniki wojenne. Apel 1940 – 1942*, przeł. J. Nowacki, Warszawa 1962, s. 1.

<sup>92</sup> Ibidem., s. 5.

<sup>93</sup> Ibidem., s. 5.

nadal liczyli na to, iż okaże się ona stosunkowo nieuciążliwą fikcją, kompromisem między ich życzeniem niezakłóconego spokoju a napierającym z zewnątrz militarnym szaleństwem. Zakładano, iż z Niemcami będzie można prowadzić pewnego rodzaju grę, której reguły narzuci oczywiście Francja. Zdaniem de Gaulle'a, francuskiemu społeczeństwu konsekwentnie wmawiano, że cokolwiek się wydarzy, wojna je w pewien sposób „ominie”. Przywódca wspominał, iż na długo przed konfliktem był zwolennikiem armii zawodowej, gdyż – jak mniemał - charakter narodowy Francuzów naraża ich każdorazowo w przypadku wojny na kompletne zaskoczenie. Postulował też, aby było to wojsko nowoczesnie wyposażone, a zmiana sztuki wojennej szła w parze ze zmianą sposobu dowodzenia. Ale jego rodacy negowali nawet samą potrzebę ewolucji technicznej; jeden z cytowanych przez de Gaulle'a anonimowych generałów stwierdził nawet na łamach miesięcznika „*Mercure de France*” iż:

„Niemcy będąc z natury nastawione na działania zaczepne muszą oczywiście posiadać swe *Panzerdivisionen*. Ale Francja, pokojowa i nastawiona wyłącznie na obronę, może być tylko przeciwniczką motoryzacji.”<sup>94</sup>

Francja bezrefleksyjnie przyglądała się dynamicznie rozwijającym się Niemcom, tkwiąc, z niewytłumaczalnym – zdaniem de Gaulle'a - uporem, przy swoim statycznym systemie militarnym. Nawet po wkroczeniu wojsk Hitlera do Polski i wypowiedzeniu wojny Rzeszy, Francuzi starali się dostrzegać korzyści płynące z ich biernej postawy, dzięki której – jak powszechnie sądzono - udało im się zachować integralność terytorium bez żadnych własnych strat. W polityce wyczekiwania dopatrywano się bardzo skutecznej strategii. Gdy zatem siły Hitlera niemal całkowicie zaangażowane były nad Wisłą, nie zrobiono nic aby posunąć się nad Ren, wyeliminować Włochy, lub zrealizować łączność z Belgią. Konsekwencją było całkowite załamanie francuskiej doktryny wojennej i głębokie upokorzenie żołnierzy. „Można powiedzieć, że po upływie tygodnia los kampanii był przesądzony. Armia, państwo, Francja z zawrotną szybkością staczały się po równi pochyłej, na którą dawno pchnęły nas nieprawdopodobne błędy.”<sup>95</sup> - wspominał de Gaulle. Bezlitośnie przywołał też obraz hańby francuskich obrońców:

„Wszystkimi drogami wiodącymi z północy – pisał – szły nie kończące się tłumy nieszczęsnych uchodźców. Było wśród nich wielu żołnierzy bez broni. Należeli oni do oddziałów, które w ciągu ostatnich dni natarcie niemieckich czołgów zmusiło do bezładnej ucieczki. Gdy ich potem doścignęły niemieckie oddziały zmechanizowane, kazano im rzucić

---

<sup>94</sup> Ibidem., s.15.

<sup>95</sup> Ibidem., s.30.

karabiny i ruszyć dalej na południe, by nie tarasować dróg. << Nie mamy czasu na to – wołano – by was wziąć do niewoli.>>”<sup>96</sup>

Zatem znów potwierdziło się, iż dla żołnierzy niemieckich czas płynął inaczej; rozpędzeni, taranowali oszołomioną, tkwiącą niemal w bezruchu Francję. Podczas gdy mieszkańcy kraju nad Sekwaną nie chcieli nawet przyjąć do wiadomości ewolucji technicznej, zafascynowani postępem Niemcy odnaleźli w niej źródło siły. W opozycję człowieka i maszyny wpisali się po stronie tej drugiej. To dawało im poczucie nadzwyczajnej mocy, a nawet wrażenie uczestnictwa w swoistym misterium. Ernst Jünger, niemiecki pisarz a jednocześnie wysoki rangą wojskowy (kapitan rezerwy w sztabie komendantury), stacjonujący w okupowanym Paryżu, po obejrzeniu kroniki wojskowej, wyświetlanej w stołecznym kinie 1 maja 1941 roku, zapisał:

„Podczas Kroniki Tygodniowej sala była nadal oświetlona, miało to zapobiegać demonstracjom. Pokazywano nasze natarcia w Afryce, Serbii i Grecji. Sam widok środków zniszczenia wywoływał okrzyki trwogi. Ich automatyzm, przesuwanie się stalowych ogniw czołgowych gąsienic, sposób, w jaki ogień pochłania taśmy lśniących pocisków. Pierścienie, zawiasy, szczeliny obserwacyjne, płyty pancerza, arsenał form życia, które sztywnieją jak skorupiaki, żółwie, krokodyle i owady – widział je już Hieronimus Bosch.”<sup>97</sup>

Nie da się ukryć, iż w tonie niemieckiego diarysty słychać fascynację nowym mechanicznym światem i jego potencjałami – cywilizacją maszyn, której nadejścia (a już na pewno nie w formie militarnej) Francuzi nie chcieli nawet przyjąć do wiadomości.

Upadek stolicy Francji po zaledwie trzydziestopięciodniowej inwazji niemieckiej zszokował całą Europę. Hitlerowcom udało się zdobyć najcenniejsze wojenne trofeum. Niedowierzenie obcokrajowców (w tym polskich żołnierzy) i przytomniejszych Francuzów nie mogło już niczego zmienić; czas na analizy czy wyciąganie wniosków przyszedł później. Kulturalne centrum świata, wrzące twórczą energią, zostało upokorzone prawie bez walki, niemal przy współdziałaniu skonsternowanych mieszkańców kraju nad Sekwaną. Ci ostatni w optyce Bobkowskiego ( interesującej także dlatego, że nie – żołnierskiej) skoncentrowani byli na prostych przyjemnościach, takich jak jedzenie i picie; wielkie momenty swoich dziejów traktowali zaś poważnie, ale tylko do pewnego stopnia. Zdecydowanie ważniejszą rzeczą było

---

<sup>96</sup> Ibidem., s.32.

<sup>97</sup> E. Jünger, *Promieniowania. Pierwszy dziennik paryski. Zapiski kaukaskie. Drugi dziennik paryski*, przełożył S. Błaut, posłowiem i przypisami opatrzył W. Kunicki, Czytelnik, Warszawa 2004, s.31.

dla nich żyć, niż umierać za - niepokojąco abstrakcyjną w ich narodowym odczuciu - „Sprawę”.

Kwalifikowanie całych nacji było zabiegiem ryzykownym, lecz dla Bobkowskiego stanowiło jeden ze sposobów porządkowania wiedzy o świecie, próbę rozpoznania swojego miejsca w nowej rzeczywistości. Celowo zatem generalizował mówiąc o Francuzach, Polakach czy Niemcach. Myślowy ład, zbudowany na podstawie tych kwalifikacji, wiązał się jednak z głębokim rozczarowaniem, nie mógł więc przynieść ukojenia. Przyglądając się Francuzom lub rodakom, oceniając ich, diarysta dokonywał usystematyzowań, lecz były one zawsze podszyte emocją, a zatem dalekie od wyważonych obiektywnych studiów nad naturą ludzką. Rzec jednak można, iż robił wszystko by zobaczyć szaleństwo z perspektywy, dostrzec w nim pograżonych z pewnej odległości, zrozumieć jak doszło do porażki jednych i bezczelnej wiktorii drugich.

Parę dni przed zawieszeniem broni, dwudziestego czerwca, zanotował:

„Niemcy będą szli dalej i walki trwają nadal. Jakie walki? Linia Maginota otoczona. Dwie dywizje polskie, które pod koniec weszły do akcji, odmawiają wszędzie cofania się i biją się po bohatersku. Część jednej dywizji została podobno wybita, osłaniając odwrót wojsk i uciekinierów francuskich w kierunku Szwajcarii. Piszą, że nasi rzucali się z butelkami benzyny na czołgi. To już trochę lepiej, niż z kawalerią, ale jeszcze źle, jeżeli to prawda. Nie – jesteśmy bez konkurencji.”<sup>98</sup>

Polacy w oczach Bobkowskiego byli narodem, wykrwawiającym się niemal bez protestu, zanurzonym w historii, jednym z nielicznych, którzy traktowali ją bez dystansu, ironii, dbałości o jednostkowe przetrwanie. Skazani na nieustanną walkę nie mieli możliwości rozwinąć cnót cywilnego patriotyzmu, do których tęsknił autor „Szkiców” – pracowitości, ciągłości, solidności, sceptycyzmu wobec narodowego frazesu.<sup>99</sup> Bobkowski, wychowany w

---

<sup>98</sup> A. Bobkowski, *Szkice piórkiem...*, t.1, s.34.

<sup>99</sup> Por. także: M. Urbański, *Patriotyzm Bobkowskiego*, Dekada Literacka, nr 6, Kraków 2006. Urbański słusznie zauważył, iż: „Oczywiście, Bobkowski nie był dezerterskim sensu stricto. Chodzi raczej o manifestacyjnie **cywilny** charakter jego stosunku wobec polskości, patriotyzmu, ojczyzny i narodu. Ową cywilność należy rozumieć najpierw zanegowanie patriotyzmu w jego wersji żołnierskiej, która militaryzuje stosunek jednostki wobec ojczyzny, każąc zrzec się własnej indywidualnej niepodległości na rzecz wolności ojczyzny, przy czym chodzi tu o niepodległość bardzo szeroko rozumianą, bo zakładającą w sytuacji granicznej nawet gotowość do rezygnacji z własnego życia w służbie ojczyzny, w imię jej aktualnych lub przyszłych interesów. Dla takiego rozumienia patriotyzmu charakterystyczne są metafory **szeregu** albo **rafy koralowej** za pomocą których opisywał naród Koniński.”, s.30 W innym miejscu stwierdził, iż wg Bobkowskiego: „Patriotyzm <<zakaża>> Polaka brakiem szacunku dla samego siebie i swego życia, poczuciem klęski, losem ofiary, grzechem prowincjonalizmu i drugorzędności wreszcie.”, s.31

Na temat stosunku Bobkowskiego do Polski pisali m. in. K. Ćwikliński, T. Terlecki, M. Kopczyk, S. Stabro, M. Stępień. Istotę „problemu z polskością” autora „Szkiców” trafnie rozpoznał też W. Gombrowicz, pisząc, iż Bobkowski: „Polskę odpycha od siebie, ale, odpychając, rani sobie ręce do krwi.” Por. W. Gombrowicz, *Dziennik 1957 – 1961*, t. 1, Kraków 1988, s.102.

kulturze polskiej, chciał ją w sobie rozpoznać i przekroczyć, by dzięki temu nie czuć się mentalnie bezbronnym. Wbrew tradycji nadstawiania karku na każde wezwanie, pragnął zanegować surową wszechmoc historii choćby werbalnie. Chodziło o odwagę przyznania się do wciąż niezależnie myślącej głowy, kontestującej nieakceptowalną, militarną rzeczywistości. A także o zachowanie szacunku dla samego siebie, wymknięcie się roli ofiary, poczuciu klęski, które w owym czasie niemal zrosnięte było z polskością. Niezgoda na przymus uczestnictwa w okrutnych kaprysach dziejów była jednak, jak to już zostało powiedziane, dla Bobkowskiego problemem, który przeniósł w sferę wewnętrznego dialogu i – w konsekwencji – na karty dziennika, nie miała zaś wpływu na realne działania diarysty. Nie zawsze było to dla jego otoczenia oczywiste. Wiele lat później, już po wydaniu „Szkiców piórkem” Bobkowski pisał do Jerzego Giedroycia:

„Strasznie mnie bawi to podejrzenie o dezercję. Jak człowiek otwarcie napisze, że wojska nie lubi, że nie ma ochoty ginąć nawet za Polskę i wszelkie tego rodzaju obowiązki traktuje jak zwykły, nieprzyjemny obowiązek, a nie jak zaszczyt i przywilej, to U NAS nawet już to jest dezercją.”<sup>100</sup>

Bobkowski, który jako jeden z pierwszych zgłosił się we Francji do polskiego wojska, miał prawo odczuwać irytację na myśl o tych pochopnych ocenach. Uwieriała go polska łatwość zaszufładować, konieczność nieustannego pielęgnowania wizerunku, od której nie zwalniała – jak z rozczarowaniem stwierdzał – nawet formuła dziennika.

#### **1.4. Południe i Paryż. Wolność i zniewolenie**

Wyjeżdżając z Paryża diarysta jechał w nieznane. Nie mógł, co oczywiste, przewidzieć rozwoju wypadków, czy też choćby naszkicować planów na przyszłość. W tym właśnie czasie pojawił się w jego dzienniku, bardzo silnie zaznaczony motyw osobistego poczucia wolności. Diarysta nie zgodził się bowiem na to, aby zewnętrzny bieg wypadków determinował wewnętrzny bieg jego życia<sup>101</sup> i wśród doniesień o kolejnych sukcesach armii niemieckiej zdobył się na rzecz nieoczekiwaną: był szczęśliwy<sup>102</sup>. Obserwując exodus paryżan Bobkowski zanotował:

„Na pewno nikt tu nie wiedział dokąd idzie. Szli bez celu, byle przed siebie, bo inni szli. Opętani, zatruci trucizną ucieczki. A jednocześnie odbywało się to jakby poza mną. Jedynym uczuciem we mnie jest teraz ciekawość, intensywna, gęsta, zbierająca się wprost w ustach, jak ślina. Patrząc,

---

<sup>100</sup> J. Giedroyc, A. Bobkowski, *Listy 1946 – 1961*, wybrał, opracował i wstępem opatrzył J. Zieliński, Archiwum „Kultury”, Warszawa 1997, s.522.

<sup>101</sup> Por. P. Rodak, *Dwa dzienniki. Bobkowski i Trzebiński.*, „Twórczość” 1995.

<sup>102</sup> Por. J. Zieliński, *Wielki spokój*, „Teksty” 1991, nr 1/2.

patrzeć, wchłaniać, zapamiętać. Pierwszy raz w życiu piszę, notuję. I tylko to mnie pochłania. I poza tym nasycić się tą wspaniałą wolnością, chaosem, wśród którego trzeba sobie radzić.”<sup>103</sup>

Diarysta kolejny już raz spróbował opracować „strategię przetrwania”; świadomie i spokojnie stawić czoło sytuacji w jakiej się znalazł. Przede wszystkim podkreślił wagę twórczości, która w tych okolicznościach, stała się ponownie czymś odkrywczym - nie tylko dawała szansę na zachowanie dystansu wobec koszmaru, ale też usprawiedliwiała zachłanną ciekawość świata, zrozumiała u kogoś, kto „zapisuje rzeczywistość”. Dla Bobkowskiego ważna była również odwaga przyznania się przed sobą, iż wszechobecny chaos przyniósł mu poczucie wolności, wprawił w euforię. Nie wstydził się tych emocji, utrwalił je w dziennikowym zapisie, traktując jako świadectwo wewnętrznej niepodległości, dowód na to, iż konsekwentnie nie poddawał się panującemu wokół lękowi. Wyzwanie rzucone katastrofie stało się jego najważniejszym gestem duchowym i nawet jeśli ostatecznie nie udało mu się odseparować wewnętrznie od historycznej maszyny, to samo dążenie do tego celu stało się w owym czasie sposobem na istnienie. W 1940 roku diarysta wiedział już na pewno, iż jego życie będzie zdeterminowane przez okoliczności historyczne, lecz skoncentrował się na tym, że uniknęło ono innego zawłaszczenia - tego, które wynika z pochodzenia społecznego i oczekiwań rodziny. W pewien sposób bieg dziejów zwracał mu jego przyszłość, tak dokładnie wcześniej zaplanowaną i przewidywalną. Stało się to w zaistniałych okolicznościach jego wielkim pocieszeniem.

„W pewnej chwili najwyraźniej poczułem, że wszystko przestało mnie obchodzić. – pisał – Teraz, kiedy to piszę, czuję, że pękło coś we mnie. Może nastąpiło zerwanie z przeszłością. Nareszcie: Jestem wolny w tym zamieszaniu. Może nawet zerwałem z samym sobą. Wspaniale. Rozpiera mnie. Żal? Za czym, do diabła? Za tamtym życiem? To był koszmar, bezustanne duszenie się. Koszmar lat gimnazjalnych, koszmar tego życia, do którego przykrawałem się, nie mogąc się nigdy spotkać z samym sobą. Rozmawiałem ze sobą przez innych. I to poprzez kogo? Poprzez co? Cholera!”<sup>104</sup>

Historia, przy całym swoim okrucieństwie i bolesnej wszechobecności, była zatem dla diarysty także przyczyną nieoczekiwanej ZMIANY, zwrotu, na który, w innych okolicznościach nigdy nie mógłby liczyć. W efekcie, nie gloryfikując przeszłości, lecz przeciwnie, traktując ją jako czas większych i mniejszych zniewoleń, Bobkowski uniknął niebezpieczeństwa jej upiększania. Dzięki temu, wbrew okolicznościom dziejowym, na jego życiu nie zaciążyła antynomia pozytywnej przeszłości i negatywnej terażniejszości, która naznaczyła trwale wielu przedstawicieli jego pokolenia. Zauważyć jednak trzeba, że wraz z upływem czasu, diarysta, jak się zdaje, miał coraz

---

<sup>103</sup> A. Bobkowski, *Szkice piórkem...*, t.1, s.22.

<sup>104</sup> *Ibidem*, s.31.



większą świadomość, że został przez historię nie tylko wyzwolony ale przede wszystkim ograbiony. Znienawidzona w młodzięcym afekcie przewidywalna przyszłość stawała się dla niego, w miarę rozwoju sytuacji na frontach, coraz bardziej nieosiągalna. We Francji, kraju pomimo wojny stabilnym, o ugruntowanej kulturze i wysokim poczuciu bezpieczeństwa mieszkańców, dotkliwa musiała stać się pewność bycia człowiekiem bez perspektyw; szczególnie jeśli te zostały przekreślone niemal dosłownie w jednej chwili. Jednostkowe losy były tu egzemplifikacją dziejów całych narodów. Potomkowie dobrych francuskich rodzin, mimo okoliczności historycznych, mogli liczyć na swoje odziedziczone miejsce w trwałej strukturze społecznej, los nie cofnął im gwarancji stabilizacji i bezpieczeństwa. Ich życie było wkomponowane w ramy szerszego trwania i zachować miało swój charakter mimo historycznych zakłóceń. Natomiast dla Polaków, z najlepszym nawet nazwiskiem, wojna oznaczała przekreślenie wysiłków poprzednich pokoleń – start od zera, pewien rodzaj sieroctwa. W styczniu 1942 roku Bobkowski opisał swoją wizytę u francuskiego adwokata, którego odwiedził wraz z jednym ze swoich podopiecznych. Relację rozpoczął tymi słowami:

„Znowu uliczki i okna niskich domków. Przechodząc zaglądam: tonące w półmroku pokoje, zastawione starymi, dziedzicznymi meblami, dywany, portiere, zegary na kominkach – atmosfera zasiedziałości, spadku i dostatku. Czuje się stałość, ma się pewność, że ci ludzie urządzili się i żyją ni zając równe, okrągłe i gładkie dni na nitkę życia... Spokój mimo wszystko!

Otwieramy bramkę żelazną, przechodzimy przez ogródek i pukamy do adwokata. Otworzył nam on sam. Jeszcze młody, pulchny, okrągły i miły, jak puszek do pudru. Taki, o którym można od razu powiedzieć: urodzili go, wykarmili, wykształcili, dali pieniądze, ożenili i osiedlili. I jemu dobrze.”<sup>105</sup>

Ironiczny ton Bobkowskiego wynikał tu, jak się zdaje, z ambiwalencji uczuć. „Nietykalność” francuskiego prawnika w obliczu wybryków historii zdawała mu się zarazem godna zazdrości i pożałowania. Na pewno jednak unaoczniała mu odmienną kondycję jego własnej kondycji, zaistniałą pomimo wspólnoty wykształcenia i przedwojennego podobieństwa pozycji społecznej.

W czerwcu 1940 roku Paryż został zdobyty przez wojska Hitlera. Tym samym miejsce postrzegane przez światłych Europejczyków jako enklawa wolności stało się bastionem szaleństwa. Był to dla kontynentu sygnał, iż ostatecznie zapadł mrok. W odległej, wydawałoby się, od Paryża Rumunii, cytowany już Mihail Sebastian zanotował pod datą 16 czerwca 1940 roku:

---

<sup>105</sup> A. Bobkowski, *Szkice piórkem...*, t.2., s.16.

„Chorągiew ze swastyką na wieży Eiffla. Posterunki niemieckie w Wersalu. Pod łukiem Tryumfalnym <<żołnierz nieznany>> strzeżony przez niemiecką <<wartę honorową>>. Ale najbardziej okropne nie są tego rodzaju przykłady niemieckiej buty, tego rodzaju prowokacje. Być może obudzą one i podtrzymają w duszy francuskiej wolę przetrwania. Z o wiele większym przerażeniem myślę o gestach <<zgody>>, <<concordii>>, które teraz nastąpią. Będą gazety, będą deklaracje, będą partie polityczne, które uczynią z Hitlera przyjaciela Francji, jej szczerego protektora.”<sup>106</sup>

Zapiski rumuńskiego intelektualisty potwierdzają wyjątkową – wtedy właśnie traconą - pozycję Francji, jako centrum kulturalnego Europy. Dla ludzi pokroju Sebastiana czy Bobkowskiego była to niemal osobista - w obu przypadkach trochę inaczej przeżywana i werbalizowana - tragedia. Pierwszy z wymienionych wprost deklarował swoją rozpacz po upadku Paryża , drugi zmagał się z nią, próbując koncentrować się na tym, co było mu dane „tu i teraz”. 17 czerwca 1940 roku Sebastian zapisał:

„ Francja składa broń! [...] Wszystko to – jak śmierć kogoś bliskiego. Trudno zrozumieć, jak to się mogło wydarzyć, trudno uwierzyć, że jednak wydarzyło się. Rozum staje w miejscu, serce nic już nie czuje. Wielokrotnie miałem łzy w oczach. Gdybym tak mógł się wypłakać.”<sup>107</sup>

Tego samego dnia także Bobkowski odnotował ostateczną klęskę. Dowiedział się o niej stojąc przed bistrem, gdzie wraz z tłumem Francuzów słuchał „Marsylianki” (co, jak dostrzegł, a potem zanotował, było w tych okolicznościach nieco paradoksalne):

„Francja prosi o pokój. – pisał – Miałem ochotę płakać, a uśmiechałem się ironicznie szepcząc zamiast *marchons – fuyons*.”<sup>108</sup>

W tym samym zapisie jednak utrwalił moment podjęcia decyzji o kupnie roweru – wehikułu, na którym odbył swoją słynną podróż wzdłuż francuskiego wybrzeża. „Zdecydowałem się w jednej chwili”<sup>109</sup> – zanotował. Rower mógł zagwarantować pewien rodzaj niepodległości, był sposobem na opowiedzenie się po stronie ruchu przeciwko bezruchowi, oznaczającemu przegraną. Jak słusznie zauważył Michał Kopczyk dla Bobkowskiego:

„Statyczność staje się znakiem ubezwłasnowolnienia, piętnem pokonanego. Tak pozostanie do czasu, aż impuls cielesny pozwoli mu odzyskać kontrolę nad własnym ciałem. Jego odpowiedzią stanie się ruch.”<sup>110</sup>.

---

<sup>106</sup> M. Sebastian, *Dziennik 1935 - 1944*, s.437 – 438.

<sup>107</sup> Ibidem, s.438.

<sup>108</sup> A. Bobkowski, *Szkice piórkiem...*, t.1, s.29.

<sup>109</sup> Ibidem, s.29.

<sup>110</sup> M. Kopczyk, *Arkadia i apokalipsa...*, s.20.

25 września 1940 roku, jak wynika z dziennikowych zapisów, Andrzej Bobkowski wraz z Tadeuszem Wylotem zbliżali się do stolicy Francji. Wracali do domu po wielotygodniowym wojażu wzdłuż francuskiego wybrzeża. Rowerzystów zatrzymano na granicy pomiędzy wolną, a okupowaną strefą tego kraju. Nastąpiło pierwsze zetknięcie polskiego diarysty z hitlerowcami, które drastycznie uświadomiło mu, istotę zaistniałych zmian. Mimo wiedzy o tym, iż stolica Francji jest okupowana, Bobkowski deklarował w dzienniku wielką tęsknotę za Paryżem. Zatrzymany przez okupantów na granicy, zamieszkał wraz z towarzyszem i grupą innych osób w podobnej sytuacji, w szopie, gdzie odnalazł „sąsiada” ze swoich paryskich okolic. Spotkanie to wywołało u diarysty falę tęsknoty za miastem, gdyż, jak to żartobliwie ujął w dzienniku: „Patriotyzm lokalny przede wszystkim.”<sup>111</sup> I dodał: „Widzę mój balkon, tam wysoko, wśród kominów, jakiś garnek z pękiem anemonów i jasną sukienkę. Siódme niebo. Ściska mnie za grdykę i dusi.”<sup>112</sup> Później, tuż przed samym Paryżem, zanotował:

„Wracam, naprawdę wracam. Nie ma we mnie żadnego uczucia obcości, ani przez chwilę nie myślę o tym, że jestem w obcym kraju. Wracam do s i e b i e. Już zupełnie zatarły mi się w pamięci te długie tygodnie włóczęgi po słońcu. Myślę o m o i c h ulicach w Paryżu tak, jak dawniej myślałem o moich ulicach w Krakowie.”<sup>113</sup>

Na granicy Bobkowski utrwalił jeszcze swoje przemyślenia znacznie poważniejszej natury, przede wszystkim te, dotyczące okupantów. Tych ostatnich, myśląc i pisząc w tamtym czasie o Paryżu po prostu ignorował, nie chcąc przyjąć do wiadomości tego, że będą w mieście obecni, że zawładnęli przestrzenią, którą uważał za oswojoną i własną. Obcując z butnymi i zadowolonymi z siebie hitlerowskimi strażnikami granicznymi podjął próbę zdiagnozowania przyczyny wielkiej europejskiej przegranej, pisał:

„Widzę dziś zupełnie jasno, że świat nie mógł pobić Niemców, bo po prostu był tym innym, starym światem WOLNOŚCI. Świat wolności, praw wolności – nieraz także okrutnych – nie mógł się oprzeć dobrze zorganizowanemu niewolnikowi. Usprawiedliwiam ten stary świat właśnie tu, na słomie, w tej brudnej stajni, bo słucham piosenek i dowcipów, które zrodzić mogła jedynie wolność i słowa i myśli, i opinii, brak dyscypliny, brak karność i samozaparcia. Płacimy za to wszystko, cały świat płaci, bo choć może pozornie, lecz kierował się on ideą człowieka ze skóry i kości, a nie ideą istoty poświęcającej się dla dobra tak zwanych „przyszłych pokoleń” i wielkości i utopii. [...] Dotąd wierzyło się w siłę i wyższość człowieka wolnego – Niemcy

---

<sup>111</sup> A. Bobkowski, *Szkice piórkem...*, t.1, s.180.

<sup>112</sup> Ibidem, s.180.

<sup>113</sup> Ibidem, s.196.

nauczyli nas już, wdeptali w głowę myśl, że zdolnym do prawdziwego wysiłku jest tylko niewolnik; że TYLKO on potrafi naprawę budować i tworzyć.”<sup>114</sup>

Bobkowski pochylał się nad człowieczeństwem niedoskonałym, nad wolną, a w konsekwencji ułomną i popełniającą błędy, istotą ludzką. Człowiek Europy, taki, jakim go widział, przegrał, bo okazał się słaby, zbyt przywiązany do swojej prywatności i sposobu życia. Zrośnięty ze swoją codziennością nie dostrzegł w porę zagrożenia, a potem okazał się bezbronny – mentalnie i fizycznie – wobec zindoktrynizowanego, najeźdźcy. Niemcy w oczach Bobkowskiego stali się zaś narodem otumanionym, odczłowieczonym, silnym mocą zbiorowego szaleństwa. W notatce z 26 września 1940 roku opisał ich, koncentrując się na jednym szczególe, synekdochicznie, tworząc bardzo plastyczny i – by tak powiedzieć – filmowy obraz:

„Łup, łup, łup – wałą podkute buty w bruk tej francuskiej (chyba ktoś przekłuwa mi serce igłą) mieściny aż echo odzywa się wśród murów starych domów. – Halt! Cisza. I znowu marsz. Jest taki wiersz Kiplinga - <<Buty>>. Pamiętam, że co kilka zwrotek powtarza się miarowo słowo <<buty, buty, buty>>. Czytałem go raz, teraz słyszę po raz drugi, recytowany wspaniale, w języku zrozumiałym dla każdego, w oryginale, w języku tych najwymowniejszych na świecie butów i w wykonaniu prawdziwych mistrzów. Mogą się wypowiadać czym chcą: naprawę, do głębi potrafią siebie wyrazić jedynie stukiem buta, łomotem podkutych saperek. Tu tkwi ich dusza, ta prawdziwa bez osłonek. Są artystami. 80 milionów najbardziej utalentowanych kompozytorów muzyki butów. Zasłuchałem się. Tak samo łupią buty w Oslo, w Kopenhadze, w Warszawie, w Brukseli, w Amsterdamie. Dudnią wszędzie.”<sup>115</sup>

Bobkowski próbował opisać nowy świat; znaleźć punkty odniesienia dla zaskakującej, złej rzeczywistości. Szukał ich na przykład w lekturze (choćby u Kiplinga). Jak to zostało już zaznaczone wcześniej, dokonywał również swoistego zabiegu: ujmował wizualne doświadczenia w ramy, jak obraz, a tym samym niejako oddalał od siebie to, co widział, stając się obserwatorem, kronikarzem czy nawet – przez chwilę - filmowym widzem. Co ciekawe, w podobny sposób patrzył wówczas na świat przyszły wielki filmowiec Jonas Mekas. Pod datą 19 lipca 1944 roku litewski diarysta zapisał:

„Plakaty krzyczały: KAŻDY OBRÓT KÓŁ DLA ZWYCIĘSTWA! Tak, zawsze koła! Przyglądam się twarzom ludzi, dobrym, solidnym niemieckim twarzom, i widzę śmierć. Każdy obrót kół ujawnia śmierć. Pociąg mija wsie i miasteczka, widzimy czyste, schludne obejścia. Wkrótce będą tu tylko ruiny.”<sup>116</sup>

---

<sup>114</sup> Ibidem, s.181 – 182.

<sup>115</sup> Ibidem, s.186.

<sup>116</sup> J. Mekas, *Nie miałem dokąd iść*, s.31.

Buty były symbolem zdeptanego i upokorzonego starego kontynentu; ich dudnienie miało stać się opus magnum szalonego niemieckiego kompozytora. Koła zaś przywodziły na myśl tysiące niezaplanowanych podróży donikąd, tragedie wysiedleń, głuchą rozpacz bezdomności – Europę śmierci i wygnania. Odseparowanie historii prywatnej od ogólnej nie było już (jeszcze?) dla diarystów możliwe, ich wyobraźnię zawłaszczyła wojna.

Zapis z dnia 29.9.1940 roku, opatrzony adnotacją: „Paryż”, dotyczy przyjazdu Bobkowskiego do francuskiej stolicy. Spotkanie z miastem „odzyskanym” po dłuższej nieobecności było dla autora „Szkiców” źródłem niekłamanej radości i wzruszenia. Przestrzeń postrzegana w tamtym momencie jako własna, bliska dawała mimo wszystko poczucie bezpieczeństwa:

„Jestem zupełnie rozmarzony. Dopadamy do Porte Dorée i pod górę przez avenue Daumesnil. Jestem tak wzruszony, że mam ochotę płakać. Bo już jest <<nasza>> fontanna, a tu <<nasz>> hotel, w którym mieszkaliśmy kiedyś. Witam każdy kamyczek, każde drzewo.”<sup>117</sup>

Skoncentrowany, „zatrzymany”, na tych doznaniach diarysta zaledwie kątem oka – tak to utrwalił w dziennikowym zapisie - dostrzegał obecność wojsk niemieckich w mieście. Prawdopodobne jest też, iż pisząc, celowo marginalizował rozpanoszenie się okupanta w Paryżu, gdyż notatka z tego dnia miała być świadectwem powrotu, pamiątką świętą - ekwiwalentem miasta niezagrożonego obcością. Skomponowana jest w taki sposób, jakby Niemcy byli w stolicy Francji nieistotnym utrudnieniem. Diarysta dokonał tego zabiegu świadomie, wiedząc doskonale, iż zagospodarowany przez niego intelektualnie i emocjonalnie Paryż – dumne miasto, symbol europejskiej kultury – właśnie przestaje istnieć, stając się scenerią koszmaru. Nie łatwo było się z tym pogodzić. Przyjeżdżając do domu Bobkowski zrezygnował z poczucia wolności, jakie dawało mu obcowanie z francuską prowincją. Zdecydował się tym samym zamienić otwartą PRZESTRZEŃ na MIEJSCE. Ono zaś wskutek wojny przestało być obszarem stabilnym i bezpiecznym. Nastąpiło odwrócenie znaczeń tych tradycyjnych pojęć. Miasto stało się symbolem zagrożenia, a otwarta przestrzeń pozamiejska – znakiem wolności, a zatem – w tych okolicznościach – także bezpieczeństwa.<sup>118</sup> Bobkowski wracając skonfrontował się z faktem, iż JEGO MIEJSCE nie jest już stabilnym centrum ustalonych wartości. Wydawać się to mogło tym bardziej paradoksalne, iż fizyczny obraz metropolii niemal się nie zmienił. Zatem w dobrze znanych „dekoracjach” rozpoczął się na oczach diarysty proces śmierci duchowej miasta. Bobkowski w momencie powrotu ze śródziemnomorskiej peregrynacji nie chciał tego rozkładu dostrzegać, ani w jego nieuchronność uwierzyć. Zdawał się sądzić, iż relację między światem, a

<sup>117</sup> A. Bobkowski, *Szkice piórkem...*, t.1., s.197.

<sup>118</sup> Por. Yi – Fu Tuan, *Przestrzeń i miejsce*, Warszawa 1987, s.16 i dalsze.

zapisem dziennikowym określać może zasada analogii. A dokładniej, że sposób opowiadania o świecie, interpretacja tegoż, ma siłę sprawczą i może ( na moment? ) przemienić rzeczywistość wedle potrzeb jednostki. Świadomy był , iż jest to iluzja, ale poddawanie się jej miało wymiar buntu wobec tego, co przytłaczało go i pogrążało.

Dziennik Bobkowskiego jest jednakże materią niejednorodną i już kolejny zapis, z 3.10.1941, będzie świadectwem wszechobecności okupantów w mieście. Niemcy zawłaszczyli przestrzeń konsekwentnie i bezkompromisowo. Paryż wedle diarysty był wówczas cichy, jakby zamilkły wobec niesprzyjającego obrotu rzeczy. Nie zmieniając się fizycznie stał się nagle dla swoich mieszkańców – w tym dla Bobkowskiego - strefą swoistego wygnania. Dotknięty kataklizmem dziejowym zewnątrznie wciąż trwał, dając złudzenie, iż można go jeszcze przywrócić, ocalić, jednocześnie jednak karłał wewnątrznie, przestając być przestrzenią wartości. Identyfikując się z miejscem, diarysta odczuwał ten kryzys osobiście. Na kartach „Szkiców” rozgrywa się proces, w którym Bobkowski jest sędzią, oskarżycielem i adwokatem. Obrona Paryża przed ostatecznym wyrokiem duchowego upadku ma tu dla niego wymiar walki o siebie, staje się samoobroną. „Przekreślenie” metropolii wiązać by się bowiem musiało nie tylko z głęboką żalobą, ale także odczuciem zachwianej tożsamości. Bobkowski zatem wnikliwie i z pełnym zaangażowaniem obserwował, w jaki sposób mieszkańcy francuskiej stolicy przeciwstawiali się złu. Równocześnie niestrudzenie poszukiwał własnych strategii przetrwania.

W „Szkicach piórkiem” realistycznych opisów Paryża znaleźć można stosunkowo niewiele. Krajobraz miejski ukazany jest za pomocą plam koloru, zapisu dźwięków<sup>119</sup> i konkretyzujących to wszystko w realnej przestrzeni nazw ulic i obiektów. Owe fragmenty dziennika są bardzo plastyczne, jakby zmysły diarysty, wyostrzone w czasie podróży po wybrzeżu, intensywnie szukały dla siebie punktów zaczepienia także w przestrzeni miejskiej. Bobkowski pisał na przykład:

„Niedziela. Pogodny, blado – słoneczny dzień. Po południu poszliśmy się przejść w ciasne uliczki Ile Saint – Louis, nad Sekwanę i pod Notre Dame. Na ulicach pusto i sennie. Myśli rozplywają się w tym otoczeniu razem z dymem i mgiełką, zawieszonymi nad mostami, dachami i drzewami.”<sup>120</sup>

W innym miejscu zanotował:

„Wszędzie na ulicach pusto i cisza, mgła jest lepka i wszystko wokół wygląda, jakby pokryte było żabią skórą. Lśniące i oślizgłe.”<sup>121</sup>

---

<sup>119</sup> Bardzo ważną kategorią będzie tu, często przywoływana przez Bobkowskiego, miejska cisza, będąca swoistym znakiem przyzwolenia: Paryż w obliczu katastrofy nie krzyczy, Paryż ją po cichu przeczekuje. Źródłem hałasu są najczęściej okupanci.

<sup>120</sup> A. Bobkowski, *Szkice piórkiem...*, t.1, s.247.

<sup>121</sup> Ibidem, s.203.

Jednakże zmysłowe opisy często kończą się konkluzją, iż Paryż stał się miejscem zbrukany, obcym. 25.11. 1940 Bobkowski zapisał:

„Jesień w tym roku jest zimna, ale pogodna. Paryskie, emaliowane dni słoneczne. Pod wieczór siedzę przy oknie, patrząc na zachód słońca. Morze dachów, widoczne z naszej mansardy, robi się coraz bardziej gołąbkowe, potem sine i zimne. Daleko, w mgiełce, wieża Eiffla z zatkniętą na szczycie chorągwią ze swastyką. Doczekała się i tego ta 51 – letnia matrona paryska. I ją ubrali.”<sup>122</sup>

Także dźwiękowa przestrzeń miasta uległa zakłóceniu w wyniku wszechobecności okupantów:

„Przejeżdża obok mnie z piekielnym hałasem [ podkreślenie moje – A. J-P] pluton nowiutkich czołgów francuskich (Renault), – pisał Andrzej Bobkowski – obsadzonych oczywiście nimi. Mijają mnie. Z każdej wieżyczki wygląda ubrany w czarny mundur żołnierz.”<sup>123</sup>

### **1.5. Mroczne miasto światel. Okupacja w Paryżu. W poszukiwaniu zrozumienia i konsolacji**

Paryż – jakim go widział polski obserwator – radził sobie z ciągnącą się w nieskończoność okupacją różnymi sposobami. Mieszkańcy miasta starali się na przykład nie stracić poczucia humoru. Diarysta odnotował, iż w momencie, gdy w Paryżu zabrakło jedzenia i ludzie zaczęli żywić się głównie brukwią o nazwie „rutabaga”, stała się ona od razu tematem niezliczonych żartów. Francuzi uparcie próbowali zachować choćby część dawnego stylu życia. Rozkwit przeżywały wyrafinowane formy zbiorowego uczestnictwa: paryżanie chodzili do kina i do teatru<sup>124</sup>, oglądali przedstawienia kabaretowe, kobiety starały się wyglądać tak elegancko, jak to tylko było możliwe. „Cały Paryż postanowił być bardziej <<paryski>> niż dotąd, i w tym wyrażał się jego przewrotny heroizm.”<sup>125</sup> 16.07.1941 roku Bobkowski odnotował niespodziewane przebudzenie się patriotyzmu wśród Francuzów. Przybierał on na paryskim bruku dość finezyjne

---

<sup>122</sup> Ibidem, s.205 – 206.

<sup>123</sup> Ibidem, s.203.

<sup>124</sup> Por. J. Trznadel, *Andrzej Bobkowski. Unikalne doświadczenie*, s. 194. J. Trznadel zauważył: „Paryż cieszy się względną wolnością. Wystawy, teatr. Nasuwa się szereg refleksji o naszym także życiu okupacyjnym np. Warszawy. [...]. Francuzi boją się Niemców, ale jak widać, nie boją się ich w teatrze. Może coś zyskują? Co dał na przykład u nas bojkot teatralny, [...]. Może i coś zabrał? Czy polski honor okazał się tutaj rentowny?” Przepomnijmy jednak, iż nie była to do końca kwestia decyzji Polaków; niemiecka polityka kulturalna w okupowanej Polsce, jeśli w ogóle można było o niej mówić, była zupełnie inna niż we Francji. F. Spotts pisał o tej drugiej: „Zanim zdążyli się zorientować [ Francuzi ], kultura stała się najważniejszym elementem polityki okupacyjnej, dla którego stworzono bogatą infrastrukturę. Nie wynikało to bynajmniej z pobudek humanitarnych. Hitler chciał, by na zachodniej flance panował spokój. Francja nadal miała być eksploatowana materialnie i poddana rygorom politycznym, ale jej ludność planowano znieczulić za pomocą bogatego życia kulturalnego.” F. Spotts, *Haniebny pokój...*, s.28.

<sup>125</sup> M. Kopczyk, *Arkadia i apokalipsa*. ..., s.31.

formy, np. dziewczęta chodzące trójkami w niebieskich, białych i czerwonych sukienkach, grupowe, osentacyjne odczytywanie na głos, wyrytego pod łukiem Carroussel napisu: „Pod Austerlitz, gdzie złamaną została potęga Niemiec”, wydzieranie z biletów do metra litery „V”.<sup>126</sup> Później w mieście rozpoczęły się zamachy na hitlerowców, powodujące drastyczne zarządzenia odwetowe, a w konsekwencji „przebudzenie się” znacznej części społeczeństwa. Jednocześnie jednak Bobkowski dostrzegał niespotykaną prymitywizację zachowań zbiorowych Paryżan, był porażony niskim pragmatyzmem, który ogarnął społeczność miasta.

„W tym wszystkim – pisał diarysta – człowiek jest istotą, starającą się jedynie o wepchnięcie w siebie pewnej ilości węglowodanów i tłuszczu z białkiem, o wydalenie tego z siebie po przetrwaniu i o ponowne staranie się o węglowodany i tłuszcze. Nie chodzi o to, żeby żyć, ale żeby mieć czym s... Z dnia na dzień. Życie ogranicza się do funkcjonowania przewodów pokarmowych, regulowanego ilością posiadanych pieniędzy. Ohydne.”<sup>127</sup>

Taki Paryż nie dorastał do własnej legendy. Mieszkańcy miasta bezrefleksyjnie sami tworzyli lub przyjmowali z rąk okupanta niegodne reguły okupacyjnej obyczajowości. 10. 12. 1940. Bobkowski napisał:

„Cały Paryż wynalazł nowy snobizm. Gdy ktoś mówi, że dostał funt masła bez kartek, należy uśmiechnąć się z politowaniem i wycedzić niedbale: <<Kupiłem 3 kilo cukru po 12 franków>>.” [...] Jeszcze nigdy egoizm i pokryta uśmiechami zawiść nie miały takiego pola do popisu.”<sup>128</sup>

Mimo wszystko jednak diarysta cały czas pozostawał silnie związany z miastem. Roman Zimand zauważył, iż opisy Bobkowskiego wyróżnia „aktywny udział w pejzażu”<sup>129</sup> Czyli: „Jeśli Morze Śródziemne lub inny zapuszczony staw – to Bobkowski w nich pływa. Jeśli Alpy czy Paryż – to oglądane z siodełka roweru.”<sup>130</sup> Autor „Szkiców” prowadził swój dyskurs ze światem nie tylko umysłem, lecz także ciałem. Aby kochać i krytykować metropolię musiał zachłannie patrzeć, dotykać, wachać, pędzić jej ulicami na rowerze. Sam o sobie napisał w dzienniku: „Tak samo dobrze pływam jak myślę.”<sup>131</sup> Umysłowość i cielesność stanowiły dla niego absolutnie

---

<sup>126</sup> Ten rodzaj niefrasobliwości w demonstrowaniu niezgody na reżim okupanta towarzyszył Francuzom także później. 14 czerwca 1942 roku Ernst Jünger zanotował: „Po południu w Bagatelle. Charmilla opowiadała mi tam, że w tych dniach aresztowano studentów, którzy przypinali sobie żółte gwiazdy z różnymi napisami, jak <<idealista>> i temu podobne, aby demonstracyjnie spacerować z nimi po polach elizejskich. To są ludzie, którzy jeszcze nie wiedzą, że czasy dyskusji minęły. Poza tym zakładają, że przeciwnik ma poczucie humoru. Przypominają w tym dzieci, które wymachując chorągiewkami idą się kąpać w wodach, w których pływają rekiny. Zwracają na siebie większą uwagę.” E. Jünger, *Promieniowania*, s.120.

<sup>127</sup> A. Bobkowski, *Szkice piórkiem...*, t. 1, s.214 – 215.

<sup>128</sup> Ibidem, s.209.

<sup>129</sup> R. Zimand, *Wojna i spokój*, s.552.

<sup>130</sup> Ibidem, s.552.

<sup>131</sup> A. Bobkowski, *Szkice piórkiem...*, t.2, s.292.



równoważne sfery istnienia, głęboko się przenikające i wzajemnie warunkujące.<sup>132</sup> Ciało, będące często instrumentem emocji, nie ulega w jego zapisach unieważnieniu, czy przemilczeniu, przeciwnie – zajmuje istotne miejsce. Jakby pisząc o tym, co dzieje się z jego ciałem, Bobkowski zaświadczał: „byłem w rozpaczy” lub „udało mi się być szczęśliwym”. Zdarza się, że tego typu stwierdzenia, przybierają dramatyczną formę:

„Przejeżdżam koło Komedii Francuskiej i wpadam do Luwru. – pisał 15.11.1940. – Powoli rozjaśnia się. Czasem koło łuku Carroussel maszeruje oddział żołnierzy ze śpiewem. W świeżym powietrzu poranku, niemieckie słowa pieśni płyną daleko, obijają się o skrzydła Luwru i giną wśród nagich drzew Tuilleries. Jest w tym coś tak smutnego i nieprawdopodobnego, że miałbym ochotę zejść z roweru, chodzić na czworakach i wyć jak pies.”<sup>133</sup>

Zatem można stwierdzić, iż Bobkowski upokorzenie Paryża odbierał „całym sobą”. Nie chciał jednakże by na mocy tego przywiązania poniżenie stało się także jego udziałem. Odpowiedzią na upadek miasta było uparte poszukiwanie pocieszenia. Jeśli działania konsolacyjne (także te dotyczące ciała, które, cierpiące w wyniku lęku i obrzydzenia, domagało się zadośćuczynień) przynosiły oczekiwany skutek, traktował to jako osobiste zwycięstwo nad okupacyjnym koszmarem. Świadectwem tego rodzaju „triumfów” bywają często zapisy dziennikowe, w których diarysta nie wahał się przyznać, że dobre wino, czy znośne jedzenie, pomagały mu przetrwać nie tylko fizycznie („Dopiero po naleśnikach z mąki gryczanej z konfiturą – 2 franki sztuka – humor mi się poprawił.”<sup>134</sup> – pisał na przykład ). Już na początku okupacyjnego bytowania, sformułował najważniejszą zasadę przetrwania, od której nie zamierzał odstąpić. Napisał wówczas:

„Niemcy nie muszą niczego organizować, do niczego zmuszać; oni STRASZA. Reszta robi się sama. Pod wpływem strachu wali się w mgnieniu oka wszystko. Czuję, że gdybym się bał, runąłbym sam przed sobą. I dlatego NIE CHCĘ się bać.”<sup>135</sup>

To bardzo ważna deklaracja. Bobkowski PODJĄŁ DECYZJĘ. W pewien sposób dziennikowe zapisy, ich treść i charakter, są konsekwencją powyższego postanowienia. W jego wyniku diarysta nie przelewał na papier swoich lęków, lecz raczej z dumą odnotowywał każde nad nimi zwycięstwo. Zatem, jeśli nawet zapisał:

„Wędrówki po merostwach, Prefektura policji, Ministerstwo pracy, schroniska. Codziennie trzeba komuś coś załatwić, ułatwić, wydobyć.”<sup>136</sup>, to już nie dodawał, iż były to działania związane ze strachem, zmęczeniem, bólem żołądka. Natomiast chwile kontemplacji miejskiego pejzażu,

---

<sup>132</sup> O stosunku Bobkowskiego do własnej cielesności pisał A. Sulikowski. Por. *Pasje sportowe Andrzeja Bobkowskiego*, „Kresy”, 1992, nr 12.

<sup>133</sup> A. Bobkowski, *Szkice piórkiem*, t.1., s.202.

<sup>134</sup> Ibidem, s. 271.

<sup>135</sup> Ibidem, s. 208.

<sup>136</sup> Ibidem, s. 203.

radości, bezcennego „nie – myślenia”, w swoich zapisach niemal sakralizował; bo też przeczyły one, poprzez samo swoje zaistnienie, upokorzeniu jakie niesie ze sobą lęk. By tak sprzeciwić się rzeczywistości, trzeba wszak wykonać gigantyczną pracę – „Szkice” będą kroniką, a zarazem symbolem takiego kilkuletniego wysiłku autora. Ślad wynikłego stąd zmęczenia zawiera notatka z dnia 18.11.1941., gdzie Bobkowski zanotował:

„Dopiero w tej chwili odczułem może po raz pierwszy naszą samotność, obcość otoczenia i te już niemal trzy lata życia zupełnie innego, w którym wiele uczuć uległo zmatowieniu pod wpływem ciągłego <<nie dać się>>”<sup>137</sup>

W dzienniku pojawia się też pytanie o kształt pamięci i wpływ, jaki ma na niego człowiek. Bobkowski chciał zapamiętać swoje życie, jako takie, które było warte przeżycia. Zależało mu na tym, by jego sposobu dotykania, smakowania, przeżywania dobrych chwil codzienności, nie warunkowały okoliczności historyczne. Jednak działało się wręcz odwrotnie. One właśnie intensyfikowały odczucia, poprzez poddanie w wątpliwość zaistnienie jutra. Dodatkowym kontekstem rozważań o tych uwarunkowaniach może być koncepcja, znanego Bobkowskiemu, Maxa Schelera, który pogoń za przyjemnością interpretował jako efekt głębokiej nieszczęśliwości człowieka:

„Kiedy bowiem człowiek jest niezaspokojony w głębszej warstwie swojego bytu, wtedy jego dążenie nastawia się na poniekąd zastąpienie owego nieprzyjemnego stanu intencją dążenia do przyjemności, i to do przyjemności w warstwie aktualnie bardziej peryferycznej, tzn. zarazem w tej warstwie, w której łatwiej wywołać uczucia.”<sup>138</sup>

Dodać jednak należy iż, jak się zdaje, Bobkowski nie ulegał tej pogoni bezrefleksyjnie. Traktował ją raczej jako swoisty „przepis” na rozpacz. By tak powiedzieć – każda metoda, pozwalająca „nie dać się” była dla diarysty warta wypróbowania. Niezgoda na nieszczęście nosi tu przede wszystkim znamiona – i to chciałabym uwypuklić – głębokiego buntu wobec okoliczności historycznych, jako nieodwołalnego kontekstu istnienia. W przypadku pokolenia Bobkowskiego bunt ten był szczególnie uzasadniony. Historia narzuciła diaryście, także jako przedstawicielowi pewnej formacji, nową tożsamość – stał się nagle mieszkańcem okupowanego miasta, synem podbitego narodu, bez jasno zarysowanej przyszłości. Zmieniało go, w pewnym sensie, w człowieka przegranego – ale na to nie było w nim przyzwolenia. Nieszczęście było dla niego swoistą antynomią wolności. Bezwarunkowe przyjęcie narzuconego przez los cierpienia byłoby zgodą na ograniczenie, na bezwolność ( czy też, przede wszystkim na bez – WOLNOŚĆ ). Zatem Bobkowski konsekwentnie podejmował próby wypracowania sobie indywidualnej strategii

---

<sup>137</sup> Ibidem, s.277.

<sup>138</sup> M. Scheler, *O człowieku i sprawach ludzkich*, przeł. A.W., „Znak” 1975, nr 2, s.224.

przetrwania. Wobec tych ustaleń jak deklaracja zwycięstwa będzie brzmiał zapis z dnia 1.9.1941. Warto przytoczyć go w całości:

„Druga rocznica wybuchu tej wojny. – pisał diarysta – Nie chce mi się uwierzyć. Udało się, jak dotąd, udało się przetrwać. Miałem dotąd szczęście. Wstyd mi, ale pomimo wszystko co nas dotąd spotkało, jeszcze nigdy w życiu nie czułem się tak szczęśliwy jak przez te lata, nawet te dwa lata wojny. Jeszcze nigdy w życiu nie czułem się tak dobrze. Piszę to w pełni władz umysłowych i nie umiem sobie tego wytłumaczyć. Ale czuję to i nic na to nie poradzę. Może jestem w tej chwili jedynym okazem tego rodzaju? Pochłania mnie życie, to wspaniałe soczyste życie, ten Paryż czasu wojny, każdy dzień.”<sup>139</sup>

Bobkowski mówił wyraźnie: jeśli byłem szczęśliwy, to znaczy, że „udało się” na moich warunkach.

Andrzej Bobkowski jednakową wagę starał się przykładac zarówno do kondycji ciała ( o czym była już mowa), jak i ducha. Bardzo ważną komponentą jego paryskiego życia była regularna lektura książek i gazet. Szczególnie te pierwsze były pisarzowi nieodłączne. Wobec poczucia ograniczenia wolności nadawał czytaniu charakter eskapistyczny, dzięki czemu stawało się ono jeszcze jedną metodą na zachowanie duchowej niezależności, na osobistą niepodległość. Ale nie tylko. Te „ucieczki” miały mu jednocześnie pomóc zrozumieć świat, a przede wszystkim kraj, z perspektywy którego obserwował koniec epoki. Miały ułatwić rozwiązanie – w tym zakresie w jakim jest to wykonalne – „problemu z polskością”, pomóc dojść do źródeł nieszczęść regularnie nękających ojczyznę. Bobkowski szukał w nich także wyjaśnienia przyczyny zdrady cywilizacyjnej, jakiej dopuścili się Niemcy, a czasem również potwierdzenia zasadności rodzinnej u Bobkowskich niechęci do Rosji. Patrząc na rzecz szerzej – próbował odnaleźć odpowiedź na pytanie w jakim kształcie wypełni się przeznaczenie kultury zachodniej, z czego wyrosła polityczna zachłanność totalitaryzmów, jakie procesy doprowadziło do tego, iż człowiek zaniechał postrzegania samego siebie jako bytu wolnego? Książki w tej perspektywie były jednocześnie ucieczką od świata i kluczem do jego zrozumienia.

Obcojęzyczni twórcy i myśliciele ważni dla Bobkowskiego to niewątpliwie Balzac, Flaubert, Conrad, Goncourtowie, Mansfield, Keyserling, Renan, Spengler, Le Bon, Mereżkowski. Wśród różnego typu literatury, diarysta znajdował też czas dla polskiej klasyki, którą odbierał bardzo emocjonalnie, traktując ją często jako inspirację do rozważań o polskim charakterze narodowym.

---

<sup>139</sup> A. Bobkowski, *Szkice piórkem...*, t.1, s.252 – 253.

Szczególnie cenił Prusa i Sienkiewicza<sup>140</sup>, nie unikał Mickiewicza, nie żywił zaś estymy do Żeromskiego. Reprezentatywny będzie tu zapis z dnia 27.10.1940, gdzie Bobkowski odnotował, iż przeczytał kolejny raz „Pana Tadeusza” i „Potop”. Entuzjazm diarysty zwłaszcza w stosunku do drugiej części trylogii, wywołany był – taką diagnozę on sam przedstawił – wielkim zmęczeniem Francją, jej wyrachowaniem, pragmatyzmem – jak też nie do końca zasłużonym „szczęściem w dziejach”. Percypowanie tego tekstu przez diarystę można by nazwać zmysłowym – czytając, musiał sobie niemal oblizywać palce. O tym doświadczeniu napisał:

„Nie mogę czytać po francusku. Nie mogę. Każde słowo, każdy zwrot w tym języku dławią mnie. Nie mogę znieść tych krągłych zdań i określeń, tej oschłości i kultu słowa bez uczucia.[...] Wydaje mi się, że przejadłem się ciężkim, przesłodzonym i przekremionym tortem pistacjowym. Fizyczny [a zatem znowu cielesny w znaczeniu: intensywny, prawdziwy – przyp. mój.] przesyt i wstręt do słów, zdań, tematów. I z jakąś wprost barbarzyńską żarłocznością pochłonąłem <<Pana Tadeusza>>, a teraz drę zębami, jak tłusty udziec barani, <<Potop>>. Oblizuję się, cmokam, potłuszczone palce wycieram w spodnie i – żrę.”<sup>141</sup>

Czytając „Szkice piórkiem” można odnieść wrażenie, że tego typu metaforyzowanie świata było dla diarysty wręcz naturalne, odruchowe. Podobnie zresztą jak płynne przejście od tychże przenośni do wyważonej w tonie, rzeczowej refleksji. Przykładem może być tu choćby komentarz do „Bez dogmatu” Sienkiewicza, o której to książce Bobkowski napisał w pierwszych słowach:

„Czytam <<Bez dogmatu>> i krew mnie zalewa. Leona Płoszowskiego należałoby przegrzmocić pokrzywami po gołym tyłku, wsadzić mu głowę do wody z lodem i przez pięć dni karmić solonymi sardynkami nie dając mu nic do picia. Po czym zapędzić do uczciwej pracy.”<sup>142</sup>

Po tym wstępie Bobkowski spróbował, już w dużo poważniejszym tonie, odpowiedzieć na pytanie o granicę duchowej autokreacji, jakiej człowiek nie powinien przekraczać, by nie ryzykować utraty poczucia szczęścia.

„Czym myśl staje się prostsza we wszystkich zagadnieniach własnego <<Ja>>, czym bardziej staje się szczerą i otwartą, opartą wyłącznie na krótkich <<tak>> lub <<nie>>, do których w końcu zawsze dochodzi się gdy człowiek zechce naprawdę szczerze ze sobą porozmawiać, tym jaśniej żyć. Niestety nosi się w sobie ciągłą i nieprzewyciężoną chęć grania przed samym sobą wielkiej roli przy byle sposobności. Nosi się w sobie cały teatr, nie – budę jarmarczną i odwala

---

<sup>140</sup> „Przyznaję – pisał – i wcale się tego nie wstydzę, że żaden z pisarzy, poza Homerem, nie potrafił w tym stopniu pobudzić mojej wyobraźni, nie potrafił do tego stopnia zatrzeć we mnie tekstu, myśli, słów i zdań tworzonymi na ich podkładzie obrazami, lawiną obrazów.”, A. Bobkowski, *Sienkiewicz*, „Wiadomości” 1961, nr 11, s.64.

<sup>141</sup> A. Bobkowski, *Szkice piórkiem...*, t.1, s.200.

<sup>142</sup> *Ibidem*, s.287.

całe sztuki.”<sup>143</sup> A dalej zauważył: „Nie szukam szczęścia, bo doszedłem do tej wielkiej prawdy, że je znalazłem. Wydaje mi się, że jestem płytki i powierzchowny, bo nie potrafię być maszyną przędzalniczą myśli. W każdym razie nie potrafię być Płoszowskim.”<sup>144</sup>

Dla Andrzeja Bobkowskiego bycie szczęśliwym wynikało w dużej mierze z podjęcia decyzji, iż chce się takim być. Negatywne interpretowanie rzeczywistości, jej nieustanna intelektualna wiwisekcja, prowadziła zaś, jak wierzył, do emocjonalnego wyjałowienia. Na marginesie tych rozważań dodać należy, iż w podobnym do cytowanego wyżej fragmentu tonie – żywiłowo i bezkompromisowo - Bobkowski wypowiadał się nie tylko o bohaterach literackich. Zdarzało mu się to także w stosunku do samych autorów, i to tych, mających status narodowych świętości. Przywołać tu można choćby list autora „Szkiców”, o wiele lat późniejszy niż dziennik, z 1960 roku, w którym pisał on do Szymona Konarskiego:

„Tej choroby polskości nic z krwi nie wywabi, to ciężka choroba, nieuleczalna. [...] To pojęcie polskości, ten chorobliwy patriotyzm, zostały stworzone przez chorych poetów – dezertersów powstania listopadowego i narzuciły styl całemu narodowi. To Juleczek Słowacki wyzywający się w swoim paryskim pokoju, niedojda seksualna, impuś wyładowujący swój kompleks w rymach, tarzający się w mentalnej rozpuście z Ojczyzną [...]”<sup>145</sup>

W tym samym liście Bobkowski wypowiedział się - w równie odważny sposób – na temat Mickiewicza. Między innymi za te słowa, spotkała go pośmiertnie ostra krytyka i niezrozumienie.<sup>146</sup>

Jak się zdaje Bobkowski instynktownie wiedział iż, by zainteresować adresata literackimi świętościami, trzeba go najpierw „obudzić”, sprowokować i dopiero wtedy skłonić do głębszej refleksji. Uważał, że dyskutując o monumentach, warto zrezygnować z patetycznego tonu, a w zamian za to, umieścić owe dzieła, twórców, bohaterów w nowym – także językowym - kontekście. Zatem jeśli istniało „zagrożenie” patosem, Bobkowski lubił kontrapunktować je humorem, potocznością, a czasem także swoistą brawurą języka. Charakterystyczny *furror scribendi* Bobkowskiego, najwyraźniej obecny w jego prywatnych listach<sup>147</sup>, dostrzegalny jest także w obszernych fragmentach „Szkiców piórkiem”.

---

<sup>143</sup> Ibidem, s.287.

<sup>144</sup> Ibidem, s.288.

<sup>145</sup> A. Bobkowski, List do Szymona Konarskiego z dnia 6 stycznia 1960 roku, cyt. za: K. Ćwikliński, *Appendix: „Sprawa Bobkowskiego”*, s.91.

<sup>146</sup> Por. list Konstantego Jeleńskiego – dotyczący Andrzeja Bobkowskiego - do Mieczysława Grydzewskiego z dnia 6 września 1962 roku, [w:] K. Ćwikliński, „Appendix: „Sprawa Bobkowskiego”, s.90.

<sup>147</sup> O korespondencji Andrzeja Bobkowskiego (zdecydowanie więcej miejsca poświęcę jej w drugiej części niniejszej pracy) pisali między innymi: K. Ćwikliński, *Furor scribendi albo o pamfletowym charakterze listów Andrzeja Bobkowskiego*, [w:] K. Ćwikliński, „Znani i nieobecni...”, s.94 – 107., J. Zieliński, „Ode mnie przynajmniej listy są coś warte”. *O listach Andrzeja Bobkowskiego do rodziny*, Twórczość 1984, nr 8., A. Chciuk, *O Andrzeju Bobkowskim i jego listach*, „Wiadomości” 1962, nr 32/33.

Ważną rodzimą lekturą, do której diarysta wracał w swoim dzienniku była „Lalka” Prusa. Także ten utwór służył Bobkowskiemu przede wszystkim jako inspiracja do rozmyślań o polskich przypadłościach: „Trzy tomy <<Lalki>>. Wielka trylogia, większa od tej Sienkiewicza. Trudno o lepszą książkę, o lepsze wydobywanie wszystkich pechowych cech charakteru polskiego”<sup>148</sup> – pisał w „Szkicach piórkiem”. Literatura polska była zatem dla Bobkowskiego swoistym pretekstem do rozmyślań o ojczyźnie, służyła mu do interpretowania rodzimej historii. I tak na przykład diarysta zamykał dziennikowy zapis - pełen gorzkich refleksji o Polsce - uwagą: „A zresztą czytaj <<Lalkę>>. Zawsze aktualna.”<sup>149</sup> Bohaterowie książki Prusa byli też dla diarysty ważnymi ikonami codzienności – punktami odniesienia, przywoływanymi w różnych okolicznościach, także najbardziej nieoczekiwanych. Na przykład relacjonując przebieg pewnej sytuacji, Bobkowski napisał w liście do Mieczysława Grydzewskiego z 6 września 1957 roku:

„Drogi Panie Redaktorze – ja też jestem sklepikarz, też mam swoją firmę, do której doszedłem zupełnie nieprawdopodobną pracą, [...] – ale nie znoszę jak się do mnie pisze w obleśnie kupieckim tonie. Wokulski nigdy nie napisałby takiego listu, choć niejedną nagrodę i zapomogę ufundował. Dlatego i ja z całą znajomością fachu odpisałem równie kupiecko p. Zabłockiemu.”<sup>150</sup>

W trochę bardziej zdystansowany sposób Bobkowski pisał o Wokulskim w swoim francuskim dzienniku:

„Opis Wokulskiego w Paryżu oddaje chyba najlepiej to wszystko, co Prus chciał powiedzieć i co można by najlepszemu napisać o tym <<czymś>>, w czym taki Wokulski czuje się dopiero dobrze. Co najmniej tak dobrze, jak ja.”<sup>151</sup>

Nie tylko jednak Wokulski poruszał wyobraźnię diarysty. Roman Zimand zauważył, iż Bobkowski na kartach swojego diariusza „bawi się w Rzeckiego”<sup>152</sup>, notując wzorem starego subiekta swoje polityczne prognozy. Diarysta wspominał w „Szkicach piórkiem” między innymi także o „Nie – boskiej komedii” Krasińskiego („Miałbym ochotę przeczytać znowu – tym razem nieobowiązkowo i nie ze skrótu - <<Nie – boską komedię Krasińskiego. Zawsze mi się wydawało że z tych trzech <<wieszczów>> on miał najlepszą głowę.”<sup>153</sup>) „Rodzinie Połanieckich”, „Listach” Słowackiego do matki i „Chłopach” ( „Bez wrażenia.”<sup>154</sup> – skomentował tych ostatnich).

<sup>148</sup> A. Bobkowski, *Szkice piórkiem...*, t.1, s.260.

<sup>149</sup> A. Bobkowski, *Szkice piórkiem...*, t.2., s.70.

<sup>150</sup> K. Ćwikliński, *Andrzej Bobkowski do Mieczysława Grydzewskiego – listy*, „Archiwum Emigracji”, 1998r, z. 1., s.71.

<sup>151</sup> A. Bobkowski, *Szkice piórkiem...*, t. 1. s.260.

<sup>152</sup> R. Zimand, *Wojna i spokój*, s.544.

<sup>153</sup> A. Bobkowski, *Szkice piórkiem...*, t.2, s.246.

<sup>154</sup> A. Bobkowski, *Szkice piórkiem...*, t.2., s.56.

Lektury pomagały Bobkowskiemu wracać do świata czasowo i przestrzennie wyizolowanego, były alternatywą dla nieakceptowanej współczesności. Stały się - by tak rzecz ująć - dodatkową płaszczyzną istnienia poddaną autonomicznym regułom. Ale na tym nie kończyła się ich rola, diarysta traktował książki nie tylko jako narzędzie interpretacji historii, ale także i miejsca. Na przykład Balzac był dla niego przede wszystkim genialnym malarzem kraju nad Sekwaną, znawcą francuskiego charakteru narodowego, niezmiennego pomimo upływu wieków. Bywało zatem, iż Bobkowski przywoływał autora „Komedii ludzkiej”, gdyż przemyślenia mistrza pióra okazywały się zadziwiająco trafnym komentarzem francuskiej rzeczywistości okupacyjnej. Diarysta zauważał np.:

„Balzac jest pisarzem prawie współczesnym, bo poza nieznacznymi przesunięciami społecznymi, TREŚĆ Francji, którą on tak wspaniale pochwylił, jak żaden z ich pisarzy, pozostała do dziś dnia ta sama.”<sup>155</sup>

Bobkowski dostrzegł, iż autor „Kuzynki Bietki” pokazał początki kryzysu państwa francuskiego, przenikliwie opisując zjawiska ( korupcję, rozrost biurokracji, upadek obyczajów ), które po upływie lat miały doprowadzić kraj do ostatecznego upadku.

Przez pryzmat francuskich książek przybysz z Polski postrzegał nie tylko cały kraj, ale przede wszystkim swoje miasto. Uciekał tym samym od Paryża upokorzonego, podporządkowanego okupacyjnym regułom. Był to sposób na oswojenie metropolii, nauczenie się jej, ogarnięcie spojrzeniem, wykraczającym poza teraźniejszość.

Paryż, Francja interesowały diarystę w każdym wymiarze, począwszy od intelektualnego a skończywszy na czysto wizualnym, estetycznym. W konsekwencji, obok inspirowanych lekturą, przenikliwych, historiozoficznych analiz kraju Franków, pojawiają się w „Szkicach” - również wyniki z czytania - refleksje o zupełnie odmiennym charakterze:

„Na wielkim placu stoi kilka wielkich czarnych karet. Wszystko tonie w słońcu. Na widok tych karet myślę o << Madame Bovary >>. Widzę ją, idącą szybko i trwożliwie w stronę jednej z nich i wydaje mi się, że poza nią dostrzegam zarys mężczyzny w ciemnym tużurku.”<sup>156</sup>

Dzięki lekturom Paryż Bobkowskiego zyskiwał jeszcze jeden – bezcenny w dobie katastrofy – bezpieczny, trochę oniryczny wymiar.

„U nas w pokoju zimno – zanotował diarysta 24 stycznia 1942 roku – ale ja zanurzony w paltach, kocach i pledach błędzę po Paryżu razem z Rotondo. Przymykam oczy, spotykam się z całym

---

<sup>155</sup> Ibidem, s.134.

<sup>156</sup> Ibidem, s.136.

tłumem innych postaci, które żyją do dziś dnia w Paryżu pomimo, że nigdy nie istniały, że były wytworem fantazji Balzaca, Flauberta i innych. Drzemie, budzę się.”<sup>157</sup>

Francja czasów okupacji w świadomości diarysty była jednak przede wszystkim rozczarowaniem, z którym przyszło mu się zmierzyć, a nie sennym mirażem ( choć takie chwile miały swoją nieocenioną wartość konsolacyjną ). By wyjaśnić przyczyny upadku mitu, Bobkowski czytał nie tylko Diderota, Descartesa, Voltera , lecz także teksty stricte filozoficzne i historyczne. Spośród filozofów wybierał przede wszystkim Hermanna Keyserlinga. Książki niemieckiego myśliciela, które, jak się zdaje, wywarły na diarystę największy wpływ, to: „Analiza spektralna Europy” ( tytuł w tłumaczeniu Bobkowskiego ) i „Reisetagebuch eines Philosophen”.

Keyserling utożsamiał początki kryzysu państwa francuskiego z upowszechnieniem wzorca racjonalistycznego. To przekonanie podzielał Bobkowski, który traktował myśliciela jako swego rodzaju mistrza i przewodnika. Autor „Szkiców piórkiem” również uważał, że początki współczesnej mu kulturowej zapaści Europy, mają swoje źródło w renesansowej zmianie sposobu postrzegania natury ludzkiej. Wówczas bowiem człowiek przekreślił to, co na samym początku epoki europejskiej było jedyną rzeczywistością – wartość duszy jako obiektu godnego starań i troski. „Dziedzictwem klasycznej filozofii greckiej jest troska o duszę. - pisał czeski filozof Jan Patočka – Troska o duszę oznacza, że prawda nie jest raz na zawsze dana ani nie jest sprawą samego tylko zrozumienia i przyjęcia do wiadomości, lecz że jest trwającą przez całe życie, zgłębiającą, samokontrolującą, samo jednoczącą praktyką myślowo – życiową.”<sup>158</sup> Od tego dziedzictwa począwszy już od XVI wieku Europa stopniowo się odwracała, by ostatecznie zrodzić dwudziestowieczne totalitaryzmy i pogrążyć się w chaosie. Bobkowski tak to właśnie postrzegał:

„Renesans zaczął się od utraty wiary, człowiek Renesansu zaczął zastanawiać się, myśleć, krytykować, NIE WIERZYĆ. A my co? My na grandę chcemy wierzyć, chcemy ucześcić się jakiejś innej tratwy, odczepiwszy się od religii, tego „opium dla ludu”. I co? I wobec tego narkotyzujemy się ordynarnymi namiastkami.”<sup>159</sup>

Keyserling był także badaczem duchowego życia narodów i ich psychologii, jego wnioski traktował Bobkowski jako punkt wyjścia dla własnych rozważań na ten temat. Nie miały one z zasady charakteru polemicznego wobec ustaleń filozofa. Przeciwnie – autor „Szkiców” właśnie od myśliciela z Darmstad uczył się metod analizy poszczególnych krajów i narodów. Dzieło i postać Keyserlinga stały się dla Bobkowskiego źródłem szeroko rozumianej inspiracji – twórczej

---

<sup>157</sup> Ibidem, s.41.

<sup>158</sup> J. Patočka, *Eseje heretyckie z filozofii dziejów*, przeł. A. Czcibor – Piotrowski, E. Szczepańska, J. Zychowicz, Warszawa 1998, s.111.

<sup>159</sup> A.Bobkowski, *Szkice piórkiem...*, t.2, s.317.



i życiowej. Autor „Analizy spektralnej Europy” był podróżnikiem, doceniał wagę bezpośredniego doświadczenia, filozofia była dla niego w pewnym sensie tożsama z pisarstwem, sztuką, wędrówką. Rodowód pozwalał mu czuć się jednocześnie Bałtem, Niemcem, Rosjaninem i Francuzem. Zbieżności z polskim pisarzem wydają się oczywiste. Bobkowski był do tego stopnia zafascynowany filozofem, iż napisał o nim pośmiertny artykuł – nekrolog<sup>160</sup> opublikowany w „Horyzontach” w 1946 roku. Keyserling dostrzegał też duchowe zacofanie Francji, jej swoiste skostnienie, koncentrację na przeszłości. Był wnikliwym analitykiem kryzysu jaki, jego zdaniem, dotknął w czasach współczesnych (1937 r.) to państwo.

Dla Bobkowskiego niewątpliwie inspirujące były też wnioski Ernesta Renana, jako krytyka utopijnej ideologii komunistycznej, przekonanego (a pewność tę podzielał Bobkowski), iż aby państwo mogło funkcjonować prawidłowo, jego obywatele muszą mieć zagwarantowane prawo do własności prywatnej. Filozof uważał, iż miarą kondycji kultury jest jej zdolność do transformacji, otwartość na wartości płynące z zewnątrz - inspiracją była dla niego teoria ewolucyjna. Myśliciel wskazywał też na ograniczenia płynące z przyjęcia postawy racjonalnej. Na podstawie wnikliwych analiz diagnozował – i to również łączy go z Bobkowskim – wielopoziomowy kryzys państwa francuskiego.

Ważnym punktem odniesienia dla autora „Szkiców” były też myśli Josepha de Maistre’a – apologety kultury francuskiej. Wedle jego opinii Francuzi są mistrzami słowa, dzięki czemu kształtują gust i myśli cywilizowanego świata. Ich powołaniem jest doskonalenie formy, a ich język wydaje się wyjątkowo predysponowany do wyrażania pojęć abstrakcyjnych. Diarysta przywoływał w dzienniku wnioski de Maistre’a pochodzące z dzieła p.t. „Fragments sur la France”. Zgadza się z myślicielem co do walorów francuszczyzny, pozostawał świadomy, iż współczesna mu Francja ma niewiele wspólnego z tą, którą wielbił filozof. Jej mieszkańcy zaś, w optyce Bobkowskiego, zdawali się tej niekorzystnej zmiany nie dostrzegać i w latach czterdziestych dwudziestego wieku hołdowali przekonaniu o niepodważalnej wyższości kultury francuskiej nad wszelkimi innymi. Dla polskiego diarysty natomiast nie tylko jej prymat ale nawet przetrwanie stały wówczas pod znakiem zapytania.

Wśród myślicieli ważnych dla Bobkowskiego, inspirujących jego rozważania, wymienić warto także Gustawa Le Bona, przyrodnika z zawodu, który podejmował próby naukowego określania psychologicznych praw rozwoju narodów. Twierdził też, iż równość między ludźmi wprowadzona w życie z czasem musi stać się zaprzeczeniem wolności. Podobnego zdania był autor „Szkiców piórkiem”, który również dostrzegał niebezpieczeństwa wynikające z

---

<sup>160</sup> A. Bobkowski, *Keyserling*, „Horyzonty” (Fryburg) 1946, nr 7 i 8.

uszcześliwiania człowieka na siłę, z negocjowania jego prawa do indywidualizmu i samorealizacji. Było dla niego oczywiste – być może między innymi dzięki lekturze Le Bona – iż równość jako doktryna polityczna prowadzić musi do zaniku elementarnego szacunku dla jednostki.

Autorami, do których pisarz stale i z przekonaniem wracał byli też: Jacques Bainville jako twórca „Napoleona” ( „po tej lekturze wszystko wyjaśniło mi się”<sup>161</sup> – zanotował diarysta ), Leo Frobenius ( przede wszystkim za sprawą „Historii cywilizacji” - Bobkowskiego do rozważań zainspirowało między innymi twierdzenie, iż „kultura jest uczuciem życia” ), Nikołaj Bierdiajew oraz Adolus Huxley, któremu autor omawianych dzienników zarzucał, iż nie dostrzegł, że przyczyny zła tkwią w olbrzymim potencjale akceptacji byle czego, jaki charakteryzuje współczesnego człowieka.<sup>162</sup>

Diaryście lektury służyły, jak się zdaje, przede wszystkim do pogłębienia percepcji otaczającego świata, zrozumienia współczesności. Stąd w doborze tekstów, obok beletrystycznej klasyki pojawiły się także teksty filozoficzne czy historyczne. Dzieła myślicieli potrzebne mu też były do pogłębienia własnych refleksji nad kulturą i odnalezienia dla nich kontekstu w wielowiekowej historii myśli europejskiej.

Książki stanowiły dla Andrzeja Bobkowskiego bardzo istotny, jeśli nie najważniejszy element codzienności. Zależało mu wszak na tym, by wobec katastrofy nie pozostać oniemiałym z przerażenia, niezdolnym do formułowania sądów, intelektualnie zamarłym. Jak to zostało powiedziane wcześniej - bezruchowi (utożsamianemu z przegraną i ubezwłasnowolnieniem) przeciwstawiał życie w pędzie, aktywność ciała. Rozumianemu jak wyżej milczeniu zaś – wszechstronną aktywność intelektualną i wynikające z niej rozmowy, zarówno z żywymi ludźmi, jak i – na innym planie – z autorami czytanych przez siebie dzieł. Książki pochłaniane na bieżąco, jak również zapamiętane z przeszłości, aktualizowały współczesność, pomagały pogłębić refleksje nad przyczynami upadku Europy, podtrzymywały wewnętrzną równowagę diarysty i prowadziły do osiągnięcia intelektualnego dystansu do świata. Stały się zatem absolutnie niezbędne. Tym bardziej, iż z biegiem czasu stan chwiejnej wewnętrznej harmonii stawał się dla diarysty coraz trudniejszy do osiągnięcia. Autorzy czytanych przez niego książek zapobiegali, poprzez swoje dzieła, rozpacz, jaką rodzi intelektualna izolacja, połączona z przekonaniem, iż „świat zwariował”, brali na siebie ciężar współkomentowania rzeczywistości. Nie bez powodu zatem Tymon Terlecki nazwał „Szkice piórkiem” dziennikiem lektur<sup>163</sup>, trudno byłoby sobie bowiem wyobrazić ich warstwę intelektualną i duchową bez autorskiej inspiracji dziełami

---

<sup>161</sup> A. Bobkowski, *Szkice piórkiem...*, t.1, s.270.

<sup>162</sup> Ibidem, s.134.

<sup>163</sup> T. Terlecki, *Andrzej Bobkowski*, [w:] T. Terlecki, *Szukanie równowagi. Szkice literackie i publicystyczne*, Londyn 1988, s.337.

mistrzów. Powtórzmy zatem raz jeszcze. Książki w paryskim ( i nie tylko) życiu Andrzeja Bobkowskiego wydawały się zajmować miejsce szczególne. Były filarami strategii przetrwania, którą obrał diarysta. Przynosiły ukojenie, tłumaczyły świat, pomagały zmienić ( choćby przez wędrówki w czasie ) percepcję ukochanego miasta. Dzięki nim udało się też pisarzowi przekroczyć własną przynależność pokoleniową i nawiązać z bliźnimi rodzaj intelektualnego porozumienia ponad granicą czasu. Przywoływane już przeze mnie dzienniki Mihaila Sebastiana i Jonasa Mekasa także są w dużej mierze poświęcone lekturom. Szczególnie litewski twórca skrupulatnie odnotowywał przeczytane przez siebie pozycje. Wierzył on, iż książki mogą być sposobem na przywrócenie światu twarzy i zaspokojenie tęsknoty za stabilną hierarchią wartości. Dzięki nim odzyskiwał poczucie bezpieczeństwa. 29 stycznia 1949 roku, w obozie dla uchodźców, zanotował:

„Stefan George, Valery – wiem, że niektórym wyda się bardzo głupie ekscytowanie się paroma książkami. Ale ja tak właśnie żyję, marzeniami... Po wojnie zostało tak niewiele rzeczy nieskażonych brudem, wstydem, zdradą. Człowiek odgarnia cegły i gruz, zdmuchuje pył i czyta, czarno na białym...”<sup>164</sup>

Słowa te obrazują, jak głęboki kryzys dotknął świadomość Europejczyków nie tylko w czasie wojny ale też lata po niej. Z kolei rumuński pisarz, zaszczuty we własnym kraju w wyniku semickiego pochodzenia, traktował książki jako swoiste schronienie, metodę na zapewnienie sobie paru chwil odpoczynku od koszmaru:

„Komedie Szekspira mają coś z tańca. Płynne ruchy, przenoszące nas z rzeczywistości w świat fantazji – jak w balecie. – pisał 4 października 1943 roku -

Żydzi z Danii są skazani na zagładę. Telegram Agencji DNB nie pozostawia co do ich losu żadnej wątpliwości. Jeszcze raz zadrzałem z przerażenia.”<sup>165</sup>

Powyższe przykłady utwierdzać mogą w przekonaniu, iż książki w sytuacjach ekstremalnych mogą stać się substytutem normalności, a zarazem „dowodem” na to, że rzeczywistość wokół jest nieakceptowalna. Bywa on potrzebny szczególnie wtedy, gdy w otoczeniu diarysty przeważają ludzie opętani ideą, realizujący, w swoim przekonaniu, plan uszczęśliwienia ludzkości. Wówczas to osamotnienie jednostek myślących innymi kategoriami jest szczególnie dotkliwie. Dodatkowym powodem poczucia alienacji może być dla nich także (jak to miało miejsce w przypadku Andrzeja Bobkowskiego czy Jonasa Mekasa) przebywanie w obcym kraju, wśród ludzi o innej mentalności. Bowiem nawet głęboko krytyczny stosunek do własnego kraju nie przekreśla łączących z nim więzów emocjonalnych, duchowych, czy intelektualnych. Książki w tym kontekście bywają

---

<sup>164</sup> J. Mekas, *Nie miałem dokąd iść*, s.197.

<sup>165</sup> M. Sebastian, *Dziennik 1935 - 1944*, s.31.

elementem „dialogu z ojczyzną”, pożywką dla rozmyślań weryfikujących dotychczasowe sądy. Przeciwdziałają poczuciu, charakterystycznemu dla sytuacji emigracyjnej, iż to, co piszącego głęboko obchodzi, jest dla reszty świata całkowicie marginalne i bez znaczenia. Wynika z tego, że ulga towarzysząca lekturze i, szerzej, przebywaniu wśród książek jest ponadczasowym i chyba najlepszym antidotum na zawirowania historii. Współczesny uchodźca z ogarniętych wojną Bałkanów zawarł tę treść w kilku słowach:

„W czasie, kiedy toczyła się wojna w moim kraju, ja w tej obcojęzycznej księgarni znajdowałem bezpieczeństwo niczym w ciepłym schronisku – nieznanymi i znanymi autorzy z jej ścian, tak mi się wtedy wydawało, mówili do mnie: nie bój się, ty jesteś nasz, to wszystko, co ci się przytrafia, my już przeżyliśmy.”<sup>166</sup>

Również dla Andrzeja Bobkowskiego księgarnie były ważnymi elementami miejskiego pejzażu. W „Szkicach piórkiem” zdarzało mu się porównywać francuskie i niemieckie sklepy tego typu. Opisał na przykład swoje poszukiwania polskiej książki dla zaprzyjaźnionych państwa Chopinów. Z goryczą odnotował, że rodzime pozycje zniknęły z francuskich księgarni, choć jednocześnie nie usunięto ich z niemieckiej, gdzie udało mu się nawet odnaleźć wydanie polskich legend.

W innym jednak zapisie, porównując księgarnie, uczynił je metaforami francuskiej i niemieckiej duchowości, a ściślej filozofii życia, jaką wyznają te dwie nacje. Z satysfakcją opowiedział się po właściwej – francuskiej - stronie, co przyniosło mu niekłamana radość. Wynikała ona także z tego, iż personifikując książki, pozwolił, by stały się jego współtowarzyszami w okupacyjnym nieszczęściu. Pisał:

„Kilka tygodni temu otworzono na Boulevard Saint – Michel wielką księgarnię niemiecką. Urządzona ze smakiem, nowocześnie, wystawy świetnie rozwiązane, książki i oprawy bez zarzutu. Niemiecka grafika pełna prostoty, harmonii, stonowana w kolorach – doskonała. Oglądałem tę księgarnię kilka dni temu. Było słoneczne popołudnie, niebo blade – niebieskie, wszystko pogrążone w tym ostrym, a równocześnie niemęczącym świetle paryskim. Naokoło bistra gwarne jak ule i małe księgarnie, wielkie księgarnie ze stolami pełnymi książek na chodniku. [...] Dałem spokój niemieckiej księgarni i prześlicznemu wydawnictwom. Zezłościło mnie to pismo gotyckie, maszerujące sztywno i równo, matematycznie, układ linii i płaszczyzn nieskazitelny i harmonijny jak marsz wojskowy: bum, bum, bum i fifry. Ponure wizje niemieckiego gotyku w cudownie wydanych albumach sztuki. Podszedłem do tych zaśmieconych stołów i zrobiło mi się lekko. Miałem wrażenie, że te wszystkie książki, takie nieefektywne,

---

<sup>166</sup> M. Stojić, *Via Vienna*, przeł. M. Siwkowska – Łatuszyńska, G. Łatuszyński, Oficyna Wydawnicza „Agawa”, Warszawa 2005, s.128 – 129.

zwalone na kupę, śmieją się i dowcipkują na temat tej księgarni naprzeciwno. [...] Tu był duch – tam, w całej nieskazitelności sztuki graficznej na najwyższym poziomie, dudniły podkute buty w takt bębnow i piszczałek.”<sup>167</sup>

Innymi ważnymi punktami na paryskiej mapie Andrzeja Bobkowskiego były teatry<sup>168</sup>. Wyprawy do tych przybytków inspirowały część dziennikowych zapisów. Na przykład: 7 listopada 1942 roku Bobkowsky poszli do „Odeonu” na sztukę Paula Raynala pt. „Napoléon unique”, 28 tegoż miesiąca i roku znaleźli się w wodewilowym „Théâtre de l’Etoile”, 5 grudnia zobaczyli w „Théâtre des Ambassadeurs” „Clotilde du Mesnil” Becque’a i „Mais n’te promène donc pas toute nue”, zaś 12 grudnia spędzili w „Théâtre de Châtelet na „Ryszardzie III” Szekspira. Obejrane sztuki diarysta opatrywał swoistymi mini recenzjami. Bywał bardzo krytyczny, ale najczęściej była to krytyka podszyta humorem. Na przykład komentarz do ostatniego z wymienionych przedstawień zakończył słowami: „Wreszcie króla zarżnęli i można było wyjść, co uczyniliśmy nie bez wielkiej przyjemności. Przyjemnością jest pójście do teatru, ale nieraz wyjście jest jeszcze większą.”<sup>169</sup>

Bobkowski komentował sztuki teatralne z całym zaangażowaniem, bardzo subiektywnie, bez przyjmowania postawy znawcy, ale też bez kompleksu amatora. Zdarzało się, iż te omówienia przeradzały się w szerszą, pozateatralną refleksję. Na przykład pobyt w „Odeonie” na „Weselu Figara” wywołał u diarysty następującą myśl:

„Czuło się, że wszystko, co Figaro mówi, jest jeszcze ciągle aktualne dla tutejszego tłumku. Każda *boutade* Figara, cienka i złośliwa, była robiona tu naumyślnie grubo, wulgarnie, programowo. Był to zbuntowany cham republikański, produkt poronionej rewolucji – ku zadowoleniu wszystkich. Zastanawiająca jest czasem ta ciągła aktualność Rewolucji i jej pokrytych kurzem haseł we Francji. Czasem zastanawiam się, czy Rewolucja zamiast pchnąć ich naprzód, nie tylko nie cofnęła ale co znacznie gorsze - po prostu nie zatrzymała. Ma się nieraz dotykalne wrażenie, że jak <<roztrzęśli>> się 14 lipca 1789 roku tak do dziś dnia trzęsą się – w tym samym miejscu, na tym samym poziomie.”<sup>170</sup>

Diarysta lubił także chodzić do kina. Skrupulatnie odnotowywał tytuły obejrzanych filmów ( była to na przykład ciesząca się wielkim powodzeniem produkcja „Pontcarral Colonel d’Empire”) i dorzucał kilka słów komentarza. Zdarzało mu się bywać na wystawach malarstwa, gdzie także

<sup>167</sup> A. Bobkowski, *Szkice piórkiem...*, t.2., s.237-238.

<sup>168</sup> Nie był to przypadek Andrzej Bobkowski rozpoczął intensywną edukację teatralną już w dzieciństwie. Siostra jego matki była żoną Juliusza Osterwy, dzięki czemu przyszły autor *Czarnego piasku* miał możliwość przypatrywać się próbom teatralnym, bywać za kulisami, regularnie oglądać spektakle. Por: K. Ćwikliński, „*Wydaje mi się, że to jednak jest teatr*” albo Czarny piasek Andrzeja Bobkowskiego w świetle listów autora i jego respondentów” [w:] K. Ćwikliński, *Znani i nieobecni...*, s.74 -78.

<sup>169</sup> Ibidem, s.169.

<sup>170</sup> Ibidem, s.190-191.

czuł się uprawniony do oceny oglądanych płócien. Posiadał znakomite wykształcenie, wrażliwość estetyczną, nie dręczył go więc kompleks nieznajomości rzeczy, śmiało formułował opinie. Warto to wyraźnie podkreślić: Bobkowski nie był w stolicy Francji „barbarzyńcą w ogrodzie” (pomińmy to, iż rola barbarzyńców była wówczas aż nadto dobrze obsadzona), nie czuł się przytłoczony, nie miał wrażenia, że obcuje z przerastającą go i nieprzynależną mu wielkością. Przeciwnie – Paryż był dla niego „środowiskiem naturalnym”, oswojonym, jak wcześniej Kraków. Przedwojenna Polska i środowisko rodzinne, które tak zapamiętałe zdarzało mu się krytykować, zapewniły mu bezcenną - choć dla niego całkowicie naturalną – bezkompleksową tożsamość obywatela świata.

Można zatem stwierdzić, iż diarysta, chodząc do kin, teatrów, muzeów, funkcjonował podobnie jak większość francuskich obywateli podbitego miasta. Paryż bronił się przed najeźdźcą starając się zachować pozory dawnego stylu życia. Bobkowski także szedł tym tropem - jak inni Paryżanie starał się, mimo wszystko, żyć pełnią życia. Wzorce zachowań wobec okupanta siłą rzeczy czerpał ze swego otoczenia, nie mogło być wszak inaczej.

„Paryż jest naprawdę ładny dopiero teraz, gdy brak samochodów i ulicą suną dorożki lub rowery. – zanotował – Jest spokój. Zgasły neony, a z przyćmionych kawiarni dolatują dźwięki walcy. W tym wszystkim wszelkie kłopoty w rodzaju przymusowego wyjazdu robotników do Niemiec i inne <<przyjemności>> odbywają się jakby poza rzeczywistością. Teatry pełne, do kin długie ogonki, kobiety i mężczyźni ubierają się tak elegancko, jak nigdy dotąd. Nikt nie płaci żadnych podatków, czarny rynek zorganizował się już dobrze i jak się ma pieniądze wszystko można kupić. Do szczytu wytworności należy oglądanie amerykańskich filmów na seansach prywatnych za drogie pieniądze. Po zobaczeniu Clarka Gable czy innej gwiazdy ma się i przyjemność ryzyka (seanse są oczywiście tajne) i uczucie brania udziału w ruchu oporu.”<sup>171</sup>

Mieszkańcom miasta udawało się niejako przejść nad obecnością obcych wojsk do porządku dziennego, zachować mimo wszystko spokój (choć warto pamiętać, że było to możliwe przede wszystkim dlatego, iż Niemcy starali się być bez zarzutu<sup>172</sup>). Bobkowski zaakceptował pewną konwencję narzuconą przez miejsce; pozwolił by i jego chroniła ona przed nieustającym dyskomfortem pokonanego. Spróbował przejąć te zwyczaje paryżan, które pomagały im przetrwać. Stolica Francji była na wskroś antyheroiczna, cywilna, niepogodzona z militaryzacją Europy, Bobkowski zaś tę atmosferę chłonał a potem odzwierciedlał w swoim dzienniku. Nie

---

<sup>171</sup> Ibidem, s.158.

<sup>172</sup> „Zamiast – zgodnie z oczekiwaniami Francuzów – poczyniać sobie jak legiony Attyli, co robili przecież w Polsce, żołnierze niemieccy, ku ogólnemu zaskoczeniu, byli przyjaźnie nastawieni, kulturalni i uprzejmi. Zachowywali się bardziej jak turyści spędzający czas na zwiedzaniu, fotografowaniu i zakupach, niż jak zdobywcy. Okupowana ludność się odwzajemniała.” – pisał F. Spotts. F. Spotts, *Haniebny pokój...*, s. 27 – 28.

pozostawał jednakże wyłącznie obserwatorem, przenikliwie patrzącym z dystansu, przeciwnie – w pełni świadomie zdecydował się na uczestnictwo w tej miejskiej uczcie życia. Pozwolił by Paryż go prowadził, by pokazał mu swoją strategię przetrwania. Co nie zmienia faktu, iż był wobec tejże głęboko krytyczny - okupacja wszak mimo wszystko niszczyła, upokarzała, degradowała, czego Francuzi nierzadko zdawali się z uporem nie dostrzegać. Niemniej jednak jeśli miarą życia i czasu uczynić filozoficzne „teraz”, ich metody niewątpliwie przynosiły ulgę, pozwalały zachować złudzenie kontroli nad sytuacją a także resztki wiary w niezmiennosc rzeczy. W rezultacie Paryż nawet w trzecim roku wojny jawił się Bobkowskiemu jako oaza spokoju. Dbalosc jego mieszkańców o zachowanie rytmu i kształtów dawnego życia sprawiała, że wciąż mieli oni poczucie bezpieczeństwa. Diarysta, obserwując jak wielką wagę Francuzi przywiązywali do codziennych rytuałów, dostrzegał, że w konsekwencji pozwoliło im to w czasie wojennych miesięcy zachować złudzenie, iż nic się nie zmieniło. Potrafił docenić te, być może bardzo naskórkowe, „działania obronne” paryżan. Poddanie się klimatowi miasta, wszechobecnej rytualizacji życia sprawiało mu – jak to wielokrotnie odnotowywał – nieklamana radość, pisał wówczas na przykład:

„Dzisiaj rano otworzyłem okiennice i od razu siknęło do pokoju słońce. Z daleka dolatywały dźwięki radia z zawsze tym samym programem niedzielnym. Od chwili naszego przyjazdu budzimy się w każdą niedzielę przy dźwiękach 2-jej Rapsodii Liszta, <<Tristesse>> Chopina i <<Bolero>> Rawela. Te trzy melodie są częścią niedzielnego poranku. I choć śmiejemy się z tego – co niedzielę – to ma to jakiś swoisty urok. Powtarzalność pewnych rzeczy w życiu – do tego w tym obecnym – daje złudzenie stałości. W ogóle wiele tych głupstw, tego, co tak często nazywa się <<francuskim zacofaniem>> daje właśnie poczucie <<spokoju pomimo wszystko>>. Ten robotnik paryskiego metra chodzący wolno po peronie stacji i skrapiający go przy pomocy starej puszkii od konserw z podziurawionym dnem, do której leje wodę z dzbanka, ten kierownik pociągu, który do zbiegającej po schodach Basi woła: *Dépchez-vous, mademoiselle* i czeka z odjazdem metra, ta instytucja konsjerżek, zawsze ciekawych i paplających (napoleońskie gestapo) oraz obowiązkowy <<kot – piekarz>>, <<kot – rzeźnik>> itd., wylegujący się nieraz na wystawie wśród towarów przeznaczonych na sprzedaż – to wszystko tak jakoś dziwnie wiąże, zamienia życie w łagodne pasmo tych samych <<pomimo wszystko>> - pomimo Niemcy, pomimo Nowa Europa, pomimo Laval, pomimo Führer.”<sup>173</sup>

Zatem to właśnie miasto uwarunkowało Bobkowskiego gdy zdecydował się przyjąć w dzienniku perspektywę antyheroiczną. Było bowiem inspirujące w swoim spokoju i konsekwentnej

---

<sup>173</sup> Ibidem, s.107 – 108.

celebracji codzienności. Diaryście wystarczyło po prostu przyjąć reguły gry, które narzucił sam Paryż. Wyniki tego swoistego eksperymentu przedstawiał na bieżąco na kartach dziennika. Próbował na własnej skórze sprawdzić, jak to jest, gdy świadomie zaakceptuje się niektóre obowiązujące w tym społeczeństwie zachowania, pewien model istnienia w dobie katastrofy. Jego życie zewnętrzne ( bo już nie duchowe czy intelektualne ) nie wyróżniało się przeto specjalnie na tle bytowania innych mieszkańców stolicy Francji. Jak to już zostało zaznaczone był jednak paryżaninem, tylko zewnętrznie wtopionym w tłum, a wewnętrznie często bardzo krytycznym. Świadomy skomplikowanej historii Francji, częściowo także przyczyn jej głębokiego kryzysu, dodawał do zgromadzonej wcześniej wiedzy wyniki wnikliwych codziennych studiów nad francuskimi współmieszkańcami. Patrzył, jak wszelkimi metodami próbowali sami siebie przekonać o swej niezmiennej wyjątkowości, jak też o tym, iż „historia się ich nie ima”. Dostrzegał wiarę, że potrafią przejść nad nią kontrolę, przynajmniej w najważniejszym, jak sądzili, aspekcie - zachowania pozorów. Uporczywa koncentracja na formie była drugą, ciemną, stroną francuskiej strategii przetrwania.

„W teatrze pełno. – zaobserwował diarysta – Ludzie odwrócili się od modernizmu. Francja, jakby czując swój koniec, spogląda zachłannie wstecz, w te czasy, gdy była jeszcze czymś.[...] Jakiegokolwiek pamiętniki, gdy tylko ukarzą się w księgarniach są natychmiast wykupione. Jeżeli dalej tak pójdzie, to po wojnie zapanuje moda sznurówek, krynolin, współczesnionej pruderii i skromności i miłości romantycznej. Publiczność teatrów i innych miejsc rozrywki roi się teraz od nowobogackich czyli paskarzy, jak to się mówiło po pierwszej wojnie. Ludzie dorabiają się fortun na czarnym handlu i obnoszą swoje bogactwa, gdzie mogą. Młodzi ludzie z długimi włosami i w długich marynarkach tak zwani <<zazou>>, panie w wielkich kapeluszach lub fantastycznych turbanach. Wszystko nowe, błyszczące, lśniące. Paris de la belle époque.”<sup>174</sup>

Czym zatem, wedle wersji dziennikowej, zajmował się Andrzej Bobkowski w ówczesnym Paryżu, gdzie poszukiwał przestrzeni zrozumienia i konsolacji? Na pewno pochłaniały go lektury, kino, teatr, wystawy, gdzieś pomiędzy nimi także słuchanie muzyki, a nawet własne próby fortepianowe. Te ostatnie miały miejsce w związku z lekturą „Listów” Chopina. Bobkowski pisał, iż „utonął w nich”<sup>175</sup>, zachwycony bezpretensjonalnością kompozytora, który traktował samego siebie jak rzemieślnika, a nie kogoś, kto „pływa w mgłach preludiiów i etiud”<sup>176</sup>. Chopin zainspirował diarystę do tego stopnia, że po latach przerwy sam znowu zaczął grać. Czytając

---

<sup>174</sup> Ibidem, s.166.

<sup>175</sup> A. Bobkowski, *Szkice piórkem...*, t.1, s.275.

<sup>176</sup> Ibidem, s.276.



listy muzyka, nabrał ochoty by poznać jego samego i jego twórczość tak dokładnie, jak to tylko możliwe. Zaczął zatem zgłębiać tę postać nie tylko umysłem (poprzez uważną lekturę) ale i ciałem – palcami przywołującymi utwory kompozytora. Andrzej Bobkowski cenił sobie komplementarność wrażeń; jego metoda poznania opierała się na niewykluczaniu żadnych aspektów rzeczywistości, a już szczególnie tych, które są niedostępne dla intelektu. Listy i nuty, słowa i dźwięki, pozwoliły mu wyrobić sobie zdanie na temat Chopina jako człowieka. Pisał:

„Kupiłem sobie trochę nut i po wielu latach zabrałem się znowu do brzdąkania na fortepianie. [...] I gdy teraz rozczytałem się w nutach Chopina, zachwycam się nim zupełnie na nowo, zachwycam się ich prostotą i wspianą robotą. Jeżeli jest w tym melancholia, to zupełnie świadoma, opracowana. Genialna prostota, zrozumiałość, muzyka nie dla nadludzi, żadnej metafizyki czy idei – po prostu muzyka. Z całą bezkompromisowością polskiego serca i polskiej wrażliwości. Jak był inteligentnym, to widać z każdego listu. Urocza inteligencja spokojnego mężczyzny i silnego artysty, u którego talent był na jego usługach, a nie – jak to się często dzieje wśród Słowian – człowiek na usługach talentu. Dobre serce, przemiły sceptycyzm i ironia, sporo autoironii jak u wszystkich natur zdających sobie sprawę z własnej wartości – myśl prosta i życiowa, trochę egoizmu.”<sup>177</sup>

Cytowany wyżej fragment pokazuje też, jak wysoko w hierarchii wartości diarysty stało, różnie realizowane, obcowanie z innymi ludźmi. Bobkowskiego zawsze interesował człowiek, z jego niepowtarzalnością, wrażliwością, jedynym w swoim rodzaju sposobem istnienia w świecie. Dotyczyło to także artystów, pisarzy, filozofów. Prócz spotkań wymagających pokonania bariery czasu i przestrzeni, diarysta lubił także i te jak najbardziej realne, będące okazją do wymiany myśli „na gorąco”. W „Szkiecach” pojawia się wiele śladów życia towarzyskiego Bobkowskich. Autor dziennika doceniał bowiem wartość rozmów, które pomagały mu uzyskać upragniony intelektualny dystans do świata. Dyskutując z innymi, dopracowywał własne opinie, formułował prognozy polityczne, podtrzymywał w sobie przekonanie, iż nie jest osamotniony w swych przekonaniach i intuicjach. O ważnych dla siebie spotkaniach pisał na przykład 23 lutego 1943 roku:

„K. czyta gazety i pisma, ja książki. Codziennie rano, spotkawszy się przy stole na scenie *salle des fêtes* merostwa Châtillon – sous – Bagneux robimy przegląd sytuacji. [...] Czasem przyjeżdża P. inżynier i filozof. Mówi cicho i miarowo.<< Więc co, sądzi pan, że Anglicy i Amerykanie pozwolą Rosji wejść do środka Europy?>>. Uśmiecha się. <<Pozwolą. Nie miejmy złudzeń. Będą czekać, aż umrze Stalin i potem – zobaczą.”<sup>178</sup>

---

<sup>177</sup> Ibidem, s.276.

<sup>178</sup> A. Bobkowski, *Szkice piórkem*..., t. 2., s.191.

Dzięki takim, jak ta, rozmowom, diarysta mógł czuć się przygotowany na każdą „niespodziankę” historii. Zyskiwał też pewność, że gorzka świadomość tego, co się wokół dzieje, nie jest nieszczęściem, które przytrafiło się wyłącznie jemu. Warto zwrócić uwagę, iż w tle tych spotkań pojawiają się książki - bez nich Bobkowski nie wyobrażał sobie rzeczowej dyskusji. Autor „Szkiców” był wszak, jak to już zostało ustalone, przede wszystkim „czytaczem”, a zatem kimś, kto siebie samego i swoją egzystencję osadza w szerokim kontekście poznawanych przez całe życie dzieł. Dla porównania przypomnieć można postać Mihaila Sebastiana, który na kartach swego dziennika definiował siebie głównie poprzez arcydzieła muzyki, których namiętnie słuchał. Bycie melomanem godziło go ze światem i pozwalało osiągnąć stan chwiejnej równowagi psychicznej. Nie lekceważąc wartości słowa pisanego, 17 września 1939 roku stwierdzał:

„Cóż mi pozostaje do zrobienia w tych dniach, które mogą być dniami ostatnimi? Chciałbym ciągle słuchać muzyki – to jedyny mój narkotyk. Umrzemy któregoś dnia jak zarżnięte kury. Powinienem oczekiwać nadchodzącej katastrofy z mniejszym roztrzęsieniem, z większą uwagą i z otwartymi oczami.”<sup>179</sup>

W zapisach dziennikowych Sebastiana prawie codziennie pojawiają się tytuły utworów, którymi diarysta akurat się delektował. Co warte zauważenia, niemal zawsze podawał nazwy miejsc, z których nadawana była muzyka. Były to miasta takie jak Budapeszt, Praga, Berlin, Warszawa. W tej perspektywie kontynent stanowił zadziwiająco spójne, harmonijne miejsce. Dla rumuńskiego pisarza dzieła kompozytorów miały moc chwilowego integrowania Europy, rozpadającej się właśnie – duchowo i fizycznie - na kawałki. Gdy zatem Mihail Sebastian pisał: „Jestem w pełni Bacha”<sup>180</sup> to słowa te miały charakter niemal modlitewny. Andrzej Bobkowski, jak można z całym przekonaniem sądzić na podstawie chociażby „Szkiców”, także doceniał moc muzycznych arcydzieł. Nie były one jednak jego pasją, lecz niemal naturalną komponentą otaczającego świata. Czymś w sposób oczywisty obecnym w codziennym doświadczeniu albo w pamięci, miarą rzeczy. W czasie swojej śródziemnomorskiej rowerowej podróży napisał np.

„Wstaliśmy rano i cieszymy się, bo jest słońce. Ciepło nie jest, ale można wytrzymać. Marie dała nam trzy litry mleka i siedzi z nami przy śniadaniu. Świergota od samego rana, jak wróble na podwórzu. Postać z powieści. Jest tak skończona i doskonała w swoim rodzaju, jak fuga Bacha.”<sup>181</sup>

Niewątpliwie nie było to dla niego puste, nic nieznaczące porównanie. Wobec jednak tragedii, jaką był dla Bobkowskiego rozpad znanego mu świata schronienia i odpowiedzi szukał raczej w

---

<sup>179</sup> M. Sebastian, *Dziennik 1935 - 1944*, s.354.

<sup>180</sup> Ibidem, s.23.

<sup>181</sup> A. Bobkowski, *Szkice piórkem...*, t.1., s.192.

książkach. Podobnie czynił Jonas Mekas, dla którego lektura była zaspokojeniem tęsknoty za ładem, swoistym sposobem na przywrócenie światu twarzy. 29 stycznia 1949 roku litewski diarysta zanotował:

„Stefan George, Valery – wiem, że niektórym wyda się bardzo głupie ekscytowanie się paroma książkami. Ale ja tak właśnie żyję, marzeniami... Po wojnie zostało tak niewiele rzeczy nieskażonych brudem, wstydem, zdradą. Człowiek odgarnia cegły i gruz, zdmuchuje pył i czyta, czarno na białym...”<sup>182</sup>

Dzienniki Andrzeja Bobkowskiego są niewątpliwie zapiskami intelektualisty, ale obok obszernych fragmentów, będących niemal mini esejami o tematyce historycznej czy filozoficznej, znalazły się w dzienniku także notatki dotyczące czysto fizycznych przyjemności, pozwalających przetrwać w okupowanym mieście. Z diariusza wynika, iż czas spędzony aktywnie, w ruchu, był dla Bobkowskiego zawsze w pewien sposób czasem uświęconym. Diarysta potrafił koncentrować się na czystej radości istnienia w jego biologicznym wymiarze i rzec by można, iż stanowiło to dla niego rodzaj medytacji. Ukochane przez niego wyprawy rowerowe ( ten rodzaj aktywności preferował ) były także sposobem na uczestnictwo w miejskim pejzażu, swoistym hołdem złożonym ulubionej przestrzeni. Jest ona w „Szkiecach piórkiem” dookreślona, Bobkowskiemu zdarza się opisywać trasy swoich wycieczek niemal „krok po kroku”, tak jakby chciał w przyszłości móc dokładnie odtworzyć je w pamięci. Nie pomijał nazwy niemal żadnej uliczki, czy placu. Jedną z eskapad Bobkowskich miała miejsce 6 grudnia 1942 roku:

„Słońce i ciepło. [...] – pisał autor „Szkieców” – Zjedliśmy obiad wcześniej i na całe popołudnie pojechaliśmy na rowerach do Lasku Bulońskiego. W lasku dużo ludzi, dużo rowerów i dużo dzieci. Słońce przygrzewało zupełnie nie po grudniowemu, a w całym powietrzu unosiła się mglista letniość. Przejechaliśmy nad stawem, potem koło Bagatelle i wjechaliśmy na avenue de Neuilly, [...]. W jakimś bistro koło Etoile napiliśmy się gorącego wina. Łuk Triumfalny czerwienił się w promieniach zachodzącego słońca i rzucał długi cień na Pola Elizejskie, usiane różnokolorowymi plamkami przyczepek <<vélo – taxi>>, malowanych we wszystkich odcieniach. Z Etoile zjechaliśmy do Trocadéro. Wieża Eiffla wyglądała jak kolorowa franka rozpięta na błękitno – popielatym niebie. Trocadéro brzydnie. Zaniedbane od wybuchu wojny, czernieje. Pozłótka na efektownych rzeźbach wyciera się, a brak wody w dolnych basenach zwiększa jeszcze bardziej wrażenie opuszczenia. Całość przypomina luksusową ale zaniedbaną łazienkę.

---

<sup>182</sup> J. Mekas, *Nie miałem dokąd iść*, s.197.

Od Trocadéro dalej w dół ku Place Alma. Pomnik Mickiewicza. Z Alma nad Sekwaną. Lubię ten kawałek. Na lewo szklana i secesyjna góra Grand – Palais, na prawo Pont Alexandre III. Olbrzymie, złote konie, a tam dalej śliczna perspektywa na Invalides. Wpadamy na Concorde. Wygląda w grudniowym półmroku, jak nawa jak nawa wielkiego kościoła. Ołtarz obelisku, dwie ściany ciemne i olbrzymie Ministerstwa Marynarki, a w głębi kolumny Madeleine, sztywne i chłodne, jak rząd rur w organach. Cicho, po kociemu, prześlizgujemy się wzdłuż muru i ogrodzenia Tuilleries, od których powiewa zapachem suchych liści. Luwr. Potem chwila jazdy w mroku jego murów i znowu secesyjna góra szkła. To <<La Samaritaine>>. Ale już dalej, na tle granatowego nieba czernią się ostre zęby Conciergerie. W mroku giną wypukłości. Wieje grozą i ciszą. Châtelet i Place de L'Hôtel de Ville. Na Sekwanie, jak wielka tratwa, płynie wyspa Św. Ludwika. Na lewo kłębowisko uliczek dzielnicy Saint – Paul, tworzących czarne otwory w jednostajnym murze obdrapanych kamienic. Wejścia do krecich nor, do jednego z podziemi Paryża, gdzie hotele są brudne, mężczyźni nie chodzą, lecz krążą, a młode dziewczyny przypominają nadgniłe owoce.

Z dworca lyońskiego, ze wszystkich wejść wylewa się czarna lawa tłumu, dzieli się na poszczególne strumienie, jak we wgłębieniach wulkanu i wcieka powoli w otwory metra lub w ulice. Gdy zajeżdżamy przed dom jest już ciemno.”<sup>183</sup>

Ten i podobne fragmenty dziennika stanowią swoistą „mapę pamięci”, wyznaczoną przez diarystę, by w przyszłości niczego nie uronić, nie zapomnieć. Dzięki niej miał już zawsze móc powrócić do tamtych dni i miejsc. „Zilustrował” ją szkicami, wykonanymi na prędcie, w ruchu, za pomocą kilku kresek i kropli koloru. Bobkowski przyglądał się Paryżowi tak, jakby wiedział, że jest to przestrzeń niemal już utracona. Nikt przecież nie uczy się na pamięć miasta, w którym zamierza na zawsze pozostać. Paryż Bobkowskiego nie mógł być bezimienną „impresją na temat”, bo przywoływanie realnych, nie anonimowych miejsc, widzianych w określonych dokładnie chwilach, potwierdzało prawdziwość codziennego doświadczania metropolii. Zatem diarysta – jak najbardziej świadomie – Paryż zapamiętywał i zapisywał. O tego rodzaju praktyce – „magazynowania wrażeń” napisał kiedy indziej:

„Lemoniada, kawałek czekolady, papieros i słoneczna cisza. Są to te chwile, które chowam w sobie na zawsze, które zbieram i gromadzę na później, wpłacam na rachunek bieżący wzruszeń. Potem mogę nagle usiąść, zamknąć oczy i wypisać szybko czek, przeżywając je z taką samą intensywnością. Całe południe Francji mam w ten sposób wpłacone. Gdy tylko zechcę, czuję upalne wieczory, słyszę dźwięki, oddycham morzem i piaskiem.”<sup>184</sup>

---

<sup>183</sup> A. Bobkowski, *Szkice piórkem...*, t.2., s.166-167.

<sup>184</sup> Ibidem, s.253.

Na tej samej zasadzie Bobkowski wpłacał na „rachunek bieżący wzruszeń” także Paryż. Gwarantem pamięci miał być dziennik.

Wedle owego diariusza zaś, gdy autor nie czytał, nie słuchał muzyki, nie spędzał czasu z żoną lub przyjaciółmi to najczęściej gdzieś pędził i coś załatwiał. Przy czym chętniej zapisywał później to, co się działo pomiędzy trudnymi wizytami w urzędach. Pokazywał siebie w ruchu, na tle miasta, które oglądane z siodełka roweru traciło wiele z okupacyjnej grozy. Przed oczami diarysty przesuwały się monumenty, kamienice, oswojone przestrzenie księgarń, antykwariatów, muzeów. Bobkowski świadomie nie koncentrował się na trudach swojej zawodowej codzienności. W diariuszowych zapisach najczęściej pozostawiał je w domyśle, w podtekście. Dzięki temu dzień spędzony w urzędach, stawał się – w pamięci i w dzienniku – dniem wartym przeżycia, zapamiętania. Rzeczywistość „dynamiczna”, doświadczana w pędzie zdawała się nie podlegać tak bezwzględnie prawom historii. Dlatego o swojej pracowitej paryskiej codzienności Bobkowski pisał na przykład tak:

„Jeżdżę po Paryżu przez cały dzień. Z przestrzennych Bulwarów wpadam w mroczne i zawsze inne (albo te same i też zawsze inne) uliczki, patrzę, myślę i nie myślę, podgwizduję, na skrzyżowaniach ulic wyciągam rękę i pokazuję kierunek, w którym skręcam, uśmiecham się do policjanta. Czasem czekam, aż przepłynie kolumna szarych samochodów i jadę dalej. Zagadam coś, do pomnika Molièra, pomnikowi Gambetty w Luwrze powiem zawsze: <<Najwyższy czas, żeby cię Niemcy zdjeli>> (Niemcy mają podobno ten dobry pomysł), przemknę koło kościoła St. Germain albo pooglądam obrazy, reprodukcje i antykwariaty na rue Bonaparte. Nurkuję w starych uliczkach i wypływam w przedpokoju jakiegoś Ministerstwa lub dyrekcji przemysłu. Wiem, że uda mi się załatwić wszystko, ale za jakieś trzy miesiące. Ci z prochowni też dostaną pieniądze. Tymczasem trzeba pisać listy i sterczeć w przedpokojach. Sterczę. Potem znów przejeżdżam Sekwanę i wpadam na rue du Faubourg – Saint Honoré. Piękne i dawniej niewidoczne kobiety, chodzą teraz piechotą lub jeżdżą końmi. Powoziki, tilbury, kariolki. Paryż wygląda jak sto lat temu [...].”<sup>185</sup>

Metodą diarysty na okupację stał się zatem pęd, poczucie humoru i – by tak powiedzieć – wybiórcze akcentowanie chwil. Dzięki temu brał miasto w posiadanie i zapobiegał odczuciom, takim jak te, opisane dnia 1 września 1940 roku :

„Przetaczamy się wolno przez ~~He~~ res. – zanotował wówczas – Nagle ciszę rozświetlonego popołudnia rozdziera wycie syren samochodowych i przez ulice przejeżdżają w pędzie dwa olbrzymie, szare „Mercedesy”; w nich, upchani równo i prosto, Niemcy. Mignęli, ale wydawało

---

<sup>185</sup> A. Bobkowski, *Szkice piórkem*..., t.1., s.206.

mi się, że dostałem pięścią w żebra. W ryku motorów, w zadartych wysoko rondach czapek, w tych bez zarzutu graficznie rozwiązanych orłach, odezwała się rzeczywistość.”<sup>186</sup>

Dla Bobkowskiego ruch, przemieszczanie się, jest podstawą *conditio humana*, gwarancją człowieczeństwa nieskrępowanego. Nigdy potem nie pozwolił już, by zaistniała opozycja między jego znieruchomieniem a dynamizmem zwycięzców.

Paryż Bobkowskiego był, jak to wcześniej zostało zaznaczone, miastem traconym. 2 grudnia 1941 roku diarysta odnotował w dzienniku odczucie niemal fizycznego bólu tęsknoty za „jakimś krajem, w którym kwitną orchidee”<sup>187</sup>. Już wówczas kiełkowała w nim decyzja o wyjeździe z Europy. 26 lipca 1942 roku przyznał w dziennikowej notatce, iż zaczął zbierać pieniądze, potrzebne do tego, by opuścić kontynent. Parę miesięcy później, w trakcie powrotu z wakacji do Paryża, ogarnęło go silne przekonanie o nieuchronności zmiany. Później zapisał:

„Elektryczny ekspres pędził ponad sto na godzinę ( znowu ruch, pęd, olśnienie w biegu – przyp. mój ), a ja cały czas myślałem o tym, że któregoś dnia w tym samym tempie powiem <<adieu>> całej Europie i wyniosę się do jakiegoś rezerwatu, gdzie nie trzeba się pchać od samego rana.”<sup>188</sup>

Jednakże poprzedniego dnia Bobkowski w swoim diariuszu skonstatował: „Czuję, że cokolwiek jeszcze stanie się w moim życiu Paryż będzie domem.”<sup>189</sup> Był zatem niezdecydowany, rozdarty, uwikłany w trudną miłość do niedoskonałego miasta. Dotknęło go podwójne wydziedziczenie. Dość szybko uświadomił sobie, że do Polski nie będzie mógł wrócić i jednocześnie zrozumiał, że jego druga ojczyzna – Francja, została nie tylko fizycznie zawłaszczona przez okupantów, ale też w obliczu nieszczęścia dokonywała stopniowego duchowego samozniszczenia. Diarysta tracił zatem Paryż nie tylko dlatego, iż dojrzał do pożegnania, lecz również dlatego, iż miasto, które znał umierało, a on sam na co dzień mógł obserwować jak karleje, przekreślając na zawsze własny mit. Obraz Paryża malował zatem w „Szkicach” ze szczególną starannością, należną rzeczom, których przemijanie obserwować możemy na własne oczy.

„Jedna z tych cudownych niedziel wczesnej wiosny. – pisał 22 marca 1942 roku - Drzewa lepią się od pączków, cisza, słońce i ciepło. Po południu poszliśmy się włóczyć nad Sekwaną – pić słońce z winem na tarasie jakiegoś bistra, mrużyć oczy, drzemać w jasności i ciepłe. [...]. Po tej wścieklej zimie, słońce ogłupiło nas i otumaniło. Sekwana, Notre – Dame, bukiniści, ludzie,

---

<sup>186</sup> Ibidem, s.114 – 115.

<sup>187</sup> Ibidem, s.282.

<sup>188</sup> A. Bobkowski, *Szkice piórkem...*, t. 2., s. 138 – 139.

<sup>189</sup> Ibidem, s.138.

drzewa – wszystko było malowane nie akwarelą, lecz wodą, w której rozpuściło się trochę farby.”<sup>190</sup>

Bywało, iż w swoich opisach odwoływał się do poetyki Balzakowskiej i wówczas miasto prezentowało się na przykład tak, jak w zapisie z dnia 28 sierpnia 1941 roku. Tu diarysta dał się poznać jako mistrz miniatury:

„Mała, ciasna uliczka w okolicach Jardin des Plantes. – pisał - Światło poranne przefiltrowane przez mgiełkę. Na ulicy złotawy półmrok, na brzegach chodników jeszcze pełne pudła ze śmieciami, w których grzebią się psy. Pod ścianami domów prześlizguje się ociążonym truchtem kilka wielkich szczurów. A środkiem ulicy włókł się ślepiec z białą laską ciągnąc ciężko wyładowany wózek na dwóch kołach. Macał laską przed sobą i dociągał wózek do każdego wymacanego punktu. Ruch wózka był ciągiem małych skoków. Z wózka zwieszała się brudna, purpurowa szmata.”<sup>191</sup>

Paryż widziany w ten sposób istniał przez chwilę poza historią, albo raczej zanurzał się w historii pojmowanej szeroko, niemal mitycznej, nie tożsamej z aktualnym momentem dziejów. W tej perspektywie niemiecka okupacja nie determinowała obrazu miasta, bądź też robiła to w tym samym stopniu jak wszystko inne, co się przez stulecia temu miejscu przytrafiło. Diarysta potrafił przenosić Paryż w stan ahistoryczności, pozwalał mu zastygać w bezruchu, pozbawiał go grymasu surowej współczesności. W rezultacie w jego opisach stolica Francji była prześwietlona słońcem i smakowała jak wino. Paryż stawał się schronieniem, pozwalał diaryście w pewnym stopniu ocalić osobistą niepodległość – w sensie duchowym, intelektualnym, emocjonalnym. Z drugiej strony stanowił także punkt obserwacyjny, z którego diarysta widział, jak zapadają się w nicość kulturowe aksjomaty. Przed głęboką rozpaczą, mogącą być wynikiem tych obserwacji, chroniło go między innymi właśnie wiecznotrwałe paryskie piękno - niezależne od współczesnego szaleństwa, immanentne. Warto jednak podkreślić, że ahistoryczny, „osobisty” Paryż był w dzienniku domeną chwili, trwał w zaklętym „teraz”, poza momentami olśnień pozostając, także dla diarysty, podbitą stolicą europejskiego kraju, upokorzoną własną niemocą i konformizmem. Piękno miasta, a czasem także jego fascynująca brzydota, były przez diarystę postrzegane jako znak suwerenności przestrzeni, jej niezależności od biegu dziejów. Miał jednak świadomość, że jest to złudzenie, wynik pracy ukierunkowanego umysłu. Poddawał się mu, by nie pograć się w rozpacz, by nie uczestniczyć bezustannie w upadku mitu, nie zмагаć się na co dzień z koniecznością jego odrzucenia. Uroda kamienia, cykliczność pór roku, słońce oświetlające monumenty wydawały się trwać absolutnie niezależnie od ludzkiego obłędu –

---

<sup>190</sup> Ibidem, s.79.

<sup>191</sup> A. Bobkowski, *Szkice piórkem...*, t.1., s.252.

odporne na retorykę, łatwe do zdefiniowania, niepodległe historii. Stanowiły dekoracje codzienności, która w dobie wszechobecnego szaleństwa stała się wartością samą w sobie. Andrzej Bobkowski przyznawał jej szczególny status. Smakował ją, doceniał, przyglądał się z uwagą. Zdawał sobie sprawę z jej, zupełnie dosłownej w wojennym czasie, kruchości. Starał się zatem żyć w czasie teraźniejszym, nie wspominając, nie planując, ciesząc się realnością każdej chwili.

### **1.6. W stronę ostatecznego końca kultury. Refleksja czasu wojny**

Lata spędzone w Paryżu były dla Andrzeja Bobkowskiego ważne i pisarsko płodne. Stały się też czasem refleksji nad kondycją człowieka dwudziestego wieku. Rozmyślenia na ten właśnie temat utrwalone w „Szkicach piórkiem”, stanowią jedną z ich ważniejszych płaszczyzn. Bliźni, jakim go widział w owym czasie diarysta, był przede wszystkim zagubiony w swojej epoce i uprzedmiotowiony przez totalitarnych demagogów. Bobkowski skłonny był jednak przypisywać winę za tę sytuację nie tylko historycznemu fatum, lecz także duchowym zaniedbaniom swoich współczesnych. Pisał:

„Jeśli dziś człowiek przedstawia tak znikomą wartość, to w pierwszym rzędzie dlatego, że zapomniał o własnej wartości, że sam siebie w dziedzinie ducha szacuje za tanio i że zatracił poczucie swojej wyjątkowości, kimkolwiek byłby. Nastąpiła wewnętrzna dewaluacja i deprecjacja człowieka w człowieku. Tylko to mogło doprowadzić do tego, co jeszcze pięćdziesiąt lat temu wydawało się wykluczone.”<sup>192</sup> Człowiek zawinił niedostatecznym wyczuleniem na niepokojące sygnały nadchodzącego szaleństwa. Zajęty sobą, powierzchownie interpretujący rzeczywistość, zbyt długo nie dostrzegał zagrożenia. Pozwolił sobie na duchowe lenistwo, a w konsekwencji stracił wiarę w swoją siłę sprawczą, we własny wpływ na losy świata. Niepewny wyznawanego systemu aksjologicznego, niesklonny do autorefleksji, wykazał się zadziwiającym brakiem odporności na duchowe zniewolenie; zdawać by się mogło, iż zapomniał o swoich korzeniach, o tradycji, która go ukształtowała. Ubezwłasnowolnienie oferowane przez totalitarnych ideologów okazało się mieć dla niego wielką siłę przyciągania - rzesze uwierzyły, iż państwowy paternalizm zapewni im szeroko pojętą stabilizację i uznały, że jest to wartość nadrzędna. Nie przewidziały ceny jaką przyjdzie za to zapłacić. Nie wzięły pod uwagę, iż tracą absolutny fundament godnego bytu, jakim jest wolność w jej prymarnym wymiarze, konieczna – zdawałoby się - do życia jak powietrze:

---

<sup>192</sup> A. Bobkowski, *Szkice piórkiem...*, t.2, s.302.



„Podstawowy sens wolności to wolność od kajdan, więzienia, zniewolenia przez innych. – pisał I. Berlin - Wszystko inne jest rozwinięciem tego sensu lub metaforą. Dążenie do bycia wolnym to usiłowanie usunięcia przeszkód, walka o wolność osobistą to usiłowanie zminimalizowania ingerencji, wyzysku, zniewolenia przez ludzi zmierzających ku własnym, a nie naszym celom. Wolność, przynajmniej w sensie politycznym, jest tożsama z nieobecnością prześladowania czy dominacji.”<sup>193</sup> Ludzie zdawali się jednak o tym zapominać, lub też tkwić w swoistym duchowym odrętwieniu. Demagodzy totalitarni posługiwali się kusząco łatwymi formułami opisującymi świat i to przysłoniło ludziom stopień ich determinacji, prawdziwe intencje, główny cel, jakim było stworzenie od podstaw – siłą – doskonałego człowieka. Z perspektywy Francji groza takiego biegu rzeczy była dla Bobkowskiego tym wyraźniej odczuwalna. W optyce diarysty bowiem kraj ten, przy wszystkich zastrzeżeniach, był przyjazny człowiekowi i „szyty na ludzką miarę”. Znaczenie miała tu nie tylko przeszłość, z Deklaracją Praw Człowieka i Obywatela, ale – mimo okupacji – także współczesność. Francja pozostawała w pewien sposób wyspą na oceanie obłędu, „skansenem”, w którym przetrwał pro-ludzki model istnienia:

„Można się dziesięć razy, dwadzieścia, pięćdziesiąt i sto razy wściekać, kląć Francję i Francuzów, ich organizację, - zanotował diarysta – a za sto pierwszym ulec zupełnie czarowi tego <<czegoś>>, tej atmosfery. Tu wszystko jest związane z życiem, z człowiekiem, z jego spokojnym uregulowanym bytem. Wszystko się liczy, każdy papierek, każdy dom, każde głupstwo wędruje przez pokolenia, odnajduje się i ma swoje miejsce w życiu, ma łączność, z czegoś pochodzi i ŻYJE. Jak ich ulice, ich zabytki, domy i meble.”<sup>194</sup>

Andrzej Bobkowski, przyglądając się Francuzom, doceniał między innymi ich umiejętność opierania codziennej egzystencji na poczuciu bezpieczeństwa, wynikłym z posiadania. W kraju nad Sekwaną stało się ono niejako wyznacznikiem cywilizowanego człowieczeństwa. Święta własność prywatna była tu gwarantem godnego bytu, zaś polski diarysta doskonale wiedział, co stanowi totalitarną alternatywę dla tego stanu rzeczy. Miał pewność, iż pozbawienie ludzi możliwości gromadzenia majątku, dbania o niego, jest pierwszym krokiem do załamania ich wiary w porządek świata – w to, że mają jakikolwiek wpływ na swoją rzeczywistość. Bobkowski nie był przekonany, iż człowiek powinien przekraczać te uwarunkowania – przeciwnie, uważał, że to raczej rządzący są zobowiązani je uszanować. 13 marca 1943 roku zanotował:

„Nieraz siadam w fotelu, odkładam książkę i robię inwentarz, błędząc wzrokiem po pokoju, który jest jak gdyby nigdy nic. A tu tymczasem: tam, na górze są trzy pary zelówek. Dałem po 100 fr.

---

<sup>193</sup> I. Berlin, *Cztery eseje o wolności*, przeł. D. Grinberg, [w:] *Idee Europy. Wybór tekstów*, wybór i opracowanie K. Polus – Rogalska, Bydgoszcz 2004, s.92.

<sup>194</sup> A. Bobkowski, „*Szkice piórkiem...*”, t.1, s.297.

za parę, teraz już na pewno warte są 150 fr. Pod łóżkiem jest 10 kilo cukru. Płaciłem po 150 za kilo, teraz trzeba już dać 220 – i nic taniej. W walizce pod łóżkiem są jeszcze angielskie konserwy. To te z Dunkierki jeszcze, historyczne. Farmerzy zakopywali je i potem sprzedawali. Dałem po 40 fr. za puszkę, teraz i za 200 nie znajdzie. Ach te ryby w oliwie... W innej walizce jest futro Basi. Kupiliśmy je w zeszłym roku w lecie u Andrebruna. Te trzy walizki, obciążane pergaminem, to już na wyjazd do jakiegoś << rezerwatu wolności >>. Były drogie, ale dziś za byle co, oklejone marmurkowym papierem trzeba dać 500 albo 600 franków. Figlarnie spoglądam za szafę. Dwie nowe opony rowerowe na zapas. A nad nimi, w tajemniczym mroku, wisi otyła szynka w wieńcu suchej kiełbasy. Przebijam okiem ścianę do kuchenki i taplam się w garnku z masłem i ze smalcem. Same rozkosze. Wobec tego wbijam się głębiej w fotel, otwieram Hegla, którego nie mogę skończyć i pewnie nigdy nie skończę, i czytam. To rzadka masturbacja umysłowa. Przerywam i myślę, że przyjemnie jest MIEĆ, coś mieć do cholery. I w razie czego móc mieć więcej. I dlatego myślę coraz częściej o wyjeździe z Europy. Bo tu ludzie są tak zajęci myśleniem o tym, żeby przyszłe pokolenia coś miały, że ciągle te obecne nic nie mają.”<sup>195</sup>

Na poły humorystyczne wyliczenie Bobkowskiego jest znakiem czasu, potraktowaną przez diarystę z dystansem metaforą przetrwania. Posiadanie ma tu moc ochrony przed lękiem i poczuciem braku stabilizacji. Walizki czynią wszak bezdomnego wygnańca – podróżnikiem, kogoś przed kim świat stoi otworem. Zgromadzone dobra można w każdej chwili zabrać ze sobą w drogę do „rezerwatu wolności”, albo pozwolić, by tymczasem tworzyły bezpieczną przystań, zakorzeniały, na swój oczywisty sposób, w świecie. Dla Andrzeja Bobkowskiego nie ulegało wątpliwości, iż porządek społeczno – polityczny, który oparty jest na grabieży, na zniszczeniu więzi między człowiekiem, a owocem pracy jego lub jego przodków, musi być antyludzki bez względu na ideę, która ma ten fakt maskować. Świat na miarę człowieka jest bowiem światem rzeczy, miejscem przez niego „umeblowanym”. Jednostka pozbawiona wszystkiego, musi stać się niewolnikiem – by przeżyć. Staje się nieodporną na obietnice bez pokrycia, którymi szafują ideolodzy, bo gdy wszystkiego jej brak, chce chociaż zachować nadzieję na lepsze jutro.

„Człowiek mający coś swojego – pisał Bobkowski – nie może stać się termitem, nie może stać się kółkiem w bezdusznej maszynie kolektywu. Jeżeli komunizm zaczął od pozbawienia własności prywatnej, jeżeli z rolników zrobił coś w rodzaju urzędników lub robotników państwowych, to uczynił to właśnie dlatego że wyczuł niebezpieczeństwo i niemożliwość uformowania termita z człowieka związanego w jakikolwiek sposób z własnością. Jeżeli Francja, pomimo całego industrializmu wieku dziewiętnastego i dwudziestego zachowała indywidualność to dlatego, że

---

<sup>195</sup> A. Bobkowski, *Szkice piórkem...*, t. 2, s.232-233.

tutaj każdy c o ś m i a ł, starał się m i e ć lub marzył, aby coś m i e ć. Wszystko jedno jaka, własność wzmacnia szkielet indywidualności. Człowiek mający coś nie potrafi czuć się jednym z wielu, będzie zawsze bardziej sobą, jedynym egzemplarzem.”<sup>196</sup>

I dalej zauważył:

„Człowiek bez własności [...], zamienia się w liść lecący bez oporu za każdym powiewem jakiejś modnej ideologii. Jego logika staje się logiką tłumu, to znaczy żadną.”<sup>197</sup>

Posiadanie miało moc chronienia jednostki - w pewnym stopniu - przed zagrożeniami teraźniejszości, lecz równocześnie było jej „łącznikiem z historią”, sprawiało, iż czuła się ona kontynuatorem tradycji. Dziedziczyła wszak nie tylko nieruchomość, ziemię czy sklep, lecz – co za tym idzie – swoje miejsce na ziemi wśród minionych i przyszłych pokoleń. Dzięki temu nie była „wyrwana z historii” a przez to bezbronna wobec ideologii. Pozbawiony własności prywatnej, uzależniony od państwa wytwórca nie mógł czuć się kontynuatorem żadnej tradycji, koncentrował się z konieczności na przetrwaniu z dnia na dzień. Stał osamotniony wobec bezosobowej potęgi państwa, które narzucało mu rolę trybika w maszynie, czy też, jak pisał Bobkowski – termita.

Perspektywa zaniku indywidualności i groza kolektywu, były dla diarysty jednymi z koszmarów przewidywanej powojennej rzeczywistości. Bobkowski zdawał sobie sprawę, że Europejczycy zabrnęli w ślepy zaułek; poszukując „nowej wiary”, dali się uwieść szarlatanom. Autor „Szkiców” trafnie przewidywał przyszłość zaczadzonych komunizmem społeczeństw. Widział ją jako pasmo niespełnień i daremnych trudów, które przypadną w udziale poszczególnym jednostkom. Ujmował to w charakterystyczny dla siebie, obrazowy sposób:

„Gdyby komunizm się udał i spełnił wszystkie obietnice, przestałby być komunizmem i dlatego nigdy się nie uda. Cały dowcip w tej <<naukowej>> ideologii polega na tym, że obiecuje rzeczy niemożliwe, że do us... śmierci można <<dążyć, można <<czynić wysiłki>>, można <<kroczyć ku>> bez końca, z fatamorganą na horyzoncie. [...] Zawieszono wysoko kielbaskę i każe się skakać”<sup>198</sup>

Człowieka przyszłości widział zatem na podobieństwo owada i ta wizja wywoływała w nim głęboką niezgodę i bunt. Ubezwłasnowolnienie, otępiałość, brak umiejętności jasnej oceny sytuacji miały być nieodłącznymi cechami idealnego – w oczach twórców systemu – mieszkańca skomunizowanej Europy. Wszystko zaś, zdaniem diarysty, brało swój początek z оголоzenia człowieka z dóbr materialnych, a co za tym idzie i duchowych. Pisał wszak z przekonaniem:

---

<sup>196</sup> Ibidem, s.286-287.

<sup>197</sup> Ibidem, s.287.

<sup>198</sup> Ibidem., s.238.

„Poniżej pewnego poziomu nie można być człowiekiem. Można posiadać wszystkie cechy człowieczeństwa, trzymać się, ale kosztem potwornych wysiłków, paczących na pewno duszę. Posiadanie lub otrzymanie pewnej kultury bez równoczesnej możliwości częściowego choćby zaspokojenia potrzeb, które ona rodzi, prowadzi ludzi do zbroczeń mniej lub więcej niebezpiecznych dla otoczenia.”<sup>199</sup>

Zagrożenie prywatności było zatem dla Bobkowskiego niebezpieczeństwem najwyższej miary. Własność, prawo do posiadania ziemi, czy choćby własnego pokoju stanowiło w jego optyce nienaruszalną podstawę godnego bycia. Z jego opinią korespondują uwagi na ten sam temat zamieszczone w dzienniku Jonasa Mekasa. Nie zdając sobie chyba w pełni sprawy z ułomności powojennego europejskiego porządku młody Litwin pisał entuzjastycznie w 1945 roku, w Niemczech:

„Znaleźliśmy obóz dla uchodźców. Powiedzieli, że nie mają dla nas osobnego pokoju. Jeżeli chcemy, możemy mieszkać w dwudziestoosobowej sali, ale osobny pokój – wykluczone.

Wsiedliśmy do tramwaju pojechaliśmy na dworzec. Podjęliśmy decyzję: nigdy więcej mieszkania we wspólnej sali. Wojna się skończyła, Panowie! Chcemy prywatności! Prywatność ocali świat.”<sup>200</sup>

Gdzie indziej zaś dodał:

„Ktokolwiek wynalazł ideę prywatności, domowego spokoju – był największym geniuszem wszech czasów.”<sup>201</sup>

Upaństwowienie ziemi, zakładów czy sklepów odebrać miało ludziom energię, siły witalne i poczucie sensu pracy. Ta ostatnia miała się zdaniem Bobkowskiego, przerodzić w czynność otepiającą i pozbawioną głębszych treści. Gloryfikacja odtwórczych taśmowych czynności wydawała się diaryście tak samo niebezpieczna jak inne przejawy zaczerpnięcia ideologicznego. Stwierdzał z przekonaniem:

„[...] oswobodzenie się z jarzma kultu pracy grozi swobodą jednostki, grozi wyłamaniem z kolektywu – choćby tylko duchowym. A do tego nie można dopuścić... Z otumanionym pracą człowiekiem robi się wszystko.”<sup>202</sup>

I jeszcze:

„To, co dziś uważa się za pracę, na pewno nie uszlachetnia. Praca w biurach i zautomatyzowanych fabrykach, ustawiona na cokole, okadzana, otoczona aureolą, upiększana, wyniesiona do specjalnej godności wśród wszystkich innych prac ( na przykład płucia i łapania ),

---

<sup>199</sup> Ibidem, s.348.

<sup>200</sup> J. Mekas, *Nie miałem dokąd iść.*, s.100.

<sup>201</sup> Ibidem, s.119.

<sup>202</sup> A. Bobkowski, *Szkice piórkem...*, t.2, s.326.

nie uszlachetnia. Stępie człowieka, zgrubia, zatumania do tego stopnia, że ginie w tym rozum i cała korzyść odpoczynku.”<sup>203</sup>

Podobne intuicje miał także litewski diarysta. W grudniu 1948 roku pisał:

„Niechaj przeklęta będzie praca! A raczej to, co dziś rozumie się pod tym pojęciem. Świadomie i z nieprzymuszonej woli zgadzamy się zostać WOŁAMI! [...] Kiedy pomyślę o milionach ludzi harujących w biurach i fabrykach – tych domach wariatów – robi mi się niedobrze. A zarazem zdaję sobie sprawę, że ludzkości trudno jest porzucić coś, co robi od tak dawna; tej choroby nie da się wyleczyć bez interwencji chirurga. Dzisiejsza cywilizacja skazana jest na porażkę. Pełnie przez ciasny tunel własnej przedsiębiorczości i nie może zawrócić – może tylko pełznąć dalej, aż tunel zacznie się zwężać...”<sup>204</sup>

Zarówno Bobkowski, jak i Mekas dostrzegali, że mit pracy wykreowano sztucznie, robiąc z niej, samej w sobie, jedyny warty wysiłków cel. Paradoks polegał na tym, iż tak pojmowane życie zawodowe człowieka, nie prowadziło w żaden sposób do realizacji jego indywidualnych planów, a zatem nie mogło być źródłem satysfakcji. Zmęczonej jednostce groziło poczucie uprzedmiotowienia i „zmrówczenia”; by nie zabrakło jej sił i motywacji nieustannie przekonywano ją za pomocą wszelkich środków, że życie jakie prowadzi jest najsensowniejszym z możliwych, a jej wysiłek przyczynia się do rozkwitu potęgi państwa. Zaprzęgnięty w kierat, zubożony duchowo i materialnie obywatel totalitarnego kraju był dla obu diarystów głęboko odstrasającym przykładem tego, co system może zrobić z jednostką.

Andrzej Bobkowski z niezwykłą przenikliwością potrafił naszkicować w dzienniku portret człowieka przyszłości. Doskonale rozumiał zagrożenia z jakimi przyjdzie mu się zmierzyć. Odebranie własności czy poświęcenie życia zmuszonej bezcelowej pracy to oczywiście tylko niektóre z nich. Kolejnym zagrożeniem dla współczesnych, jakie dostrzegał było wszechobecne kłamstwo.<sup>205</sup>

„Fabryka historii pracuje na trzy zmiany i wprowadziła najnowsze urządzenia. – pisał – Może najlepszą z nich jest maszyna kłamstwa. Konstrukcja jest naprawdę godna podziwu. To kłamstwo

---

<sup>203</sup> Ibidem, s.324.

<sup>204</sup> J. Mekas, *Nie miałem dokąd iść*, s. 189.

<sup>205</sup> W opublikowanej po raz pierwszy w 1941 roku książce *Ucieczka od wolności* Erich Fromm pisał: „Nigdy jeszcze bardziej niż dziś nie nadużywano słów dla ukrycia prawdy. Zdradę sprzymierzeńców nazywa się pacyfikacją, wojskowej agresji nadaje się pozór obrony przed atakiem, podbój małych narodów odbywa się pod mianem paktu przyjaźni, a brutalny ucisk całego narodu dokonuje się pod firmą narodowego socjalizmu. Przedmiotem nadużycia stają się również takie słowa jak demokracja, wolność i indywidualizm. Istnieje jednak tylko jeden sposób zdefiniowania rzeczywistego sensu różnicy między demokracją a faszyzmem. Demokracja to system, który stwarza ekonomiczne, polityczne, i kulturalne warunki dla pełnego rozwoju jednostki. Faszyzm to system, który, obojętne pod jaką nazwą, zmusza jednostkę do podporządkowania się obcym celom i osłabia rozwój prawdziwej indywidualności.” E. Fromm, *Ucieczka od wolności*, przeł. A. Ziemińska, O. Ziemiński, [w:] *Idee Europy.*, s.73.

jest jak źle podrobione banknoty. Ale już tyle puszczonego ich w obieg, że wszyscy przyjmujemy je i płacimy, jakby nigdy nic.”<sup>206</sup>

Zakłamanie rzeczywistości dostrzegalne było w ówczesnym Paryżu przede wszystkim w języku mediów, zamienionym w narzędzie propagandy. Bobkowskiego przerażała obojętność z jaką przyjmował ten fakt on sam i inni paryżanie. Zanotował:

„ Nie wiem, czy istniała kiedykolwiek tak kłamliwa epoka jak nasza. Kłamstwo, poparte siłą, wtłacza się w umysły ludzkie jako prawdę za pomocą najordynarniejszych metod i pod wysokim ciśnieniem. Każę się wierzyć i kwita. I w tej nawale kłamstwa umysł przestaje w końcu samoczynnie działać, poddaje się i idzie, jak filar mostu pod naporem wezbranej wody lub kry. Ludzie nie wierząc, wierzą. To jest najnowszą zdobyczą obecnego kłamstwa. Wierzchnia warstwa myśli i mózgu, przeznaczona do codziennego użytku, nie jest w stanie oprzeć się i poddaje się nawet już nie tylko wyszukany, ale wręcz pierwotnym i gruboskórnym kłamstwom. Jedynie głębsze warstwy mózgu i myśli działają normalnie i od czasu do czasu reagują. Wtedy dopiero odczuwa się, w jakich łańcuchach i w jakim spętaniu kłamstwem żyje dzisiejsza ludzkość. Bezsilność wobec tego kłamstwa osłabia jeszcze bardziej odporność i ludzie najbardziej rozsądni zamieniają się w stado baranów. Obserwuję to na sobie: przeczytam coś w gazecie i dopiero po chwili łapię się na tym, że uwierzyłem. Całe narody wytresowano już w przyjmowaniu kłamstwa za prawdę: Musisz połknąć – i połykają coraz głódziej, jak chore dziecko rycynę.”<sup>207</sup>

Działanie kłamstwa jest podstępne, bo wynaturzając rzeczywistość, pozbawia ono człowieka poczucia bezpieczeństwa, wynikłego ze spójności świata i jego opisu. Zakłamanie życie publiczne zmusza światłe jednostki do nieustającej czujności, do wyłuskiwania prawdy z morza bełkotu, do ciągłego definiowania jej na nowo. Słowa obarczone przede wszystkim zadaniem propagowania idei, przestają bowiem „przylegać” do świata, stając się jedynie odłamkami krzywego zwierciadła. Słowo – jego magia – nie jest już rytmem przenikającym życie, lecz staje się rodzajem narzuconej na nie maski. Bobkowski, który funkcjonował wśród tekstów prasowych i audycji radiowych w kraju opanowanym przez nazistów, odczuł to zjawisko na własnej skórze. Doskonale też wiedział, iż podobnie rzecz wygląda w reżimie komunistycznym. Mając otwartą głowę i wrodzoną niechęć do schematycznego myślenia, ze zgrozą zauważał, że wraz ze swoimi współczesnymi jest nachalnie indoktrynowany. Dostrzegając zatem, iż każdy składnik świata miał w oficjalnym życiu publicznym niebudzącą wątpliwości kwalifikację aksjologiczną – narzucony przez okupantów znak wartości - Bobkowski konsekwentnie zachowywał przytomność w ocenie faktów, choć, jak sam zauważył, wymagało to od niego nieustającej intelektualnej czujności.

---

<sup>206</sup> A. Bobkowski, *Szkice piórkem...*, t.1, s.207.

<sup>207</sup> *Ibidem*, s.229.

Czytając między wierszami, musiał zmierzyć się także z całkowicie sobie obcym kategoryzowaniem rzeczy, głęboko przeciwstawnym jego wielowartościowemu i nierzadko pełnemu sprzeczności postrzeganiu świata. Sztucznie wykreowaną rzeczywistość totalitarnych mediów cechowała wszak orientacja dwuwartościowa – zjawiska przedstawiane były w kategoriach tylko dwóch wartości: pozytywnej bądź negatywnej. Bobkowski wyraźnie dostrzegał zagrożenie duchowe i intelektualne, jakie stwarzał dla współczesnych, ten forsowany siłą, uproszczony do granic możliwości obraz.

„Jestem ogłuszony i nie mogę nadażyć. – pisał – Myśli zwijają się pode mną tak samo jak nogi człowieka uderzonego w głowę. Ta nadchodząca epoka będzie wymagała ordynarnych uproszczeń we wszystkich dziedzinach życia tylko dlatego, żeby w ogóle móc żyć. I ja boję się tych uproszczeń. Nie jest to żaden lęk <<arystokratyczny>> - nie, po prostu lęk umysłu, przyzwyczajonego pomimo wszystko do odrobiny myślenia bez uproszczeń.”<sup>208</sup>

W naszym kręgu kulturowym słowu przypisana jest moc kreacji, traktowane jest jako fundament bytu, prapoczątek istnienia. Słowa w systemach totalitarnych tracą suwerenność a w konsekwencji nie uczestniczą już w pierwotnym „sensie” rzeczywistości lecz od niego oddzielają.

W marcu 1941 roku pisał o tym Mihail Sebastian:

„Kiedyś, o wiele później, powstanie być może specjalne studium o dziwnym zjawisku, charakterystycznym dla naszych czasów: o tym mianowicie, że słowa tracą swój sens, swoją gęstość, swoją treść. Ten, kto je wypowiada, nie wierzy w nie, natomiast ten, kto słucha, nie rozumie ich. Gdyby tak, słowo po słowie, przeprowadzić analizę gramatyczną, semantyczną, składniową wszystkich tych deklaracji, które niemal codziennie można znaleźć w prasie, i porównać je z faktami, do których się one odnoszą, można by stwierdzić, że rozbrat między słowem a rzeczywistością jest zupełny.”<sup>209</sup>

Andrzej Bobkowski uważał, iż człowiekowi dwudziestego wieku zagraża najszerzej pojęte zniewolenie. Okłamywany, pozbawiony własności prywatnej, wtłoczony w rutynę taśmowej pracy stawał się idealnym „produktem” totalitarnych ideologów. Niemal na oczach diarysty jednostka traciła elementarne prawo do indywidualnych wyborów i szeroko pojętego samorozwoju. Autor „Szkiców” – wbrew swojej epoce – niezmiennie uważał zaś, iż ma ona prawo być środkiem i celem swojego życia. Z przekonaniem - i nie tylko werbalnie, ale także poprzez dokonywanie określonych życiowych wyborów – afirmował jedyność człowieka.

---

<sup>208</sup> A. Bobkowski, *Szkice piórkem...*, t.2, s.379.

<sup>209</sup> M. Sebastian, *Dziennik 1935- 1944*, s.492.

„ W imię żadnego systemu i w imię żadnej orientacji politycznej nie potrafię milczeć, kiedy wiem, że należy mówić”<sup>210</sup> – pisał, zdając sobie sprawę, iż autonomia jednostki to jej prawo do podejmowania działań zgodnych z najgłębszymi przekonaniem. Zaprzeczenie temu prawu równoznaczne jest z poniżeniem człowieka, złamaniem go.

„W każdej spontanicznej aktywności jednostka ogarnia cały świat. – twierdził Erich Fromm – [...] Niezdolność działania spontanicznego, wyrażania tego, co się naprawdę czuje i myśli, i wynikająca stąd konieczność ukazywania innym i sobie swego fałszywego „ja” – oto źródło poczucia niższości i słabości. Czy jesteśmy tego świadomi, czy nie, niczego się bardziej nie wstydzimy aniżeli tego, że nie jesteśmy sobą; nic natomiast nie daje nam większego szczęścia i większego powodu do dumy niż myśleć, czuć i mówić to, co od nas samych pochodzi.”<sup>211</sup>

Systemy totalitarne powodowały, iż ludzie napełniali się wstydem, o którym pisał Fromm, czuli się upokorzeni, pozbawieni naturalnej godności i dumy. Stan ten jednostka ukryć mogła tylko wśród sobie podobnych – także przegranych. Nic jednak nie mogło jej uchronić przed życiem w ciągłym poczuciu sprzeczności zastanego obrazu świata z własnym sumieniem. Jedynym środkiem przynoszącym ulgę była „utrata wiary” – rezygnacja z dotychczasowej tożsamości. Dokonująca się nieustannie obróbka materiału ludzkiego przynosiła zatem stopniowy zanik jednostkowych indywidualności na rzecz komórek organizmu państwowego. Różnorodni twórcy mieszkańca Utopii, „nowego człowieka”, wykonywali swe zamierzenia konsekwentnie i bezwzględnie. Ostatecznie doprowadzono do sytuacji, o której tak pisał Michał Heller:

„Sowieckim ludziom obfitość i wybór towarów, możliwość zmiany miejsca zamieszkania, formy stosunków między władzą i obywatelami, odmienne strefy wolności i przymusu w niesowieckim świecie wydają się niepojęte i groźne.”<sup>212</sup>

Udało się zatem wywołać na masową skalę lęk przed wolnością, wpoić w ludzi przekonanie, iż wymagają opieki państwa, bez którego są nie można sobie poradzić.

„ Widzę przed sobą ciemnię – zanotował w „Szkicach” Bobkowski – otchłań tępoty ideologicznej nasuwającej się na świat, jak jakaś czarna chmura, bezdeń dogmatów i scholastyki, fanatycznej i tępej religii, poczętej gdzie? W Azji. Cóż za upadek.”<sup>213</sup>

Dla Bobkowskiego jednostka była „atomem ulegającym rozbiciu”,<sup>214</sup> istotą skomplikowaną i głęboko niejednoznaczną. Nie mógł się zatem przyjąć do wiadomości, iż w wyniku prowadzonej na masową skalę manipulacji, miałyby się przekształcić w istotę bezwolną i przestraszoną. Dla

---

<sup>210</sup> J. Giedroyć, A. Bobkowski, *Listy 1946 - 1961*, s.68.

<sup>211</sup> E. Fromm, *Ucieczka od wolności*, s.67.

<sup>212</sup> M. Heller, *Maszyna i śrubki. Jak hartował się człowiek sowiecki*, Paryż 1988, s.30.

<sup>213</sup> A. Bobkowski, *Szkiele piórkiem...*, t.2, s.310.

<sup>214</sup> *Ibidem*, s.185.



ludzi jego pokroju ta planowa degradacja człowieczeństwa była całkowitym zaprzeczeniem ładu świata, niewyobrażalną katastrofą.

„Poglądy, które traktują człowieka jedynie jako materię procesów społecznych, są barbarzyńskie, przeczą wszelkim prawom ludzkim i boskim. – pisał węgierski mistrz słowa Sándor Márai – Człowiek jest czymś innym i czymś więcej niż tylko tkanką łączną struktury społecznej.”<sup>215</sup>

Twórcy nowych doktryn uwierzyli, iż należy zredefiniować człowieczeństwo – udoskonalić to, co było dotąd zbyt kruche, ułomne, pełne wątpliwości. Mając do dyspozycji zdobycze nowoczesnej technologii, za pomocą armii sterowanych niewolników ujarzmiali „niesubordynowane” i jeszcze niezideologizowane społeczeństwa, myślące wciąż starymi kategoriami. Trafili na podatny grunt, gdyż człowiek dwudziestego wieku pozbawiony był wystarczającego zaplecza aksjologicznego; stąd też jego gotowość do przyjęcia gotowych formuł opisujących świat.

Nieszczęście totalizmu nie nadeszło z zewnątrz. Europejczyk wygenerował je w sobie, tym samym zaprzeczając własnej tożsamości.

„Mieszkaniec Europy – pisał w swoim dzienniku w 1944 roku Márai – przez długi czas mógł mówić z pełnym zaufaniem spokojem <<mój Bóg>>. Potem z nieoczekiwaną groźbą, ponuro mówił: <<moja religia>>. Jeszcze później z niezdrowym podnieceniem zaczął trąkotać: <<moja ojczyzna, mój naród>>. A teraz, z przekrwionym okiem wydziera się obłądnie: <<moja rasa>>. I w tej właśnie chwili przestał być Europejczykiem.”<sup>216</sup>

Ideologie totalitarne, na swój kuriozalny sposób, podejmowały te same co religia kwestie – nadawały sens ludzkiej egzystencji i obiecywały lepszą przyszłość. Przejmując kontrolę nad czynami i myślami jednostki oferowały jej wygodną możliwość pozbycia się odpowiedzialności za własne życie. Wpisanie się w system oznaczało bowiem dla człowieka nie tylko to, iż państwo weźmie na siebie ciężar jego bytu w sensie materialnym ( obietnice ochrony przed bezrobociem i biedą ), lecz także to, iż zwolni go z obowiązku myślenia. Ta perspektywa, budząca groźbę wśród ludzi świadomych, miała wszak nieodpartą siłę przyciągania. W pytaniu o absolut, „nową wiarę”, człowiek zatracił się do tego stopnia, iż nie zauważył kiedy odebrano mu prawo do poszukiwań w ogóle, pozbawiono wolności intelektualnej.

„Totalitaryzm zlikwidował wolność przekonań w niespotykanym dotąd stopniu – pisał George Orwell – i trzeba zdać sobie sprawę, że jego kontrola nad myślą nie tylko zakazuje pewnych poglądów, ale też nakazuje inne. Nie dość, że zabrania ci wyrażać ( a nawet mieć ) pewne przekonania, to jeszcze dyktuje ci, co powinieneś myśleć, stwarza dla ciebie ideologie, stara się sterować twoim życiem emocjonalnym i stworzyć kodeks postępowania: w miarę możliwości

---

<sup>215</sup> S. Márai, *Dziennik (fragmenty)*, przeł. T. Worowska, Czytelnik, Warszawa 2004, s.85.

<sup>216</sup> S. Márai, *Dziennik...*, s.89.

izoluje cię od świata zewnętrznego i zamyka w sztucznym otoczeniu, które pozbawia cię wszelkich kryteriów porównawczych.”<sup>217</sup>

Andrzej Bobkowski, diarysta pochodzący z państwa, na którego terytorium starły się dwa totalitaryzmy, mimo iż żył w Paryżu, zagrożenia te dostrzegał i bardzo dotkliwie odczuwał ich bliskość. To czyniło go osamotnionym w kraju nad Sekwaną, bo Francja, będąca dla niego przez lata „dogmatem”, w sytuacji zagrożenia nie spełniła pokładanych w niej nadziei. Jej mieszkańcy, nie próbowali w wystarczającym stopniu obronić - nie tylko na poziomie militarnym - swojego rozumienia świata. Bez przypisywanych temu krajowi wcześniej: mądrości, dystansu, intelektualizmu, stał się on dla autora „Szkiców” tylko swoistym zbiorem starych dekoracji, przede wszystkim formą, nie treścią. Zachowało się tu bowiem, pozostając odpornym nawet na historię, przede wszystkim to, co zewnętrzne, powierzchowne. Korozja, jak zdawał się uważać Bobkowski, zaczęła się na poziomie duchowym, w sposób niedostrzegalny i podstępny. Przekonani o swej kulturowej dominacji w Europie Francuzi nie dostrzegli symptomów nadchodzącego upadku, a gdy ten nadszedł, próbowali zamaskować ten fakt pozorami – skoncentrowali się na tym, by forma kształt ich bytu pozostała możliwie nienaruszona. Taka postawa zaś, w opinii Bobkowskiego, prowadzić musiała do ostatecznej katastrofy. Brak jednolitego systemu aksjologicznego zaowocował w tym kraju swoistym znieczuleniem moralnym, które, jak prorokował diarysta, trwać miało tak długo, jak długo uda się zachować choćby pozory wielkości. Znieczuleni, a w konsekwencji też mniej groźni dla Niemców, o stępiełej wrażliwości, Francuzi, nie potrafili już pojąć, iż kategorie dobra i zła istnieją poza grą pozorów, zewnętrznym kształtem rzeczy.

„Wracam do formy, - pisał Bobkowski 22 sierpnia 1942 roku – bo bez zrozumienia jej nie można zrozumieć Francji. Tu można zrobić najbliższej osobie najgorsze świństwo, można popełnić podłość, zachowując formę. Francuz na ogół nie rozumie różnicy, nie potrafi pojąć tego, że zarówno gdy chodzi o zło lub dobro, forma nie rozstrzyga o istocie rzeczy. Bo tu istotą wszystkiego jest forma. Okupacja może być najlepszym przykładem. Niemcy robią tu stopniowo, w formie złagodzonej, wszystko to, co u nas, ale robią wolniej i pod płaszczykiem legalnego rządu Vichy. I nie ma sposobu, aby wytłumaczyć im, że to właściwie to samo. Gorzej: Francuz nie jest w stanie zrozumieć, że jest wielka różnica w zachowaniu się obydwu krajów, że działalność Vichy plami ich historię, plami ich przeszłość.”<sup>218</sup>

Egzystencja w anormalnych warunkach wyjałowiła Francuzów. Zapatrzeni w mit swojej ojczyzny, nie dostrzegli, kiedy temu miejscu nie sposób już było przypisać symbolizujących je

---

<sup>217</sup> G. Orwell, *Jak mi się podoba*, przeł. A. Husarska, [w:] *Idee Europy*, s.75.

<sup>218</sup> A. Bobkowski, *Szkice piórkem...*, t.2, s.131 – 132.

dotąd wartości. Francja nie mogła być dla polskiego diarysty rzeczywistym oparciem; kraj, który w obliczu zagrożenia zdawał się nie przyjmować go do wiadomości, unikał konfrontacji, nie szukał ideowej przeciwwagi dla barbarzyństwa nie stał się przestrzenią ukojenia ani nadziei. Był miejscem, gdzie tylko pozornie zachowały się resztki wolności, zaś pod cieniutką skorupką pozorów kryło się społeczeństwo zniewolone przez pragnienie „zachowania formy”, czyli gotowe na kolaborację, moralnie skompromitowane. Andrzej Bobkowski był dzieckiem epoki, w której „wolności nikt nie chciał”, stąd być może niemal gorączkowe dążenie diarysty do zachowania niepodległości indywidualnej, wewnętrznej niezależnej strefy myśli i sądów.

### 1.7. Koniec wojny. Świat na zakręcie

W sylwestra 1942 roku Andrzej Bobkowski zapisał:

„W ogólnych zarysach całą tę wojnę można scharakteryzować krótko: w roku 1940 Hitler mówił <<zwyciężyliśmy>>, w 1941 <<zwyciężymy>>, w roku 1942 <<musimy zwyciężyć>>, a w 1943 powie prawdopodobnie <<nie możemy przegrać>> i – przegra. Jeżeli w przyszłym roku wojna się nie skończy, to w każdym razie zacznie się n a p r a w d ę kończyć.”<sup>219</sup>

Koniec wojny był jeszcze dość odległy, ale od początków 1943 roku bieg historii zdawał się rzeczywiście przyśpieszać. W diariuszowych zapiskach Bobkowskiego

Paryż tamtego czasu był metropolią przeciwstawiającą się wojennej biedzie z całym rozmachem, energią i pewnością siebie. Mieszkańcy miasta – wbrew okolicznościom – konsekwentnie epatowali beztrąską i wystudiowaną elegancją, rzucającą się w oczy tym bardziej, im bardziej puste wydawały się sklepowe wystawy, na których, zgodnie z rozporządzeniem okupantów, nie należało eksponować towarów kojarzących się z luksusem. Miasto pozostawało dla diarysty nie tylko przestrzenią codziennych obserwacji, ale też miejscem rozmyślań, pogłębionej refleksji, z biegiem lat zajmującej w dzienniku coraz więcej miejsca. Wraz z upływem czasu diarysta uświadamiał sobie też swoje postępujące osamotnienie, jako człowieka myślącego, analizującego, niebojącego się formułowania wniosków. Wiedział już, że nadchodzi epoka uproszczeń, dominacji mikro – myśli, które pozwolą człowiekowi szybko znaleźć odpowiedź na każde pytanie. Anonimowa jednostka nie miała mieć wszak czasu na rozmowy, lecz najwyżej na szybkie ustalenia. Zagubiona w rozrastających się metropoliach, zaprzęgnięta w kierat pracy, z którą nie pozostawała już w osobowej więzi, stać się miała owadem, muszką jednodniówką, która zgodnie z wytyczonym torem, zmierza ku śmierci.

---

<sup>219</sup> A. Bobkowski, *Szkice piórkami...*, t.2., s.172.

„Postęp. – pisał 10 stycznia 1943 roku – Rozglądałem się po ulicy. Szereg kamienic, ulice – nawet ładne – ale gdy pomyśli się, że dziesiątki kilometrów kwadratowych, setki i tysiące, pokryte są tymi kamienicami, robi się niedobrze. Wielkie miasto, miasto olbrzym, to też postęp. Postęp absurdalny. Ile godzin dziennie traci każdy mieszkaniec miasta na pójście do pracy i powrót z pracy? Pod ziemią dudni metro, w którym ludzie cisną się i pchają i potrącają jadąc długie kwadransy w smrodzie i zaduchu. Potem na dworcach to samo, w pociągach podmiejskich to samo. Wracają do domów, w których z wyjątkiem mebli, a najczęściej tylko kilku drobiazgów osobistych, nic nie jest ich. Wstają rano i pędzą do pracy, z którą najczęściej nic ich nie wiąże, w którą nie wkładają ani cząstki siebie. A nad wszystkim rozpościera się popielaty welon a n o n i m o w o ś c i. Nie wiesz, dla kogo pracujesz, nie znasz tych, od których zależysz, wypełniasz polecenia automatycznie, jesteś termitem, niczym. [...] Tam, gdzieś na dnie, kołacze się jeszcze cicho, jak skryte w lesie źródło,

m y ś l, ta prawdziwa i spokojna, ale coraz częściej przygłuszana grzmiotem i ulewą pomysłów. Iluż to ludzi żyje dziś myślą? Żyje się landrynkami gotowych odpowiedzi na w s z y s t k o, rozrzucanymi wśród ogłupiałego tłumu.”<sup>220</sup>

W tamtym okresie Bobkowski czytywał między innymi Bainville’a, Bierdiajewa, Balzaca, a także - z rosnącą przyjemnością - „Das Reich”, w którym propagandowi autorzy, skonsternowani biegiem spraw na froncie, brnęli coraz wyraźniej w ślepy zaułek. Mimo iż diarysta starał się zachować dystans i poczucie humoru, nie mógł nie dostrzec, że Europa zmienia się powoli w dymiące pogorzelsko. Już nie tylko na Polskę, ale na cały kontynent patrzył jak na miejsce, w którym o losach kolejnych pokoleń decyduje krwawa legenda poprzedniej wojny – pamięć tych, co polegli, głód chwały, nadzieja przygody. Głęboko nie wierzył, iż wraz z końcem współczesnego mu konfliktu, skończy się trwające od dziesięcioleci pasmo odwetów i wiążących się z nimi tragedii.

„ Legenda krwi, - pisał - legenda nieszczęść, nędzy i śmierci owiana dymami kadzideł. Trup, zwyczajny trup przysłonięty oparami chwały, wlokącej się jak kula u nogi za szeregiem pokoleń.”

<sup>221</sup>

Europa w jego optyce stawała się przestrzenią wciąż odradzającego się nieszczęścia, zamieszkaną przez coraz to nowe pokolenia głupców, niezdolnych do tego, by głębszą refleksją przekreślić powtarzalność swego losu.

---

<sup>220</sup> A. Bobkowski, *Szkice piórkem...*, t.2., s.179.

<sup>221</sup> Ibidem, s.188.

„Mit, legenda poświęcenia, epopea śmierci nęci każde nowe pokolenie. Za kilkanaście lat Stalingrad będzie tym krzakiem gorejącym, z którego obrazem przed oczami nowi młodzi zechcą iść na przód, na stracenie. Błędne koło.”<sup>222</sup> – pisał w lutym 1943 roku.

Europa sama siebie przekreśliła; barbarzyństwo definiowało ją w owym czasie w znacznie większym stopniu niż kultura, za kolebkę której się uważała. Mimo iż była miejscem narodzin świadomego, twórczego człowieczeństwa, skompromitowała się dostatecznie by można było o tym zapomnieć. Dla Andrzeja Bobkowskiego stawała się z każdym miesiącem w coraz większym stopniu zbiorem starych dekoracji, kończyła się na jego oczach. Konflikt w jakim pograżyła się tym razem, odbierał jej bowiem ostatecznie dawną tożsamość. Różnił się wszak znacząco od poprzednich - jego fundamentem były antyludzkie ideologie, mające za zadanie radykalnie zmienić myślenie o człowieku i jego miejscu w świecie. Odhumanizowana Europa przeczyła sama sobie, zmieniała się w piekło na Ziemi. Jej tragedia stała się podłożem wewnętrznego konfliktu Bobkowskiego, nie dającej się przekroczyć sprzeczności między wykształconym w dzieciństwie i latach młodości obrazem świata a nową rzeczywistością, na którą nie był - i nie chciał być - przygotowany.

„Całe wykształcenie, jakie odebraliśmy – pisał – cały sposób myślenia, jakiego nas nauczono, okazują się więcej niż nikłe, w zetknięciu z tym życiem, jakie przypadło nam w udziale. Czujemy, że rozum nasz tkwi w jakichś okowach, których nie może rozerwać, że w rozmyślaniach na ten temat zachowujemy się jak tonąca mucha, opływająca wokół ściany gładkiego naczynia i ześlizgująca się zawsze z powrotem do wody. [...] Analizując uczucia, dostrzeżemy, że najwyraźniejszym z nich, które ogarnia wszystkich bez wyjątku, jest piekielny z a w ó d - i to tak wielki, że stajemy wobec niego zupełnie ośpiali. Odczuwamy to tak, jakby ktoś głaskał nas długo po głowie przy akompaniamencie pieszczotliwych obietnic i – nagle uderzył. Za pierwszym uderzeniem poszły następne. A gdy tylko podnieśliśmy głowę, sypały się nowe razy, coraz mocniejsze. Wszystko, co włożono nam i ułożono w mózgu, co pokasowano starannie, wije się z bólu.”<sup>223</sup>

Poczucie nieprzystawalności do nowych warunków rodziło się u Bobkowskiego w mieście, które wciąż fizycznie uosabiało dawny świat; w rzeczywistości materialnej, która trwała ale już nie dawała możliwości zakorzenienia. To czyniło to doświadczenie jeszcze trudniejszym - zdrada dokonywała się w samym sercu kultury, będącym do tej pory celem pielgrzymek czy ucieczek. Teraz nie było już dokąd uciec i diarysta zrozumiał, że otaczająca go przestrzeń przestała być

---

<sup>222</sup> Ibidem, s.188.

<sup>223</sup> Ibidem, s.196.

przyjazna, a stała się niepojęta i groźna. Kraj nad Sekwaną kolaborujący z okupantem, w optyce diarysty był tworem karykaturalnym, wręcz żalonym.

„Francja dzisiejsza – notował – siedzi w obozach i więzieniach okupanta, płaci kary i odsiaduje je w swoich własnych obozach i więzieniach, wtrącona tam przez własny rząd, własną policję i administrację w myśl hasła – odrodzenia Francji.”<sup>224</sup>

Francja okazała się zupełnie bezradna wobec hitlerowców i ich „uzdrawiających”, „europejskich” koncepcji.

„Olśniona w przyływie słabości niemieckim totalizmem – pisał o niej zażenowany Bobkowski – i wzorując się na nim, stała się pod względem ustawodawstwa bardziej totalistyczna niż jej wzór – *Grossdeutschland*. Chcąc studiować totalizm w jego wszystkich wyskokach, a głównie w jego morderczej manii regulowania wszystkiego ustawą i prawem – należałoby go studiować w obecnej Francji, I zaczynam wątpić, czy po tym eksperymencie, Francja jeszcze kiedyś w przyszłości potrafi być krajem swobody i wolności.”<sup>225</sup>

U schyłku wojny kraj Balzaca był dla Andrzeja Bobkowskiego „otwartą raną”, zagadnieniem, dopominającym się o ostateczne ustalenia i – jeśli okazałoby się to możliwe – zamknięcie tematu.

Wiosną 1943 roku Amerykanie zbombardowali zakłady Renault i tor wyścigów konnych Longchamps. Nieuchronnie zbliżał się przełom. W dziennikowym zapisie Bobkowski pokazuje to wydarzenie przede wszystkim jako niemal absurdalne, „wyrwane z kontekstu”. Zarówno on jak i inni paryżanie, cieszący się w tamtym czasie słońcem i ciepłem, nalot przyjęli jako coś przeczącego porządkowi świata, brutalną dysharmonię.

„Tam śmierć, strzępy ludzkie i ruiny domów, setki zabitych i tysiące oplakujące najbliższych, – pisał Bobkowski – tu słoneczny dzień, tłum rozbawionych ludzi, beztroska perląca się w kieliszkach pitego na tarasach musującego wina. [...] Śmiechy, chłopiec całuje dziewczynę, matka bawi się z dzieckiem, jadę i cieszę się słońcem. Już krótka chwila napięcia minęła, huk i warkot czteromotorowych potworów zapadł w głąb i przestał istnieć. Życie...”<sup>226</sup>

Wojna miała niepodważalną moc niszczenia, ale życie, na swym najbardziej oczywistym, biologicznym poziomie, okazywało się silniejsze. Jeśli śmierć nie przekreślała go bezpośrednio, triumfowało uparcie, odporne na katastrofę, przegrywającą w hierarchii ważności ze słońcem. Tego dnia musiało być to poczucie wszechogarniające, co potwierdza dziennikowy zapis Ernsta Jüngera:

---

<sup>224</sup> Ibidem, s.202.

<sup>225</sup> Ibidem, s.205.

<sup>226</sup> Ibidem, s.243.

„Niedziela. [...] Z dachu widziałem na horyzoncie stojącą ścianę dymu, a tymczasem bombowce już odleciały. Wydaje się, że taki nalot nie trwa dłużej niż minutę.

[...] Był to wspaniale łagodny i błękitny wiosenny dzień. Podczas gdy na przedmieściach setki ludzi tarzały się jeszcze we krwi, paryżanie tłumnie przechadzali się pod zielonymi kasztanami Pól Elizejskich. Stałem tam długo przy najpiękniejszej kępcie magnolii, jaką kiedykolwiek widziałem. [...] W powietrzu utrzymywało się drzenie wiosny, niezwykłość odczuwana tylko raz w roku, jako falowanie kosmicznej energii miłosnej.”<sup>227</sup>

Apokalipsa nieoczekiwanie okazała się także widowiskiem, zaskoczyła swoją – by tak to ująć – medialnością. Obrazowość katastrofy budziła u współczesnych Bobkowskiego zmienne uczucia: grozę, lęk i ciekawość – nierzadko źródło wyrzutów sumienia. Zainteresowania śmiertelnością spektaklem nie sposób bowiem było nie odczuwać, szczególnie w sytuacji, gdy centrum Paryża pozostawało relatywnie bezpieczne i obserwacje nie wiązały się ze zbyt wielkim ryzykiem. 27 maja 1944 roku cytowany wyżej niemiecki diarysta przyglądał się z dachu swojego luksusowego paryskiego hotelu nadlatującym bombowcom, a później zanotował:

„Alarmy, przelatujące samoloty. [...] Za drugim razem, o zachodzie słońca, trzymałem w dłoni kieliszek burgunda, w którym pływały truskawki. Miasto ze swymi czerwonymi wieżami i kopułami tchnęło potężnym pięknem, podobne do kielicha wystawionego na śmiertelne zapłodnienie z powietrza. Wszystko było spektaklem, było czystą mocą potwierdzoną i wywyższoną przez ból.”<sup>228</sup>

Także Bobkowski obserwował bombardowania, 15 września 1944 roku zapisał:

„Nagle alarm. Wyszliśmy na balkon. <<Flak>> zaczął szaleć. Od strony zachodnich przedmieść słychać głuchy grzmot bomb. Po chwili na podwieczornym niebie ukazują się wielkie klucze bombowców. Ciężkie, sunące wolno wśród setek chmurek pocisków. Lecą stosunkowo nisko, po 26 w kluczu. Huk dział przeciwlotniczych staje się nieprzerwany i cały Paryż trzęsie się. Wtem w jednym z kluczów błyska ogień. Sekundy. Jak spłonienie paska magnezji. Maszyna rozsypuje się w powietrzu. Skrzydła spadają, wirując jak suchy liść? Wyskoczą? Nie – nic. Patrzymy na to jak w kinie. [...] Basia widziała tę całą <<corridor>> przez okienko w naszej kuchni. Obydwoje czujemy coś w rodzaju rozdzierającej krzywdy pomieszanej z niesmakiem. Stać spokojnie i obserwować, jak zabijają ludzi.”<sup>229</sup>

Ernst Jünger był za cytowany wyżej fragment swojego dziennika poddawany - szczególnie przez swych pierwszych niemieckich czytelników - bardzo silnej krytyce. Jak słusznie zauważył

---

<sup>227</sup> E. Jünger, *Promieniowania*, s.280.

<sup>228</sup> Ibidem, s.484.

<sup>229</sup> A. Bobkowski, „Szkice piórkiem...”, op. cit., t.2, s.333.

Wojciech Kunicki odbiorcom zabrakło tu refleksji, która pojawia się u Bobkowskiego i „demaskuje bezradność oburzenia moralnego wobec wszechmocy spektaklu”<sup>230</sup>. Autor „Szkiców” zaś nie wahał się obnażyć swojej bezradności; spróbował, choćby refleksją właśnie, zaznaczyć niezgodę na koszmar (czego, rzecz jasna, nie mógł zrobić Jünger). Rezygnując z przemilczenia, odważnie ukazał bezsilność sprzeciwu. Jego ogląd wydarzeń, także podczas bombardowań, był przesycony humanitaryzmem i nacechowany głęboką empatią, widoczną nawet wówczas, gdy starał się zachować wobec wydarzeń lekko ironiczny dystans. Zdradzały go „drobiazgi”, jak choćby animizacja w cytowanym poniżej zapisie:

„Dziś w nocy ranny bombowiec, ( podkreślenie moje ) pałacy się jak pochodnia przeleciał nisko nad połową Paryża i rozwalił się na dachu Magazynów Luwru. Zwęglone szczątki załogi odnajdywano wokół. Cóż za atrakcja...”<sup>231</sup>

Konflikt militarny powoli wchodził w fazę decydujących rozstrzygnięć, Bobkowski obserwował to w napięciu, z każdym miesiącem tracąc złudzenia, dotyczące powojennej sytuacji Polski. 15 kwietnia 1943 roku, gdy pisał zdruzgotany o Katyniu i grobach polskich oficerów odkrytych przez Niemców, ze zgrozą zauważył: „Nie ma we mnie żadnego uczucia niespodzianki – wprost przeciwnie – poczucie, że to jest właściwie normalne, że jest w tym konsekwencja, rozwijająca się wolno jak nitka z tego samego kłębka już od wielu miesięcy.”<sup>232</sup> I dalej: „Katyń, to po prostu wykonanie jednego z punktów programu, który przygotowany jest dla Polski.”<sup>233</sup>

Trzeźwy osąd sytuacji, w jakiej znalazł się kraj nad Wisłą, powodował u diarysty nasilające się poczucie wyobcowania, otaczający go bowiem Francuzi i Polacy, omamieni nieuzasadnionym optymizmem, nie chcieli dostrzec nieuchronności katastrofy. Rzeczywistość, czytelna dla

---

<sup>230</sup> W. Kunicki, „Posłowie”, [w:] E. Jünger, *Promieniowania*, s.637. W. Kunicki, pisząc o dzienniku Jüngera, trafnie zauważył, iż: „Chcąc odnaleźć podobny typ dziennika w literaturze polskiej, można wskazać na arcydzieło Andrzeja Bobkowskiego <<Szkice piórkiem>>. Na pierwszy rzut oka dzieli obydwu autorów wszystko: wiek (odpowiednio 26 i 46 lat), temperament (wybuchowy sangwinik i pedantyczny melancholik), uruchamiane pokłady retoryczne (inwektywy Bobkowskiego, z trudem wprawdzie, ale jednak powstrzymywane, dyscyplinowane u Jüngera), humor (tego w dziele Jüngera – człowieka jak najbardziej z poczuciem humoru – raczej brak) status (elegancki oficer wojsk okupacyjnych *versus* ekonomista cierpiący nierzadko w dostatnim dla Jüngera Paryżu głód). Z drugiej strony łączy ich nad wyraz wiele: przede wszystkim miasto i te same wydarzenia tego samego czasu, które postrzegają przez optykę klasycznej nowoczesności Paryża; te same gazety, które czytają, te same sztuki, na które uczęszczają, te same kawiarnie, do których chodzą. Niemal równolegle czytają tych samych autorów: Huxleya, Rivarola, Maupassanta, Balzaca, Mansfield, Flauberta; obaj są wzrokowcami i oglądają świat nowoczesny przez pryzmat obrazów i fotografii; obaj żyją w atmosferze naszeptów i pogłosek (odpowiednikiem konsjerżek Bobkowskiego są frontowi korespondenci Jüngera); obaj piszą w sytuacji elementarnego zagrożenia: gdyby specjaliści z avenue Foch dobrali się do zapisków jednego lub drugiego, wówczas, jak to powiedział Jünger, <<Kniebolo (czyli Hitler - przyp. mój) z pewnością zażądałby głowy.>>. W. Kunicki, *Posłowie*, s.632 – 633.

<sup>231</sup> A. Bobkowski, *Szkice piórkiem...*, t.2, s.335.

<sup>232</sup> Ibidem, s.250.

<sup>233</sup> Ibidem, s.251.



Bobkowskiego, pozostawała dla nich nieprzenikniona a diarysta był w dodatku przekonany, iż chwalili sobie taki stan rzeczy. W lipcu tego samego roku Bobkowski, odnotowując śmierć generała Sikorskiego, nie miał żadnych wątpliwości, iż nie był to wypadek.

„Polska jest ością, stojącą w gardle wszystkich i wszystkim, - pisał wszak kilka tygodni wcześniej - w tej całej wojnie jest o jedną, jedyną Polskę <<za dużo>>. Szalenie krępujące. Bez Polski byłoby znacznie łatwiej rozstrzygnąć losy Europy.

I dalej kontynuował:

„Jak będzie <<za dużo>> o Sikorskiego, to chociaż jego sprzątną skoro całej Polski nie można sprzątnąć.”<sup>234</sup>

Doniesienia z frontu budziły w tym czasie w diaryście mieszane uczucia, radość z niemieckich klęsk przyćmiona była stale obawami o charakter powojennego porządku na kontynencie. Europa zdegradowana i wykrwawiona, zmierzała do nikąd.

„To powszechne rozbestwienie, - zanotował autor „Szkiców” - ten ogrom zniszczenia, setki tysięcy i miliony żyć ludzkich i grób, który Europa kopie dla samej siebie.”<sup>235</sup>

Kiedy Europa zmieniała się dla Bobkowskiego w miejsce coraz bardziej niepojęte i obce, sam Paryż – na innym, codziennym, planie - przeżywał paradoksalnie odwrotną metamorfozę. Stawał się miastem niemal swojskim, z dnia na dzień tracił całą pychę światowej metropolii i znużony „powracał do przeszłości”. Dramat – w pewnym stopniu – zatrzymywał się u jego bram.

„W kinie, w teatrze, w modzie – pisał diarysta 22 maja 1943 roku – wszędzie nawrót do romantyzmu. [...] W połączeniu z wiosną daje to zupełnie specjalną atmosferę, w której można zupełnie zapomnieć o wojnie. Na ulicach, w ogrodach jest zacisznie. Brak samochodów, spokój. Jeszcze chyba nigdy Paryż nie był tak piękny, jak teraz. Ludzie jeżdżą rowerami i zwiedzają miasto.”<sup>236</sup>

Gdzie indziej zaś dodawał:

„W tym Paryżu czwartego roku Nowej Ery wszystko możliwe. Ludzie hodują w śródmieściu króliki, kaczki, indyki, kury i gęsi, a pogoń za zbiegłym drobiem nie jest rzadkością nawet na Wielkich Bulwarach. Metrem przewozi się kozy, kartofle odważa się w automatycznych wagach na dworcach kolejki podziemnej. W mniejszych hotelach wiszą napisy: <<Hodowanie drobiu w hotelach wzbronione>>. Jak za czasów Boileau i Le Roi Solei.”<sup>237</sup>

Ówczesny Paryż stał się zatem enklawą, miejscem, w którym cofnął się czas. Stwarzał swoim mieszkańcom ( iluzoryczne co prawda ) poczucie bezpieczeństwa. Diarysta wsłuchany w

---

<sup>234</sup> Ibidem, s.256 – 257

<sup>235</sup> Ibidem, s.263.

<sup>236</sup> Ibidem, s.262.

<sup>237</sup> Ibidem, s.276

rzeczywistość, żył w tym czasie niejako w dwóch wymiarach: by tak rzec, europejskim i paryskim. Słuchając radia, prognozując powojenny porządek, czytając gazety zanurzał się w europejskim piekle, ale już chodząc na koncerty i do teatru, planując wakacje, jeżdżąc na rowerze pozwalał by koł go – tylko trochę niedoskonały – paryski raj. Bobkowski bardzo mocno doceniał istnienie tego drugiego wymiaru; możliwość doświadczania relatywnie dobrej codzienności w pewnym stopniu rekompensowała mu, coraz mocniej uświadamiany, koniec nadziei na stabilną, dobrą przyszłość; pozwalała przetrwać umieranie Europy, którego przy swoim jasnym umyśle i ogromnej wrażliwości i tak doświadczał niemal na „własnej skórze”. Nic zatem dziwnego, iż w diariuszu podkreślał jasne strony miejskiego bytowania, z rzadka tylko ukazując Paryż męczący, biurokratyczny, będący bodźcem do głębokich, niewesołych refleksji. Nie ma wątpliwości jednak, iż ciągle wizyty w urzędach nie pozwalały mu zapomnieć, że żyje w epoce systemu, czasie przekreślonej indywidualności. Diarysta bywał też potwornie zmęczony, a zbliżający się koniec wojny pochłaniał rezerwy jego sił duchowych. Nie użalał się nad sobą, ale jego zapiski bywały wówczas radykalne, a emocje nie zawsze powściągnięte.

„Rozumiem dziś, dlaczego bezrobotny kuchcik z taką zimną krwią ucinał kieszonkowym nożem głowę komendantowi Bastyliei, De Launay. – pisał w sierpniu 1943 roku – On nie ucinał głowy człowiekowi, lecz Bastyliei, s y s t e m o w i. [...] Rozumiem go, gdy chodząc w Paryżu po merostwach, widzę rosnące z każdym tygodniem i miesiącem góry kartotek, adnotacyj, informacji, kwestionariuszy tajnych i jawnych. Gdy każdy z nas figuruje nie jako osoba, lecz jako numer i traktuje się nas, jak tekturkę z kartoteki, o ileż ważniejszą od osoby, ode mnie, od tego wielkiego w y j ą t k u, jakim jestem w naturze, będąc c z ł o w i e k i e m. Gdy towarzyszę robotnikom skazanym na deportację na komisjach lekarskich, na których bada się na oko, pędząc ludzi jak bydło do rzeźni. Gdy myślę o milionach ludzi za drutami, w celach i gdy boję się d o m y ś l a ć – rozumiem kuchcika spod Bastyliei i rozumiem do jakiego stopnia może zafascynować człowieka dotknięcie w kieszeni pudełka zapalek i tępego noża.”<sup>238</sup>

Na początku 1944 roku Bobkowski znalazł się w szpitalu, jego siły witalne uległy kompletnemu wyczerpaniu. Miał już wówczas absolutną pewność, iż wschodnia część Europy po wojnie dostanie się pod panowanie bolszewików. Ta świadomość była dla niego kroplą przepełniającą kielich goryczy, nieszczęściem ostatecznie wyczerpującym rezerwy optymizmu. Zapiski z tego roku mają w większości charakter pesymistyczny, są projekcją świadomości człowieka bardzo

---

<sup>238</sup> Ibidem, s.299 – 300.

zmęczonego. Między lutym a czerwcem następuje przerwa w notatkach, po niej zaś zapis zaczynający się od słów:

„Znowu nie pisałem przez kilka miesięcy. Bo po co? Teraz piszę już tylko z obowiązku kronikarskiego, jak do końca pisze się dziennik na tonącym okręcie.”<sup>239</sup> Z tegoż kronikarskiego obowiązku odnotował lądowanie aliantów w Normandii ( „A słowo ciałem się stało.”<sup>240</sup> ) i zwiększającą się z dnia na dzień ilość bombardowań. Diarysta zdawał się już oswajać z faktem, iż nie zdecyduje się osiąść we Francji. Po jednej z rowerowych wypraw napisał: „Paryż jest teraz wspaniały. To ten Paryż pozostanie na zawsze w moich wspomnieniach”<sup>241</sup>. Przestrzeń miasta nie traciła dla niego nic ze swej urody, w przeciwieństwie do samych paryżan, wygłodzonych, zmęczonych, a przez to wykrzywionych złością, chwilami aż kuriozalnych. Nie oszczędzał ich w dziennikowych zapisach, gdyż dostrzegał, iż dla zapewnienia sobie maksymalnego możliwego komfortu są w stanie posunąć się bardzo daleko. Z dnia na dzień uświadamiał sobie coraz wyraźniej, iż Paryż, a nawet cała Europa, duchowo po prostu zniknęły, utopiły się w morzu słów, które straciły znaczenie. Przenikliwie konstatawał w dzienniku, iż największym grzechem współczesnej mu cywilizacji jest przede wszystkim mowa, a obok niej myśl. W lipcu 1944 roku przewodnikiem duchowym był mu przede wszystkim Flaubert, zaś szczególnie ważne okazały się jego słowa, skierowane do Louis Bouilheta:

„Lecz my nie korzystamy z niczego, jesteśmy sami. - cytował Bobkowski w diariuszu - SAMI, jak Beduin w pustyni. Trzeba zakryć sobie twarz, owinąć się szczelnie w nasze płaszcze i uderzać z pochyloną głową w huragan – i zawsze – bezustannie – aż do ostatniej kropli wody, aż do ostatniego uderzenia serca.”<sup>242</sup> Bobkowskiego dopadła samotność . Poczucie alienacji i świadomość przynależności do szeroko pojmowanego grona przegranych towarzyszyły mu już wówczas na co dzień. Nie chodziło wszak tylko o fakt bycia Polakiem – a więc na pewno nie zwycięzcą w tej wojnie - lecz także o sposób odczuwania rzeczywistości, o nieumiejętność samozakłamania, które pozwoliłoby żyć dalej w świecie zakwestionowanych wartości. Dopasowanie się do panującego klimatu mentalnego, zgoda na niego, wymagałoby od diarysty pójścia na duchową łatwiznę i - by wrócić do metafory Flauberta – odwrócenia twarzy od huraganu. Wymagałoby również zbudowania własnej duchowości od nowa, wedle narzuconych z góry wzorów, bez miejsca na pytania, w oparciu o gotowe odpowiedzi. Bobkowski jednak – jak się zdaje – do końca wierzył w prawo do kreowania własnej rzeczywistości, w obowiązek

---

<sup>239</sup> Ibidem, s.367.

<sup>240</sup> Ibidem, s.371.

<sup>241</sup> Ibidem, s.401.

<sup>242</sup> Ibidem, s.403.

staczania pojedynku z historią. Był człowiekiem szukającym honorowego, godnego wyjścia z każdej sytuacji i wciąż stać go było na bezkompromisowość.

„Nie – jeśli po tej wojnie nie zrobi się wszystkiego, aby Platon był przede wszystkim Platonem, zwyczajnym Platonem, po prostu Platonem, to w takim razie nie ma o czym mówić. – pisał w lipcu 1944 roku – Jeżeli tego nie zrobi się, to trzeba będzie wynieść się tam, gdzie o Platonie wcale nie słyszano. Są jeszcze takie miejsca na świecie. To stanowczo lepsze i łatwiejsze do zniesienia.”<sup>243</sup>

Bobkowski tracił wiarę w możliwość odrodzenia Europy, natomiast zdawał się być przekonany, iż możliwy jest nowy początek – gdzie indziej; byleby ocalić niezależność intelektu, pełnowymiarowe człowieczeństwo.

2 sierpnia 1944 roku Andrzej Bobkowski odnotował początek Powstania Warszawskiego. Obawiał się słów, „z których każde mogłoby być niewłaściwe.”<sup>244</sup> Nie miał najmniejszych złudzeń, co do szans powstańców; „chce się przestać myśleć”<sup>245</sup> – pisał i jak sam przyznawał cofał się przed słowem „bezsens”, choć wracało do niego w trakcie wielogodzinnych przemyśleń. Jako diarysta dotarł do punktu, w którym kończyła się ironia, jego pióro straciło ostrze wobec „gołego, czystego nieszczęścia”<sup>246</sup>, na które odpowiedzią mogło być tylko współczucie i szacunek. Do tragedii powstańców nie przylegały żadne słowa, Bobkowski rozumiejąc to doskonale, bez egzaltacji, często powściągając emocje relacjonował przebieg polskiego zrywu z perspektywy Paryża. Pisał o tym, czego udało mu się dowiedzieć i gorzko przy tym zauważał, iż polskie powstanie otaczała niemal zmowa milczenia, stanowiło bowiem kłopot, wyrzut sumienia Europy. „A oni tam pewnie myślą, że umierają na oczach świata...”<sup>247</sup> – pisał bezsilnie o walczących w Warszawie. Oczekiwanie końca, ostatnie dni okupacji Paryża upływały dla diarysty pod znakiem polskiej tragedii, wypełniała je gorycz, z którą coraz trudniej było mu żyć. Coraz trudniej też przychodziło mu powściągnięcie gniewu:

„Warszawa walczy. – pisał 13 sierpnia – Nadają wyjątki z przemówienia Arciszewskiego do kraju. Dużo im to pomoże. Dlaczego skazuje się tych młodych na tyle bohaterstwa, o którym nikt nie będzie chciał wiedzieć? Rosja, jak zawsze, nie chce tej Polski i takiej Polski, jaką ona sama chciałaby być. I Niemcy i Rosjanie unicestwiają TO SAMO, są zgodni w unicestwieniu TEGO SAMEGO. [...] Wobec tej nocy, która zapada, średniowiecze wydaje mi się okresem odrodzenia.

---

<sup>243</sup> Ibidem, s.403.

<sup>244</sup> Ibidem, s.416.

<sup>245</sup> Ibidem, s.418.

<sup>246</sup> Ibidem, s.420.

<sup>247</sup> Ibidem, s.420.

Stoją tuż, po drugiej stronie Wisły i przyglądają się jak tam tysiące młodych, w najszlachetniejszym porywie, walczą kamieniami przeciwko najbardziej nowoczesnej armii. Jest w tym cynizm, który przekracza wprost zdolność reakcji, zamieniając się w coś abstrakcyjnego w swojej doskonałości. Do wielu rzeczy, których nie możemy im przebaczyć, dodają to, czego nie będzie wolno im nigdy przebaczyć. Nienawidziłem ich zawsze, od małego dziecka, dziś nienawidzę ich tak samo <<czysto>> jak <<czystym>> jest ich cynizm.”<sup>248</sup>

Bobkowski dostrzegał przede wszystkim cynizm Rosji, jej bezduszne okrucieństwo, wyrosłe z niezrozumienia pojęcia wolności, niepojętego dla Rosjan jak idea humanizmu<sup>249</sup>.

W jego diariuszu tłem dla tragedii Warszawy stał się Paryż. Nie odwrotnie. To polska stolica była mu w tamtych dniach zdecydowanie bliższa, symbolizowała prawdziwą – nie dającą się złagodzić ironią czy humorem – groźbę istnienia. Nawet paryskie światło przywodziło mu na myśl umieranie w słońcu. Bohaterska śmierć młodych w południe lata była czymś niewyraźnie niesprawiedliwym; słońce, które w optyce diarysty, służyło godzeniu człowieka ze światem stało nagle się elementem ikonografii śmierci.

„Właśnie w tym słońcu – pisał – w nagłych porywach chłodnego wiatru, przepowiadającego pogodę, to wszystko wydaje się zupełnym absurdem. Jak można umierać w takim słońcu? Myślę o tych chłopcach i dziewczętach w Warszawie, o tych wspaniałych chłopcach, którzy chcą albo po prostu muszą umierać w słońcu. Dlaczego los skazuje nas zawsze na tyle bohaterstwa? We wszystkich komunikatach radiowych o Warszawie wyczuwa się skrępowanie. Za wiele bohaterstwa.”<sup>250</sup>

Bobkowski odczuwał to umieranie całym sobą, gonitwie myśli towarzyszyła choroba ciała. Na obydwu poziomach – duchowym i fizycznym przeżywał głęboką niezgodę na rzeź polskiej młodzieży. Ze swojej perspektywy widział wyraźnie bezsens jej poświęcenia, wielką samotność walczących, otoczonych przez wyrachowanych graczy. Dostrzegał także komfort tych, którzy nie brali bezpośredniego udziału w rozgrywce – Francuzów, spokojnie oczekujących alianckiego zbawienia, dbających o żołądki, starannie pilnujących każdej kropli krwi.

„Od rana nic nie jadłem i znowu rzygam. – zanotował 14 sierpnia 1944 roku – Czystą żółcią. I żal mi tylko, że nie mam jej dosyć, żeby zarzygać cały Luwr, cały świat. To może z tych myśli. Siedzę na schodkach tego Luwru i staram się tak myśleć, żeby nie myśleć. Miotam się między patosem i cynizmem całego mojego pokolenia, życząc przyszłemu więcej cynizmu, a mniej

---

<sup>248</sup> Ibidem, s.425 – 426.

<sup>249</sup> „Rosjanie nie przeżyli ani renesansu, ani reformacji – pisał Sándor Márai – bo nie byli humanistami – rosyjski <<przyjaciel człowieka>> nigdy nie dążył do ludzkiej miary, zawsze poszukiwał czegoś przesadnie wielkiego, nieograniczonego, nadludzkiego [...]. Por. S. Márai, *Ziemia! Ziemia!... Wspomnienia*, przełożyła i posłowiem opatrzyła T. Worowska, Warszawa 2005, s. 291 i inne.

<sup>250</sup> Ibidem, s.426.

patosu.” [...] Znowu mnie nudzi, znowu będzie mną szarpać i będę rzygał za kolumną, ale ze śmiechem i z nadzieją, że może uda mi się wyrzygać siebie samego. Albo to coś, co powoduje, że łkam głośno w słońcu, pisząc te głupie niepotrzebne zdania. Wielka Improwizacja, spowiedź dziecięcia skurwywieku.”<sup>251</sup>

Rozpacz Bobkowskiego żywo kontrastowała z atmosferą miejsca. Paryż gorączkował, ale w porównaniu z Warszawą było to tylko niegroźne drgnienie temperatury. Francuzi wysiadali całymi grupami, wypatrując Amerykanów. Niemcy zaczęli się gwałtownie pakować, nie zapominając jednak – co zanotował diarysta – o zarezerwowaniu niektórych z wynajmowanych dotąd lokali. Wycofywali się jak goście, którym zdarzyło się zasiedzieć zbyt długo. Paryż był zwycięski bez walki, wygrywał witalnością, a przede wszystkim „szczęściem w historii”. Paryżanie nieświadomi kapitalnego znaczenia tego drugiego czynnika, triumfowali nieosentacyjnie, po prostu żyjąc. Niczego więcej historia od nich nie wymagała, mieli tylko – jak w starym chińskim przysłowiu – spokojnie czekać na brzegu rzeki aż spłynie nią ciało wroga.

„Chwilami trudno mi w to uwierzyć. – pisał diarysta 17 sierpnia – Nad Sekwaną stoją lekkie czołgi. Żołnierze powyłazili z nich usmoleni od stóp do głów i siedzą lub drzemią wsparci o maszyny. Tłumy ludzi przyglądają się im w milczeniu. A w dole, nad wodą Côte d’Azur. Paryski tłumek kąpie się w Sekwanie w środku miasta korzystając z nieobecności policji. Słychać piski dziewcząt, nawoływania, śmiechy. I jak zwykle las wędek i tłumy rybaków. Widok jest jedyny, wprost sielankowy.”

I dalej, w tym samym zapisie:

„Boże – jakże beczelnie idzie im karta w tej grze. Od samego początku.”<sup>252</sup>

Wybuchłe tuż przed nadejściem Amerykanów paryskie powstanie było w optyce diarysty żenujące, postrzegał je niemal jako zabawę nieudolnych „rewolucjonistów”. Pisał o nich bez wrogości, lecz także bez zbytniego przejęcia, kładąc nacisk na groteskowość zrywu. Zanotował na przykład:

„ Przychodzą inni młodzi – jeden na czterech ma jakiś damski pistolecik nie większy od puderniczki. Ale to nic nie szkodzi – robimy Rrrrewolucję, obalamy mera, aresztujemy kolaborantów. Oczywiście tych pomniejszych, dzielnicowych.”<sup>253</sup>

Tuż przed wkroczeniem Amerykanów francuski ruch oporu zawarł z Niemcami zawieszenie broni; jak zanotował diarysta obu stronom w pełni to odpowiadało, chodziło wszak o to, by wszystko dokonało się w miarę bezboleśnie.

---

<sup>251</sup> Ibidem, s.426 – 427.

<sup>252</sup> Ibidem, s.431.

<sup>253</sup> Ibidem, s.433.

Relatywny spokój i cisza francuskiej stolicy nieustannie przypominały Bobkowskiemu o Polsce.

„ W Warszawie piekło. – zapisał – Tam się nie pertraktuje i nie gada.”<sup>254</sup>

Krzysztof Dybciak zauważył, iż Bobkowski prezentując powstania: warszawskie i paryskie konstruował pierwsze z nich na podobieństwo tragedii – przejmując jej terminologię i figury retoryczne – zaś drugie, analogicznie, na podobieństwo komedii. Nie musiało być to jednak celowe, strategiczne działanie pisarskie (Bobkowski wszak zawodowym pisarzem nie był), lecz swoista konieczność wynikła z faktu, iż rzeczywistość wpisała się z niezwykłą precyzją i siłą w obecne w świadomości diarysty schematy. Wszak, według Dybciaka: „Bywają takie chwile, kiedy cała sfera zachowań ludzkich ulega schematyzacji, stając się dokładnym naśladownictwem konwencji artystycznych.”<sup>255</sup>

Oswobodzenie Paryża odbyło się tak, jak tylko można było sobie wymarzyć.<sup>256</sup> Niemcy pozostawili miasto niezniszczone – ocalały kościoły, muzea, domy mieszkalne. Stolica nad Sekwaną płynnie i niemal bezboleśnie przeszła w ręce aliantów. Obserwacja paryskiego zrywu sprawiła, że diarysta zobojętniał - odmówił pełnego duchowego uczestnictwa w miejskiej gorączce. Żenujący wymiar działań powstańczych i świadomość tragedii Warszawy pogłębiły jego poczucie wyobcowania. W chwili wkroczenia Amerykanów do miasta stał się jednak wraz z innymi szczęśliwym Paryżaninem. Ekstacycznie i ze łzami w oczach witał żołnierzy, choć trwało to tylko do momentu, w którym przypomniał sobie o swojej – mimo wszystko - nieprzynależności do tego miejsca oszczędzanego przez historię. Pamiętając o Warszawie nie chciał czuć się jednym z wyzwolonych, uznawał, iż „nam jeszcze nie wolno.”<sup>257</sup>

### **1.8. Pożegnanie z Europą. W poszukiwaniu przestrzeni wartości**

Bezterminowy pobyt w stolicy Francji stał się dla Bobkowskiego wyzwaniem. Diarysta został paryżaninem trochę z przypadku, w możliwie najgorszym historycznie okresie. Ukochana wcześniej metropolia zmieniła się w przestrzeń jego osobistego pojedynku z historią, w miejsce, gdzie umarła wieloletnia, u zarania bezkrytyczna, fascynacja Francją. Miasta nad Sekwaną doznawał polski przybysz głęboko i świadomie, nie poszukując w nim – sposobem emigrantów - minionego czasu, czy swojskiej przestrzeni.<sup>258</sup> Dzięki temu paryskie lata bywały może trudne ale

---

<sup>254</sup> Ibidem, s.435.

<sup>255</sup> K. Dybciak, *Personalistyczna krytyka literacka. Teoria i opis nurtu z lat trzydziestych*, Wrocław 1981, s. 136 – 137.

<sup>256</sup> A. Bobkowski, *Szkice piórkem...*, t.2, s. 439.

<sup>257</sup> Ibidem, s.440.

<sup>258</sup> Dziennikowa stolica Francji jest w *Szkicach piórkem* miejscem rzeczywistym i nie pozostaje we władzy porównania. Wojciech Ligęza w książce pod tytułem *Jerozolima i Babilon. Miasta poetów emigracyjnych*

były też prawdziwe; diarysta dał sobie bowiem szansę na autonomiczną, realną, a nie symboliczną egzystencję. Nie wpisał się w paradygmat polskiego wygnańca oczekującego na odmianę losu, trwoniącego życie na wypatrywanie cudu. Jego codzienność upływała wśród ulic i gmachów, które znał z imienia, w metropolii, którą w tamtym czasie uważał niemal za własną. Udało mu się żyć tak, by ocalić święte „teraz”, stanowiące dla niego jedną z podstaw egzystencji, filozoficzny filar myślenia o świecie. Życie podzielone na odcinki, odczuwał w we własnym przekonaniu mocniej, wymogło na nim bowiem koncentrację uwagi na tym, co wokół, nie pozwoliło przeoczyć tego, co momentalne.

Swój osobisty pojedynek z historią toczył konsekwentnie i na wielu polach – myślał w sposób głęboko autonomiczny, zawsze znajdował czas na refleksję, budującą dystans między nim a panującym wokół chaosem. Nie uciekał myślami do przeszłości, nie idealizował jej, chciał mieć oczy cały czas szeroko otwarte – wiedzieć, jak wygląda sytuacja na świecie i w żadnym wypadku nie ulegać złudzeniom.

„Przytomność” Andrzeja Bobkowskiego stała się ostatecznie, jak można przypuszczać, jednym z powodów dla których zdecydował się opuścić Paryż. Intensywnie przyglądając się miastu, będąc w nim duchem i ciałem, słuchając ludzi, czytając gazety i – co ważne - doskonale znając francuski, nie miał szans nie dostrzec, iż miasto zamieniło się we własny cień, zaprzeczyło wszelkim symbolizowanym przez siebie wartościom. Nie sposób było wskrzesić jego dawnego *genius loci*, tym bardziej, że stolica Francji we własnym przekonaniu nigdy go nie utraciła. Dla Bobkowskiego jednak po wojnie nie było już Paryża, tak jak nie było Europy. Rzeczywistość kulturowa kontynentu stała mu się zupełnie obca. Wrażenie to dzielił na przykład z Józefem Czapskim, który w swojej powojennej (z 1948 roku) relacji ze stolicy Francji napisał: „Nagle odczułem jakby bez udziału świadomości, że Paryż już umarł, że to nie Paryż, a ruina Paryża, że patrzę na falę zieloną i ciężką, która to miasto lada chwila zaleje, zatopi”.<sup>259</sup> Podobne emocje utrwalił w swoim *Podzwonnym* Waław Iwaniuk:

„Po wojnie wybrałem kraj za oceanem  
Francji nie chciałem, jej łuk Triumfalny  
Opluły hitlerowskie spojrzenia

---

trafnie zauważył, iż miasta emigrantów stawały się często „miastami podwójnymi” z ukrytą pod powierzchnią polską istotą. Badacz, by oddać istotę zjawiska, cytuje np. epigramatyczny wiersz, przyjaciela Bobkowskiego, Andrzeja Chciuka: „Daleko, jak niepamięć/ jak szczęście daleko/Nad Rzeką Niewyśnionych/ Złoto – Srebrnych Snów/żył sobie raz emigrant/jak umiał żył sobie/i tropił w każdym mieście/jedno miasto: Lwów.”

Bobkowskiemu udało się takiego - definiowanego tęsknotą - postrzegania ustrzec. Por. W. Ligęza, *Jerozolima i Babilon. Miasta poetów emigracyjnych*, Kraków 1998, s. 180. Por. też rozdz. VI pt *Miasta podwójne*, s.173 – 203.

<sup>259</sup> J. Czapski, *Groby, czy skarby*, „Kultura”, 1948, nr 5, cyt. za: *Tło paryskie*, [ w:] *Patrząc*, oprac. J. Pollakówna, Kraków 1983, s.120. Por. także: T. Terlecki, *Paryż*, Londyn 1952, s.36 – 39.



[.....]

Po wojnie Paryż zmałał.

Czasem pod lampą o stu świecach rozkładałam papier

By napisać o Francji wiersz.

Niestety

Brakuje mi zawsze odpowiednich słów”<sup>260</sup>

Gorzkie rozczarowanie Francją (lecz równocześnie jakby z nutą nadziei na przyszłość) wyraził także Jan Lechoń, pisząc w *Pożegnaniu Marsylianki*:

„Jeszcze chwilę popatrzę na Luwr i Sekwanę

I tobie, jakże grzesznej, niech powiem <<Dziękuję>>.

Bo ja wierzę, że w ciszy, co teraz nastąpi

Z której dojdzie cię tylko głos, co cię przeklina

Krzyk <<Hańba>>, co pod twoje pomniki się wspina,

Ty we łzach, wstydu pełna, będziesz przecież trwała.”<sup>261</sup>

Nie mogąc wrosnąć we Francję, nie chcąc się z nią pogodzić, Andrzej Bobkowski nie mógł równocześnie myśleć o odizolowaniu się w środowisku polskiej emigracji. Nie tylko dlatego, że obsesyjnie wręcz nie chciał żyć na cudzy koszt (zasiłki, zapomogi, stypendia), ale także z powodów, o których tak napisał Marian Stępień:

„Dojrzewająca jeszcze w latach wojny myśl o odmowie powrotu do Polski rodziła się z pragnienia ucieczki od polskiego zaścianka, który zainstalował się również na emigracji, od narodowego czadu i pętającej wolność jednostki martyrologii narodowej, z której wynikały różne obowiązki, mające swych licznych <<patriotycznych>> strażników.”<sup>262</sup>

„Trzeba pamiętać również, - dodawała gdzie indziej Anna Jamrozek – Sowa - że dla powojennej emigracji dziedzictwo polskości nie wiązało się ze splendorem, dumą z racji przynależności do ważnej grupy etnicznej, lecz było bagażem krzywdy, klęski, poczucia bycia ofiarą.”<sup>263</sup>

---

<sup>260</sup> W. Iwaniuk, *Moje strony świata. Poezje*, Paryż 1994, cyt. za: W. Ligęza, *Jerozolima i Babilon...*, s.211 – 212.

<sup>261</sup> Cyt. za: W. Wyskiel, *Kręgi wygnania. Jan Lechoń na obczyźnie (krąg pierwszy i drugi)*, Uniwersytet Jagielloński, Rozprawy Habilitacyjne nr 154, Kraków 1988, s.138.

<sup>262</sup> M. Stępień, *Ani „krybden”, ani „anafadá” (o decyzji Andrzeja Bobkowskiego)* [w:] M. Stępień, *„Jak grecka tragedia” Pisarz polski w sytuacji wyboru (1944 – 1948)*, Kraków 2005, s.55.

<sup>263</sup> A. Jamrozek – Sowa, *Życie powtórzone. O pisarstwie Zofii Romanowiczowej*, Rzeszów 2008, s.240.

Bobkowski zaś był mentalnie człowiekiem sukcesu<sup>264</sup>, nie mógł i nie chciał wpisać się w obowiązujący wśród większości emigrantów wzorzec polskości ukształtowany jeszcze w dobie Romantyzmu; bezterminowo skazać się na etykietkę przegranego, definiować swego życia tęsknotą. Nie interesowało go życie pozorne, tymczasowe, niepełne i powierzchowne<sup>265</sup>. Nie wyrażał zgody na to, by legitymizowała go przeszłość, nie widział siebie w gronie wyznawców mitu. Juliusz Mieroszewski zauważył, iż na planie politycznym sposób myślenia polskich emigrantów prowadził do statyczności i bierności: „Emigracje myślą zawsze o odzyskaniu p r z e s z ł o ś c i – pisał – Natomiast narody nigdy nie walczą o przeszłość, tylko zawsze o p r z y s z ł o ś ć.”<sup>266</sup> Andrzej Bobkowski wiedział doskonale, iż na emigracji pojmowanej jako poczekalnia historii nie znajdzie dla siebie miejsca. Pytanie brzmiało: czy ( a wówczas na jakich zasadach?) zostać jednak we Francji, czy też wyruszyć gdzieś dalej, w poszukiwaniu „rezerwatu wolności”? Powrót do Polski - czysto teoretyczne trzecie rozwiązanie – nie wchodził zaś zupełnie w rachubę, czego powody (skądinąd oczywiste) diarysta wyjaśnił choćby w samych „Szkicach piórkiem”, a później między innymi także w „Pożegnaniu”, „Liście” i literackim komentarzu do powieści Jana Parandowskiego „Dysk olimpijski”, któremu nadał tytuł „Ikkos i Sotion” (gdzie podjął problem dylematów etycznych, przed którymi staje młode pokolenie Polaków w ojczyźnie).

O swoim dojrzewaniu do rozstania z Francją autor „Szkiców piórkiem” pisał w ogłaszanych w kraju notatkach francuskich, po latach zebranych i wydanych w tomie p. t. „Z dziennika podróży”. Znalazły się tu teksty zatytułowane: „Wiosna w Paryżu” (pierwodruk – „Nowiny Literackie 1947 nr 10), „Baskijski list” („Nowiny Literackie” 1947 nr 30), „Na drogach Francji” („Nowiny Literackie” 1947 nr 37), „Loudres” („Tygodnik Powszechny” 1948 nr1) oraz

---

<sup>264</sup> A. Bobkowski, zgodnie z własnymi predyspozycjami psychicznymi, przyswoił sobie zachodni model istnienia, zaś: „W społeczeństwach zachodnich, w tym także francuskim, niemal obowiązkiem każdego jest być szczęśliwym – ktoś, kto nie jest w stanie znaleźć powodu do szczęścia w swoim życiu jest źle postrzegany. Klóci się z tym słynna polska martyrologia – polski model edukacyjny opiera się na pojęciu obowiązku i cierpienia.”, B. Olszewska – Dyoniziak, *Oblicza kultury. Wstęp do antropologii międzykulturowej komunikacji*, Kraków 1998, s.122.

<sup>265</sup> „Emigracja sięga poza istniejącą rzeczywistość – pisał T. Terlecki – aspiruje do rzeczywistości innej. [...] Bodaj żadna emigracja nie jest wolna od obciążeń dziedzicznych. I na naszej ciężą winy przeszłe i wczorajsi ludzie, zastarzałe narowy i anachroniczne zniekształcenia duchowe.” T. Terlecki, *O standard moralny emigracji*, „Wiadomości” 1947, nr 25. Bobkowski natomiast cenił sobie właśnie przywiązanie do rzeczywistości istniejącej, nie chciał też trwonić życia na rozpamiętywanie odziedziczonych win; nie mógł więc łudzić się, że jako członek polskiej diaspory w zachodniej Europie osiągnie spełnienie jako człowiek ( na czym zależało mu najbardziej) i twórca. „Szkoda mi lat, – pisał o powodach swojego wyjazdu z Europy do stryja – szkoda sił na szamotanie się zupełnie beznadziejne, z którego JA osobiście mogę mieć tylko za kilka lat straszliwe zmęczenie, niezdolność do zrywu.” List A. Bobkowskiego do Aleksandra Bobkowskiego z 21 marca 1948 r., [w:] *Ucieczka z kredowego koła*, oprac. J. Podolska, Magazyn „Gazety Wyborczej” 1998, nr 48 (299).

<sup>266</sup> J. Mieroszewski, *Czerwone drzewa i polski las*, [w:] J. Mieroszewski, *Finał klasycznej Europy*, wybrał, opracował i wstępem opatrzył R. Habielski, Towarzystwo Opieki nad Archiwum Instytutu Literackiego w Paryżu, Wydawnictwo Uniwersytetu Marii Curie – Skłodowskiej, Lublin 1997, s.125.

„Rozstanie” („Tygodnik Powszechny” 1949 nr25). W wyżej wymienionym zbiorze umieszczono również zapiski podróże, pod następującymi tytułami: „Na Morzu Śródziemnym” („Tygodnik Powszechny” 1949 nr 36), „Atlantyk” („Tygodnik Powszechny 1949 nr 40 ), „Za zwrotnikiem” („Tygodnik Powszechny” 1949 nr 48 ), „La Guaira” („Tygodnik Powszechny” 1949 nr 50 – 51, „Na Morzu Karaibskim” („Tygodnik Powszechny” 1950 nr 2), „Panama – Guatemala” („Tygodnik Powszechny” 1950 nr 7). Zbiór zamykają zapisy pochodzące z późniejszego już okresu życia autora „Szkiców piórkiem”. Noszą one następujące tytuły: „ Z notatek modelarza” („Kultura” 1955 nr 5 i 6 ) a także „Fragmenty notatnika” („Kultura” 1961 nr 9 ).

„Wiosna w Paryżu” ma formę dziennikową, kolejne zapisy oznaczone są jednak wyłącznie nazwami dni tygodnia. Stanowią one przede wszystkim pieczołowicie zebrane sceny z życia miasta, a na ich tle okruchy rozmów, odzwierciedlających myśli paryżan - stan ich ducha w tuż powojennych latach. „Słucham łączywie i nagrywam te głosy”<sup>267</sup> – pisał Bobkowski. Starał się zrozumieć Francję dosłownie słuchając tego, co ona mówi, lecz głosy nie napawały optymizmem, diagnoza pozostawała zła. Kraj był biedny i pozbawiony wystarczającego zaplecza ideowego, narastała społeczna frustracja, połączona z głębokim poczuciem niemocy. W optyce Bobkowskiego Francja pozostawała starczo statyczna, niezdolna do zmian. Skoncentrowana wyłącznie na przeszłości niechętnie patrzyła w przyszłość. Niemniej jednak sam Paryż, będący przecież jej symbolem, wciąż jeszcze jawił się pisarzowi jako miejsce pełne dynamizmu. Energia metropolii była dla niego życiodajną siłą; doceniał kolorowe, wiosenne miasto pachnące spalinami, ale też dobrodziejstwami natury. W zapiskach wspominał o swojej pracy w warsztacie naprawy rowerów, a także o wólczech po Paryżu, w trakcie których łączywie oglądał wystawy i plakaty filmowe. Lecz pisał także o tym, czego nie mógł nie dostrzegać, o tym, co działo się pod niezmiennie barwną powierzchnią, a czemu przyglądał się z perspektywy dyplomowanego ekonomisty. Odnotowywał na przykład permanentne poczucie „podcinania skrzydeł” przez państwo drobnemu i średniemu przemysłowi. W owym czasie wedle Bobkowskiego „ugina się on pod ciężarem podatków, braków, nakazów i ukazów; tonie i rzuca się w bezplanowej państwowości planowej gospodarki [...]”<sup>268</sup>. Pisarz zauważył, iż ludzie, a wśród nich on sam, wędną; pracują coraz bardziej z dnia na dzień, tylko na chleb, pełni wewnętrznej rezygnacji. Obserwując siebie, swojego szefa i współpracowników utwierdzał się w przekonaniu, iż Francja była krajem bez perspektyw, zabijającym wszelką inwencję, miejscem na ziemi, gdzie

---

<sup>267</sup> A. Bobkowski, *Wiosna w Paryżu*, [w:] A. Bobkowski, *Z dziennika podróży*, Biblioteka „Więzi”, Warszawa 2006, s.12.

<sup>268</sup> Ibidem, s.9 – 10.

niepodzielnie panował sklepikarz rozdzielający wedle uznania reglamentowany chleb. Krajowi temu, zdaniem Bobkowskiego, brakowało też zaplecza ideowego, nadrzędnej etyki, o której Francuzi zapomnieli w ferworze walki o codzienne, w miarę dostatnie przetrwanie. To z kolei umożliwiło zaistnienie w ich świadomości egzystencjalizmu, wedle Bobkowskiego filozofii braku, wyrosłej z pustki na rynku myśli<sup>269</sup>.

„Nie może być dobrze, – odnotował – gdy krańcowa użyteczność żarówki i myśli jest jednakowa, lub – co gorzej – gdy użyteczność żarówki jest większa. Kupuje się wtedy byle jakie myśli. Może to prowadzić albo do filozofii tylko żarówki, albo wprost do filozofii mlecznej drogi: obydwie nie są ludzkie.”<sup>270</sup>

W tej atmosferze rozdwojenia, w pięknym mieście bez przyszłości, Bobkowskiego dopadło także własne przemijanie, jego namacalność. Mężczyzna, który ostatnie lata „spędził na rowerze”, w dynamicznym pędzie, nieoczekiwanie okazał się bezradny, gdy przypiął pożyczone od młodego chłopca wrotki. Zaczął dostrzegać własne ograniczenia, wynikłe już nie ze świata zewnętrznego, ale z dojrzałości ciała. Młodzieńczy pęd wśród „wrotkowych Alp”<sup>271</sup> pozostał poza jego zasięgiem. Kiedyż u diabła minęła młodość? – zapytywał<sup>272</sup>. Starzejąc się, czuł się podwójnie przytłoczony mentalną omszałością Francji, jej biernym oczekiwaniem na cud. Wciąż jednak wbrew wszystkiemu deklarował, że jest szczęśliwy, niezmiennie definiował samego siebie wewnętrzną harmonią. Jednym z bezpośrednich powodów, dzięki którym udało mu się ją utrzymać, była nadal silna więź z żoną; jej postać w tych powojennych zapiskach nie blednie i, choć ledwie naszkicowana w tekście, otoczona jest przez twórcę nieskrywaną czułością. Ale dla drugiej miłości - Francji, w przekonaniu Bobkowskiego, nie było już ratunku:

„ Co jest tym czymś, - konkludował – czego nie można w niej jakoś odnaleźć? Tę próżnię odczuwa każdy, kto znowu na nią patrzy po długiej rozłące. Ktoś powiedział, że nie można dyskutować z Francuzem, jeżeli nie podziela się jego przekonań fundamentalnych. Dyskutuję z nimi dużo i dostrzegam, że Francja nie ma już przekonań fundamentalnych; tych którymi wykarmiała całą Europę przez tyle wieków. Nie ma ich w ulicy, brak ich w tłumie, w teatrach i w książkach, brak w oczach Francuzów i w rozmowach z nimi. Może to właśnie jest przyczyną, która jest na dnie wszystkiego? Jednym z tych przekonań, chyba najbardziej fundamentalnym, była w ogóle F r a n c j a, wiara w siebie. Europa była dla niej lustrem. Francja nie może dziś

---

<sup>269</sup> Ibidem, s.17.

<sup>270</sup> Ibidem, s.17.

<sup>271</sup> Ibidem, s.13.

<sup>272</sup> Ibidem, s.13 – 14.

siebie nigdzie zobaczyć; szuka Europy, Europa szuka Francji i nie mogą się odnaleźć. Gonią się wokół słupa z reklamami, które są im obce, pisane w niezrozumiałych językach.”<sup>273</sup>

W „Baskijskim liście”, tekście wbrew tytułowi nie skierowanym do konkretnego adresata i nie posiadającym innych formalnych wyznaczników listu, będącym natomiast kontynuacją wcześniejszych rozważań, Bobkowski pisał o zubożeniu na wszystko Francuzach, coraz częstszych strajkach, a także na wpół legalnym przemyśle żywności z Hiszpanii. Wciąż nie rezygnował z postawionych Francji bardzo wysokich wymagań etycznych, którym ta od dawna nie mogła już sprostać. Przewrotnie i konsekwentnie zarazem przyznawał jednak, iż kocha to miejsce choćby za to, że ludzie wciąż szanują tu prywatność bliźnich, potrafiąc stworzyć klimat społecznego zaufania.

„Kocham go za ten opuszczony namiot, z którego nic nie ginęło, choć naokoło wiedziano, że wyjeżdżałem na cały dzień. – pisał o kraju nad Sekwaną – Szanuję rodziców i ich dzieci, które tam, z wysokich skał ponad nami, nie ciskały kamieniami w napięte płótno; cenię kulturę tych, co przyjechawszy podchodzili do mnie i pytali, czy jeśli rozbiją swój namiot o dwadzieścia metrów dalej, mnie to nie będzie przeszkadzać; po czym nie byli c i e k a w i .”<sup>274</sup>

To jednak było dla Bobkowskiego za mało. Mimo wszystko Francja nie dawała mu już wewnętrznego poczucia bezpieczeństwa. Chciał by była ona – jak niegdyś – krajem ludzi myślących. Miał przekonanie, iż inaczej balansować będzie na krawędzi upadku, nie dostrzegając zagrożeń, jakie stać się mogą jej udziałem. Widział jej wojenną słabość i nie miał już wątpliwości, że wcale nie jest duchowym monolitem, że można ją skruszyć aż do samych podstaw, które Francuzom wydawały się niezniszczalne. Oni zaś, w przekonaniu polskiego pisarza:

„Zrzucali odpowiedzialność z siebie, pragnąc w gruncie rzeczy zwalić cały ciężar na kogoś. Nie chcieli jednocześnie zrozumieć, iż prawdziwe niebezpieczeństwo to nie brak chleba, trudności; że tkwi ono w następstwach. Któregoś dnia, w jakiejś przyszłości, gdy wrócę do namiotu, mogę go już nie znaleźć. Z początku, być może aparatu fotograficznego; potem dopiero namiotu, a w końcu może i okopconych garnków. To postępuje szybko. [...] Czy są aż tak zmęczeni i nie czują, że ich najprawdziwsza kultura zaczyna być w tym wystawiana na wielkie niebezpieczeństwo? Gdy ta cienka niteczka samej moralności niewzmocniona dobrobytem przerwie się raz, nawrót do <<zamkniętych>> namiotów będzie bardzo trudny. Tu stwierdziłem jeszcze raz, że prawdziwa kultura, to nie dziesiątki i setki ich pism, świetnych artykułów i rzutów myśli odwiecznie francuskiej, lecz przede wszystkim ten mój namiot samotny, opuszczany o świcie z z a u f a n i e

---

<sup>273</sup> Ibidem, s.19 – 20.

<sup>274</sup> A. Bobkowski, *Baskijski list*, [w:] A. Bobkowski, *Z dziennika podróży*, s.25.

m. Tamto może przetrwać długo, może nawet wybuchnąć jeszcze wspanialszym płomieniem. Natomiast ja będę się b a ł odejść o świecie.”<sup>275</sup>

Bobkowski martwił się, iż Francji zagraża zdziczenie; nadwyrężona wojną i okupacją duchowość tego narodu stanowiła w jego optyce idealny łup dla przejmujących właśnie rządy we wschodniej Europie barbarzyńców. Zło wydawało się być potężne i zaraźliwe, pisarz wypatrywał zatem symptomów – jak sądził – ostatecznej katastrofy. W tekście p.t. „Na drogach Francji”, mającym charakter wspomnienia z wędrówki, napisał:

„Po zejściu z gór przeczytałem, że od 1 września obowiązywała już zmniejszona racja chleba. Dwieście gram dziennie. Przeczytałem także, że żona profesora Politechniki francuskiej kradła samochody, a w Biarritz złapano bandę trzynastoletnich chłopców, okradających puste wille i sklepy. Jakieś niedozwolone granice zostały już przekroczone. Było mi żal.”<sup>276</sup>

Pisarz próbował zrozumieć Francję, wracając do Gustawa Le Bona. Wedle tego filozofa umiejętność kierowania sobą jest kwestią dyscypliny wewnętrznej, której brakuje ludom łacińskim a w szczególności Francuzom<sup>277</sup>. Bobkowski zaś posiadanie decydującego wpływu na własne życie ustanowił swoim absolutnym duchowym priorytetem. Pełen wątpliwości pisał zatem o przytłaczającej ambiwalencji uczuć wobec kraju, którego atmosfera nie sprzyjała co prawda zachowaniu wewnętrznej niepodległości, ale wciąż dawała poczucie życia w kulturowym centrum świata, szczególnie silnie odczuwalne w Paryżu. W trakcie zacytowanej w „Baskijskim liście” rozmowy z Francuzem, który wyjechał ze stolicy i zdecydował się osiąść na prowincji, Bobkowski postawił pytanie tylko pozornie, jak się zdaje, skierowane wyłącznie do rozmówcy: „Nie żal było panu tego miasta, tego centrum wszystkiego?”<sup>278</sup> Paryski lekarz odpowiedział odmownie, ale sformułowanie pytania świadczy bezsprzecznie o stosunku pytającego do metropolii. Wiedział on, iż wyjeżdżając, opuści „centrum wszystkiego” i będzie musiał stworzyć sobie nowe – własne.

W tekście „Na drogach Francji” Andrzej Bobkowski kontynuował swoje refleksje, dotyczące kraju nad Sekwaną. Francja zarówno jemu, jak i ludziom z którymi rozmawiał wydawała się być nieporadna i nieporządna, leniwa, gnuśna a także – niezmiennie – pełna żądań, roszczeniowo nastawiona do całego świata. Jej mieszkańcy narzekali i złorzeczyli. Tytułowe drogi Francji prowadziły Bobkowskiego przede wszystkim wzdłuż morza; Lazurowe Wybrzeże było w tamtym okresie mekką paryżan. W Cannes przykładowo polski twórca zauważył: „Paryskie lato było

---

<sup>275</sup> Ibidem, s.26.

<sup>276</sup> A. Bobkowski, *Na drogach Francji*, [w:] A. Bobkowski, *Z dziennika podróży*, s.46.

<sup>277</sup> Por. A. Bobkowski, *Baskijski list*, s. 29 – 30.

<sup>278</sup> Ibidem, s.31.

tutaj.”<sup>279</sup> On sam zaś – jak to pokazał w tym wyraźnie autobiograficznym tekście – pozostawał trochę na uboczu, na marginesie letniego szaleństwa. Zachowywał młodzieńczy dystans, poczucie humoru i lekkość ale nie był już młodzieńcem. Był mężczyzną, który dostrzegał na przykład, iż ceny wszystkiego wokół były zabójczo wysokie. Napisał później: „Siedziałem na promenadzie, oparty o palmę, mrużyłem oczy, jadłem chleb z cebulą, opędzając się od czerwonych mrówek i trochę mi było żal, że nie stać mnie na porządny obiad.”<sup>280</sup>

Dotykał go brak wystarczającego zabezpieczenia finansowego<sup>281</sup>. Jak się zdaje, on także stał się ostatecznie jednym z powodów wyjazdu Bobkowskiego z Francji. Autorowi „Szkieł piórkiem” obrzydły bowiem nie tylko zmurszałe ideologie, ogólny upadek i irytująca bezradność kontynentu, ale też, jak wolno przypuszczać, brak perspektyw osobistego rozwoju, również finansowego. Francuski kryzys nie był wszak wyłącznie kryzysem wartości. W innym miejscu tego samego tekstu Bobkowski zauważył:

„[...] gdy droga jest zbyt ciężka nie widzi się celu. Myśli się tylko o tym, żeby jakoś iść i idzie się głupio. Francja wlecze się bez celu, bo droga jest dla niej zbyt ciężka.”<sup>282</sup>

Jemu zaś zależało na tym by nie wlec się wraz z Francją, chciał odnaleźć drogę prowadzącą do kądś. Liczyła się dla niego nie tylko metafizyka, ale także twarda ekonomia istnienia. Kraj nad Sekwaną widziany z perspektywy ekonomicznej jawił mu się jako przestrzeń niedostatku, krzywdy, smutku, niekończącego się kryzysu. Nieuchronnie zbliżał się zatem czas ostatecznej zmiany. W napisanym już w Gwatemali tekście p.t. „Na tyłach” wspominał:

„I teraz już wiem na pewno: dzień, który przeważył szalę mojej decyzji, był dniem wymiany banknotów 5.000 Frs w Paryżu. [...] Widzę ciągle te ogonki pokornych obywateli rewolucyjnej i indywidualistycznej Francji, stojących cierpliwie i godzinami, bez słowa sprzeciwu i buntu, godzących się potulnie z bezprawiem i rabunkiem, jakiego po raz już X-ty dopuściło się na nich państwo.”<sup>283</sup>

---

<sup>279</sup> A. Bobkowski, *Na drogach Francji*, s.40.

<sup>280</sup> Ibidem, s.40.

<sup>281</sup> O sytuacji finansowej Andrzeja Bobkowskiego w latach powojennych pisała Joanna Podolska, przypominając, iż od końca 1946 roku pisarz prowadził Polskie Biuro Informacyjne (występujące też jako Polskie Biuro Dokumentacji) powstałe z inicjatywy „Placówki” – Samodzielnego Wydziału Kultury i Prasy 2. Korpusu Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie. „Choć Biuro Dokumentacji było użyteczne, – pisała Podolska – niemal od początku borykało się z trudnościami finansowymi. Andrzej Bobkowski – jedyny etatowy pracownik – nie zawsze dostawał należne mu wynagrodzenie, mimo że pensja – jak podkreślał minister Emanuel Freyd – była zdecydowanie <<poniżej normy przyjętej przy tego rodzaju wykwalifikowanej pracy>>. Kto wie, czy ta niepewna sytuacja Biura nie przelała czary gorczy i rozczarowania życiem we Francji. Być może przyczyniła się do decyzji opuszczenia Europy w czerwcu 1948.”, J. Podolska, *Dwóch panów B. i poeta*, „Więź”, maj – czerwiec 2011, nr 5 -6 [631 – 632], s.84.

<sup>282</sup> A. Bobkowski, *Na drogach Francji*, s.41 – 42.

<sup>283</sup> A. Bobkowski, *Na tyłach*, „Kultura” 1949, nr16/17, s.18.

Ostatnie chwile we Francji są tematem „Rozstania”, kolejnego z tekstów zawartych w zbiorze „Z dziennika podróży”. Bobkowski porzucał kraj nad Sekwaną, wierząc, że dane mu będzie wrócić. „Stary i ślepy rozpoznam was po zapachu.”<sup>284</sup> – zwracał się do ulubionych miejsc. W tamtych chwilach wierzył, jak się zdaje, że Francja będzie jego Itaką, w której „stary i ślepy” kiedyś spokojnie umrze. Pisał o poprzedzającym podróż powrocie do ważnych dla siebie zakątków – rozpoznawalnych, oswojonych, czule objętych pamięcią. Pożegnanie nie było łatwe.

„Teraz już do końca będę się miotał między prozą wyjazdu i liryką rozstania. – stwierdzał – Obydwie jednak są tak samo soczyste. Mam w kieszeni siedem i pół tysiąca srebrników za rower, siedzę na tarasie kawiarni, piję już drugi podwójny rum i patrzę w rurę Bulwaru, jak w kalejdoskop. Na pamięć znam układ tych kolorowych szkiełek, ustawiających się tu zawsze podobnie, a zawsze inaczej. Czy będę miał dość odwagi, dość sił?”<sup>285</sup>

Wyjazd miał być próbą zmierzenia się z samym sobą, pokonaniem wewnętrznej inercji, rękawicą rzuconą światu. Bobkowski żegnał się z ludźmi, ale też z samą Francją - przestrzenią mityczną, w której minęła młodość i dobiegł końca sen o Europie. Twórczość autora „Coco de Oro”, na co warto po raz kolejny zwrócić uwagę, dotyczy w ogromnej mierze relacji człowiek – miejsce. Jest świadectwem, iż Bobkowski należał do grona twórców, którym udawało się nie żyć wyłącznie w hermetycznym świecie własnych myśli, ale którzy potrafili, umieli i chcieli b y ć (sensie fizycznym i duchowym) w wybranych przez siebie realnych przestrzeniach. Miało to swoje konsekwencje. Pisarz zauważył, iż wyprowadzając się z Francji opuszcza wierne grono „rozmówców”, z którymi dyskutować można było tylko tu, gdzie promieniowały ich myśli. Wiedział, iż świata poza Francją nie można wytłumaczyć ani opisać Balzakiem.

„Tu gadałem z nimi wszędzie, wprost. – stwierdzał – Z Camilem Desmoulins obok Palais Royal, z Flaubertem o naszej epoce (pesymista), z Le Bonem o polityce (jedeny Francuz, który wie, o co chodzi naprawdę), z Bainville’em o Niemcach, z Custine’em o Rosji – oczywiście carskiej. Przegadałem osiem i pół lat. I teraz, co? Pisać listy?”<sup>286</sup>

Wszak:

[...] Honoriusz już listów nie pisze. Można z nim tylko rozmawiać i to jedynie tu. Włóczy się ulicami do dziś dnia, szuka na szyldach sklepowych nazwisk dla swoich ludzi, jeździ na wieś i na prowincję.”<sup>287</sup>

Bobkowski przeczuwał, iż poza Paryżem jego życie będzie uboższe o głosy mistrzów, słyszalne tu wśród ulic i monumentów. Żegnając się z Europą odcinał się w pewnym stopniu od własnej

---

<sup>284</sup> A. Bobkowski, *Rozstanie*, [w:] A. Bobkowski, *Z dziennika podróży*, s.59.

<sup>285</sup> Ibidem, s.60.

<sup>286</sup> Ibidem, s.61.

<sup>287</sup> Ibidem, s.61.



tożsamości, porzucał przestrzeń brzmiącą zrozumiałym dla niego językiem. Rezygnował ze świata, w którym był „u siebie”, w który wrósł mentalnie, intelektualnie i duchowo. W „Rozstaniu” pojawia się także ślad niepokoju, iż odczuwalna intensywność istnienia jest możliwa tylko we Francji, że do niej przynależy:

„Siedzę teraz w pokoju wśród kufrów i walizek, - pisał – i dodaję odruchowo kilometry. Z Angoulême do Tours. Na którym to kilometrze za Angoulême jest t e n wspaniały biały koniak u tego staruszka, kombatanta z 1870 roku? [...] A ta wioseczka za Bordeaux? Do teraz czuję smak białego wina pitego już o zmroku, gdy gęsta rosa moczyła mnie jak zimny tusz.”<sup>288</sup>

Odwagi do wyjazdu dodawało mu umiłowanie ruchu, podróży. Przebyte kilometry traktował jak trofea. Brak możliwości zmiany, nieuchronne po kilku latach w jednym miejscu wrośnięcie w schematy społeczne i towarzyskie przyduszały go, czyniły – na podobieństwo Francji – starym i bezsilnym.

„[...] we mnie jest już radość przestrzeni – pisał – przemożna ochota zmierzenia się znowu z nieznanym życiem, odpuszczenia cięciw, które naprężone do kresu grożą łukom pęknięciem. Nurknąć w dal, wyłamać kraty, może wyimaginowane, i poczuć znowu słońce, zieleń i wiatr. Podpisać zawieszenie broni z otoczeniem? Nie – buntować się swobodniej.”<sup>289</sup>

Wyjazd z Polski zmienił zasadniczo jego życie, miał zatem prawo wierzyć, że i kolejny skok w nieznanym stanie się, summa summarum, pozytywnym przełomem, że uda mu się odnaleźć głębokie poczucie wolności. Opuszczenie ojczyzny w 1939 roku – choć okupione rozstaniem z rodziną – takie emocje wyzwoliło, zainaugurowało w życiu przyszłego pisarza epokę osobistego wyzwolenia i wymarzonej decyzyjności. Powojenny Paryż stanowił zaś dla nich zagrożenie, był bowiem przestrzenią lęku, zdegradowanym miastem o hańbiącej przeszłości i niepewnym jutrze. Bobkowski widział to wyraźniej niż autochtoni bo przywiązanie do tego miejsca było dla niego kwestią wyboru, a nie urodzenia. Odrobina paryskiego blichtru nie była w stanie go przekonać, że jest możliwy powrót do przeszłości.

„Paryż wyświeżył się, odprasował. – pisał – Czuje się nawet chwilami <<dawniej>>. Ale tylko zewnątrz. Jest to trochę obliczone na efekt. Bo może uda się przygłuszyć tym trochę wewnętrzną obawę, *angoisse*, która podmywa ludzi jak woda podskórna i nie pozwala naprawdę odżyć. Znowu strajki, a sklepy zmieniły się w hale licytacyjne. Już zgodziłem się na cenę – nie – ktoś podbił i nie mogę zapłacić. Odpadam.”<sup>290</sup>

I dodał:

---

<sup>288</sup> Ibidem, s.63.

<sup>289</sup> Ibidem, s.63.

<sup>290</sup> Ibidem, s.64.

„Siedzę, patrzę, myślę i mam tego dość. Obrzydzam sobie, żeby było łatwiej.”<sup>291</sup>

Bobkowski opisywał też rozstanie z przyjaciółmi. Robił to powściągliwie, adekwatnie do sposobu w jaki się z nimi żegnał – kryjąc emocje, starając się zachować dystans. Krok po kroku opuszczał miasto, spokojnie celebrując zamykanie kolejnego rozdziału życia. Zaznaczył, iż ostateczność jego decyzji sprawiła, że poczuł się – będąc jeszcze we Francji – całkowicie wyalienowany, „sam, zupełnie sam”<sup>292</sup>. A zatem już decyzja i stopniowa realizacja postanowienia dały mu z jednej strony upragnioną wolność wraz z poczuciem samostanowienia, a z drugiej jej nieodłączną konsekwencję – samotność.

### 1.9. W stronę słońca. Podróż do Gwatemali

„Na Morzu Śródziemnym” to tekst poświęcony podróży do Gwatemali. Ma on formę dziennika, zapisy oznaczone są dniem miesiąca, Bobkowski pominął jednak datę roczną. Pisał z werwą, odzwierciedlając momentami wręcz naturalistycznie, realia panujące w przepelnionym uciekinierami z Europy statku. Nie bez znaczenia pozostawał fakt, iż wraz z żoną byli niestety pasażerami trzeciej klasy. Mimo wszystko podróż pozostawała dla niego magią, fascynowała go. Opisywał jej pierwsze chwile niemal godzina po godzinie. Była dla niego, bez wątpliwości, najdoskonalszym sposobem istnienia, przemieniającym świat zewnętrzny w przestrzeń niemal magiczną. „Dzień popielaty, słońce pali przez kalkę, pierwsze delfiny zawsze wesołe, roztańczone. Woda i niebo na zewnątrz i wewnątrz.”<sup>293</sup> – zanotował na przykład 25 czerwca. Po wypłynięciu z portu dopadło go poczucie pustki, brak punktu na horyzoncie na którym można by zaczepić myśl. Ale:

„Działanie okrętu było w tym wypadku cudotwórcze. W jednej chwili zapomniałem o wszystkim. Okręt ma coś w sobie, ma coś ludzkiego. Jakby osoba. Poza tym kawałek ziemi, a na <<Jagielle>> własnej. Do lokomotyw i okrętów czułem zawsze wielki sentyment, bo uważam je za twory techniki już zupełnie oswojone. I lokomotywa, i okręt pozwalają jeszcze w tej epoce szybkości supersonicznych na stopniowe przestawienie się. Mówiąc muzycznie, na całą frazę. W wypadku zmieniania świata, życia, w ogóle wszystkiego, przelot samolotem byłby dla mnie gwałtem, zniszczeniem tkanki. Bałbym się, że zacznę nowe życie rozwiązywać źle, albo wcale go

---

<sup>291</sup> Ibidem, s.64.

<sup>292</sup> Ibidem, s.66.

<sup>293</sup> A. Bobkowski, *Na Morzu Śródziemnym* [w:] A. Bobkowski, *Z dziennika podróży*, s.72.

nie rozwiązę. Miałbym <<dziurę>>, jak człowiek zabierający się do równania drugiego stopnia bez znajomości równań pierwszego.”<sup>294</sup>

Podróż odczłowieczona, bez czasu na refleksję nie mogłaby być sensownym startem w nowe życie. Jeśli miała się stać środkiem ocalenia musiała być przeżyta, doświadczona minuta po minucie, pełnowymiarowa. Bobkowski, rasowy homo viator, potrafił celebrować drogę, widząc w niej integralną, by nie powiedzieć najważniejszą, część celu. Wiedział, iż ten ostatni, nie poprzedzony trudem zdobywania, straci całą wartość.<sup>295</sup> Jeszcze we Francji, 10 sierpnia 1943 roku zanotował:

„Czy można powiedzieć, że się <<podróżowało>>, gdy człowiek pokrywa setki kilometrów w kilku godzinach, zatrzymując się – albo i nie – w pewnych punktach? Jestem przekonany, że przejechawszy z Angers do Le Mans na rowerze, będę miał więcej praw i podstaw do twierdzenia, iż odbyłem prawdziwą podróż, aniżeli osobnik przebywający przestrzeń Paryż – Sajgon w trzy dni. Kto z nas dwóch więcej przeżyje? Moja podróż pozwala mi na prze – życie, zbliżając wolno do celu. Cel zaciera się, nie stanowi rzeczy samej w sobie, przestrzeń staje się nie wrogiem, lecz przyjacielem, z którym rozmowa wzbogaca, rozbudowuje. Jest to jak z zagadkami na pierwszej stronie i odpowiedziami na ostatniej. Przeskoczyć z Paryża do Sajgonu, to spojrzeć na zagadkę i, nie zadając sobie trudu, przeczytać rozwiązanie. To przejście od pytania do gotowej odpowiedzi. System ten nie wzbogaca, nie rozwija, nie zmusza do myślenia. Człowiek staje się wówczas istotą najbardziej podobną do pchły, jak mówi Keyserling: żadna pchła nie skakałaby beztrąsko, bez pomyłki co do punktu, w jakim ma wylądować, gdyby skacząc, musiała się jeszcze poświęcać kulturze swojego życia wewnętrznego. To, co tworzy jedyność człowieka, to właśnie jego otwartość na świat ( *Das weltoffene Tier* M. Schelera ). Ale jak można utrzymać swą otwartość na świat, jeżeli nie jest się w stanie zauważyć nic innego, jak tylko to, co możliwe jest do zobaczenia przy szybkości 500 km na godzinę? Człowiek zamyka się, staje się pchłą.”<sup>296</sup>

Prawdziwa podróż była zawsze dla Andrzeja Bobkowskiego odpoczynkiem, rodzajem sacrum, uświęconą przerwą w codzienności.

---

<sup>294</sup> Ibidem, s.74.

<sup>295</sup> Intuicje Andrzeja Bobkowskiego potwierdzają ustalenia współczesnych antropologów kultury. „Szybkość i łatwość podróżowania, przyczyniając się do łagodzenia stresów i fizycznych cierpień wędrowcy, głęboko zmieniają charakter jego doświadczeń. – pisał Piotr Kowalski – Kim innym musiał być podróżnik ze swoim rzeczywistym bólem, w znoju i często z uzasadnionym strachem odmierzający przestrzenie, pokonujący granice, całym swym jestestwem odbierający miejsca, krajobrazy, innych. Kim innym jest zaś ten, kto nawet nie zdąży się zdrzemnąć w drodze ku temu, co miałyby być odmienne, nowe, inspirujące. [...] Zawieszenie oczywistości zobowiązań wobec czasu i przestrzeni prowadzi do zmiany w odbiorze samej podróży – ileż z niej zostaje, gdy świat, który się przemierza przestaje stawać sprawiający ból opór? Co będzie pożytkiem takiego podróżnika, dla którego świat stał otworem, ale też układnie zmienił się w podsuwające się mu kolorowe ekrany?” P. Kowalski, *O podróżowaniu, znakach podróży i metaforyzowaniu jej sensów*, [w:] *Wędrować, pielgrzymować, być turystą. Podróż w dyskursach kultury*, studia pod redakcją P. Kowalskiego, Opole 2003, s.340.

<sup>296</sup> A. Bobkowski, *Szkice piórkiem...*, t.2, s.296.

Pełnowymiarowa peregrynacja stanowiła także, w jego przekonaniu, wyraz szacunku dla poznawanej przestrzeni, która, traktowana nie pobieżnie i z uwagą, odpłacała się po stokroć – ucząc nowego, wprowadzając w przyszłość i pomagając pokonać lęk.

Droga była dla diarysty figurą wolności, zaprzeczeniem ograniczającej – i, co ważne, nie satysfakcjonującej – stabilizacji paryskiej. Wyrwany z sieci powinności i codziennych udręczeń realizował swój plan z radością i spokojem. Podróż wynagradzała mu gorycz ostatnich lat, okupacyjny strach, rozczarowanie powojennym porządkiem; nie upokarzały go zatem związane z nią niedogodności. W Europie nie mógł się już niczego nowego dowiedzieć o swoim losie – był on, w pewnej perspektywie, z góry przesądzony. Na pisarza czekało miejsce wśród innych przegranych, które jednak, na mocy jego decyzji, miało pozostać wolne. Nowy kontekst, w którym chciał umieścić swoje jednostkowe istnienie był obietnicą, gwarancją wyrwania się ze schematów. W z góry przewidywalnych okolicznościach nie sposób było, zdaniem twórcy, zobaczyć kim się naprawdę jest, modyfikują bowiem one człowieka tak, by stać się niemal nieodłączną częścią jego tożsamości. Bobkowski zaś chciał dać sobie szansę przekroczenia tych uwarunkowań, zacząć jeszcze raz w tym samym miejscu, gdzie zastała go katastrofa, na tle zupełnie innym, niż upokorzona Europa, zobaczyć siebie bez ciężaru historii na barkach.

„Atlantyk”, „Za zwrotnikiem”, „La Guaira”, „Na Morzu Karaibskim”, „Panama – Guatemala” są kontynuacją podróży zapisów dziennikowych zainaugurowanych w „Na Morzu Śródziemnym”. W trakcie lektury „Atlantyku” po raz kolejny uderza przekonanie Bobkowskiego o nieodwołalnym końcu Europy. Pisarza dotknął całkowity brak wiary w odrodzenie kontynentu, nie wyobrażał sobie – co wszak się stało - iż w ciągu kilkadziesiąt lat odrodzi się on jak feniks z popiołów. Opuszczana przestrzeń jawiła mu się jako miejsce wypełnione, nieodwołalnie zbędnymi, powieściowymi rekwizytami. Rytuały przedwojennej rzeczywistości miały już nigdy nie powrócić. Patrząc na Maderę pisarz skonstatował:

„Zewsząd sący się smutek. Właściwie skończyła się już „epoka Mader”, a wyspa trwa jeszcze po dawnemu, czeka, opustoszała, na to, co już nie wróci.”<sup>297</sup>

Zapiski zatytułowane „Za zwrotnikiem” kończą się w momencie, gdy Bobkowski dopływa do Ameryki Południowej. Widok rysujących się na horyzoncie gór sprowokował u niego myśl o wielkiej samotności w obcej przestrzeni. Ta ostatnia zaś poraziła go swą odmiennością; przyroda nowego świata zdawała się być brutalnie obojętna na człowieczą kruchość. Istniała sama dla siebie, potężna w swej niezależności.

---

<sup>297</sup> A. Bobkowski, *Atlantyk*, [w:] A. Bobkowski, *Z dziennika podróży*, s.90.

„Góry zbliżały się. – pisał Bobkowski - Wśród ciemnej zieleni stoków, miejscami prawie czarnej, obcej i twardej, zapalały się ognie czerwonych skał. Gęste mięsiste chmury przysłaniały szczyty.”<sup>298</sup>

To, czego nie sposób nie zauważyć to najostrzejszy z możliwych kontrast między przyrodą opuszczonego i nowego domu diarysty. Jeszcze w „Szkicach piórkiem”, w zapisie z 13 sierpnia 1943 roku, odnotował on zdziwienie, które ogarnęło go nad jednym z małych wiejskich jeziorok: „Pierwszy raz we Francji – napisał wtedy – nie czułem się jak w ogrodzie.”<sup>299</sup>

A zatem Francja, jej przyroda, była ogrodem – przestrzenią okiełznaną, służebną wobec ludzi, z założenia przynoszącą ukojenie. Przyroda Ameryki Południowej przypominała zaś o tym, że zakorzenienie jest niemożliwe, że człowiek na Ziemi jest i pozostanie intruzem. Podziwiając ją na horyzoncie pisarz miał pełną świadomość, że wobec konsekwencji swoich decyzji będzie nieodwołalnie samotny, że jest jednocześnie wygnańcem, intruzem właśnie i zdobywcą nowych światów. Wszystkie te perspektywy łączyło jedno: brak oparcia w kimkolwiek, wyzwajająca ale i przerażająca wizja samotnego pojedynku z losem.

Po dopłynięciu do głównego portu Wenezueli ( tytułowa La Guaira ) Bobkowski zwiedzał, przyglądał się ludziom, kupował i czytał gazety, porównywał ceny. Wszystko to relacjonował potem w swoich zapiskach. Prezentował postawę poznawczo otwartą, cechowała go życzliwa ciekawość dla nowo odkrywanego południowoamerykańskiego „mikrokosmosu”. Interesowały go ogłoszenia teatralne i repertuar kin. Nie pozwalał sobie na zubożenie czy marazm; pokonywał lęki. Gdy jeszcze na statku zaproponowano mu przeniesienie się z trzeciej do drugiej klasy, mógł napisać z przekonaniem, iż „przyjemność zmieniła się w wielką przyjemność.”<sup>300</sup> Końcowy fragment morskiej podróży znalazł swe odzwierciedlenie w zapiskach p.t. „Na Morzu Karaibskim”, tu peregrynacja stała się już czystą radością, zbieraniem sił przed nieuchronnym, zdaniem diarysty, czasem zapłaty. Każdy dzień na „Jagielle” utwierdzał go jednak w przekonaniu, że było warto. Po szarości wojennych lat Bobkowskiego oślepiły kolory, upoiły zapachy i ogarnął prawdziwy – a nie ciężko wypracowany wbrew okolicznościom - spokój ducha. Nie czuł się już mieszkańcem termitiery, a wręcz przeciwnie, znów, jak w latach wczesnej młodości, stał się koralikiem, który urwał się ze sznurka. Wierzył, że nowy świat będzie rządził się regułami możliwymi do zaakceptowania, utwierdzała go w tej wierze na przykład Panama administrowana przez Amerykanów („Panama – Guatemala”), których postrzegał jako nację przedsiębiorczą, zorganizowaną i obdarzoną mocą sprawczą. Ostatnim etapem podróży był lot

---

<sup>298</sup> A. Bobkowski, *Za zwrotnikiem*, [w:] A. Bobkowski, *Z dziennika podróży*, s.107.

<sup>299</sup> A. Bobkowski, *Szkice piórkiem...*, t.2, s.307.

<sup>300</sup> A. Bobkowski, *La Guaira*, [w:] A. Bobkowski, *Z dziennika podróży*, s.116.

samolotem; diarysta opisywał skrzętnie zarówno podniebne menu, jak i widok z okna – kratery wulkanów, które skojarzyły mu się z lejami od bomb, nieodparcie przywołując europejską traumę. Dotarcie do celu Bobkowski podsumował: „Sen prysnął, skończyła się bajka.”<sup>301</sup> Czas podróży był „okresem ochronnym”, prezentem od losu, chwilą nabierania powietrza i sił; po niej nadszedł moment konfrontacji marzeń z rzeczywistością.

Część z przywoływanych wyżej tekstów, jak to już zostało zaznaczone, było drukowanych w „Nowinach Literackich” prowadzonych wówczas w kraju przez Jarosława Iwaszkiewicza. Wydane w 2009 roku listy Andrzeja Bobkowskiego do starszego kolegi po piórze obejmują lata 1947 – 1958. Podał je do druku i opracował Jan Zieliński, poprzedzając je także wstępem p.t. „Pożegnanie Europy. Tryptyk.” Poszerzają one perspektywę, w jakiej zobaczyć można okres podejmowania przez Bobkowskiego decyzji o wyjeździe jak też jego pierwsze chwile w nowej ojczyźnie.

Z Jarosławem Iwaszkiewiczem Andrzej Bobkowski zetknął się niedługo po wojnie, gdy ten był już uznanym pisarzem, zajmującym wysoką pozycję w życiu literackim Polski. Dwadzieścia lat starszy od autora „Szkiców piórkiem” piastował w owym czasie stanowisko prezesa Związku Zawodowego Literatów Polskich, był redaktorem naczelnym „Nowin Literackich” i członkiem zarządu polskiego PEN Clubu. Mimo różnicy statusu i wieku to Iwaszkiewicz zdecydował się napisać jako pierwszy. Fragmenty jego listu (pełne entuzjazmu w stosunku do pisarskich prób Bobkowskiego) autor „Szkiców piórkiem” zacytował w swojej odpowiedzi, dziękując za uznanie i symboliczne przyjęcie do grona pisarzy. Jan Zieliński we wspomnianym wyżej wprowadzeniu napisał o kolejach tej znajomości, która, dla Bobkowskiego, zaczęła się urzeczeniem i fascynacją a skończyła głębokim rozczarowaniem.

„Rozchodzenie się dróg Bobkowskiego i Iwaszkiewicza – zauważył Zieliński – zbiegło się z rozczarowaniem Bobkowskiego Europą. Oba procesy trwały jakiś czas i wielokrotnie się przeplatały. Lektura listów do Iwaszkiewicza daje wgląd w narastanie tego rozczarowania, związanego z różnymi aspektami, które dają się sprowadzić do jednego wspólnego mianownika: kwestii wolności. Bobkowski dostrzegał malejącą pozycję intelektualistów na Zachodzie, która groziła utratą niezależności. Nie chcąc skazywać się na tego typu zależność, wołał wyjechać do

---

<sup>301</sup> A. Bobkowski, *Panama – Guatemala*, [w:] A. Bobkowski, *Z dziennika podróży*, s.141.

Ameryki Środkowej i żyć własnym przemysłem – ot, choćby jako wytwórca i sprzedawca modeli latających.”<sup>302</sup>

Jarosław Iwaszkiewicz wybrał, jak wiadomo, inną drogę. Od czasu zjazdu literatów w Szczecinie w 1949 roku, na którym uchwalono wprowadzenie socrealizmu w polskiej literaturze, jego znajomość z Bobkowskim, za przyzwoleniem obu stron, zaczęła zmierzać ku końcowi. Pojawiły się między pisarzami rozbieżności nie do pokonania – fundamentalne. Andrzej Bobkowski zawsze jednak potrafił zachwycać się prozą Iwaszkiewicza; drukował ją jako kierownik Księgarni Polskiej w Paryżu („Stara cegielnia”), miał ze sobą w plecaku, gdy wypływał na „Jagielle” do Gwatemali („Czerwone tarcze”), ze zrozumieniem i wycuciem interpretował („Wzlot”) pomimo osobistych zastrzeżeń w stosunku do autora<sup>303</sup>. Listy Andrzeja Bobkowskiego do Jarosława Iwaszkiewicza pozostają świadectwem duchowej przygody obu twórców, a jak pisał Jan Zieliński była to:

„Przygoda, w której stawka była niezmiernie wysoka – wyjeżdżając do Gwatemali Bobkowski wybrał wolność, a wracającemu do Polski Iwaszkiewiczowi zapisał w testamencie Europę.”<sup>304</sup>

W listach do Iwaszkiewicza Bobkowski poruszał często te same tematy, które pojawiały się w zapiskach podróży drukowanych w „Nowinach”. Prócz tego nawiązywał do bieżących wydarzeń zarówno ze sfery towarzyskiej jak i społecznej, ekonomicznej czy kulturalnej.

W pierwszym liście do redaktora młodszy twórca zwierzył się, iż wcale nie jest mu łatwo tworzyć ze świadomością, że rzecz będzie wydrukowana. O „Wiośnie w Paryżu” napisał: „To głupstewko, ten właściwie reportaż i nie reportaż dla Ciebie, pisałem właściwie bardziej dla Ciebie niż z myślą o <<Nowinach>>.”<sup>305</sup> Starszego twórcę traktował zatem wówczas bardzo poważnie, jako przyjaciela i mentora. Kontakt z doświadczonym pisarzem pomagał mu ustabilizować otaczającą go rzeczywistość, gdy zachodzące w niej procesy nabrały niezwyklego przyspieszenia. Jeszcze z Francji donosił Iwaszkiewiczowi, iż ma wrażenie niesamowitej powierzchowności, szybkości i nieistotności otaczających go realiów.

„Cokolwiek robię, - pisał – wydaje mi się, że rozrywam depeszę. Od rana do wieczora rozrywanie telegramów; nad jednym zastanawiam się dłużej, nad innym krócej – nad żadnym długo. Nie można – już przyniesiono nowy.”<sup>306</sup>

---

<sup>302</sup> J. Zieliński, *Pożegnanie Europy. Tryptyk*, [w:] A. Bobkowski, „*Tobie zapisuję Europę*”. *Listy do Jarosława Iwaszkiewicza 1947 – 1958*, podał do druku i opracował J. Zieliński, Warszawa 2009, s.19.

<sup>303</sup> Por. ibidem, s. 22- 24.

<sup>304</sup> Ibidem, s.24.

<sup>305</sup> A. Bobkowski, „*Tobie zapisuję Europę*”..., s.33.

<sup>306</sup> Ibidem, s.35.

Dojrzewając do wyjazdu Bobkowski opowiadał Iwaszkiewiczowi o swoich francuskich podróżach. Nie omieszkął okraszać listów pełnymi humoru uwagami, dotyczącymi trudów, z jakimi się owe wojaże wiązały:

„Przejechałem kawałek Pirenejów do Loudres. – relacjonował – ( Z Pau wysłałem do Ciebie kartkę – czy dostałeś ją? ) Potem pociągiem do Toulonu, a z Toulonu na rowerze, brzegiem morza, aż do Mentony. Tam mały odpoczynek i przez Alpy do domu. W Alpach pogoda była nieszczęśliwie, potem ładna, potem zaawanturowałem się w Massif du Pelvoux, brakło pieniędzy i musiałem z gór zjechać nie dobrnąwszy do Chamonix, tak jak początkowo zamierzałem. Do tego od 1- szego września obcięli racje chleba do 200 g dziennie, kartek w ogóle nie miałem. [...] Ale było wspaniale. Przełęcz Lautaret (ponad 2.000 m) wyciągnąłem bez zsiadania z roweru, przełęcz Cayolle (2.300m) w ¼ - nachylenia potworne. Potem w espadrillach (sic) łąziłem po lodowcach Meije, spałem w okolicach 3000m owinięty gazetami i szczękając zębami (bez rękawiczek – wkładałem na ręce wełniane skarpetki), najeździłem się po krótkich trawach, jak na nartach (w espadrillach niosło – ho, ho) – jednym słowem było do syta i bez grzechu.”<sup>307</sup>

Porównanie fragmentu tego listu i drukowanych w „Nowinach” notatek pozwala dostrzec, jakie zasady rządziły pisarskimi eliminacjami Bobkowskiego. Konsekwentnie - już od czasu zapisów składających się później na „Szkice” - nie akcentował trudów, usuwał swoje dyskomforty w cień, będąc w swojej twórczości zawsze bardziej obserwatorem świata, niż jego „głównym bohaterem”. Pisząc zaś listy, częściej przyznawał się do niewygód, koncentrował na sobie, otwierał.

Paryż powojenny, którego obraz Andrzej Bobkowski utrwalił w listach do Jarosława Iwaszkiewicza, nie był miejscem, które nazwać by można dobrym do życia. Autor „Szkiców piórkiem” donosił na przykład, iż w metropolii panowało przekonanie o nieuchronności nowej wojny. Jemu samemu taki rozwój wypadków także nie wydawał się nieprawdopodobny. W liście z 1 października 1947 roku stwierdzał:

„Od kilku dni w Paryżu o niczym się nie mówi i nie pisze, jak tylko o nowej wojnie. Trudno – lepiej, że się mówi, niż gdyby się nie mówiło, skoro podobno prawie na pewno nie uda się jej uniknąć.”<sup>308</sup>

Jak się zdaje mógł to być jeszcze jeden z argumentów, które ostatecznie utwierdziły Bobkowskiego w decyzji o wyjeździe. Europa nie tylko pod względem gospodarczym, ale także

---

<sup>307</sup> Ibidem, s.46.

<sup>308</sup> Ibidem, s.50.



militarnym wydawała się niestabilna; nie było pewności czy wykrwawionemu kontynentowi nie grozi nowa katastrofa.

W liście z 9 stycznia 1948 roku Bobkowski pierwszy raz zwierzył się Iwaszkiewiczowi z zamiaru odbycia na wiosnę długiej podróży. Nawiązując do „Dżumy” Camusa stwierdzał, że zamierza przeciwstawić się nakazowi Ojca Paneloux i jego przekonaniu, iż nie ma miejsc bezpiecznych, wolnych od zarazy. Najwyraźniej chciał wierzyć, że jednak są.<sup>309</sup>

Gwatemala, o której myślał, wydawać się mogła przestrzenią nieskażoną, bo z europejskiej perspektywy była ahistoryczna. Pozwalała wierzyć, iż możliwe jest odwrócenie się do historii plecami, poszukiwanie szczęścia i budowanie własnej tożsamości poza nią. Jak się zdaje, Andrzejowi Bobkowskiemu towarzyszyły tęsknoty, które wiele lat później wyraził Sławomir Mrożek w liście do swojego przyjaciela:

„Dość mam Historii. – pisał dramaturg – Jestem przez nią uwarunkowany aż do tak zwanego szpiku kości, aż do moich majaków sennych, od 1 września 1939. I jeżeli kiedykolwiek uda mi się poza nią wyemigrować, będzie to mój najważniejszy i finalny akt korekty mojego losu, takiego, jaki mi został zaprojektowany bez mojej wiedzy i zgody.”<sup>310</sup>

Opuszczenie Europy było dla Bobkowskiego w jakimś sensie opuszczeniem Historii, a zatem grą na pewno wartą świeczki.

21 marca 1948 roku napisał do Iwaszkiewicza list, w którym powoli żegnał się z kontynentem, zapisując go jednocześnie autorowi „Lata w Nohant”. Wierzył, iż ten, pamiętając jeszcze wiek XIX, będzie miał dość energii i serca by dar przyjąć. Intuicyjnie przeczuwał, że to Iwaszkiewicz, ze swoją umiejętnością wpasowania się w nową rzeczywistość, będzie Europejczykiem nadchodzących czasów. O sobie zaś w innym liście powiedział:

„W tym zasięgu działania, jaki pozostał dziś jednostce, ja wiem, czego chcę i wiem dobrze, z jakich źródeł woda byłaby dla mnie niestrawna. Nie będąc zmuszonym do uginania się (jeszcze) nie chcę się ugiąć. Zresztą mam bardzo sztywny kręgosłup.”<sup>311</sup> O nadchodzącej w jego życiu zmianie Bobkowski pisał jako o niekwestionowanej konieczności i, by nie rozwodzić się nad swymi motywacjami, stwierdzał, iż jest poza wszystkim innym ciekawy nowego, a to już jest wystarczający powód by wyruszyć. Zmęczenie Europą nie unieważniało jednak jego ogromnego do niej przywiązania. Przywoływał je w liście z 8 kwietnia 1948 roku, gdzie wyznawał, iż „kocha ją bardzo a bardzo” i dodawał:

---

<sup>309</sup> Andrzej Bobkowski przetłumaczył rozdział *Dżuma* Camusa (1947): *Kazanie i śmierć ojca Paneloux*, „Kultura”, Paryż 1948, nr 4.

<sup>310</sup> S. Mrożek, W. Skalmowski, *Listy 1970 – 2003*, wstęp A. Borowski, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2007, s.632

<sup>311</sup> A. Bobkowski, „*Tobie zapisuję Europę*”..., s.90.

„Ale kto wie – może trzeba będzie zakładać Wenecję. Wtedy nie będę szczenił sił.”<sup>312</sup>

W pewien sposób nie było zatem dla Bobkowskiego świata poza starym kontynentem, a to oznaczało, że w podróż musi, tak czy inaczej, zabrać go ze sobą. Jak zauważył Jerzy Giedroyc w rozmowie z Joanną Podolską:

„Bobkowski był do głębi Europejczykiem. Był przesiąknięty miłością do Europy, do kultury europejskiej. Kochał to wszystko, co Europę stworzyło. Ale w czasie wojny, a zwłaszcza w pierwszych powojennych latach, stracił wiarę w Europę. Myślał, że zapanuje tu komunizm, że ta kultura już przestaje istnieć. Stąd również jego zafascynowanie Stanami Zjednoczonymi. Chciał stąd uciec, by paradoksalnie zabrać ze sobą europejskie wartości, w które wierzył i ocalić je na krańcu świata.”<sup>313</sup>

W poczuciu Andrzeja Bobkowskiego Europa się nie uratowała, jej duchowość obróciła się w proch, przetrwała jedynie w nielicznych umysłach, których obowiązkiem stać się miało – być może – założenie nowej Wenecji. Trochę tak, jak w słynnym, o wiele późniejszym, wierszu Herberta:

„i jeśli Miasto padnie a ocaleje jeden  
on będzie niósł Miasto w sobie po drogach wygnania  
on będzie Miasto”<sup>314</sup>

W szerszej perspektywie tylko Miasto było warte przetrwania, choćby w umyśle wiernego mu wygnańca. Ukształtowany przez nie, zabierał je ze sobą, bo to ono go wychowało i pozwoliło rozwinąć skrzydła:

„Otóż mówię Ci otwarcie, – zwierzał się Iwaszkiewiczowi w liście z 21 czerwca 1948 roku – że wyjeżdżałem jak z domu. To było dziwne. Płakałem jak dziecko. Dopiero w chwili pakowania, przerzucania gratów i gracików, papierów i notesików z zapiskami, zrozumiałem, że opuszczam kawał życia, a w moim przypadku kto wie, czy nie całe moje dotychczasowe życie. Przyjechałem tu mając 26 lat jako młodziak, głupi i nierozgarnięty, wyjechałem mając 34 jako już kawałek człowieka. Francja dała mi to, co oni tak dobrze nazywają: *formation d’homme*. Wszystko, co ojciec i matka, szkoła i życie posadziły we mnie tam, w kraju, tu dopiero rozwinęło się, puściło pędy i rozrosło.”<sup>315</sup>

Konieczne zatem było zabranie tych wartości ze sobą w dalszą drogę. Przybywszy na miejsce, Bobkowski będzie pisał z nadzieją:

---

<sup>312</sup> Ibidem, s. 88.

<sup>313</sup> Rozmowa Joanny Podolskiej z Jerzym Giedroyciem jest dostępna na portalu Onet. pl, Onet: paryska „Kultura”: Bobkowski – varia.

<sup>314</sup> Z. Herbert, *Raport z oblężonego miasta i inne wiersze*, Wrocław 1992, s.102.

<sup>315</sup> A. Bobkowski, „Tobie zapisuję Europę”..., s.92.

„Świat, nowy świat, trzeci wielki świat. Mówi się o nim mało. Podkpiwa z Gwatemal, Kostaryk, San Salvadorów i innych Hondurasów, a co się o nich wie? Przebogaty obszar, wielki i otwarty, pełen swobody i jeszcze ciągle najlepszych tradycji Europy. Kto wie, czy jej duch nie przetrwa właśnie tu i nie zaowocuje na nowo?”<sup>316</sup>

---

<sup>316</sup> A. Bobkowski, *Na tyłach*, s. 83.

## ROZDZIAŁ II

### GWATEMALA

#### 2.1. Pierwsze kroki w nowym świecie

Po kilkutygodniowej podróży małżonkowie dotarli do celu. W liście z 29 czerwca 1948 autor „Wiosny w Paryżu” donosił Iwaszkiewiczowi o swoich pierwszych wrażeniach. Uderzyło go wrażenie „swojskości”, które wywołała w nim Gwatemala, połączone z kojącym poczuciem, iż Europie nie kończy się cywilizacja, że nie jest ona pępkiem świata. Nie bez znaczenia był jednak fakt, iż to właśnie starego kontynentu dotyczyła pierwsza myśl przybysza, jakby westchnienie ulgi, że tu także „da się żyć”.

Ówczesna Gwatemala to strefa wpływów USA; Bobkowski pamiętał o tym, kiedy przeciwstawiał w liście do Iwaszkiewicza amerykańską skuteczność europejskiej ociążałości.

„Śmiejemy się z Amerykanów, że są <<głupi>>, że nie są w stanie nas <<zrozumieć>> itp. – pisał – Wcale się nie dziwię. Sam powiedz, czy ludzie, którzy do cna wyniszczyli moskity w całej strefie Kanału Panamskiego – czy ci ludzie mogą zrozumieć ludzi, którzy nie zdobyli się na wytopienie komarów nawet w Juan les Pins i równocześnie puszą się ze swoją kulturą?”<sup>317</sup>

W tym samym liście, prócz refleksji europejsko – amerykańskich, znalazło się też parę słów na temat gwatemalskiego pejzażu, specyficznej, przyjaznej człowiekowi, urody tego kraju. W Gwatemali, zdaniem Bobkowskiego, było pięknie:

„Tu prześlicznie. – entuzjasmował się jako nowo przybyły – Tropik pomieszany w najbardziej fantastyczny sposób ze wszystkim, co Europa płodzi. Sosny obok gajów bambusowych, cedry, akacje razem z palmami, truskawki, wiśnie, brzoskwinie razem z ananasami, bananami, mango itp. Klimat cudowny. Nigdy upał, wieczorem temperatura <<marynarkowa>>. Miasto wielkości Krakowa z przedmieściami – rozległe i czyściutkie; [...].”<sup>318</sup>

Dla dosłownie wygłodzonych w ciągu ostatnich lat Bobkowskich kraj obfitujący w owoce, ciepły i spokojny, musiał wydawać się niemal rajem. Tutaj też miała się skończyć ich wieloletnia bezdomność, o czym z nieukrywaną radością młodszy pisarz donosił starszemu, kreśląc obrazek, na którym jego żona:

„Teraz bardzo zaaferowana swoim (nareszcie) domem, podlewa *bougainville*, w patio, krząta się, odżyła.”<sup>319</sup>

---

<sup>317</sup> A. Bobkowski, „Tobie zapisuję Europę”..., s.100.

<sup>318</sup> Ibidem, s.101.

<sup>319</sup> Ibidem, s.102.

O sobie zaś pisał krótko: „Tymczasem montuję mały warsztacik – może pójdzie.”<sup>320</sup>

Następne listy to jednocześnie wybuchy entuzjazmu i świadectwa wielkiego wysiłku włożonego w to, by utrzymać się na powierzchni, poradzić sobie w pojedynku z rzeczywistością, który jednak, w optyce Bobkowskiego, odbywa się na sprawiedliwych zasadach. Iwaszkiewicz młodszego twórcy, jak się zdaje, nie był w stanie zrozumieć. Zarzucał Bobkowskiemu brak zainteresowania ojczyzną ( „Nie – mój drogi – nie masz racji – kraj mnie zawsze obchodzi, a ostatnie wiadomości stamtąd bolą.”<sup>321</sup> – odpisywał mu cierpliwie krytykowany ), lekcewał jego pracę, próbował, jak można się domyślić, zaproponować mu „lepszy” scenariusz życia. Na te uwagi ich adresat odpowiadał:

„Mój drogi – czemu mi piszesz, że <<taki człowiek jak ty musi robić wiatraczki>>. Co rozumiesz przez <<taki>>? Ja nie jestem żaden <<taki>> - jestem sobie <<ja>> i już. A wiatraczki? Chyba znasz tę przypowieść o Św. Janie Ewangelistcie. Przychodzi do niego jakiś mędrzec i widzi – o zgrozo – że Św. Jan struga klatki dla ptaszków. Zgorszony, że nie zastaje go nad księgami, mówi mu o tym. A na to Św. Jan: <<Spróbuj bez przerwy łuk napięty trzymać, a pęknie ci w rękach.>> Ja, w sobie, trzymałem niejedną napiętą i już od dłuższego czasu. Bałem się, że zaczną trzaskać. Nie żałuj mnie. Co mam robić? Pisać? Ja wiem, że nic wielkiego nigdy nie napiszę. Czy sądzisz, że siedzenie w jakimś biurze byłoby lepsze? [...] Ja jestem, Godło Guatemali – ich ptak, *quetzal*. Istnieją tylko wypchane okazy, bo żywe, w klatce, zdychają po kilku dniach.”<sup>322</sup>

Pisarz poruszył tu między innymi kwestię swojego sposobu zarobkowania; czuł się w obowiązku wytłumaczyć adresatowi listu, iż skupienie myśli na czymś określonym, realnym, jest w jego sytuacji błogosławieństwem. Doskonale wszak wiedział, że umysłowi bez chwil odpoczynku grozi szaleństwo, że codzienne wyzwania mają moc ocalającą. W tamtym momencie dla niego, jako człowieka, nie było alternatywy. Gwatemalał wybrał właśnie jako człowiek, a nie jako pisarz; nie rozmyślał nad tym jak ten krok wpłynie na jego twórcze siły, gdyż – by tak powiedzieć – ratował duszę. Było to zgodne z istotą jego systemu wartości, gdzie na szczycie hierarchii umieścił samo życie, w tyle zostawiając pisarstwo. Być może zresztą, o nieprzemijającej wartości tego ostatniego zdecydowała właśnie taka kolejność, najcenniejsze teksty Bobkowskiego są wszak nierozzerwalnie związane z jego biografią; formy dziennikowe, listy, są przede wszystkim odzwierciedleniem osobowości i kolei losu człowieka, a potem pisarza.

Ciekawym kontekstem, dotyczącym wyboru miejsca do życia, który warto tu przywołać, są słowa Sławomira Mrożka pisane w 1966 roku do przyjaciela Adama Tarna. Były one

---

<sup>320</sup> Ibidem, s.101 – 102.

<sup>321</sup> Ibidem, s.112 – 113.

<sup>322</sup> Ibidem, s.116.

odpowiedzią na sugestie Tarna, iż pozostając na emigracji we Włoszech Mrozek nie spełni się jako twórca.<sup>323</sup> Ten wyjaśniał wówczas:

„Rzecz w tym, że ja osobiście, jako człowiek, jako jednostkowa organizacja psychomaterii, jako zespół funkcji i zachowań się w konkretnych sytuacjach, czy też jako dusza nieśmiertelna, obojętne w tej chwili, według jakiego kryterium to określimy, nie mogę, nie chcę, nie jestem w stanie identyfikować się ze mną jako pisarzem.” [...] <sup>324</sup>

I dalej:

„Wracając do pisarza, pisarzem jest się dlatego, że się żyje, a nie żyje się dlatego, żeby być pisarzem. Jeżeli przyjmiemy, że żyje się dlatego, żeby być pisarzem (co ja właśnie odrzucam, bo jestem przekonany, że takie przyjęcie odwróconej postawy przynosi człowiekowi tylko wewnętrzne nieszczęście i wypaczenie), to dalszą i prostą konsekwencją będzie zastanawianie się, jak należy żyć, aby być pisarzem lepszym. Jest to niebezpiecznie podobne do wyszukiwania jedynych metod prowadzących do osiągnięcia jak najlepszych wyników, na przykład w hodowli zwierząt. Niebezpiecznie, bo o ile hodowla jest dość zawężoną i praktycznie, i nawet naukowo sprawdzalną dziedziną, o tyle zagadnienie dobrego pisarza jest znacznie bardziej skomplikowane.”<sup>325</sup>

Dodawał jeszcze:

„Co do mojego pisarstwa, to absolutnie nie mogę wykluczyć, że masz rację. Przeciwnie, mogę się obawiać, że ją masz. Ale gdzie jest napisane, że muszę być lepszym pisarzem, że muszę być pisarzem w ogóle, podobnie jak gdzie było napisane, że musiałem dożyć trzydziestego szóstego roku życia?”<sup>326</sup>

Mrozek, tak jak wcześniej Bobkowski, próbował odpowiedzieć sobie na pytanie: do jakiego stopnia można nagiąć jednostkową człowieczą egzystencję do z góry narzuconego planu, czy można wykreować swoją codzienność tak, by stała się idealnym wsparciem, czy nawet źródłem, twórczego rozwoju? I – co najważniejsze – czy można to zrobić bezkarnie? Obydwaj twórcy byli przekonani, że nie. Nie wierzyli w celowość podporządkowania swych życiowych wyborów sztuce pisarskiej. Nie chcieli stać się „wypreparowanymi” twórcami, którym w możliwie idealnych warunkach, wypadałoby pisać wyłącznie arcydzieła.

---

<sup>323</sup> Adam Tarn pisał: „Musisz mieć stały kontakt z widzami, dla którego piszesz. Nie musisz mieszkać w Warszawie, możesz pół roku przebywać poza krajem, a pół roku w kraju, albo mieszkać za granicą i przyjeżdżać do Warszawy na parę miesięcy rocznie. Ale siedzenie w tej dziurze we Włoszech – póki nie masz 70 lat – jest zabójcze po prostu i dosłownie grozi literacką śmiercią czy banicją.” [w:] S. Mrozek, A. Tarn. *Listy 1963 – 1975*, wstęp E. Axer, S. Mrozek, posłowie i komentarze M. Prussak, Kraków 2009, s.104.

<sup>324</sup> Ibidem, s.106.

<sup>325</sup> Ibidem, s.107.

<sup>326</sup> Ibidem, s.109.

Z czasem kontakt między Andrzejem Bobkowskim a Jarosławem Iwaszkiewiczem stawał się coraz słabszy, dzieliło ich coraz więcej aż do momentu, w którym ich drogi rozeszły się całkowicie. Pozostałe po tej przyjaźni listy autora „Pożegnania” wiele wnoszą do badań nad jego życiem i twórczością.

Początki Bobkowskich w Gwatemali to przede wszystkim szeroko pojęte próby „rozpoznania terenu” pod względem kulturowym, społecznym, przyrodniczym. Okres ten, wraz z latami późniejszymi, w sposób najpełniejszy odzwierciedlają listy a także formy diarystyczne, jakie w tamtym czasie wyszły spod pióra twórcy. Decydując się na Gwatemalę Bobkowski chciał wierzyć, iż wybiera mniejsze zło, samotność w ogłupiałej Europie wydawała mu się straszliwsza niż na gwatemalskim – w porównaniu ze starym kontynentem niewinnym – końcu świata. Przetrvanie w Ameryce byłoby jednak niemożliwe bez kontaktu z tymi, którzy wybrali inaczej, bez ich perspektywy i przemyśleń. Stąd w życiu twórcy olbrzymia rola listów, zarówno pisanych i otrzymywanych. Decyzję, podróż i wreszcie życie w Gwatemali opisywał rodzinie, przyjaciółom i znajomym. Dotychczas ogłoszono w osobnych zbiorach listy do matki – Stanisławy Bobkowskiej, Jerzego Giedroycia, Jarosława Iwaszkiewicza, Anieli Mieczysławskiej i Tymona Terleckiego. Wśród jego korespondentów pojawiają się także, prócz wymienionych wyżej, następujące nazwiska: Józef i Maria Czapscy, Aleksander Janta, Jerzy Turowicz, Melchior Wańkowicz, Jan Bielatowicz, Michał Chmielowiec, Aleksander Bobkowski, Kazimierz Wierzyński, Włodzimierz Wolski, Mieczysław Grydzewski, Andrzej Chciuk, Wit Tarnawski, Marek Hłasko, Witold Gombrowicz, Innocenty Bocheński, Paweł Mayewski, Szymon Konarski, Beniamin Józef Jenne.

Ważnym materiałem badawczym gwatemalskiego okresu w życiu autora „Coco de Oro” są, wspomniane wyżej, wydane w 2008 roku listy pisarza do Stanisławy z Malinowskich Bobkowskiej. Zebrane w tomie „Andrzej Bobkowski. Listy z Gwatemali do matki.”<sup>327</sup> I opatrzone słowem wstępnym Włodzimierza Odojewskiego datują się od 14 lutego 1946 roku ( a zatem jeszcze czasów paryskich) do 26 kwietnia 1960 roku. Mają one charakter bardzo prywatny - są ciepłe, miejscami nawet czułe; obrazują egzystencję pisarza w niespotykany w innej jego korespondencji sposób. Stosunkowo niewiele miejsca pisarz poświęcił tu polityce czy emigracyjnym środowiskom twórczym, a sporo codzienności, zmaganiom zawodowym,

---

<sup>327</sup> A. Bobkowski, *Listy z Gwatemali do matki*, słowo wstępne W. Odojewski, opracowała E. Jurczynszyn, Wydawnictwo Książkowe Twój Styl, Warszawa 2008. W tomie znalazł się także list pisarza do siostry ciotecznej Elżbiety Ostrowianki.

podróżom. Korespondencja ta odzwierciedla żywą, nie usztywnioną czy przesadnie sformalizowaną, relację syna z matką. Widać wyraźnie, iż szacunek dla tej ostatniej nie przeszkodził Bobkowskiemu widzieć w niej człowieka otwartego na odważne i często bezkompromisowo wyrażone opinie czy sądy.

Pierwszy z listów gwatemalskich opatrzony jest datą 21 marca 1949 roku. Otwarcie i ze szczegółami Bobkowski pisał w nim matce o narodzinach swego przedsiębiorstwa. Ton tych zwierzeń jest pełen optymizmu i wiary w powodzenie:

„ U nas wszystko dobrze. Powoli, bardzo powoli lepiej. – pisał – Otrzymałem w końcu pożyczkę, mam już piłę elektryczną i zapłaconą heblarkę ( w drodze z N. Yorku – jeszcze nie przyszła ale <<na dniach>> ), pod balkonem już kończę robotę ścian wokół <<hali maszyn>>, za kilka dni przyjdzie elektrotechnik załączyć kontakty i światło. Teraz opracowuję już dużą serię, w pudełkach z etykietkami, na sprzedaż tu i na rozesłanie próbek do krajów sąsiednich. Może chwycą jakieś zamówienia. Obok tego chcę powoli organizować sprzedaż części, powoli powiększać. Równocześnie muszę sobie stwarzać klientelę i w związku z tym wczoraj miałem już pierwszy odczyt po hiszpańsku o modelarstwie lotniczym w ognisku harcerskim. Organizuję tam sekcję modelarską, co sobotę będę z chłopcami pracował, potem zawody.”<sup>328</sup>

Listy Andrzeja Bobkowskiego do matki i do redaktora „Kultury”, wzajemnie się uzupełniając, tworzą możliwie pełny obraz gwatemalskiej egzystencji autora „Szkiców piórkiem”. Do nich też będę w niniejszej części mojej pracy wracała najczęściej.

Z Jerzym Giedroyciem Bobkowski przyjaźnił przez długie lata, stąd ich korespondencja, jak to już zostało zasygnalizowane, jest materiałem niewątpliwie wiele wnoszącym do badań nad kolejami losu i twórczością pisarza. Opracowany przez Jana Zielińskiego tom, wydany w 1997 roku, zawiera około trzystu listów, pisanych w latach 1946 – 1961. Autor „Spotkania” związał się ze środowiskiem „Kultury” zaraz po wojnie; wprowadził go w nie Józef Czapski. Już w pierwszym, rzymskim numerze legendarnego pisma<sup>329</sup> znalazło się opowiadanie Bobkowskiego p.t. „Nekya”, zaś ciągu kolejnych lat jego różnego rodzaju teksty (opowiadania, recenzje, szkice) pojawiały się tam regularnie. Przez cały ten czas Jerzy Giedroyc wytrwale namawiał często zmęczonego do nieprzytomności pracą zawodową Bobkowskiego do kontynuowania działań pisarskich. Chcąc zapewnić warunki, w których mógłby się rozwijać jako twórca, zaproponował

---

<sup>328</sup> Ibidem, s.27.

<sup>329</sup> Był to numer poświęcony w całości kondycji Europy, pojawiły się w nim refleksje Paula Valéry’ego, Benedetta Crocego, Tymona Terleckiego, Tadeusza Krońskiego, Andrzeja Bobkowskiego, Józefa Czapskiego. Europa jawiła się w tych tekstach jako miejsce znękanе przez faszyzm, podatne na działanie komunizmu, chylące się ku ostatecznemu upadkowi. Niemniej jednak pierwszy numer „Kultury” niósł też nadzieję, że humanizm nie zniknął ostatecznie, że bezwzględna wierność wartościom przynieść może odrodzenie.



mu stanowisko korespondenta w Berlinie, załatwił dla niego stypendium z Fund for Intellectual Freedom i Free Europe, wyszukał pracę w angielskim koncernie, regularnie bezpłatnie wysyłał mu książki i nie zwlekał z wypłatą honorariów czy zaliczek. Co jednak równie ważne, cieszył się z rozwoju firmy Bobkowskiego, szczerze kibicując jego modelarskim osiągnięciom.

Jednym z tematów przewodnich całej korespondencji Bobkowski – Giedroyć jest publikacja „Szkieł piórkiem”. Początkowo to właśnie w „Kulturze” planowane było wydanie francuskiego dziennika. Potem jednak Bobkowski chciał poprzez Iwaszkiewicza wysłać jego początkowy fragment p. t. „Francja 1940 – 1944” swojej matce, aby w ten sposób udzielić jej wsparcia finansowego, którym byłyby środki uzyskane dzięki jego sprzedaży. Książka miała ukazać się w „Czytelniku” w grudniu 1948 roku. Ostatecznie została jednak objęta zakazem druku w kraju i wyszła w bibliotece „Kultury” w 1957 roku.

Stosunki Bobkowskiego z Giedroyciem, oparte na głębokim wzajemnym szacunku i sympatii, były rodzajem wieloletniej dyskusji charakteryzującej się, po obu stronach, bogactwem myśli i celnością argumentacji. Z redaktorem „Kultury” Bobkowski mógł dyskutować listownie niemal na każdy temat: emigracji, religii, ustrojów społecznych a także, choć rzadziej, na temat samotności ludzi oddanych swemu dziełu, pogrążonych w pracy. Łączyło ich to, iż obydwaj traktowali swoje życie w kategoriach zadania, któremu trzeba podołać. Dążyli do niezależności sądów i postaw. W wyniku podjętych autonomicznie decyzji zmagali się z losem, który mieli ambicję kształtować wedle swoich przekonań i – by tak powiedzieć – autorskich koncepcji. W obydwu nie było ani biernej zgody na świat, ani potrzeby czekania na to, co przyniesie los - byli aktywni, niepokorni, przekonani o sensie swych działań. Wierzyli w odpowiedzialność za swoje życie, a często także za życie ludzi, którzy im zawierzyli ( w wypadku Jerzego Giedroycia byli głównie jego współpracownicy, zaś Andrzeja Bobkowskiego przede wszystkim jego żona, Barbara) . Obydwaj, choć każdy z nich na sobie właściwy sposób, przeciwstawiali się totalitaryzmowi, zaś ich korespondencja jest w pewnym sensie kroniką wspólnej walki w imię wyznawanych wartości. Jerzy Giedroyć wydawał miesięcznik i książki, które stanowiły istotny kontrapunkt dla krajowej propagandy. Podejmował także innego rodzaju inicjatywy, mające na celu zahamowanie komunistycznej ekspansji ( np. Kongres Wolności Kultury, czy też koncepcja ochotniczych sił zbrojnych mających czynnie powstrzymać sowieckie próby zdominowania świata). Natomiast Bobkowski – jak pisał Jan Zieliński – „jasno zdefiniowanemu przeciwnikowi postanowił dać odpowiedź swoim własnym życiem.”<sup>330</sup> Jego wojna była indywidualna, zakrojona

---

<sup>330</sup> J. Zieliński, *Kronika walki*, [w:] J. Giedroyć, A. Bobkowski, *Listy 1946 – 1961*, s.6 – 7.

na mniejszą skalę, tym trudniejsza, iż prowadzona w obcym mu kulturowo kontekście, w miejscu, gdzie jego duchowa gorączka nie znajdowała odzewu wśród współmieszkańców.

„U jednego i u drugiego – pisał Giedroyciu i Bobkowskim Paweł Rodak - mamy ciągłą walkę, aby – używając metaforyki morskiej, którą zwłaszcza Bobkowski chętnie się posługuje – nie dać się zatopić, nie utonąć, utrzymać się na powierzchni życia.”<sup>331</sup>

Przyjaźń z Giedroyciem była dla Bobkowskiego w chwilach zwątpienia niezwykle stymulującą siłą, podtrzymywała też w nim wiarę w sens pisania, którą nietrudno byłoby mu utracić w warunkach katorżniczej niejednokrotnie pracy zarobkowej. Mimo wszystko jednak musiało ono jednak zejść na dalszy plan, gdyż gwatemalski współpracownik „Kultury” chciał najpierw zbudować fundament bytu i dopiero wówczas dać sobie przyzwolenie na luksus tworzenia. Taka postawa Bobkowskiego wynikała nie tylko z przekonania o wartości zaplecza materialnego w działaniach twórczych, lecz także z przeświadczenia, iż jego talent nie jest wielkiego wymiaru, a najważniejsze czym dysponuje to twardy kręgosłup i umiejętność życia w zgodzie ze sobą, których to wartości za wszelką cenę – także „talentu odłożonego na później”<sup>332</sup> - nie chciał zaprzepaścić. Jerzemu Giedroyciowi zależało natomiast na tym, by Bobkowski przede wszystkim tworzył. Temat zatem stale powracał. Gwatemalski współpracownik „Kultury” pisał zaś wtedy, kiedy pozwalały mu na to czas i zdrowie. Kiedy wreszcie przysyłał Giedroyciowi wyczekiwane teksty, opatrywał je zwykle uwagami pełnymi pokory. Nie był pewien wartości swego pisarstwa, ostateczną ocenę pozostawiał redaktorowi. Pisywał opowiadania, recenzje, polemiki, pokusił się także o dramat. W „Kulturze” ukazały się między innymi następujące jego teksty: „Nekya”, „Pożegnanie”, „List” (na echa którego pisarz wyczekiwał niecierpliwie już w Gwatemali), „Na tyłach”, „Coco de Oro” ( stanie się ono w 1970 roku tytułowym opowiadaniem wydanego przez „Kulturę” tomu szkiców i opowiadań Bobkowskiego), „Pytania dzikich ludzi”, „Z notatek modelarza”, „Siódma”, „Spotkanie”, „Po trzęsieniu spodniami ( artykuł wywołujący wiele kontrowersji, w tym ostrą polemikę Miłosza ), „Zachód nareszcie wyzwala”, wspomniany dramat „Czarny piasek”, „Biografia wielkiego Kosmopolaka”.

Korespondencja z Jerzym Giedroyciem dawała Bobkowskiemu bezcenne przekonanie o sensowności wysiłków; redaktor był głęboko i autentycznie zainteresowanym odbiorcą jego twórczości<sup>333</sup>. Co za tym idzie przełamywał osamotnienie Bobkowskiego nie tylko w sensie

---

<sup>331</sup> P. Rodak, *Giedroyc – Bobkowski, czyli o tym, jak działać listami*, [w:] Jerzy Giedroyc: *kultura polityka wiek XX*, redakcja: A. Mencwel, A. S. Kowalczyk, L. Szaruga, Z. Grębecka, Warszawa 2009, s.261.

<sup>332</sup> Sformulowaniem tym posłużyłam się za I. Hradyską ( I. Chmielowcowa). W tekście pod tym tytułem pisała ona o twórczości A. Bobkowskiego jako o wielkiej obietnicy, niespełnionej przez przedwczesną śmierć pisarza. Por. I. Hradyska, *Talent odłożony na później*, „Wiadomości” 1962, nr 32/33.

<sup>333</sup> W 1981 roku na pytanie o swoje największe sukcesy wydawnicze Jerzy Giedroyc odpowiedział Barbarze Toruńczyk: „ No, niewątpliwie – już dzisiaj to jest aż banalne – Miłosz i Gombrowicz. Bobkowski, którego

ludzkim, ale także w równie ważnym – twórczym. To przede wszystkim dzięki niemu pisarz z Gwatemali wiedział, iż nie działa w próżni, że otaczająca go rzeczywistość nie jest wyłącznie kontekstem istnienia modelarza, ale także twórcy, choć na co dzień prawdopodobnie trudno mu było w to uwierzyć. To w dużej mierze dzięki Giedroyciowi Bobkowski stał się obywatelem „Rzeczpospolitej epistolarnej”,<sup>334</sup> a zatem pojawiła się w jego emigracyjnym życiu przestrzeń w której mógł prowadzić dyskusje, działać, odnaleźć zrozumienie i wsparcie. Wagę tej korespondencji dla pisarza trafnie podsumował cytowany już wyżej badacz:

„Jeszcze bardziej potrzebne były listy Bobkowskiemu. I te pisane, i te otrzymywane. Wiąże się wprost z owym innym wizerunkiem autora *Szkiców*, jaki poznamy z tej korespondencji. Tam, w zapiskach z okupowanej Francji: dynamizm, młodość, witalizm, naturalna radość życia doznawana w czasie upajającej jazdy na rowerze czy podczas morskiej kąpeli, chęć <<wyssania>> każdej chwili życia do końca. Tu, w listach z Gwatemali: codzienny, morderczy wysiłek, praca pochłaniająca wszystkie siły, nieustanne trudności z zaspokajaniem najbardziej podstawowych potrzeb bytowych, potem zmaganie się ze śmiertelną chorobą i ciągła niepewność co do najbliższej przyszłości. Bobkowski nie jest z pewnością typem nieszczęśnika użalającego się nad swoim losem. O losie tym, nie do pozardroszczenia, pisze z humorem i wyraźnie powściąganym od emocji językiem. Nigdzie nie ma tu tonu skargi, żalu czy zazdrości. Jest za to konsekwentne obstawanie przy raz obranej drodze, mimo ceny, jaką za swój wybór przychodzi zapłacić.”<sup>335</sup>

Trwające nieprzerwanie przez kilkanaście lat, w pełni odwzajemnione, przywiązanie do redaktora ratowało Bobkowskiego przed utratą energii, zwątpieniem, pomagało nadawać sens życiu, opartemu na konsekwentnej pracy i związanych z nią wyrzeczeniach.

„Choć w różnych kwestiach dotyczących emigracji, stosunku do kraju, Europy, socjalizmu, kapitalizmu czy katolicyzmu różnili się między sobą, – pisał Paweł Rodak – choć wielokrotnie ostro się spierali i wypominali sobie różne rzeczy, a raz nawet doszło między nimi prawie do zerwania stosunków, to jednak mieli do siebie nawzajem całkowite zaufanie i mogli na sobie polegać.”<sup>336</sup>

---

bardzo cenilem – to jest bardzo wielki talent.” W tej samej rozmowie redaktor „Kultury” ubolewał, iż autor „Szkiców” jest „niedoceniony do tej pory, wciąż do odkrycia.”, B. Toruńczyk, *Rozmowy w Maison – Laffitte, 1981*, Fundacja Zeszytów Literackich, Warszawa 2006, s.96 – 97.

<sup>334</sup> Określenie: „rzeczpospolita epistolarna” pochodzi z tytułu podrzdziału książki A. S. Kowalczyka *Giedroyc i „Kultura”* (Wrocław 1999), a następnie w podtytule jego książki *Od Bukaresztu do Laffitów. Jerzego Giedroycia rzeczpospolita epistolarna*. (Sejny 2006).

<sup>335</sup> P. Rodak, *Giedroyc – Bobkowski, czyli o tym, jak działać listami*, s.263 – 264.

<sup>336</sup> Ibidem, s.260.

Kolejną ważną dla Bobkowskiego osobą, z którą także przez lata wymieniał listy, była Aniela Mieczysławska, emigracyjna działaczka społeczna, organizująca wsparcie materialne dla polskich artystów, współpracująca z Jerzym Giedroyciem na terenie Stanów Zjednoczonych. Listy obojga zostały opracowane przez Andrzeja Stanisława Kowalczyka i wydane w roku 2003 pod tytułem „Andrzej Bobkowski. <<Przysięgłem sobie, że jeśli umrę, to nie w tłumie...>>. Korespondencja z Anielą Mieczysławką 1951 – 1961.” Początek znajomości pary przyjaciół związany był z kwestiami formalnymi, dotyczącymi stypendium dla Bobkowskiego. Mimo to, już w pierwszym liście Bobkowski wprowadził ton bardzo osobisty, zaproponował wymianę myśli, co spotkało się z bardzo pozytywną reakcją drugiej strony. Dzięki temu, znajomość, wydawałoby się z góry skazana na oficjalny charakter, zaczęła nosić znamiona przyjaźni, trwającej ostatecznie aż do śmierci pisarza. W jednym z pierwszych listów Bobkowski, w sposób niezwykle zwięzły a zarazem obrazowy, tłumaczył przyjaciółce „skąd się wziął” w Gwatemali, jakie pobudki nim kierowały i w konsekwencji kim właściwie się stał, jak samego siebie poprzez ten wybór zdefiniował.

„Wyjeżdżając z Europy przysięgłem sobie, - pisał we wrześniu 1951 roku – że więcej w moim życiu nie będę pisał żadnych podań, prośb, zwracań się itd., że nie będę stał w ogonku, że nie będę się pchał i że jeśli umrę, to nie w tłumie i nie jako socjalnie ubezpieczony. Tutaj, jak tylko w autobusie jest więcej ludzi, nie pcham się – czekam. Mój dowód osobisty gwatemalski zamknąłem w żelaznym pudełku, klucz wyrzuciłem i od trzech lat chodzę bez jednego papierka przy sobie.”<sup>337</sup>

W trzy lata po przybyciu do nowej ojczyzny, chciał by korespondencyjna znajoma postrzegą go przede wszystkim jako człowieka, który wie, jak chce żyć i konsekwentnie swoją wizję realizuje. W tym tonie – zadowolenia z podjętych decyzji i działań - utrzymana jest też pozostała część opublikowanych listów. Zabiegi autointerpretacyjne nie stoją paradoksalnie w sprzeczności z promieniującą z tej korespondencji naturalną szczerością mieszkańca Gwatemali, który, czy to entuzjastyczny, czy radykalny w sądach, jest zawsze w pełni przekonujący i wiarygodny. O Andrzeju Bobkowskim – epistolografie słusznie pisał Jan Zieliński, iż ten:

„Czyni dyskurs osobistym, niemal intymnym, bo nawiązać z kimś kontakt to zbliżyć się do niego, obdarzać go zaufaniem, mówić mu o sobie coraz więcej, prawie wszystko na co pozwala język.”<sup>338</sup>

---

<sup>337</sup> „Andrzej Bobkowski. „Przysięgłem sobie, że jak umrę, to nie w tłumie..”. Korespondencja z Anielą Mieczysławką 1951 – 1961. Do druku podał, wstępem i przypisami opatrzył Andrzej Stanisław Kowalczyk, Wydawnictwo Ruta, Wałbrzych 2003, s.48 – 49.

<sup>338</sup> A.S. Kowalczyk, *Słowa – Rzeczy – Życie. Świat według Bobkowskiego*, [w:] A. Bobkowski, „Przysięgłem sobie, że jeśli umrę to nie w tłumie”... , s.32 – 33.

Bo też:

„Pisanie to dla Bobkowskiego przede wszystkim samopoznanie i dzielenie się własnym obrazem świata z innymi, przekraczanie samotności, znak wspólnoty żyjących.”<sup>339</sup>

Swoim obrazem świata dzielił się także z Tymonem Terleckim, ważnym korespondencyjnym towarzyszem jego ostatnich lat życia. Listy autora „Spadku” do tego historyka literatury, eseisty i krytyka teatralnego opracowane przez Ninę Taylor – Terlecką pochodzą z lat 1956 – 1961. Dopelnieniem wydanego w 2006 roku tomu są pisane już po śmierci Bobkowskiego listy jego żony Barbary do tego samego adresata, w których wspomina ona męża i szkicuje jego duchowy portret. Bezpośrednim powodem rozpoczęcia w czerwcu 1956 roku listownej wymiany myśli była prośba Terleckiego, aby Bobkowski wystąpił na Kongresie Kultury Polskiej w Paryżu z odczytem na temat powieści emigracyjnej. Pisarz odmówił, gorąco przeprasząc i tłumacząc się niewystarczającą znajomością tematu.

„Między nami, to siedem lat pracowałem jak wół, żeby sobie stworzyć sytuację niezależną. – odpowiadał Terleckiemu – Woląłem nie pisać, niż wieszać się gdziekolwiek na klamkach. Bardzo przepraszam za ten nieporządek, jeszcze raz proszę nie zadawać mi tematów, na które jestem zupełnie niekompetentny. I proszę mi nie mieć za złe.”<sup>340</sup>

Później, w sierpniu 1957 roku, Bobkowski napisał, by podziękować za przyznanie mu nagrody „Wiadomości” za opowiadanie „Spadek”. Korespondencyjnie tłumaczył także Terleckiemu swoje stanowisko w sprawie uchwały Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie (zakazującej pisarzom emigracyjnym druku w komunistycznej Polsce), którą całkowicie popierał, wbrew pogładowi środowiska „Kultury”. Tematem listów były także kulisy powstania „Szkiców piórkem” – Bobkowski czuł się w obowiązku wyjaśnić przyjacielowi, skąd trafność jego ówczesnych prognoz politycznych. Wymiana myśli zbliżyła obu twórców do tego stopnia, iż autor „Czarnego piasku” nie wahał się wspominać w listach rodzinnego domu, czy przyznać się do szczególnego uznania, jakim darzył „Egzystencjalizm chrześcijański” swego korespondenta. Przyjaźń tę przerwała dopiero śmierć Andrzeja Bobkowskiego.

Autor „Pożegnania” miał świadomość końca swojej formacji, wiedział też, iż dla tych, którzy zostali egzystencja bez wymiany myśli oznacza powolne duchowe unicestwienie. Dlatego tak ważna była dla niego szeroko zakrojona korespondencja. Warto dodać, iż konsekwentnie nie

---

<sup>339</sup> Ibidem, s.32 – 33.

<sup>340</sup> „Bobkowski Andrzej. *Listy do Tymona Terleckiego 1956 – 1961*, Opracowała i posłowiem opatrzyła Nina Taylor – Terlecka, Biblioteka „Więzi”, Warszawa 2006, s.65.

godził się w niej na rolę kolorowego ptaka z tropikalnego raju, niejako *a priori* zakładając, że tak może być postrzegany. Było dla niego istotne by nie mylono trudnego wyboru z ucieczką, by egzotyczne rekwizyty nie przysłoniły walczącego – nie tylko o przetrwanie – człowieka. Zależało mu na tym, ażeby bliscy mu korespondenci traktowali Gwatemalę poważnie, a jego głos dobiegający z Ameryki Środkowej nie był dla nich głosem kogoś, kto opuścił posterunek, lecz przeciwnie – kogoś, kto jest na swoim miejscu, tak samo jak wszyscy emigranci pozostając żołnierzem zimnej wojny.<sup>341</sup> Nawet Jerzemu Giedroycowi musiał jednak czasem przypominać, że środkowoamerykański kraj jest dla niego właśnie rodzajem posterunku, miejscem wcale niełatwej batalii o zachowanie wewnętrznej prawdy. Tylko ta przestrzeń - tłumaczył ważnym dla siebie ludziom w listach - z perspektywy Europy tak nierealna, pozwala, po przyjęciu jej twardych warunków, na zachowanie wolności, odniesienie osobistego zwycięstwa. Pisząc do redaktora „Kultury” podkreślał, iż właściwie nie ma wyjścia, że jeśli ma być wewnętrznie niepodległy – to tylko tam, gdzie nie pozostaje ani na łasce Europy, ani USA.

„A zresztą bez emfazy Panu powiem, - pisał – że tak długo, jak się da, ja chcę zachować w duszy prawdziwie wolny kawałek. Gdyby to nie brzmiało pretensjonalnie, to nawet powiedziałbym, <<czysty, naprawdę wolny kawałek Polski>> zbudowany moją pracą i cholernym zdzieraniem się aż do szwów.”<sup>342</sup>

Ten „wolny kawałek” gwarantowała Bobkowskiemu nowa ojczyzna, ale jego istnienie warunkowane było także przez życzliwe wsparcie ludzi, którzy z Europy czy USA obserwowali zmagania pisarza, stając się dla niego partnerami do dyskusji o sensie podejmowanych działań. Wzajemne zrozumienie gwarantował fakt, iż w szerszej perspektywie zarówno Bobkowski, jak i jego korespondenci, zmagali się dokładnie z tym samym problemem upadku wartości i związanych z nim zagrożeń, dzieliło ich tylko miejsce w którym przebiegała linia ich osobistego frontu. Autor „Coco de Oro” miał tego świadomość:

„Front jest wszędzie, – pisał do Jerzego Giedroycia – a przede wszystkim w każdym człowieku, w każdym poszczególnym obywatelu każdego kraju. I może właśnie dlatego ta epoka jest tak tragiczna, bo front przechodzi dziś przez duszę nawet tych, którzy o duszy nic nie wiedzą.”<sup>343</sup>

Dzięki listom Bobkowski mógł nie tylko przewycięzać poczucie samotności, lecz także samemu się dookreślić, poddać analizie motywy swojego postępowania, z perspektywy przyjrzeć

---

<sup>341</sup> W liście do Wańkowicza z 28 czerwca 1956 roku Bobkowski nie godził się na automatyczną dyskwalifikację moralną wszystkich pracujących w przemyśle zimnej wojny, którą sugerował Wańkowicz w liście do niego z 21 czerwca 1956. Bobkowski odpowiedział: „Czy nie sądzi Pan, że wśród przemysłowców zimnej wojny mogą być także ludzie szlachetni i ideowi? Nie zaliczam się do nich, ale zaliczając się do emigracji, automatycznie uważam się za szeregowego lub może nawet gifrajtera zimnej wojny.”, cyt za: *ibidem*, s.372.

<sup>342</sup> *Ibidem*, s.335.

<sup>343</sup> *Ibidem*, s.320.

się konsekwencjom podejmowanych wyborów. Było to dla niego bardzo ważne, gdyż chcąc po Conradowsku pozostać wiernym samemu sobie, nieustannie poszukiwał, spierał się ze sobą, przyglądał się własnym działaniom, a w konsekwencji reagował na pułapki losu w sposób przemyślany, odważny i w pełni odpowiedzialny.

## 2.2. Lata wysiłku i zachwytu

W liście z 1 sierpnia 1948 roku Bobkowski donosił Giedroyciowi, iż po stosunkowo niedługim poszukiwaniu mieszkania – przez który to okres pisarz z żoną mieszkali na „fince” swoich przyjaciół<sup>344</sup> – udało mu się znaleźć miejsce, mające wszelkie zadatki na spokojną przystań. Zamieszkali w mieście Gwatemala, na warunkach, które tak opisywał:

„ [...], znalazłem dom do spółki z jednym przyjacielem tego mojego przyjaciela, Hiszpanem z Meksyku, który tu robi jakieś <<interesy>> (czort jego wie co; ale ma <<sekretarza>>, Meksykanina, który cały dzień nic nie robi i gwizda jakieś ichnie piosenki. Już go wykształciłem na ordynansa i pędzam bez litości.), wróciłem na <<fince>>, załadowałem walizki na muła i mieszkam już od 30 lipca w stolicy. Domek mamy przesłiczny, umeblowany, z elektrycznym <<frigidaiem>>, radiem i maszyną do szycia. Czynsz słony, bo 125 dolarów miesięcznie; ten Hiszpan płaci 80, ja 45.”<sup>345</sup>

Parę miesięcy później, 21 marca 1949 roku, w cytowanym już liście do matki, także wyrażał się o ich domostwie bardzo ciepło:

„Nasz korab jest wspaniały, – pisał – uroczy, choć bez mebli i z podłogami, które Basię wpędzają w chorobę nerwową.”<sup>346</sup>

---

<sup>344</sup> „Rzecz wyglądała tak. – pisał K. Ćwikliński – Bobkowscy mieli w Gwatemali przyjaciół administrujących majątkiem ziemskim w pobliżu stolicy, którzy rok wcześniej, jeszcze we Francji, roztoczyli przed nimi świetlane perspektywy ziemi miodem i mlekiem płynącej, obiecali im pomoc i pracę, choć – jak się rychło okazało – obietnic tych spełnić nie mogli, a perspektywy były mało zachęcające.” K. Ćwikliński, *Sześć lat w oku cyklonu albo Andrzej Bobkowski i „komunistyczny eksperyment” w Gwatemali*, [w:] K. Ćwikliński, *Znani i nieobecni...*, s.34. K. Ćwikliński przytacza też fragment skierowanego do siebie listu brata ciotecznego Bobkowskiego Jana Jerzego Czerwińskiego z 9 lipca 1986 roku. Ten ostatni napisał: „Kuzyn mój miał jakiegoś przyjaciela Guatemalczyka, który miał w swojej ojczyźnie hacjendę i właśnie do kierowania nią zaangażował Andrzeja, obiecując złote góry. Tymczasem po przyjeździe na miejsce okazało się, że wprawdzie hacjenda istnieje rzeczywiście i to w bardzo pięknej okolicy, ale przyjaciel Andrzeja nie ma zamiaru sam się nią zajmować i pomagać Andrzejowi i jego żonie, woli natomiast pieniądze przynoszone ewentualnie przez hacjendę pod zarządem Andrzeja przepuszczać w Guatemala City. Praca na hacjendzie wymagała od Andrzeja dość dalekich i długotrwałych nieobecności w domu, podczas których jego żona musiała sama pozostawać w hacjendzie zaangażowana w nabyty rewolwer dla ewentualnej koniecznej obrony przed nieobliczalnymi i często pijanymi *vaqueros* (pastuchami) i tubylcami. Z tych głównie powodów kariera hacjendera okazała się dla Andrzeja nie do wytrzymania [...] i Bobkowscy przenieśli się na stałe do Guatemala City.” Cyt. za: *ibidem*, s.35.

<sup>345</sup> J. Giedroyc, A. Bobkowski, *Listy 1946 – 1961*, s.32 – 33.

<sup>346</sup> A. Bobkowski, *Listy z Gwatemali do matki*, s.27.

Nowe miejsce dawało małżeństwu poczucie stabilizacji i nieodwołalnego końca wieloletniej bezdomności. Dom zdawał się tętnić życiem, był pełen zwierząt, o których Bobkowski pisywał do bliskich sobie osób z humorem i sympatią. Nie narzekał nawet wówczas, gdy zwierząkom zdarzało się anektować całą niemal przestrzeń „korabia”, nie wyłączając małżeńskiego łóża. „Za to psy już się zupełnie do nas przeprowadziły i kotka także, choć wszystkie nie nasze.”<sup>347</sup> – pisał z pogodną rezygnacją do matki. Organizowanie sobie mieszkania i warsztatu pracy w Gwatemali zdawało się przynosić Bobkowskiemu wiele satysfakcji, wiązało się też z nadzieją, że uda mu się połączyć pracę zarobkową z twórczą bez straty dla żadnej z nich. W owym czasie pisarz zdawał się nie mieć wątpliwości, co do słuszności swojej decyzji o wyjeździe. Nie miał ich tym bardziej, że uroda otaczającej go nowej przestrzeni była niewątpliwie kojąca, poprzez całkowitą odmienność od tego, co poznał wcześniej; natura zdawała się podkreślać przełom, jakiego udało mu się dokonać, przypominała, że zmienił wszystko, dokładnie tak, jak chciał.

Przyrodę, jak również klimat, Gwatemali przybysz oceniał niemal niezmiennie pozytywnie - zdawały się one być jednym z głównych powodów radości istnienia pośród różnego rodzaju codziennych kłopotów. Choć natura nie była tu francuskim ogrodem, okiełznanym i bezpiecznym, to jednak stanowiła zapierającą dech w piersiach dekorację codzienności. W grudniu 1949 roku Andrzej Bobkowski napisał do matki:

„Jedna osłoda – a i nie byle jaka w sumie – to ten kraj z jego klimatem i spokojem. Teraz noc, ómy furkają koło głowy, a że pora deszczowa już się skończyła, więc i trochę komarów pobrękuje. Koguty pieją i lśnią gwiazdy. Niedługo już zacnie być widać Krzyż Południa zawieszony nisko nad południowym horyzontem. Potem wzejdzie słońce i buchnie znowu dzień, taki wspaniały dzień, gorący, ale nie za gorący, z przeciągiem wiatru, z bezdennym błękitem opalizującym na krańcach, z cudnymi chmurkami. Pod oknami złocą się powoli pomarańcze, malutkie słońca na drzewkach.”<sup>348</sup>

Otoczenie nowego domostwa prześwietlone było słońcem; Bobkowski zaś – by tak powiedzieć – był jego admiratorem i wyznawcą. Już w trakcie lektury „Szkiców piórkiem”, szczególnie zaś części dotyczącej rowerowej wyprawy wzdłuż francuskiego wybrzeża, nie można mieć co do tego wątpliwości. Wartościowane pozytywnie były przede wszystkim słoneczne dni i krajobrazy. Słońce stanowiło centrum każdego wartego zapamiętania momentu czy pejzażu. Notował wówczas na przykład:

„Słońce, wspaniałe i soczyste; jedwabiste wieczory i noce, jak sierść czarnego kota.”<sup>349</sup>

---

<sup>347</sup> Ibidem, s.27 – 28.

<sup>348</sup> Ibidem, s.43 – 44.

<sup>349</sup> A. Bobkowski, *Szkice piórkiem...*, t.1, s.49



„Płyną godziny rozmowy ze słońcem.”<sup>350</sup>

„Mgła podarła się nagle i słońce wlało się do miasteczka, jak strumień stali do kadzi.”<sup>351</sup>

„Słońce oszalało.”<sup>352</sup>

Słońce było w tamtym czasie dla młodego diarysty niemal obiektem kultu, znakiem kruchego przymierza ze światem, miało moc wyciszania myśli. Mimo upływu lat, nic się nie zmieniło, „słoneczność” stała się także dla gwatemalskiego emigranta synonimem ukojenia. Dawała wszak gwarancję, chwilowego choćby, odpoczynku od natłoku myśli, wspomagała koncentrację na cielesności czyli – by wrócić do metafory użytej przez Bobkowskiego - oddalała groźbę nieustannego trzymania w rękach do granic napiętego łuku. Była też pociechą w codzienności naznaczonej z czasem coraz cięższą pracą zawodową. Słoneczne światło stwarzało atmosferę wakacyjnej przygody, co prawda stojącej w sprzeczności z życiem pełnym obowiązków, ale oddalającej też, przynajmniej w pewnym stopniu, groźbę depresji. W kwietniu 1950 roku Bobkowski przytłoczony kłopotami napisał do matki:

„[...] te słoneczne dni z domkiem na oścież otwartym, to łażenie po domu <<w stroju niedbałem>> ( Basia często mówi o sobie z przekąsem: <<Barbara w stroju niedbałem>>) – to wszystko w olbrzymiej mierze wynagradza wszystkie nędze naszego życia. Nędze te są wielkie, a spośród blasków został właściwie tylko blask słońca, ale ten jest naprawdę wspaniały.”<sup>353</sup>

Miłość Bobkowskiego do słońca, miała w sobie rodzaj zatracenia, który nieodparcie nasuwa skojarzenie z fragmentami „Dziennika” Máraiego, a szczególnie z tym, w którym Węgier napisał: „Dwie godziny po betonowej drodze do Bengazi. Nigdzie ani jednej oazy. I ta pewność, że żywioły są silniejsze od auta i jeśli przyjdzie nam się zatrzymać o trzeciej po południu w samym środku pustyni z odkrytymi głowami – zginiemy na pewno. Ogarniająca nas obojętność i pogodna rezygnacja na chwilę przed porażeniem słonecznym, jak zawsze, gdy człowiek spotyka się z żywiołem, z odwieczną potęgą: najwyżej umrzemy! Jakby ta możliwość, możliwość śmierci, była, gdy stoi się oko w oko z żywiołem, dobra i podnosząca na duchu; jakby człowiek powiedział: wracamy do domu.”<sup>354</sup>

Bobkowski także, w gwatemalskim, zabójczym dla niego, słońcu żył, a potem umierał tak, jakby „wracał do domu”. Gdy zdarzyło mu się przyjechać do Europy, narzekał na panujący w niej chłód i ciemność.<sup>355</sup>

---

<sup>350</sup> Ibidem, s.54.

<sup>351</sup> Ibidem, s.56.

<sup>352</sup> Ibidem, s.56.

<sup>353</sup> A. Bobkowski, *Listy z Gwatemali do matki*, s.50.

<sup>354</sup> S. Márai, *Dziennik*, s.7.

<sup>355</sup> Andrzej Bobkowski odwiedził Europę między 13 sierpnia ( przylot do Amsterdamu ) a 20 września 1956 roku ( powrót samolotem z Paryża przez Nowy Jork ). Wziął udział w mistrzostwach świata modeli latających w

O europejskiej, a w szczególności paryskiej „ciemności”, charakteryzującej klimat duchowy lat tuż powojennych Márai pisał:

„Paryż był ciemny i drżący. Wszyscy zachowywali się przerażająco uprzejmie. Miałem wrażenie, jakby dookoła w wymuszony sposób nieustannie wszyscy mówili o czym innym. Dowodzili, że są niewinni i zwyciężyli. O rzeczywistości – że Europa jako całość przegrała wojnę, że nie ma już zwycięskiej Europy – starano się nie wspominać.”<sup>356</sup>

I dalej:

„Wyglądało na to – w Paryżu i wszędzie indziej na Zachodzie – że ludzie chcą kontynuować fabułę swego życia w tym miejscu, w którym ją przed wojną przerwali. Wszędzie natrafiałem na te same drętwe zwyczaje, zrobaczywiałe poglądy, skostniałe urojenia. Jakby to największe nieszczęście, jakie spotkało dotąd rasę ludzką, druga wojna światowa, apokaliptyczna katastrofa, która przyniosła niewymierne zniszczenia materialne i duchowe, w ogóle nie dotknęła sumienia człowieka Zachodu. Nigdzie nie spotkałem śladu moralnych rozrachunków.”<sup>357</sup>

Nie było zatem w Paryżu o czym i z kim rozmawiać, z czego obydwaj twórcy, polski i węgierski, doskonale zdawali sobie sprawę. Pozostawała im jedynie samotność w słońcu, którą świadomie wybrali, by przetrwać. Bobkowski zdecydował się na wyjazd do Gwatemali a Márai do włoskiego Posillipo. W wyborze miejsc pocieszenia „słoneczność” zdawała się być dla obydwu emigrantów kategorią podstawową.

„Podczas podróży na Zachód – pisał węgierski twórca – słoneczne światło na Posillipo było jedyną godzącą mnie ze światem rzeczywistością. Wspominałem później to światło, to wołanie, a kiedy znów ruszyłem w drogę – tym razem bez nadziei na powrót – pojechałem prosto tam. Dałem nurka w słoneczne światło Posillipo jak samobójca, który po długim zastanawianiu się odrzuca koło ratunkowe i skacze do wodospadu Niagara. W Światło, w czyste Światło, po ciemności, obłądnym mroku, z powrotem w Światło, gdzie nie można oszukiwać, nie warto kłamać, gdzie wszystko promieniuje – prawda i fałszerstwo, spojrzeć prosto w Światło, które kiedyś, przed wiekami stąd zaczęło promieniować na mroczną, dziką Europę.”<sup>358</sup>

---

Szwecji, załatwiał sprawy handlowe, odwiedził RWE i „Kulturę”. Spotkał się z Janem Nowakiem – Jeziorańskim, Gustawem Herlingiem – Grudzińskim, Michałem Chmielowcem, Władysławem Wolskim, przyjaciółmi z Maison – Laffitte, stryjem Aleksandrem Bobkowskim i szwagrem Janem Birtusem. Z Kopenhagi napisał do Jerzego Giedroycia: „Cholernie zimno, marzną jak sto diabłów i czuję się dziwnie przygnębiony widokiem tych ludzi i tych starych miast.” (s.382), „Ciągle czekam, że coś się we mnie nawiąże, a tu wprost przeciwnie – czuję, że coraz bardziej się rwie, że za Boga nie potrafiłbym żyć w tych krajach niskiego i szarego nieba, szarego morza, szarych ubiorów, [...] (s.384). J. Giedroyc, A. Bobkowski, *Listy 1946 – 1961*, s.382 i 384.

<sup>356</sup> S. Márai, *Ziemia! Ziemia!...*, s.296.

<sup>357</sup> Ibidem, s.298.

<sup>358</sup> Ibidem, s.295.

Bobkowski zdawał sobie sprawę, że jego samotność, jako przedstawiciela pewnej formacji duchowej jest nieunikniona bez względu na miejsce zamieszkania, które wybierze. Gwatemalę od Paryża, w tym kontekście, różniło przede wszystkim to, iż ta pierwsza nie była przestrzenią zdradzonych wartości; egzotyczna, powierzchowna, krzykliwa przynosiła samotność wśród zbiorowego szaleństwa, nieskażoną jednak wyrafinowaną nikczemnością. Koła światłem i ciepłem, zapewniając głębokie pocieszenie.

W liście z Gwatemali do Jerzego Giedroycia, gdzie nowo przybyły zebrał dla redaktora coś w rodzaju garści „notatek ozdowieńca”<sup>359</sup>; opisywanie nowej ojczyzny rozpoczął od geografii, etnografii i krótkiego stwierdzenia: „Kraj przepiękny.”<sup>360</sup> Zaskoczyła go różnorodność tutejszej fauny i flory, obecność zarówno sosen jak i palm, akacji obok gajów bambusowych, kwiatów, kolibrów, wszystkich możliwych owoców. Przedstawiał Giedroyciowi swoje nowe miejsce jako przystań przyjazną, zarazem bardzo egzotyczną i kojąco swojską (akcentował na przykład tamtejszy „zakopiański” klimat). Bardzo mocno podkreślał, iż swój wybór uważa za zbawienny. Naturalne uwarunkowania Gwatemali nie przyniosły mu zatem rozczarowania. Podkreślał to wyraźnie w listach, świadomy, iż nie dla wszystkich jego decyzja o wyjeździe z Europy była zrozumiała. Chciał przedstawiać Gwatemalę tak, aby nie była tylko abstrakcyjnym „tropikiem” ale przeciwnie, aby stała się przestrzenią możliwą do wyobrażenia, wartą włożonego w jej poznanie wysiłku. On sam podejmował go niemal przy każdej możliwej okazji, zwiedzając tak dużo, jak to tylko było możliwe. Była w nim zachłanna ciekawość nowych przestrzeni i przekonanie, że wolny czas najlepiej spożytkować w podróży, wracając do ulubionych miejsc albo odkrywając nowe. Jedną z takich wypraw, zorganizowanych z okazji świątecznej przerwy w pracy opisywał w liście do matki z kwietnia 1951 roku.

Wybrał się wówczas z żoną w chłodniejszą część kraju, rezygnując z upalnego i pełnego uciążliwych krabów wybrzeża. „Ten wybór klimatu w kraju o powierzchni Prus Wschodnich, ta różnorodność roślinności, owoców, wszystkiego, jest dosłownie nie do wiary.”<sup>361</sup> – pisał zachwycony. Docelowa miejscowość – Panajachel - odwiedzana była niemal wyłącznie przez wtajemniczonych w jej urok amerykańskich turystów. Dotarcie do niej poprzedzała podróż autobusem między górskimi szczytami, „drogą przylepioną do ściany jak półka”<sup>362</sup>. Bobkowski relacjonował jej przebieg matce, nie kryjąc entuzjazmu i wielkiej radości, jaką mu sprawiała.

---

<sup>359</sup> J. Giedroyc, A. Bobkowski, *Listy 1946 – 1961*, s.30.

<sup>360</sup> Ibidem, s.30.

<sup>361</sup> A. Bobkowski, *Listy z Gwatemali do matki*, s.63.

<sup>362</sup> Ibidem, s.65.

Znowu był w ruchu, w swoim żywiole, miał poczucie karmienia zmysłów przeżyciami, widokami, wartymi tego, by je przechowywać w pamięci.

„Ja tylko ciągle patrzyłem, – zwierzał się adresatce listu – bo choć najeździłem się w Alpach francuskich, to czegoś takiego w życiu swoim nie widziałem.”<sup>363</sup>

I dalej:

„O dziewiątej rano mrugnęło nagle spod chmur, głęboko w dole, z dobrych 500 m pod nami, niemal tuż za krawędzią drogi, szafirowe jezioro, obstawione wulkanami! Najładniejszy widok, jaki dotąd w życiu widziałem.”<sup>364</sup>

Pejzaże Gwatemali przenosiły Bobkowskich w ahistoryczny – by tak powiedzieć – przedwieczny czas. Pisarza fascynowały zwłaszcza wulkany, kreujące przestrzeń egzotyczną, niepodobną do niczego, co znane mu było wcześniej. Wśród wulkanów czuł się jak „po drugiej stronie lustra”, jakby udało mu się przekroczyć granicę światów i zostawić za sobą miejsca naznaczone przez historię. Dlatego pielgrzymował do nich z całym entuzjazmem i nie zważając na zmęczenie. W liście do matki z grudnia 1949 roku opisał wyprawę, którą zorganizował dla swoich podopiecznych z klubu modelarskiego, na jeden z wulkanów mierzący 3.800 metrów. Podejście na szczyt zorganizował dla chłopców w nocy, ze względu na upał panujący w dzień. Widoki, jakie udało im się zobaczyć warte były włożonego w zdobycie góry wysiłku.

„Okolo dwunastej w nocy wzeszedł księżyc i wtedy zaczął się prawdziwy sen. – pisał Bobkowski – Widok zupełnie nie do opisania. Może nigdy dotąd nie poczułem tak wyraźnie, że jestem na drugiej półkuli. W dole całe krainy, pasmo wulkanicznych gór ze stożkami mniejszych wulkanów, tafla olbrzymiego jeziora Amattilan, zupełnie inny świat. W oddali wulkan Fuego, jeszcze trochę poirytowany po ostatnim wybuchu i mrugający czerwonym językiem ognia od czasu do czasu. Do tego temperatura. Chłód, wspaniały górski chłód zaledwie kilka stopni powyżej zera. Szedłem wolno, patrzyłem i modliłem się. Na kilkaset metrów pod kraterem mogło się wydawać, że się jest na księżycu.”<sup>365</sup>

Za chwilę jednak pojawiła się niepokojąca metafora. Pisarz kontynuował swoją myśl:

„W jego świetle mury z zastygłej lawy, postrzępione, martwe i ciemne, spalone kikuty sosen, jak żydowskie świeczniki ( w zeszłym roku spaliły się lasy ) – wszystko wyglądało niesamowicie.”<sup>366</sup>

W 1949 roku porównanie spalonych lasów do żydowskich świeczników nie wydaje się nieznaczące czy przypadkowe. Świadczyć może, jak się zdaje, o udręczonej wyobraźni pisarza, jak też o tym, iż Europa z jej gehenną tkwiła w niej głębiej, niż by się tego spodziewał i tego

---

<sup>363</sup> Ibidem, s.65.

<sup>364</sup> Ibidem, s.65.

<sup>365</sup> Ibidem, s.44 – 45.

<sup>366</sup> Ibidem, s.45.

pragnął, stanowiąc, także w nowym miejscu, tragiczny, wryty w pamięć punkt odniesienia. Niemniej jednak Gwatemala przynosiła ukojenie, narzucała swoją własną perspektywę czasową, przenosiła w epoki tak odległe, że niemal niebyłe, zachęcała do wpisania się w jej własną mitologię.

„Tu w Gwatemali – zauważał Bobkowski – na każdym kroku czuje się coś, co można by określić jako <<uczucie świata zaginionego>>. Niby dzika natura, ale równocześnie czuje się, że jakiś człowiek zamierzchły, starszy od najstarszych Europejczyków, uformował ją, już jej kiedyś dotknął.”<sup>367</sup>

Jednocześnie Bobkowski tropił w Gwatemali ślady stosunkowo niedawnego panowania hiszpańskiego. Jego stosunek do Hiszpanów był ambiwalentny, dostrzegał barbarzyństwo w sposobie potraktowania tubylczej kultury, ale też nie mógł nie zauważyć, że pozostawione przez nich ślady są dla niego czytelnym, znajomym kodem, wpisującym się w europejskie myślenie o zagospodarowaniu przestrzeni. Przeobrażenia zachodzące w ciągu stuleci na terenie jego nowej ojczyzny głęboko pasjonowały Bobkowskiego, czytał na ten temat, planował podróże do najważniejszych miejsc nie tylko kraju ale i całego kontynentu. Swoim sposobem zbierał fragmenty układanki by zrozumieć czas, miejsce i ludzi wśród których żył. Odkryć dokonywał w miejscu, które go fascynowało, pełnym egzotycznej roślinności, słońca, nie przypominającym ogrodu lecz – w pewien sposób - utracony raj, przestrzeń dziewiczą, w której wiele może się zdarzyć. Chciał wierzyć, że o swoją wyobraźnię – zawłaszczoną przez historię – będzie mógł jeszcze z losem powalczyć, że w nowym miejscu odnajdzie spokój. Niewątpliwie otoczenie, w jakim się znalazł, miało temu sprzyjać, stać się rekompensatą za stracone europejskie lata.

W jednym z wyraźnie autobiograficznych opowiadań Bobkowskiego znalazło się zdanie: „Tak, ile lat życia skradło nam życie.”<sup>368</sup> I następne, wypowiedziane jako polemika z wcześniej cytowanym: „Wierzę w życie, choćby mnie z niego okradało bezustannie i do końca”<sup>369</sup>, bo: „Ono jest celem ostatecznym”<sup>370</sup>. W egzotycznej scenerii środkowoamerykańskiego kraju, łatwiej było, przynajmniej pozornie, ten cel realizować. Przede wszystkim skończył się tu dla Bobkowskich permanentny niepokój, który w pamięci zrósł się nieodwołalnie z Europą. Zupełnie inny zewnętrznie świat stał się fundamentem poczucia bezpieczeństwa.

„Tam za oknami huczał deszcz, – pisał Bobkowski – ściekał z pluskiem z dachu i z drzew pod oknami. Zamknąłem oczy i wydawało mi się to wszystko zupełnie nieprawdopodobne. Uczucie

---

<sup>367</sup> Ibidem, s.45.

<sup>368</sup> A. Bobkowski, *Zmierch*, [w:] A. Bobkowski, *Punkt równowagi*, wybór i opracowanie K. Ćwikliński, Kraków 2008, s.333.

<sup>369</sup> Ibidem, s.334.

<sup>370</sup> Ibidem, s.336.

spokoju było tak silne, że aż nierealne. I nagle przez szum ulewy pierwsze odgłosy grzmotu. I wtedy Basia głośno, ażeby przekrzyczeć deszcz powiada: <<Chrząszcz brzmi w trzcinie>>. Zacząłem się tak śmiać, jak już od lat się nie śmiałem, całym sobą. Teraz tutaj cudownie. Początek pory deszczowej jest tu wiosną. Wszystko, wysuszone do ostateczności, zieleni się i rośnie. Za naszymi oknami w ciągu kilku tygodni wyrósł cały nowy gaj bambusowy, gęsty i zbity jak grządka młodej marchewki. Pomarańcze już przekwitły, ale ledwie przekwitły, już są owoce, wielkie zielone kule. Ranki słoneczne, świeże i pachnące. Wstaję, przeciągam się w słońcu, robię kotkom mleko, nastawiam kawę i schodzę do tuszu. Ten zimny tusz co rano jest prawdziwą rozkoszą.<sup>371</sup>

Pisząc te słowa do matki w pierwszym roku swojego pobytu w Gwatemali, Bobkowski akcentował egzotykę otoczenia i radość, jaką w takiej scenerii – zarazem niezwykłej i prostej – dawały mu codzienne czynności. Praca bywała katorżnicza, lecz odpoczynek stawał się celebracją istnienia - hołdem składanym dobremu życiu w jego najoczywistszej postaci. Spokój, sen, papieros, kawa, słoneczne światło i własna przestrzeń, gwarantująca ucieczkę od ścisku, stały się wówczas dla pisarza podstawą nadziei na szczęście.

Trudno ocenić - choć próbę chciałabym podjąć w tej części niniejszej pracy - w jakim stopniu okazała się ona niepłonna. Niewątpliwie w późniejszych gwatemalskich latach, szczególnie odkąd zaczęły się kłopoty ze zdrowiem, entuzjazm Andrzeja Bobkowskiego przygasł. W nieukończonym „Zmierzchu” wracał do tematu tropikalnych deszczy już w zupełnie innej tonacji. Budzące entuzjazm u zarania gwatemalskiej przygody ściany wody, stały się tutaj metaforą nicości. „Teraz zawsze wydaje mi się, że poza tą czarną ścianą jest pustka, nic.”<sup>372</sup> - napisał w opowiadaniu.

Niemniej jednak, w ostatecznym rozrachunku środkowoamerykańska przyroda jak też klimat były dla Bobkowskiego łaskawe; przynosiły mu przez lata poczucie komfortu, ułatwiając codzienne zmagania zawodowe i społeczne. Nawet u schyłku życia pisarz kontynuował peregrynacje po kraju, które pełniły wówczas także rolę tła dla rozmyślań nad sensem przemijania. W 1958 roku opisał Tymonowi Terleckiemu jak to – właśnie w podróży – zaczytywał się jego „Egzystencjalizmem chrześcijańskim”, który nazwał „wspaniałą książeczką do nabożeństwa”<sup>373</sup>. Przywoływana w liście eskapada „w dżunglę”<sup>374</sup> sprzyjała poszukiwaniom metafizycznym i pełnej koncentracji na tekście. Bobkowski zwracając się Terleckiemu ze swych intymnych, duchowych przeżyć z książką w rękę, nie omieszkał skontrapunktować ich jednak z

---

<sup>371</sup> A. Bobkowski, *Listy z Gwatemali do matki*, s. 36 – 37.

<sup>372</sup> A. Bobkowski, *Zmierzch*, s.317.

<sup>373</sup> A. Bobkowski, *Listy do Tymona Terleckiego 1956 – 1961*, s.110.

<sup>374</sup> *Ibidem*, s.110.

humorem opisywanymi trudami, jakich doznał w podróży. Widoki okazały się, jak zawsze, niezwykle<sup>375</sup>, lecz oponę w samochodzie przebił aż dwa razy, a zjedzony w górach posiłek daleki był od ideału<sup>376</sup>. „Ale było mi dobrze.”<sup>377</sup> – zakończył swą krótką relację dla przyjaciela. Uroda miejsca - tym razem połączona z doskonałą lekturą - przynosiła ukojenie, zachęcała do rozmyślań, koła strach przed wiecznością.

### 2.3. Samotność w kraju bez póltonów

Andrzej i Barbara Bobkowsky przyjechali do kraju niebywale malowniczego pod względem przyrodniczym, ale jednocześnie niezwykle egzotycznego kulturowo. Spotkało się w nim wiele nacji, zaś ludność rdzenną stanowili Indianie. Autor „Spadku” o tych ostatnich pisał w listach bardzo różnie, najczęściej jednak z poczuciem absolutnej mentalnej odmienności. Zwierzał się matce, iż ma wrażenie przybycia „za późno”, dręczyła go świadomość, iż to, co w prastarej kulturze najważniejsze stało się już nieczytelne, a do przestudiowania pozostały mu już tylko ślady europejskie. Bezcenne dziedzictwo zastąpiła, jak uważał, hiszpańska hucpa, która promieniowała wokół, modelując sposób myślenia i zachowanie ludzi. To w wyniku panowania Hiszpanów, twierdził, ta część świata stała się miejscem działań powierzchownych, opanowanym przez cyklicznie się powtarzające małe rewolucyjki, kojarzące się z operetką.

„Podziwia się – pisał o konkwistadorach do matki w kwietniu 1949 roku – zabytki ich kultury, ale równocześnie zapomina się o jednej zupełnie potwornej rzeczy, a mianowicie że Hiszpanie wyniszczyli tutejszą kulturę tak doszczętnie, jak to się chyba nigdy dotąd w historii nowożytnej nie zdarzyło. Bo pomyśl: w chwili ich przyjścia kultura Azteków w Meksyku i Majów tu stoi u szczytu. [...] I co? Przychodzą ci odkrywcy, budują katedry i tysiące kościołów, ba – zakładają nawet uniwersytety, ale równocześnie żadnemu z tych <<kulturalnych>> Hiszpanów nie przychodzi na myśl nauczenie się pisma Azteków i Majów, i przestudiowania ich bibliotek. Niszczą – i do dziś dnia nikt nie umie przeczytać ani jednej zgłoski, ani jednego napisu azteckiego lub Majów.”<sup>378</sup>

---

<sup>375</sup> „Dzień był szary, - pisał - pachniało nadchodzącym deszczem ( to jedyna rzecz, która naprawdę pachnie w tropiku), ale gdy wspinałem się na góry, na ponad 7000 stóp, chmury szły dołem i świeciło słońce.”, ibidem, s.110.

<sup>376</sup> „Rosół z kury zagryzałem *tortillas*, plackami z kukurydzy przepojonymi zapachem dymu, jak owcze serki, kupowane w kolibach na halach Gorców, potem zjadłem kawałek koguta, który na pewno za życia był najsilniejszym kogutem w całej osadzie i był ze stali sprężynowej, i zakończyłem to *dulce*, czyli deserem z kukurydzy słodzonej melasą i jakąś <<kawą>>, jakiej nawet w czasie okupacji niemieckiej w Paryżu nigdy nie piłem.”, ibidem, s.110 – 111.

<sup>377</sup> Ibidem, s.111.

<sup>378</sup> A. Bobkowski, *Listy z Gwatemali do matki*, s.32.

Bobkowski mieszkał zatem wśród, często przemieszanych ze sobą, potomków pokonanych i najeźdźców. Indian żyjących zgodnie ze swymi obyczajami i tradycją, rzadko umiejących mówić po hiszpańsku, opisywał matce akcentującym ich barwną odmienność, dobry gust ( „tu naprawdę dobry gust mają jedynie zupełnie prości Indianie”<sup>379</sup>) a także całkowity brak poczucia niższości wobec przybyłych.

„Ciekawe także, – zastanawiał się w liście z kwietnia 1951 roku - że nigdy nie masz wrażenia, aby oni czuli się niżsi od nas – wprost przeciwnie – spoglądają na białego z dobrotliwym lekceważeniem, z wyrazem oczu, który jakby mówił: <<Co ty wiesz?>>.”<sup>380</sup>

Zaś Hiszpanów, pełnej bądź mieszanej krwi, podsumowywał raczej z niechęcią, akcentując negatywne cechy tej nacji, której odmawiał cechy dobrze pojętej europejskości. Wyraźnie uwidocznili to w pierwszym liście z Gwatemali do Jerzego Giedroycia.

„Cóż za zdumiewające pokrewieństwo charakterów z Rosjanami. – pisał o Hiszpanach do redaktora <<Kultury>> – Niech mnie zarzną a twierdzą, że tak jak Rosjanie nie są Europejczykami, tak samo Hiszpanie nimi być nie mogą, choćby robili wszystko, żeby nimi być. Cała kupa cech wspólnych z nami także. Rosyjska <<szerokość>>, polskie wielko państwo, hochsztaplerstwo, bufonada i intelektualizm ani w czas, ani w porę; gadatliwość, ciągłe robienie planów <<gigantycznych>>, zaczynanie <<z czela>> wszystkiego co dzień, niesłowność, pożyczanie pieniędzy z niemożnością oddania ich itp.”<sup>381</sup>

Hiszpański rozmach, krzykliwość, swoista „operetkowość” nie odnosząca się wyłącznie do mini przewrotów politycznych ale w ogóle do sposobu istnienia, nie odpowiadały Bobkowskiemu. Bardzo doceniał przejawy ludzkiej życzliwości i sam również był człowiekiem pozytywnie usposobionym do bliźnich - o czym świadczyć może chociażby miejsce i sposób w jaki został pochowany - niemniej jednak nie był w stanie wrosnąć mentalnie w ów przerysowany, ponad miarę barwny świat bez półtonów. Szczególnie trudne okazało się to wówczas, gdy kraj poddał się wpływom komunistycznym i zdawał się na trwałe przechodzić zmianę ustroju. Bobkowski już po raz kolejny w swoim życiu obserwował jak ludzie poddają się wpływom niszczącej ideologii<sup>382</sup>. Było to dla niego tym trudniejsze, iż, przy wszystkich zastrzeżeniach, chciał wierzyć,

---

<sup>379</sup> Ibidem, s.50.

<sup>380</sup> Ibidem, s.67 – 68.

<sup>381</sup> J. Giedroyc, A. Bobkowski, *Listy 1946 – 1961*, s.32.

<sup>382</sup> W latach 1951 – 1954 komuniści uzyskali w Gwatemali ogromne wpływy polityczne. Udało im się wykorzystać silne tendencje nacjonalistyczne i wrogość wobec Stanów Zjednoczonych. Rząd komunistyczny obalony został przez oddziały powstańcze pułkownika Castillo Armasa, popieranego przez Amerykanów. Andrzej Bobkowski opisał te wypadki w reportażu *Zachód nareszcie wyzwala* („Kultura” 1955, nr 1 – 2, s. 56 – 73.). Tekst był odpowiedzią na artykuł Stanisława Zarzewskiego *Po Dunkierce politycznej* („Kultura” 1954, nr 9, s.71 -76.) Relację Bobkowskiego w odniesieniu do prawdy historycznej omówił K. Ćwikliński w tekście *Sześć lat w oku cyklonu albo Andrzej Bobkowski i „komunistyczny eksperyment” w Gwatemali*, s.34 – 69.



że wybrana przez niego część świata jest odporna na ten rodzaj słabości ducha, który obserwował w Europie. Był przekonany o sensowności podejmowania prób „zbudowania Wenecji” gdzie indziej czyli, w jego przypadku, właśnie w Ameryce Środkowej. Zdawał się być pewnym, iż skądś musi przyjść odradzająca siła, a z nią odporność na głupotę i wynikające z niej zło.

„U nas, w Europie, - pisał w 1948 roku do Jerzego Giedroycia – co zna się z Hiszpanii? Carmen, torreadorów, mantyle i walki byków. A to osobny świat. I choć ich nie lubię, nie wiem, czy Europa nie ma największych szans przetrwania i odnowienia się poprzez Hiszpanię i poprzez świat hispano – Ameryki, inny, zupełnie inny, ale tym bardziej <<nadziejny>>.”<sup>383</sup>

W liście skierowanym do tego samego adresata z 26 lipca 1950 roku Bobkowski zdawał się już w „nadziejność” tego świata nie wierzyć, komunizujące nastroje części społeczeństwa bardzo mocno go przygnębiły. Nie miał wątpliwości, że ludzie, wśród których żył, okazali się nieodporni na ideologię, skłonni bezrefleksyjnie przyjąć hasła komunistycznej propagandy. W liście tym Bobkowski był rozżalony i bezkompromisowy, zaś społeczność Gwatemali ocenił niezwykle surowo. Jego słowa brzmiały brutalnie, pojawiło się też określenie „kundle” i prowokacyjna konstatacja:

„Na tych krajach tu mszczą się dwa kardynalne błędy: 1) że Hiszpanie nie wybili Indian, a 2) że potem nikt nie wybił Hiszpanów. Wskutek tego błędu powstały miliony ludności rastakwskiej, nieuleczalnych <<rasta>>, gatunkowo podłych, z którymi właściwie nie wiem, co począć. Jedyne wyjście wziąć za pysk. Dlatego też w razie przegranej USA Rosja rozporządza tu być może potencjalnie największym swoim klientem.”<sup>384</sup>

Czytając te słowa pamiętać należy jednak o charakterystycznym dla Bobkowskiego sposobie formułowania myśli w listach. Pisząc – zwłaszcza do przyjaciół, bo już rzadziej do matki – miał zwyczaj prowokowania odbiorcy, swoistego „budzenia go” często bardzo kontrowersyjnie brzmiącymi stwierdzeniami. Był to dla niego niewątpliwie jeden ze sposobów radzenia sobie z rzeczywistością, zapewniający też ujście dla gniewu, spowodowanego bezmyślnymi zachowaniami społeczności w której żył; na co dzień przyjazny ludziom, w ten właśnie sposób odreagowywał ich nieświadomość czy bezrefleksyjność. Wiedział doskonale, iż ten sposób pisania może budzić zastrzeżenia i niezrozumienie jego intencji. Dowodem na to chociażby fakt, iż nie pozwolił by Mieczysław Grydzewski opublikować w „Wiadomościach” fragment jego prywatnego listu. W tymże bowiem, jak twierdził, dobry jest styl „plugawy” gdyż czytający „to WIE, że mnie NAPRAWDĘ krew zalewa i dlatego efektownie świnię, nie na efekt, że piszę

---

<sup>383</sup> J. Giedroyc, A. Bobkowski, „Listy 1946 – 1961, s. 54 – 55.

<sup>384</sup> Ibidem, s.136 – 137.

szczerze, spod podszewki.” I kontynuował: „Taka szczerłość publicznie nie popłaca – dostrzegą tylko brzydkie wyrazy i tym się wykręcą z treści.”<sup>385</sup>

Dopadające niekiedy Bobkowskiego wyczerpanie mentalnością i sposobem życia Gwatemalczyków nie przeszkadzało mu wśród nich funkcjonować - rozczarowanie znajdowało bezpieczne ujście w listach. Nie należy jednak, jak się zdaje, oceniać stosunku Bobkowskiego do współmieszkańców wyłącznie na podstawie tej części korespondencji, która jest najbardziej radykalna czy kontrowersyjna, gdyż wówczas wyłaniający się z niej portret pisarza będzie zdecydowanie niekompletny. Wyrazistym kontrapunktem dla brutalnie brzmiących cytowanych wyżej opinii mogą być słowa, dotyczące gwatemalskich chłopców, dla których Bobkowski stworzył klub areomodelarski. Sympatia, jaką odczuwał dla podopiecznych, była odporna na wszelkie polityczne zawirowania.

„Obiad jemy jak zwykle koło trzeciej, na piątą idę do sklepu, gdzie siedzę do siódmej. – pisał do matki – Schodzi się tam do mnie cała banda chłopaków, gadam, wyjaśniam, pomagam. Ja bardzo lubię takich chłopców i umiem sobie zjednywać ich.”<sup>386</sup>

Zaś w liście o dwa miesiące późniejszym, z września 1949 roku napisał do tej samej adresatki:

„Czasem w niedzielę, kiedy idę w taki ranek z chłopcami na loty, kiedy jeden z nich wyciąga wysoko w błękit smukły, wielki model szybowca, prześwietlony słońcem i tworzący całą koronkę drewnianej konstrukcji na tle nieba, kiedy toto lata, ja stoję i patrzę i – nie wiem, czy to dobrze, czy źle – ale wprost rozpuszczam się. Jak Nescafé w filiżance gorącej wody.”<sup>387</sup>

Ze swoimi podopiecznymi Bobkowski jeździł też na wycieczki i dużo rozmawiał, jak wspominała Barbara Bobkowska, stał się dla nich swego rodzaju wzorem. Po śmierci męża następująco charakteryzowała te relacje Tymonowi Terleckiemu:

„Jędrak był dla nich kimś w rodzaju mistrza – [...] – Sokratesa, tyle samo ich uczył areomodelizmu, co a może i więcej zasad moralnych i rozwijał ich intelektualnie. Widzi Pan – tu kradną właściwie wszyscy, różne drobne świństwka się nie liczą, mieć dzieci z pięcioma babami naraz to jest normalna rzecz, ot tropik. Jeden z tych chłopców, z prostej rodziny, który od dziesiątego roku życia Jędrka się trzymał, powiedział mi tak: <<Dña Barbara – jeśli nie kradnę, nie przyjmuję łapówek, nie jestem fałszywy wobec moich przyjaciół, szanuję moją żonę – to wszystko jest wpływ Boba>>, bo tak oni Jędrka nazywali.”<sup>388</sup>

---

<sup>385</sup> K. Ćwikliński, *Andrzej Bobkowski do Mieczysława Grydzewskiego – listy*, s.74 – 75.

<sup>386</sup> A. Bobkowski, *Listy z Gwatemali do matki*, s.37.

<sup>387</sup> *Ibidem*, s.40.

<sup>388</sup> List Barbary Bobkowskiej do Tymona Terleckiego z 3 czerwca 1962 roku, [w:] *Aneks. Listy Barbary Bobkowskiej do Toli i Tymona Terleckich*, s.159.

Bobkowski zatem starał się kształtować umysły zaprzyjaźnionych z nim młodych ludzi, wpływać na otoczenie, nie pozostawać biernym. Gwatemala stanowiła przyczółek daleki od europejskiego oblędu, ale była obciążona swoim własnym szaleństwem, nie nadawała się na oazę normalności; Bobkowski mimo to nie zaprzestawał starań, podejmowanych we własnym, indywidualnym zakresie, by nią się stała. Nie było dla niego odwrotu, pozostała praca nad tym, co dane tu i teraz, wybrane i przypłacone wielkim wysiłkiem. Bardzo trudno jednak, jak się zdaje, przychodziło mu uczynić z tego kraju prywatną legendę - eksplorując go kulturowo, społecznie, gospodarczo odkrywał nowy świat, ale napotykał też swoistą pustkę.

Gdy Bobkowski wyjeżdżał z Europy chciał odnaleźć normalność, wyrwać się z macek koszmaru rozpoczętego w 1939 roku o niesłabnących ciągle konsekwencjach. Gwatemala zdawała się być dla realizacji tak określonego celu miejscem idealnym.

„ A ja, [...] – pisał w lutym 1949 roku do redaktora „Kultury” – pomimo wszystko staram się nawrócić wszystkimi siłami do tego NORMALNEGO ŻYCIA, o którym w ciągu tych lat zdołałem zapomnieć do tego stopnia, że ten spokój ranków i wieczorów, ot, praca, odpoczynek, jedzenie, pogawędka, lokalny problem na pierwszej stronie dziennika – wydawały mi się z początku n i e d o z n i e s i e n i a, idiotyczne, kretyńskie, niegodne człowieka. Z klimatu Europy trzeba się wyrwać (i to nie w podróż turystyczną lecz w codzienne życie), aby pojąć, do czego tam JUŻ doszło.”<sup>389</sup>

Patrzył na nową ojczyznę przez pryzmat własnej diagnozy kontynentu europejskiego; w świetle tejże wydawała się ona być przestrzenią nadziei – uproszczoną duchowo ale też „zdrową”, zdrowiem dzikiego zwierzęcia. Wyjeżdżając Bobkowski chciał wierzyć, iż mimo że Gwatemala nie była krajem wielkiej, europejskiej kultury to zachowała swoistą prawość, która uchroni ją przed ideologicznym oblędem (stąd też czas, w którym ważyły się losy komunistycznego reżimu w jego nowej ojczyźnie był dla niego bardzo trudny). Chciał żyć w sposób godny, etycznie, i – by tak powiedzieć – nie pod butem historii. Zdawał się tylko nie brać pod uwagę, iż realizacja tego celu w ahistorycznej w porównaniu z Europą Gwatemali, będzie okupiona głęboką samotnością – dotkliwą konsekwencją braku wspólnoty doświadczeń. W lipcu 1949 roku pisał do Jerzego Giedroycia:

„Powoli nawiązuję tutaj kontakt ze śmietanką, powoli wyczuwam, że zaczyna się mnie traktować nie tylko jako przybłędę, ale także jako coś więcej. [...] Kręcąc się teraz trochę wśród tych ludzi i mówiąc z nimi, mam najczęściej uczucie człowieka, który wydostał się z zalanej już części okrętu na górny pokład, gdzie gra orkiestra i tańczą, i wszystko odbywa się w ten sposób, że z góry

---

<sup>389</sup> J. Giedroyc, A. Bobkowski, *Listy 1946 – 1961*, s.63.

rezygnuje się z opowiadania o tej zalanej części, bo wiadomo, że ani nie rozumieją, ani nawet nie uwierzą.”<sup>390</sup>

Andrzejowi Bobkowskiemu było zatem zwyczajnie trudno tę „normalność”, przede wszystkim na poziomie psychicznym, osiągnąć. Spotykał się, jak sam pisał, z gwatemalską śmietanką towarzyską, lecz mentalnie miał poczucie całkowitej odrębności. Nawiązując zaś do grona jego przyjaciół i znajomych należy zauważyć, iż mimo że pisarzowi często zdarzało się w listach cytować żonę, która określała ich status w Gwatemali mianem „białej nędzy”, nie można zapominać, iż Bobkowski był w tym kraju bez wątpienia osobą znaną i to także w najwyższych kręgach społecznych. Dość szybko nawiązał kontakty, o których wspominał w cytowanym wyżej liście; jego krąg znajomych obejmował ludzi bardzo różnego pochodzenia – rdzennych Gwatemalczyków, Amerykanów, Niemców, Polaków, Żydów, Hiszpanów. Doskonale wiedział, kto co sobą reprezentuje w jego nowej ojczyźnie, orientował się w wewnętrznej i zewnętrznej polityce Gwatemali. Nie nastąpiło mu żadnych trudności dostarczenie na prośbę Jerzego Giedroycia listy tamtejszych intelektualistów dla „Preuves”. Czuł się współodpowiedzialny za Gwatemalę, czego dowodem może być choćby fakt, iż w okresie zagrożenia komunistycznego zdarzało mu się wygłaszać kameralne ostrzegawcze odczyty na temat tego ustroju. Gdy stało się to tylko możliwe przyjął tamtejsze obywatelstwo a reprezentowanie na międzynarodowych zawodach barw gwatemalskich było dla niego oczywistością.

Ta niewymuszona - płynąca z potrzeby zachowania wewnętrznej uczciwości i konsekwencji - asymilacja nie wystarczyła jednak Bobkowskiemu by wydobyc się z poczucia samotności. Temat wewnętrznego poczucia alienacji wracał w pisanych przez niego listach jak bumerang. Osamotnienie, przede wszystkim w sposobie myślenia, zdawało się być nieszczęściem, na które aż do śmierci nie znalazł ostatecznego antidotum. Duchowość pisarza była dla ludzi mieszkających w Gwatemali czymś równie, a nawet bardziej, egzotycznym niż Gwatemala dla niego samego.

„Poziom kulturalny – pisał do matki – nawet ludzi tzw. inteligentnych jest tu beznadziejnie niski. Wszystko to są mniej lub więcej syte (ale na pewno nigdy nie głodne) i mniej lub więcej zwierzątka na poziomie psychiczno – myślowym naiwnych młodych ludzi z 19 wieku. [...] My wszyscy postarzelśmy się, posunęliśmy się w doświadczeniach, dotknęliśmy <<sedna rzeczy>>, zobaczyliśmy, że życie i rozwój wypadków czy historii to nie spokojne bytowanie, robienie pieniędzy lub długów i zajmowanie się <<futilités>> z powieści z zeszłego wieku. To, co dla nich jest jeszcze problemem, dla nas stało się w największej ilości wypadków luksusową bzdurą,

---

<sup>390</sup> Ibidem, s.113.

zagadnieniem róż wśród przysłowiowych płonących lasów. To rozchylenie w <<uczuciu życia>> jest już niebezpieczne i napawa mnie troską, pomimo że swoich mam dość. Ale to właśnie też jest jedna z różnic: my nie potrafimy już myśleć tylko o sobie, o małych sprawach małego, naszego życia. Toteż strona, która lepiej dostrzega całość, ma wyższość. Właśnie to komplikuje zabawę...”<sup>391</sup>

Andrzej Bobkowski był, by tak powiedzieć, człowiekiem nieuleczalnie myślącym. Gwatemala miała się stać – w pewnej perspektywie – lekarstwem na tę głęboką świadomość siebie i świata. Miała nauczyć go „normalności”, przywrócić stan umysłu sprzed katastrofy, ukoić, wyciszyć wewnątrz. Ale powrót okazał się niemożliwy i ostatecznie także niepożądany; pisarz próbował żyć „normalnie” ale jego umysł nigdy się do tej gry nie przystosował. Wewnątrz Bobkowski pozostał pogorzelnikiem, człowiekiem świadomym końca świata, jaki wydarzył się na jego oczach i zdającym sobie sprawę, iż mentalnie przynależy do ruin, które w Gwatemali tak naprawdę nikogo nie interesują. To skazywało go na samotność w najgłębszym, duchowym sensie. Tym dotkliwszą, iż jego niespełnionym marzeniem pozostawało również spotkanie w nowym miejscu ludzi o podobnym poczuciu humoru.

„Męczącą rzeczą we współżyciu z tutejszymi ludźmi – pisał do matki – jest także zupełny brak poczucia humoru. Jest to dziedzictwo hiszpańskie. Hiszpanie są bez dowcipu, co najwyżej zdobywają się na ironię, prawie zawsze gryzącą. I to uważają za humor.”<sup>392</sup>

Nierozprasane humorem troski, brak możliwości wymiany myśli z ludźmi z najbliższego otoczenia udręczały pisarza tym mocniej, iż miał on w pamięci rozmówców francuskich. Czytając „Szkice piórkami” nie można mieć wątpliwości, że obcowanie z niektórymi z nich było dla Bobkowskiego prawdziwą ucztą. Warto wrócić do przykładowych stwierdzeń z diariusza pisarza: „Jedząc świetny biszkopt z kremem, mówimy o obecnej rzeczywistości, skaczemy z tematu na temat. Człowiek? Jeżeli dziś człowiek przedstawia tak znikomą wartość, to w pierwszym rzędzie dlatego, iż zapomniał o własnej wartości, że sam siebie w dziedzinie ducha szacuje za tanio i że zatracił poczucie swojej wyjątkowości, kimkolwiek by nie był. [...] W szybkiej wymianie myśli, często półtonami, wytyczamy położenie, określamy pozycję, w jakiej znaleźliśmy się.”<sup>393</sup>

Lub też:

„Nie ma chyba nic przyjemniejszego, jak nawiązanie kontaktu w rozmowie, wznoszącej się krótkimi spiralami szybko w górę. Comte de R. wysoki i przystojny, w wieku ponad 40 lat, jest typowym okazem arystokracji francuskiej, który jeżeli nie jest głęboki, to w każdym razie bywa

---

<sup>391</sup> A. Bobkowski, *Listy z Gwatemali do matki*, s.53 – 54.

<sup>392</sup> Ibidem, s.54.

<sup>393</sup> A. Bobkowski, *Szkice piórkami...*, t.2., s.302.

ciekawy i czarujący. W typach tego rodzaju czuje się wspaniałą technikę, wyrobienie i swobodę. Absolutna lekkość poruszania się wszędzie, w każdej roli. Doskonała umiejętność tego, co można by określić szkicowaniem – umiejętność nie do podrobienia. Subtelny dowcip i naturalność. Przemily brak <<serio>> - tego <<serio>> ludzi, co przeżywają życie od A do Z i będąc nawet przy końcu alfabetu nie mogą zapomnieć o jego początku.”<sup>394</sup>

Gwatemala w optyce Bobkowskiego była krajem ludzi traktujących siebie samych właśnie bardzo serio, emocjonalnych w przerysowany sposób, o uproszczonym światopoglądzie.

Prawdziwym problemem, najważniejszą różnicą, między Bobkowskim a jego gwatemalskimi sąsiadami była wyznawana hierarchia wartości i w konsekwencji sposób myślenia o świecie. W Ameryce Środkowej liczyła się codzienność, dosłowność, terażniejszość; pogłębione refleksje na temat kondycji człowieka i świata wydawały się w tym otoczeniu zbędnym luksusem, niemalże nietaktem. Bobkowski był zaś nie tylko mistrzem celebracji codzienności, ale także – czy może przede wszystkim - intelektualistą, filozofem, myślicielem. Cechowała go głęboka wrażliwość na nieszczęście, które dotknęło jego współczesnych – ideologizację, a w konsekwencji zanik indywidualnego myślenia. Przez całe życie próbował dociec przyczyn takiego stanu rzeczy, zrozumieć jak mogło dojść do katastrofy. Problem polegał na tym, iż w Gwatemali mało kto dostrzegał, że w ogóle do niej doszło; dla Bobkowskiego zaś stanowiła ona punkt, do którego stale wracał myślami.

Czytając listy pisarza można odnieść wrażenie, że gdy nie był zajęty pracą, modelarską lub pisarską, jego umysł pozostawał w stanie wrzenia, poddając nieustającej analizie aberracje współczesności. Jednak wymiana myśli z kimś z najbliższego otoczenia, na poziomie do którego przywykł w poprzednich latach, była w Gwatemali niemożliwa. Nie wolno było mu pozwolić sobie na rozpamiętywanie chwil takich, jak ta opisana w „Szkicach piórkiem”, kiedy to w trakcie wyprawy nad jezioro z przywołanym już we wcześniejszym cytacie arystokratą francuskim, czytano „Méditations sud – américaines” Keyserlinga, by potem tekst ten skomentować i odnaleźć dla niego odniesienia we współczesności.

„Mówimy z Comte de R. o tym wszystkim, co streszcza w sobie ten urywek. – zanotował wówczas Bobkowski - Ileż w nim jednak prawdy... Dziś widzimy do czego doprowadziło i do czego jeszcze doprowadzi mówienie przy byle sposobności o ideale i prawie i próby uduchowiania i umoralniania tego, co z zasady nie może podlegać ani uduchowieniu, ani umoralnieniu.”<sup>395</sup>

---

<sup>394</sup> Ibidem, s.300 – 301.

<sup>395</sup> Ibidem, s.310 – 311.

Mieszkając w Europie, pisarz mógł chęć nie chęć uwierzyć, iż rozmowy tego rodzaju są nieodłącznym elementem sposobu życia ludzi myślących; przyzwyczał się do tego, że w swoim zainteresowaniu światem nie jest osamotniony.

Natomiast Ameryka Środkowa i Południowa miały swoją własną filozofię istnienia. Komentując „Katedrę Sandwiczów” Czesława Straszewicza<sup>396</sup> której akcja rozgrywa się w Ameryce Południowej, Andrzej Bobkowski pisał do Jerzego Giedroycia o doskonale oddanej przez kolegę po piórze bardzo charakterystycznej atmosferze „tych krajów tropikalnych i subtropikalnych, w której wszystko jest w końcu bez znaczenia. Życie jest bez ram i skali porównawczej.”<sup>397</sup> Dla Bobkowskiego zaś, świat pulsował znaczeniami, nie potrafił i nie chciał poruszać się tylko po powierzchni rzeczy, wierzył w to, iż obowiązkiem człowieka jest poszukiwanie sensu.

Jednakże odnalezienie przestrzeni, która stanowiłaby wspierający kontekst takich poszukiwań okazało się dla pisarza bardzo trudne. Nie mogła nią być Gwatemala, w pewien sposób ahistoryczna i – by tak powiedzieć – bezrefleksyjna, ani też Europa, skoro jej paryska stolica nie chciała nawet przyjąć do wiadomości rozmiaru katastrofy. Wszelkie dyskusje czy poważniejsza wymiana myśli były tam w owym czasie – paradoksalnie – w pewien sposób niemożliwe. Powrót na kontynent niczego zatem nie zmieniłby w życiu pisarza na lepsze i nie rozproszyłby jego samotności człowieka świadomego. Pamięć przeprowadzanych we Francji rozmów, nie mogła też przesłonić oczywistego dla Andrzeja Bobkowskiego faktu, iż Europy w Europie już po prostu nie było<sup>398</sup>.

Natomiast doświadczenia gwatemalskie, wzbogacając go, prowadziły często jednocześnie do pogłębienia poczucia wyobcowania. Spektakularny sukces zawodowy okupiony był wielkim wyrzeczeniem. Swoista lekkość jego zwycięstwa – rozumianego jako stworzenie i prowadzenie z sukcesem własnej firmy, znalezienie czasu na twórczość i wybory podejmowane w zgodzie ze sobą – była całkowicie pozorna.<sup>399</sup>

Nasuwa się myśl, iż w pewien sposób „łatwiej” było Bobkowskiemu przeciwstawiać się wielkiej historii we Francji niż w Gwatemali. Europejski obłęd, oglądany twarzą w twarz mobilizował wszystkie siły witalne i rodził bunt, któremu nie sposób było się oprzeć. Odpowiedzią na tamto szaleństwo stało się intensywne przeżywanie każdej chwili istnienia. W Gwatemali zaś, mitycznej

---

<sup>396</sup> Cz. Straszewicz, *Katedra Sandwiczów*, „Kultura” 1952, nr 10.

<sup>397</sup> J. Giedroyc, A. Bobkowski, *Listy 1946 – 1961*, s. 225.

<sup>398</sup> Dostrzegął to także Sándor Márai, odnotowując w 1950 roku: „Jeśli opuściłbym ten kontynent, bardzo mi będzie brakować Europy. Ale Europy brakuje mi nawet w Europie.”, S. Márai, *Dziennik*, s. 162.

<sup>399</sup> Uległ tym pozorom na przykład Paweł Bravo, pisząc w „Rzeczpospolitej”: „Jak bowiem niewiele trzeba – mówi nam wprost Bobkowski – żeby naprawdę być wolnym, bezprzymiotnikowo. Wystarczy umieć się zachwycić swoim istnieniem i wypisać w porę z okoliczności, które radość życia odbierają. Zachować w sobie kilka najprostszych powinności i żyć, a nie ciągle przygotowywać się do życia.” P. Bravo, „Żywot pisarza rozsypanego”, „Rzeczpospolita”, nr 157(7754), 7 – 8 lipca 2007.

krainie początku, wewnętrzna mobilizacja siłą rzeczy zmalała. Bezpośrednie zagrożenie zniknęło, za to wrogami numer jeden stały się samotność, uciekający czas, zmęczenie. Gwatemala miała pomóc pisarzowi w odbudowie kategorii pojmowania świata, pozwolić stworzyć go od nowa na uczciwych zasadach gwarantujących normalność, ale spełniła pokładane w sobie nadzieje tylko częściowo. Bobkowski, przynajmniej na poziomie deklaratywnym, nigdy nie żałował swojej decyzji o wyjeździe, będąc świadomym, iż w jego sytuacji dobrego wyjścia po prostu nie było. Jednakże jego korzenie duchowe tkwiły w rzeczywistości już nie istniejącej, a jedynie „zapamiętanej” przez ludzi, którymi otaczał się poprzez korespondencję. Oni także nie chcieli, czy też nie mogli się od niej uwolnić, ich „obecność” niwelowała smutek samotności, stała się koniecznym warunkiem przetrwania.

„Niech się Pan na mnie nie gniewa – pisał Andrzej Bobkowski w 1949 roku do Jerzego Giedroycia – i w ogóle wszyscy się na mnie nie gniewajcie, że nie pisałem i nie piszę, ale chyba domyśla się Pan, że jeżeli nie piszę, to dlatego, że nie mogę. Nie jestem niepiśmienny, i nawet, szczerze mówiąc, niemożność napisania do Pana czy do Wuja i Cioci Maryni jest dla mnie raczej karą. Bo tak chciałoby się pogadać, opowiedzieć, zapytać. Kiedyś tutaj myśląc o tym doszedłem do wniosku, że poza matką i żoną idzie zaraz wasze kółko i potem już właściwie niewiele mam w życiu. I nie można, psiaakrew, utrzymać stałego prądu wymiany myśli.”<sup>400</sup>

W innym liście napisał:

„W sumie najprawdopodobniej to jednak odcięcie daje mi się najbardziej we znaki. Właściwie nie mam tu z kim gadać.”<sup>401</sup>

Zaś w kolejnych:

„Jakoś tak patrzę przed siebie jak przez zadeszczoną szybę. Mniejsza z tym. Jestem straszliwie zmęczony, a pewnie i znudzony. Gdybym spotkał Józia, a nawet Pana, to pewnie bym się rozbeczał. Mnie nieraz strasznie za Wami tęskno. Takie to życie psie.”<sup>402</sup>

„Wie Pan – człowiek jest tak potwornie sam, że jak się złapie kontakt, to coś prawdziwego, to właściwie przychodzi na myśl, czy może być coś w życiu lepszego.”<sup>403</sup>

„Czy nie ma Pan uczucia zbliżającej się szybko SAMOTNOŚCI? Że bliski jest dzień, w którym kilku z nas tkwić będzie przy swoim ceterum censeo w zupełnym osamotnieniu? Chore, zeszkapiałe Don Kiszoty. Mniejsza z tym.”<sup>404</sup>

---

<sup>400</sup> Jerzy Giedroyc Andrzej Bobkowski, *Listy 1946 – 1941*, s.91.

<sup>401</sup> Ibidem, s.141.

<sup>402</sup> Ibidem, s.151.

<sup>403</sup> Ibidem, s.320 – 321.

<sup>404</sup> Ibidem, s.371.



By poradzić sobie z osamotnieniem intelektualnym i duchowym, a także z wewnętrznej potrzeby, która nie opuszczała go przez całe życie, Andrzej Bobkowski także w latach gwatemalskich bardzo dużo czytał. W listach wymieniał nazwiska wielu ważnych dla siebie autorów, czy to prosząc o ich książki, czy to je, przynajmniej pokrótce, recenzując. Pojawili się tu między innymi: Greene ( „byłem i jestem nim olśniony”<sup>405</sup> – pisał do Giedroycia), Burnham, Parnicki, Margolin, Parandowski („[...]bo ja Parandowskiego bardzo lubię.”<sup>406</sup>), Keyserling, Conrad, Bocheński, Merton, Camus, Gombrowicz, Miłosz, Wierzyński, Janta, Aron, Malraux, Mauriac, Dąbrowska<sup>407</sup>, Ważyk, de Beauvoir, Wańkowicz, Straszewicz, Chciuk, Pasternak, Orwell, Lechoń, Weil, Hersch, Jean – Aubry, Bains (biografowie Conrada), Nowakowski, Mackiewicz, Pobóg – Malinowski, Gałczyński, Hłasko, Herling – Grudziński, Iwaszkiewicz, de Gaulle, Eisenhower, Tarnawski, Lampedusa – pełne spektrum myśli, poglądów, przekonań, gatunków i technik wypowiedzi. Pozostawały jeszcze tony czasopism, które mieszkaniec Gwatemali z zapalem pochłaniał, czasami czując się niemal współodpowiedzialnym za ich kształt, jak to miało miejsce w wypadku „Kultury”, którą, na prośbę Giedroycia regularnie w listach recenzował. Aż do śmierci nie chciał zrezygnować z czujności intelektualnej, z kontaktu z niedoskonałym życiem duchowym Starego Kontynentu. Nie zapomniał także o sposobach spędzania czasu, jakie cenił sobie przed przybyciem do Gwatemali, takich jak opera ( chwalił na przykład gwatemalskiego „Rigoletta”) czy kino ( w listach do matki wspominał „Przeminęło z wiatrem”, „Hamleta” z Laurence Olivierem, „Quo Vadis”). Tym, czego musiało mu brakować był niewątpliwie teatr. Jak zauważył Krzysztof Ćwikliński: „Bobkowski w swojej obfitej korespondencji z lat pięćdziesiątych nie wspominał o jakiegokolwiek miejscowej instytucji teatralnej, o jakiegokolwiek premierze, nie wymienił żadnego nazwiska z tego kręgu, co oznaczać może tylko to, że od życia teatralnego był całkowicie oderwany.”<sup>408</sup> W kwestii kultury Gwatemala nie mogła rzecz jasna wytrzymać porównania z Paryżem, Andrzej Bobkowski jednak zrobił wszystko, by jej ograniczenia nie stały się jego własnymi. Uczestniczył w wydarzeniach kulturalnych, bardzo dużo czytał, ani na chwilę nie tracił kontaktu z intelektualno – artystyczną rzeczywistością swojej epoki. Gdy tylko miał chwilę przerwy w walce o przetrwanie realizował swoje największe

---

<sup>405</sup> Ibidem, s.134.

<sup>406</sup> Ibidem, s.427.

<sup>407</sup> Po śmierci Andrzeja Bobkowskiego Maria Dąbrowska pisała do Jerzego Stempowskiego: „Od Pańskiego *bel éditeur* miałam smutną bardzo wiadomość, że umarł niejako w kwiecie wieku Andrzej Bobkowi, bardzo utalentowany pisarz, choć ostatnio trochę zgryźliwy publicysta. Jego <<Szkice piórkiem>> są swego rodzaju arcydziełem kolorystyki i z tego względu ich tytuł <<piórkiem>> wydaje mi się nieodpowiedni.” M. Dąbrowska, J. Stempowski, *Listy 1959 – 1965*, opracował, wstępem i przypisami opatrzył Andrzej Stanisław Kowalczyk, Warszawa 2010, t.3, s.156.

<sup>408</sup> K. Ćwikliński, „Wydaje mi się, że to jednak jest teatr...” albo Czarny piasek Andrzeja Bobkowskiego w świetle listów autora i jego respondentów.”, [w:] K. Ćwikliński, *Znani i nieobecni...*, s.79.

marzenie – pisał. Tekstów jednak w okresie gwatemalskim powstało stosunkowo niewiele, priorytetem pozostawać musiała praca zawodowa. Bobkowski koncentrując się na niej, nie tylko przygotowywał sobie grunt dla przyszłych działań pisarskich, lecz także odbudowywał swoją tożsamość, poddając się dobrowolnie prawom wolnego rynku. Wierzył, że kultura musi opierać się na zdrowym systemie gospodarczym, że materia i duch muszą ze sobą współdziałać. Był przekonany, że przyjęcie jasnych reguł gospodarczych – w skali ogólnej i indywidualnej – pozwoli w konsekwencji na skuteczną obronę kultury. Sama w sobie bowiem jest ona niczym, jeśli nie stoi za nią etyka, jeśli nie wspiera jej siła płynąca z nieupaństwowionego, niezideologizowanego ludzkiego myślenia. Dochodzenie do tych wniosków było u niego procesem, którego ślady zachowały się w korespondencji z redaktorem „Kultury”; dzieląc się przemyśleniami gwatemalski emigrant dookreślał swoje stanowisko, definiował siebie w nowych życiowych okolicznościach. Dzięki temu dawało mu się nie zastygnąć w starym sposobie myślenia i postrzegania. Z czasem był coraz bardziej przekonany, iż powrót do sposobu życia i myślenia sprzed katastrofy jest niemożliwy, iż, mówiąc obrazowo, nie warto zachwycać się katedrami, gdy światu grozi zawiśnięcie w etycznej próżni.

„ Niech się Pan ze mnie nie śmieje, - pisał do Giedroycia 30 września 1955 roku – ale jestem zmęczony, stratowany ciągle tym samym, ciągle tymi cytatami z 19 wieku, tym ciągłym tkwieniem z głową w 19 wieku. Mnie roznosi, jest we mnie po prostu potworna tęsknota za czymś nowym, za jakimś otrząśnięciem się, zrzuceniem ciężaru katedr, zabytków, rozplywania się nad każdym kamyczkiem, kawałkiem płótna lub domem bez łazienki i wychodków, tylko dlatego, że stare, że KULTURA, że och, że ach. I kultura tu i tam, a o etyce, o kręgosłupie, o tak i nie, jasnych, bolesnych – nic. O rzeczywistości ani słowa – klub aptekarzy z tysiącem nalepek pod ręką i wystawionym językiem, żeby jak najprędzej ślinić i przyklejać etykietyki.”<sup>409</sup>

Dla Andrzeja Bobkowskiego kultura, która nie umiała się obronić, nie miała zaplecza etycznego, a także gospodarczego, była skazana na porażkę, stanowiła skansen a nie duchowe domostwo. W tym kontekście wybrana przez niego Gwatemala wydawała się być miejscem, gdzie możliwe jest nazywanie wszystkiego od początku<sup>410</sup>, bez żadnych gotowych etykietek.

---

<sup>409</sup> J. Giedroyc, A. Bobkowski, *Listy 1946 – 1961*, s.298 – 299.

<sup>410</sup> Andrzej Bobkowski nie był w tej tęsknocie odosobniony. W 1948 roku Sándor Márai pisał w dzienniku: „Trzeba by wynaleźć nowe litery. Znane nam dwadzieścia cztery litery są już zużyte. Spółgłoski spróchniały, samogłoski zardzewiały, skrzypią. Dawnymi literami można wyrazić jedynie rozmaite warianty dawnych myśli. Dzięki nowym, zupełnie nowym literom mogłyby się narodzić nowe myśli. Jakże miałyby być te nowe litery? W żadnym wypadku nie mogą przypominać rysowanego znaku. Może można by w tym celu zaadaptować znaki nutowe? Co napisałbym nowymi literami? Może: fis, ce, de... Jaki w tym sens? Otóż właśnie o to idzie w tym zadaniu: dawny sens wypełnił się już sam sobą. Litera dźwiękowa lub świetlna rozbiłaby granice rozumu.” S. Márai, *Dziennik*, s.135.

## 2.4. Stany Zjednoczone – przestrzeń nadziei

Nie tylko jednak nowa ojczyzna wydawała się być, w optyce pisarza, wolna od „cytatów z 19 wieku” i późniejszej wielkiej kompromitacji. Wielką fascynacją Andrzeja Bobkowskiego były też Stany Zjednoczone.

Pierwszy raz był w USA od 21 lipca do 8 sierpnia 1954 roku, gdy brał udział w zawodach modelarskich w barwach założonego przez siebie klubu modelarzy Club Aeromodelista Guatemalteco. Wyruszał wówczas w zagraniczną podróż po sześcioletniej przerwie, jak donosił matce był przejęty i zdenerwowany<sup>411</sup>. Jedyńm sposobem na odbycie tak dalekiej wyprawy był lot samolotem. Niegdyś zdeklarowany przeciwnik takich „pchlich” peregrynacji, po latach spędzonych w odosobnieniu, Bobkowski zdawał się być z lataniem pogodzony; dostrzegał przede wszystkim możliwości, jakie dawały człowiekowi podniebne maszyny. Jak się zdaje, zdawał sobie sprawę, iż bez nich byłby więźniem gigantycznych przestrzeni, oddzielających Gwatemalę od miejsc do których chciał dotrzeć. W Europie miał poczucie, iż przestrzeń jest czymś ogarnianym, czymś, co można przeliczyć na ilość kroków, lub przejechanych na rowerze kilometrów, w Gwatemali zaś, bez samolotów, utkwilby na zawsze. Zaakceptował zatem ten sposób podróżowania, bo dawał mu wolność, a także, nieoczekiwanie, dostarczył przeżyć estetycznych:

„Zaczął się lot nad Zatoką Meksykańską. – pisał do matki – Było to coś, co chyba tylko Putrament potrafiłby naprawdę dobrze opisać. Mnie brak talentu. Błękit nad głową, głęboki błękit w dole, białe chmurki po drodze, jak słupki kilometrowe, i zachodzące słońce, czerwono pomarańczowa kula zapadająca wolno najpierw, a potem wskakująca nagle za horyzont.”<sup>412</sup>

W liście do Stanisławy Bobkowskiej, opisującym tę pierwszą amerykańską podróż, pisarz wielokrotnie podkreślał, iż Stany Zjednoczone przywróciły mu poczucie młodości i siły, zauważył nawet, że schorowany od wielu lat żołądek w nowym otoczeniu przestał odmawiać mu posłuszeństwa. „Rzeczywiście aż mi trudno uwierzyć. – cieszył się – Jeszcze dwa dni temu rozchorowałbym się na tydzień po takim śniadaniu. A tu nic.”<sup>413</sup>

Czuł się młody, mobilny, przypomniał sobie radość bycia w nieustannym ruchu.

„Mówię Ci, już od lat tak cudownie nie czułem się – donosił – Naprawdę przestałem czuć moją czterdziestkę, a raczej już <<po>>. To mają Stany do siebie oprócz tego, że wjeżdżasz tam i od

---

<sup>411</sup> A. Bobkowski, *Listy z Gwatemali do matki*, s.137.

<sup>412</sup> Ibidem, s.137.

<sup>413</sup> Ibidem, s.142.

razu czujesz się młodsza. Boję się, że gdybym teraz wyjechał do Francji np. czy do jakiego innego kraju w Europie, poczułbym się o 10 lat starszy.”<sup>414</sup>

Pisał o Europie, z nią porównywał USA, jak gdyby nie chcąc zauważyć, iż w ostatnich latach to przede wszystkim Gwatemala nadszarpnęła mu zdrowie, postarzyła, unieruchomiła. Wolał nie myśleć, iż – jak się zdaje - to właśnie w porównaniu z gwatemalską ojczyzną otaczająca go nowa przestrzeń wydawała mu się tak przyjazna i wspierająca.

„Trudno Ci powiedzieć, co czułem. – pisał matce o pierwszych krokach w USA - Człowiek cały zamienia się w jedną wielką ciekawość. I nie było to złudzenie – od razu po wyjściu z samolotu poczułem, że stoję na jakiejś zupełnie innej ziemi. Jakiś odmładzający dech wlał mi się w piersi, oparłem się na poręczy i gapilem się.”<sup>415</sup>

Bobkowski nie chciał traktować Gwatemali jako miejsca codziennej udręki, była jego prywatną Ameryką, gdzie katorżniczą pracą wyśnił swój amerykański sen. Była też na swój sposób przestrzenią zwycięstwa, więc tym bardziej nie zasługiwała na krytykę motywowaną podróżą; pozostawała pod swoistą ochroną. Pytanie bowiem o sens bycia w Gwatemali było w tamtym czasie dla Bobkowskiego pytaniem o sens największego w życiu wysiłku, którego nie chciał i nie mógł zakwestionować. Głęboko odczuwana przez twórcę - na poziomie duchowym i cielesnym – radość z peregrynacji, nie stała się zatem przyczynkiem do krytyki jego życia w Ameryce Południowej, nie zainicjowała radykalnych zmian w gwatemalskiej codzienności, przyniosła mu natomiast radość i pozwoliła głębiej odetchnąć, także już po powrocie. W jego listach i tekstach niekorzystnym kontrastem dla Stanów Zjednoczonych pozostał Stary Kontynent. Być może także dlatego, iż w jakimś sensie, mentalnie, Bobkowski nigdy go nie opuścił, a przyglądając się, jak bezzasadnie obrasta w piórka nie wahał się - bez litości - porównywać go z młodą, dojrzewającą na jego oczach potęgą.

Tę pierwszą amerykańską wyprawę opisał szczegółowo w dzienniku podróży p.t. „Z dziennika modelarza”, która ukazała się w „Kulturze”. Zapiski otwiera data 2 czerwca 1954 roku. Pisarz był wówczas u szczytu sił; miał przekonanie, iż ogrom wykonanej przez niego pracy nie poszedł na marne. Myślał o dalszym rozwoju swojej firmy, o kolejnym „skoku naprzód”. Prowokacyjnie konstatował:

---

<sup>414</sup> Ibidem, s.143.

<sup>415</sup> Ibidem, s.138.

„Bezlitosne prawo kapitalistycznej gospodarki na wolnokonkurencyjnym rynku. Błogosławione! Gdyby nie ono, zamarłbym w bezruchu, w rutynie, interes wzięliby diabli, a ja miałbym pretensje do żony i do Free Europe, że nie pomagają intelektualistom.”<sup>416</sup>

Miał poczucie zawodowego sukcesu, a zarazem towarzyszącej mu zawiści otoczenia. Sytuacja ta stała się przyczynkiem do następującej refleksji:

„Bezustanny kompleks niższości, lenistwo, brak inicjatywy i przedsiębiorczości powodują zawiść i nienawiść, podsycają ślepy nacjonalizm. [...] Przeżywam tu teraz na sobie w małej skali to, na co wystawieni są Amerykanie w skali światowej. Pracowici << oszuści i wyzyskiwacze >>”<sup>417</sup>

Mieszkańcy USA byli według Bobkowskiego niesprawiedliwie oceniani przez tych, którym brakowało – charakterystycznej według pisarza dla Amerykanów z Północy – życiowej energii, konsekwencji, pracowitości połączonej z wiarą w sensowność wysiłku. Był przekonany o wartości amerykańskiego systemu gospodarczego, nie wspieranego ideologią. Wierzył, iż jego podstawową zaletą jest stosunek pracodawców do człowieka, szacunek dla jego potrzeb. Odpierał też zarzuty – powszechnie wówczas stawiane przez europejskich intelektualistów – iż jest to kontynent „bez kultury”, wyjałowiony duchowo, nastawiony wyłącznie na rozwój techniczny. Nie przyznawał Europie prawa do takich sądów<sup>418</sup>.

Do USA, jak to już zostało wspomniane, leciał samolotem, a towarzyszył mu „Stary człowiek i morze” Hemingwaya, nie budząc jednak zbyt wielkiego entuzjazmu („Z Hemingwayem robiłem już niezliczoną ilość prób i zawsze to samo. Tym razem miałem dość znęcania się nad biedną rybą i znużyło mnie to. Bardzo piękne, na pewno świetnie napisane, ale nie mogę.”<sup>419</sup> – zanotował). Zaś już w nowym miejscu zaopatrzył się w tomiki poetyckie Wittlina, Lechońa i Wierzyńskiego<sup>420</sup>, zachwycając się tym ostatnim i skrzętnie swe uznanie odnotowując.

---

<sup>416</sup> A. Bobkowski, *Z notatek modelarza*, [w:] A. Bobkowski, *Z dziennika podróży*, s.143.

<sup>417</sup> Ibidem, s.144.

<sup>418</sup> Nad relacją między skompromitowanym Starym Kontynentem a USA zastanawiał się też Czesław Miłosz : „W jaki sposób zachodnia Europa funkcjonowała od dnia końca wojny do dzisiaj, kiedy to piszę, jest dla mnie najzupełniejszą zagadką, mimo że mieszkałem tam, we Francji, przez dziesięć lat, 1950 – 1960. – pisał - Gdyż duch europejski nienawidził siebie, zwracał się przeciwko sobie, wyszydzał przez siebie opracowane instytucje, być może tak maskując dotkliwie poczucie własnej hańby. Była to orgia, pandemonium tych wszystkich niesmaków, goryczy, zgas, jakie znałem z mojej wczesnej młodości, a które teraz dopiero zostały w pełni uznane, rewindykowane, usprawiedliwione, przy pomocy modnych rozważań o la nauce, absurdzie, alienacji. Duch ten odrzucał jakiegokolwiek <<tu i teraz>>, wynosząc pod niebiosa <<tam i niegdys>>; uchodziło za pewnik, że na Zachodzie odbywa się dogorywanie. <<Tam>> oznaczało najczęściej Rosję, niekiedy jakiś inny kraj gdzie rządili komuniści, <<kiedys>> podróż ludzkości na Wyspy Szczęśliwe po zniesieniu prywatnych środków produkcji i zrośnięciu się w jedno esencji z egzystencją. Ale podczas kiedy duch tak się natęzał w ucieczce, ciało, z łaski Ameryki, która przez dłuższy czas musiała trzymać europejską gospodarkę w <<żelaznym płucu>> i odżywiać ją sztucznie, żarło, piło, kupowało samochody i lodówki.” Cz. Miłosz, *Widzenia nad zatoką San Francisco*, Instytut Literacki, Paryż 1988, s.91.

<sup>419</sup> A. Bobkowski, *Z notatek modelarza*, s.176.

<sup>420</sup> O emigracyjnej działalności w USA wymienionych poetów pisał między innymi W. Wyskiel w rozdziale p.t. *Strategie emigrantów: Lechoń – Wierzyński – Wittlin* [ w:] W. Wyskiel, *Kręgi wygnania. Jan Lechoń na obczyźnie (krąg pierwszy i drugi)*, Kraków 1988, s.37 - 83 i inne.

Stany Zjednoczone porwały go i pozwoliły wrócić do, zapamiętanego jeszcze z Francji, wszechogarniającego odczucia „teraz”. Stały się dla niego przestrzenią odpoczynku i odnalezionego pocieszenia, a także kultury, nie obciążonej winą, „młodej”, czyniącej ten kraj ze wszech miar pasjonującym. Kultura – przekonywał w swych zapiskach Bobkowski – to nie tylko europejski skansen, to także amerykańskie przedmioty służące ulepszaniu codzienności. Genialne w swej prostocie, nieaspirujące do miana arcydzieł, zasługujące na to, by w odruchu przekory nadawać im tę rangę.

„Bawię się automatem wyrzucającym butelkę <<Coca – Coli>>, - pisał – potem innym, gdzie podstawia się papierowy kubeczek i nalewa się lodowaty sok pomarańczowy. Gwiazdy wbite głęboko w ciemne niebo, tu światła, reflektory i w ich poświacie smukła, przepiękna maszyna. To też są dzieła sztuki, harmonijne i wspaniałe.”<sup>421</sup>

Z kolei wizyta w kinie zainspirowała taką refleksję:

„Mały film Disneya o Franklinie. Arcydzieło, okaz najprawdziwszej sztuki. Ale to nie jest kultura. Nie. W takim razie co?”<sup>422</sup>

Bobkowski nie chciał żyć przeszłością, być jak ci, którzy „nie potrafią pokochać niczego, co jest”<sup>423</sup>, wierzył, iż tylko zgoda na „teraz” może przynieść poczucie harmonii ze światem. Stany Zjednoczone symbolizowały terażniejszość, były ówczesnym centrum świata, miały za sobą wygraną wojnę i opierały się komunistycznym wpływom. Oglądając Nowy Jork ze szczytu Empire State Building Bobkowski zauważył:

„To jest bezsprzecznie wielkie i piękne. I tu jest teraz stolica świata. Wyczuwa się to na każdym kroku.”<sup>424</sup>

Była w ówczesnych Stanach Zjednoczonych swoista lekkość kraju nieskompromitowanego, niedotkniętego przegraną. Stanowiły przestrzeń kultury niosącą nadzieję i poczucie mocy, były zatem dla Bobkowskiego czymś niezwykle ożywczym po Gwatemali, gdzie cenił przede wszystkim świat przyrody. Do niego też odruchowo odwoływał się oceniając urodę nowo odkrywanych miejsc.

[...], wpadamy do długiego tunelu i nagle przy wyjeździe wyrasta Nowy Jork jak łańcuch górski. – napisał – Widok jest – trudno i darmo – piękny. Niebotyki w porannej, słonecznej mgielce są cudowne. To ma styl, swój i jedyny.”<sup>425</sup>

---

<sup>421</sup> A. Bobkowski, *Z notatek modelarza*, s.179.

<sup>422</sup> Ibidem, s.190.

<sup>423</sup> Ibidem, s.179.

<sup>424</sup> Ibidem, s.182.

<sup>425</sup> Ibidem, s.180.

Nowy Jork wydawał się Bobkowskiemu bytem równie jak góry trwałym, potężnym i niepodległym, skojarzenie pozwoliło uczynić z niego przestrzeń rozpoznaną, pobudziło apetyt na przygodę. Wracał do tego porównania także w liście do matki, gdzie o zwiedzaniu Empire State Building napisał:

„Jedziemy windą na szczyt tego drapacza. Widok stamtąd nie do opisanía. Cały N. York, a raczej część zwana Manhattan, jak na dłoni. W mgiełce mała statua wolności tkwiąca u wejścia do portu. Wokoło drapacze chmur jak szczyty górskie, pasy niższych domów jak przełęcze między nimi, i wąwozy ulic. Naprawdę zrobiło to na mnie olbrzymie wrażenie. I to ma styl; mało; to jest piękne, naprawdę piękne.”<sup>426</sup>

W swoich amerykańskich notatkach Bobkowski opisywał wypełnione po brzegi dni pełne spotkań z ludźmi, sportowej rywalizacji, towarzyskich i biznesowych rozmów. W Nowym Jorku zachwyił się rytmem miasta, które wymuszało nieustanny pośpiech ale w zamian niwelowało zmęczenie.

„Wracam do hotelu taksówką tak zmęczony, że mam zamiar rzucić się na łóżko w ubraniu. – pisał - Właśnie! Ledwo wszedłem do pokoju, ledwo spojrzałem przez okno na morze światła na Broadwayu, od razu zjechałem windą w dół. Włączyłem się po ulicach do drugiej w nocy.”<sup>427</sup>

Z kolei po tygodniu obozowania w Glenview zanotował:

„Ciekawość rozpierająca od rana do wieczora. Chodziłem przez cały czas jak nakręcony budzik i ciągle coś we mnie dzwoniło i budziło.”<sup>428</sup>

Stany Zjednoczone zaraziły pisarza swoją energią, pozwoliły mu, jak to sam zauważył, odmłodnieć. W Gwatemali jego intelekt, konsekwencja i pracowitość były czymś dla wielu niepojętym, odstającym od sensu – tropikalnej normy, zaś w Ameryce Północnej przybysz odzyskał poczucie harmonii ze światem. Nabrał po raz pierwszy od lat apetytu dosłownie i w przenośni. Podróż zdawała się stawiać go na nogi, uwalniać zapomniane pokłady entuzjazmu, radykalnie rozwiązywać problem samotności („Spotkania i rozmowy z ludźmi. Po latach samotności muszę panować nad sobą, żeby nie rzucać się wszystkim na szyję.”<sup>429</sup>). Nie sposób jednak nie zauważyć, iż notatnik modelarza ukazuje też wyraźnie, poprzez kontrast, wszelkie niedostatki gwatemalskiego bytowania Bobkowskiego. Odzyskana chęć życia, przełamanie permanentnego zmęczenia, zdrowo pracujący żołądek („Cały czas coś jem. Od lat nie miałem takiego apetytu.”<sup>430</sup>) pokazują, iż w Gwatemali brakowało mu jednak czegoś bardzo dla niego

---

<sup>426</sup> A. Bobkowski, *Listy z Gwatemali do matki*, s.140.

<sup>427</sup> A. Bobkowski, *Z notatek modelarza*, s.183.

<sup>428</sup> Ibidem, s.198.

<sup>429</sup> Ibidem, s.199.

<sup>430</sup> Ibidem, s.184

istotnego, że rytm nowej ojczyzny, jej duch był niezgodny z jego własnym. Pozostawała ona, w każdym sensie, prowincją świata, wybranym, pokochanym, ale jednak marginesem na mapie; zaś Bobkowski mentalnie był człowiekiem centrum, dlatego kochał przedwojenny Paryż, fascynował się powojennym Nowym Jorkiem, zaś w Gwatemala City zmagał się z poczuciem straty czasu i głębokiego osamotnienia.

Ciekawym kontekstem amerykańskich notatek Bobkowskiego może być esej Jana Lechonia p. t. „Aut Caesar aut nihil”<sup>431</sup>, pisany w latach 1952 – 1954 w Stanach Zjednoczonych, gdzie poeta przebywał na emigracji. Utwór ten był próbą bilansu, w którym ocenił on Amerykę z perspektywy europejskiej; jak zauważyła Ewa Kołodziejczyk bilans ten nie miał jednak charakteru prywatnego.

„Lechoń pragnął - pisała badaczka – by szkic uzmysłowił Europejczykom współczesną rolę Ameryki w kształtowaniu polityki międzynarodowej, otworzył Europę na amerykańskie ideały gospodarcze i społeczne, w końcu, by pozwolił uwiedzionym przez komunizm intelektualistom Zachodu zrozumieć, jakim sposobem wroga komunizmowi Ameryka spełniła marzenia o równości i dobrobycie swoich obywateli.”<sup>432</sup>

Punktem odniesienia, do którego Lechoń porównywał Stany Zjednoczone, była przede wszystkim Francja. Zdaniem poety, Ameryka zrealizowała zagubione podczas rewolucji francuskiej ideały społeczeństwa demokratycznego. Gdyby dokonało się to w Europie, komunizm, w jego przekonaniu, nie miał by szans zaistnieć. USA – przekonywał – realizuje zasadę równości ludzi, zapewniając wszystkim minimum dostatku. Godnie żyjący robotnicy, szacunek dla ludzkiego wysiłku, przeczą niższości cywilizacyjnej USA, imputowanej temu krajowi przez zapatrzoną w siebie Europę.

„ Lechoń widzi Europę w agonii, - pisała Kołodziejczyk – której ona sama nie jest świadoma. Według niego Europa zbagatelizowała nieodwracalne zmiany społeczne, jakie zaszły na przełomie wieków i nie rozumie, że XX stulecie było wiekiem społecznym, gdy pochodzenie i związane z nim determinacje mniej znaczą od zdolności i pracy, dzięki którym ludzie zajmują takie miejsce w hierarchii, na jakie sami zasłużyli. Zdaje się wprawdzie tym zmianom przyklaskiwać, lecz za deklaracjami nie idą działania chroniące świat europejski od

---

<sup>431</sup> Esey Jana Lechonia opublikowany został najpierw w roku 1954 na łamach „Wiadomości”, w numerach 45 (449), 46 (450), 47(451). Następnie ukazał się w formie książkowej ( J. Lechoń, *Aut Caesar aut nihil*, Oficyna Poetów i Malarzy, Londyn 1955 ). Po śmierci Lechonia wydano go po angielsku ze wstępem Kazimierza Wierzyńskiego ( J. Lechoń, *American Transformations*, Introduction by K. Wierzyński. Edited by C. Mills and M. Phelps. Frontispiece by Z. Czermański, New York: Voyages Press 1959.). W niniejszej pracy korzystam z wydania Biblioteki „Więzi” (Warszawa 2007), z przedmową Ewy Kołodziejczyk.

<sup>432</sup> E. Kołodziejczyk, „Przedmowa”, [w:] J. Lechoń, *Aut Caesar aut nihil*, Warszawa 2007, s.7.



nieuchronnego uwiądu. Nie chce spojrzeć w oczy swym niebezpieczeństwom ani leczyć swych chorób, bo lekarstwa, jakie musiałyby na swe schorzenia zażyć, unicestwiłyby zasady, do których jest straceńczo przywiązana.”<sup>433</sup>

Podstawy amerykańskiej cywilizacji były, w przekonaniu poety, głęboko etyczne i pro – ludzkie, na tych rzetelnych podwalinach wyrosła kultura, której Europa odmawiała jednak miana wysokiej. Lechoń zarzucał etnocentrycznym mieszkańcom Starego Kontynentu ignorancję, kompletny brak znajomości rzeczy. Kpił z lęków, kreujących Amerykę na główne zagrożenie kulturalne współczesności. Ironizował na temat wciąż niezachwianego przekonania Europejczyków o ich przewodniej roli w kształtowaniu oblicza świata. Przypominał, iż przez lata kultura europejska była dobrem elitarnym, dostępnym jedynie dla garstki wybrańców:

„Różne pięknoduchy z Paryża, Londynu i przedwojennej Warszawy – stwierdzał z mocą – kręcące zblazowanymi nosami na rzekome artystyczne i intelektualne zacofanie Ameryki, skarżące się na brak atmosfery, na niemożliwość twórczych zamyśleń i nastrojów w kraju nieposiadającym ani starych katedr, ani naprawdę uczciwych win krajowych, ani kawiarni ze stolikami na ulicach, krzyżowcy zachodniej kultury, nieświadomie, ale nie mniej nieładnie ograniczający jej spożywców do znikomego procentu smakoszy, pogrążonych w intelektualnej chińszczyźnie, w gierkach zabawnych tylko dla czytelników kilku tylko i to dobrze podstarzałych miesięczników literackich – czyż pomyśleli kiedy, że ów kraj, tak dla ich przesubtelniejszych nerwów niewygodny, może nawet nieładny dla wszystkich Europejczyków przywykłych do starokrajskich hierarchii wartości – dał przecież ludzkie życie milionom istot, które w swych stolicach kultury i smaku nie tylko odsunięte były od kultury, ale skazane na haniebną walkę o światło, opał, byle jaką strawę i o kilka kroków od owych wzruszających katedr i inspirujących kawiarni wiodły życie pariasów, mogących liczyć jedynie na pstrego konia pańskiej łaski lub na rzeź bolszewicką?”<sup>434</sup>

Dla Lechonia Europa, uosabiana przede wszystkim przez Francję, była nowożytnym odpowiednikiem starożytnej Grecji. Jej kultura stała się w historii rozdziałem właściwie zamkniętym, skończonym. Przygotowując się do pracy nad omawianym esejem Lechoń pisał 30 sierpnia 1950 roku do Mieczysława Grydzewskiego:

„ Stawiam tezę [...], że Francja już nigdy się nie podźwignie, że stanie się (albo już się stała) stolicą Diora, Balenciagi i Schaparelli – ozdobioną pomnikami przeszłości. Upadła ona właśnie dlatego, że doszła do apogeum s w o j e j kultury i nie może iść dalej. Nie ma przykładów z historii innego trwania jakiegóż kultury i Valéry dawno o tym i mądrze pisał. Francję odkopimy za

---

<sup>433</sup> Ibidem, s.15.

<sup>434</sup> J. Lechoń, *Aut Caesar aut nihil*, s. 42 – 43.

kilkaset lat i będzie się wtedy rozadorowywało majtki Mistinguett i *suspensorium* Jules Romainsa. Ale na razie koniec. Jaaaaaa Ci to mówię. Broń Boże, nie drukuj tego w <<Listach>>. To temat bardzo poważnego artykułu, który pewno napiszę, pragnąc koniecznie zostać prorokiem.”<sup>435</sup>

Poglądy Lechońa na temat USA były zbliżone do przekonań Bobkowskiego. Dla tego ostatniego także epoka dominacji kultury francuskiej została po wojnie nieodwołalnie zamknięta. W jednym z listów do Jerzego Giedroycia przypominał, że jej schyłek był dla niektórych - na przykład dla Keyserlinga - oczywisty już w 1929 roku. W czasie wojny zaś – zdaniem Bobkowskiego - Francja nieodwołalnie przesądziła swój los nie broniąc, lub broniąc niewystarczająco, swojej kultury przed najeźdźcą. Kapitulacja, która miała wówczas miejsce spowodowała dalekosiężne skutki i, w przekonaniu autora „Pożegnania”, nigdy się nie skończyła, zaś poddaństwo w zakorzenione w ludzkich umysłach przekreślało szansę na odrodzenie. „Kapitulacja trwa, – pisał do Giedroycia - nadal trwa w duszach. I to jest tragedia Europy.”<sup>436</sup> Amerykanie budzili niechęć Francuzów, wydawali się im zbyt mało „cywilizowani”; nie chciano dostrzec, docenić ani zrozumieć imperatywów tkwiących u źródeł ich cywilizacji. Nie przeszkadzało to jednak oczekiwać od nich gotowości do niesienia w razie zagrożeń zbrojnej pomocy. W 1951 roku Bobkowski pisał do Giedroycia:

„O Amerykanach można powiedzieć, co się komu podoba, a faktem jest, że w końcu ONI JEDNI SIĘ BIJĄ.”<sup>437</sup>

I dalej, w tym samym liście:

„Tylko kultura i cywilizacja, która potrafi stanąć w swojej obronie, która chce bronić siebie, warta jest zachowania. Ta, która chce, żeby inni ( les goujats américains ) kładli się za nią, nie zasługuje na żaden szacunek. [...] Podziwiam cierpliwość Amerykanów, podziwiam ich żołnierzy. Co do tego, że czują się oni osamotnieni, zupełnie się z Panem zgadzam. Co do tego, że trzeba z nimi iść, może nawet bez żadnych warunków, też.”<sup>438</sup>

Lechoń także dostrzegał i doceniał militarną ochronę, którą przyniosły zachodniej Europie Stany Zjednoczone; przypominał jej mieszkańcom że obywatele USA biorą udział w wojnach poza granicami własnego terytorium i płacą podatki na realizację planu Marshalla. Domagał się szacunku dla ich bohaterstwa, niewystarczająco, jego zdaniem, nagłaśnianego na arenie międzynarodowej. Wierzył także, iż mieszkańcy USA mają rodzaj instynktu, zasadzającego się na

---

<sup>435</sup> M.Grydzewski, J. Lechoń, *Listy 1923 – 1956*, z autografu do druku przygotowała, wstępem i przypisami opatrzyła B. Dorosz, Warszawa 2006, t.2, s.354.

<sup>436</sup> J. Giedroyc, A. Bobkowski, *Listy 1946 – 1961*, s.172

<sup>437</sup> Ibidem, s.163.

<sup>438</sup> Ibidem, s.163 – 164.

dynamizmie, energii, skłonności do podejmowania wyzwań. Te cechy przypisywał Amerykanom także Bobkowski, z dumą odnajdując je również w sobie. Po spotkaniach z amerykańskimi dostawcami pisał do matki:

„Prości, bezpośredni, łatwi, idący na rękę, pomocni. Widziałem, jak w każdym wypadku oceniali mój wysiłek, moją pracę, wytrwałość. Bo może oni sami (prawie na pewno) kiedyś przez to przeszli. I nie pozostała im po tym gorycz, pretensje i do świata i do Boga i ludzi – nie – pozostała duma przebiccia się. I jak widzą takiego jak ja, w drodze przez ten ciężki okres, rodzi się niemal potrzeba pomocy i uznanie.”<sup>439</sup>

Amerykanie w oczach Bobkowskiego byli ludźmi ciężkiej pracy, często aż nazbyt skromnymi. Nie potrafili wystarczająco dobitnie powiedzieć światu, że znaleźli sposoby na godne życie w swoim kraju. W jednym z listów do Giedroycia Bobkowski zauważył:

„O Amerykanach ma Pan rację. Swojego kapitalizmu też nie potrafią zareklamować. A faktem jest, że jeżeli chodzi o masy, to jak dotąd, tylko oni potrafili podnieść ich standard do poziomu nie osiągniętego dotąd przez nikogo.”<sup>440</sup>

Także w 1956 roku, w czasie swojej drugiej bytności w USA, zachwycił się gospodarczym cudem, dokonującym się na jego oczach w tym kraju. „Chodziłem, patrzyłem, – pisał matce – ludzie pracują ciężko, wielkie miasto już dziś budzi we mnie obrzydzenie, ale ci ludzie za tę ciężką pracę mogą coś mieć i mają już, od razu, a nie obietnice polepszenia w życiu przyszłym lub przyszłych pokoleń.”<sup>441</sup>

Lechonia i Bobkowskiego łączyło jeszcze jedno: kategorie biologiczne, do których sięgali opisując Amerykę. Obydwaj widzieli w niej prężnie rozwijający się żywy organizm.

Co także ciekawe, lektura eseju Lechonia uświadomić może jak bardzo prowokacyjny dla współczesnych mógł być zachwyt Bobkowskiego nad automatem z coca – colą. Poeta przypomina bowiem w swoim esej „homeryckie boje o coca – colę, stoczone kilka lat temu we Francji i nieomal przez Francję.”<sup>442</sup>

„Były one, - stwierdza dalej Lechoń - co zresztą otwarcie powiedziano, nie tylko do komicznego patosu doprowadzoną walką z wytworem konkurencyjnym, ale też rozegraną na terenie codzienności próbą oparcia się wciąż rosnącej na naszych oczach sile, która mogłaby zająć na świecie miejsce opróżnione przez wszystkie abdykacje, wyprzeć zewsząd siły wahające się i

---

<sup>439</sup> A. Bobkowski, *Listy z Gwatemali do matki*, s.144.

<sup>440</sup> J. Giedroyc, A. Bobkowski, *Listy 1946 – 1961*, s.267.

<sup>441</sup> A. Bobkowski, *Listy z Gwatemali do matki*, s.165.

<sup>442</sup> J. Lechoń, *Aut Caesar aut nihil*, s.28.

słabnące, i której szóstą kolumną jest, czy też zdaje się być, butelka brązowego płynu o bardzo słusznym dyskutowanym smaku.”<sup>443</sup>

Kiedy zatem Francja walczyła z coca – colą Bobkowski, z całym entuzjazmem, stanął po drugiej stronie tego „frontu”.

Pomimo jednak głębokiej fascynacji Stanami Zjednoczonymi, autor „Szkieł piórkiem” nigdy nie zdecydował się na przeprowadzkę. Namawiał go do tego usilnie Jerzy Giedroyc, któremu z kolei Bobkowski rewanżował się wielokrotnym przekonywaniem do przeniesienia za ocean redakcji „Kultury”. Żaden z nich nie zdecydował się jednak na tak radykalną zmianę. Jak się zdaje, w wypadku Bobkowskiego przyczyn było co najmniej kilka. Pierwsza na pewno ma związek z potwornym zmęczeniem wynikającym z wieloletniej pracy ponad siły. Wszak już w 1951 roku pisał do matki: „Zdaje się, że jestem zmęczony już na resztę życia.”<sup>444</sup> Stracił siły potrzebne do zmiany, wiarę w sens wykonania kolejnego gwałtownego ruchu. Z czasem uświadomił sobie, iż z tego sznurka koralików – by wrócić do jego własnej młodszej metafory – już się nie urwie. Rekompensata w postaci w pełni satysfakcjonującej stabilizacji nigdy ostatecznie nie nadeszła, zaś moment, w którym zmiana była możliwa minął niepostrzeżenie i nieodwołalnie.

„Mnie nigdy czas tak szybko nie mijał, jak tu. – pisał w październiku 1952 roku do Stanisławy Bobkowskiej – I do tego w tej monotonii. A może to dlatego. [...] A dni pędzą jak szalone. Może to także i wpływ tego, że tymczasowość przeszła człowiekowi w krew i właściwie nie potrafi się już żadnej sytuacji przyjmować za stałą. Siedzimy tu, a podświadomie traktujemy to znowu jako przystanek, jesteśmy przejazdem, choć w gruncie rzeczy nie wiem, czy starczyło by nam jeszcze sił, żeby ruszać się gdzie indziej.”<sup>445</sup>

Ostatecznie tych sił zabrakło, okazało się, że oswojenie Gwatemali wyczerpało pokłady życiowej energii Bobkowskich. USA były w tej sytuacji wyzwaniem, którego nie sposób było podjąć. Pojawiło się poczucie nagłego przyspieszenia czasu przekreślające snucie dalekosiężnych planów, wymagających olbrzymiego nakładu sił i środków. „Żeby miał na to, - donosił matce w 1953 roku – to kto wie, czy nie zdecydowałbym się rozbić namiot gdzie indziej. Ale to kosztowne i na to nie mam.”<sup>446</sup>

W pewnym sensie osią życia w Gwatemali był dla Bobkowskiego syzyfowa praca, którą podjął. Od pewnego momentu przerwać ją mogła tylko śmierć. Tę filozofię wyznawali też bohaterowie jego opowiadań, o których Włodzimierz Odojewski pisał, iż byli „wciąż gotowi do podejmowania

---

<sup>443</sup> Ibidem, s.28 – 29.

<sup>444</sup> A. Bobkowski, *Listy z Gwatemali do matki*, s.71.

<sup>445</sup> Ibidem, s.101.

<sup>446</sup> Ibidem, s.115.

nowego wysiłku, wciąż gotowi na nową konfrontację siebie ze światem, z sytuacją, z drugim człowiekiem. Nie zatarali nie tylko siły, ale przede wszystkim ciekawości świata, a nadto wydają się nosicielami Conradowskiej, a także Hemingwayowskiej ideologii, że żyje się w pełni tylko tak długo, jak długo ma się odwagę podejmować trud syzyfowy za wszelką cenę i w każdym, nawet najbardziej niesprzyjających okolicznościach.”<sup>447</sup>

Z czasem sytuacja materialna Bobkowskiego poprawiała się, przyszło poczucie sukcesu zawodowego a wraz z nim poczucie łączności z miejscem. Gwatemalskie zwycięstwo pomogło mu na nowo zdefiniować samego siebie w powojennym świecie, odnaleźć tożsamość. To także jeden z powodów, dla którego nie mógł porzucić nowej ojczyzny – nie potrafił zrezygnować z miejsca, gdzie zbudował siebie jeszcze raz i to na miarę marzeń. Startując bez grosza przy duszy, w miarę upływu lat spełnił swój amerykański sen, oderwał się od europejskich korzeni by stać się wyznawcą nowej filozofii istnienia, w której sensowność głęboko wierzył. Jak to już zostało wspomniane, w pewnym sensie Gwatemala była jego Ameryką. Odkrył ją, zawojował i nie zamierzał porzucić. Jak zauważył Tymon Terlecki: „pokochał ją tak, jak się kocha własny i trudny wybór, własną, kosztowną zdobycz.”<sup>448</sup> Wyjazd do Stanów Zjednoczonych postawiłby go ponownie przed raz już podjętym wyzwaniem; nie dałoby się uniknąć etapu pauperyzacji, mozolnego dorabiania się od podstaw. Wiązałoby się z tym poczucie zdeklasowania, tym bardziej bolesne, iż w Gwatemali Bobkowski był niewątpliwie człowiekiem powszechnie poważanym i rozpoznawalnym. Stał się w tym kraju, jak trafnie ujął to Terlecki, misjonarzem cywilizacji<sup>449</sup>, reprezentującym jej najlepsze wartości. Współmieszkańcy otoczyli go szacunkiem. Mając w pamięci doświadczenie kilkuletniego życia na marginesie francuskiego społeczeństwa<sup>450</sup>, jako dojrzały człowiek Bobkowski potrafił to docenić. W 1960 roku pisał do Anieli Mieczysławskiej: „Wydziwiali, gdy wyjeżdżałem w 48 – ym r. – nawet mieli trochę za złe, a ja Pani mówię, że wyjeżdżałem, bo czułem wstręt, bo czułem, że tam będę zawsze pariasem, *sale étranger*. A tu mogą mnie nie znosić, ale jestem sahibem, białym, wobec którego czuje się szacunek – tu ja jestem *from the top drawer*. A okazać im trochę uczucia, że człowiek nie czuje się niczym wyższym od nich, wtedy szanują podwójnie, wtedy stosunki z takim osobnikiem dla nich są czymś, co ich wyróżnia, z czego czują się dumni. Jaki Francuz albo Anglik czuje się dumny z

---

<sup>447</sup> W. Odojewski, *Andrzej Bobkowski – nowa młodość*, s.12.

<sup>448</sup> T. Terlecki, *Andrzej Bobkowski*, [w:] A. Bobkowski, *Listy do Tymona Terleckiego 1956 – 1961*, s.19

<sup>449</sup> Ibidem, s.22.

<sup>450</sup> O poczuciu swoistego wykluczenia, które dotykało obcokrajowców we Francji pisał Czesław Miłosz: „Pięcioma zmysłami wrastałem we Francję, co było o tyle zrozumiałe, że pomimo wszelkich różnic pomiędzy jej prowincjami, Europa jest całością ukształtowaną przez wspólną przeszłość. Niemniej wybór przed jakim stoi się we Francji niezupełnie przypadła mi do smaku: można tam być albo Francuzem albo cudzoziemcem. Ściślej, nie ma wyboru, skoro <<francuskość>> ma charakter niemal metafizyczny, nie związany ani z długim zamieszkaniem ani z rodzajem paszportu.” Cz. Miłosz, *Widzenia nad zatoką San Francisco*, s.156.

przyjaźni z Polakiem? Wprost przeciwnie. Nie, kochana – Ameryka to inny świat, to świat, który można z serca pokochać i być zadowolonym, że umrze się tutaj, a nie w tym europejskim gównie, w tych francuskich czy angielskich smarkach.”<sup>451</sup>

Krzysztof Dybciak, pisząc o różnicach między kolonizacją, emigracją i migracją, zauważył, iż: „Jednostki i grupy kolonizujące są podmiotami swych działań, inicjując je, natomiast emigranci ( przynajmniej w pierwszej fazie ) poddają się impulsom zewnętrznym, w pewnym sensie są przedmiotem działań płynących z zewnątrz, ze strony innych. Kolonizacja w planie historycznym jest sukcesem (poza, co nierzadkie, wymiarem moralnym), inaczej niż emigrowanie, powodowane zawsze jakimiś porażkami. Trzeba przyznać, iż tylko społeczeństwa silne – gospodarczo i kulturowo – przenoszą swoje wartości, instytucje i wspólnoty na obce tereny. Tak działało się od starożytności, kiedy motorem przemian dziejowych były kolonizacje dokonywane przez Fenicjan, Greków i Rzymian.”<sup>452</sup>

W tym ujęciu Bobkowski był w Gwatemali kolonizatorem, co oczywiste odrzucającym, tradycyjnie przypisywane temu doświadczeniu, atrybuty przemocy. Krzewił wartości w które wierzył, na własną miarę budował „Wenecję od początku” boleśnie świadomy zresztą, iż jest to praca syzyfowa. Przybrana ojczyzna pozwoliła pozostać mu podmiotem własnych działań, wykazać się inicjatywą, zawalczyć o siebie. W pewnym sensie uwolniła go od historii, bo nigdy nie był w niej postrzegany przez pryzmat przegranej swojego kontynentu czy kraju. Stany Zjednoczone, z bardzo liczną polską diasporą, nie pozwoliłyby mu w dłuższej perspektywie odetchnąć od przeszłości. Paradoksalnie, europejskie wpływy były tam zbyt silne aby pisarz mógł się od nich uwolnić, nie pozwoliwszy im stać się dominującym kontekstem swego życia. W Gwatemali podejmowane w tym kierunku próby miały bez wątpliwości większą szansę powodzenia. Ameryka Północna niosła ze sobą zbyt wielkie ryzyko zawieszenia w czasie, pozostania emigrantem naznaczonym krzywdą, człowiekiem z piętnem ofiary mechanizmów dziejowych. Zatem USA musiały pozostać w jego życiu inspiracją, bardzo ważnym punktem odniesienia w codziennych trudach, nie mogły zaś stać się realnością, obszarem powszednich zmaganiań.

Inaczej zdecydował przywoływany w pierwszej części niniejszej pracy litewski twórca Jonas Mekas, który po latach europejskiej tułaczki zamieszkał ostatecznie w Nowym Jorku. Przyjechał tam, zdecydowany by pozostać i spróbować swoich sił w powojennej stolicy świata. Jego zapiski odzwierciedlają w dużej mierze, czym była Ameryka dla udręczonych europejskich rozbitków.

---

<sup>451</sup> A. Bobkowski, „Przyśiągłem sobie, że jeśli umrę, to nie w tłumie...”, s.160 – 161.

<sup>452</sup> K. Dybciak, *Historyczne znaczenie oraz różnorodność ruchów migracyjnych i społeczności migrujących*, „Ethos”, nr 87 – 88, lipiec – grudzień 2009, s.45.

„Wczoraj o dziesiątej wieczorem „General Howze” wpłynął do ujścia Hudson. – zanotował w październiku 1949 roku swoje pierwsze wrażenia – Staliśmy na pokładzie i patrzyliśmy. Tysiąc trzystu pięćdziesięciu dwóch dipisów gapiących się na Amerykę. Wciąż mam ten widok przed oczami. Nikt, kto tego nie przeżył, nie będzie w stanie zrozumieć, co czuliśmy. Tyle cierpienia i nędzy w czasie wojny i po wojnie, tyle rozpaczy i beznadziei, i nagle człowiek staje twarzą w twarz ze snem.”<sup>453</sup>

O decyzji pozostania w mieście przesądziło piękno metropolii i głębokie przekonanie ogarniające przybyłego, iż oto znalazł się w centrum świata, u celu pielgrzymki.

Ale centrum to także anonimowość, tłok, bezsilność w tłumie. To wszystko, od czego odżegnywał się Bobkowski, decydując się na Gwatemalę, która skrojona była na bardzo ludzką miarę i gwarantowała zachowanie poczucia podmiotowości. O USA zaś Jonas Mekas pisał, iż doświadcza w tym kraju ciemnej strony wielkiego marzenia, jakim jest kapitalizm. Choć był przekonany, że warto, odnotowywał cenę, którą przychodziło mu za to zapłacić:

„W Europie zawsze czułem, że jestem jakimś wyjątkiem, kimś niepodobnym do innych. Byłem dipisem, Litwinem, poetą. Tutaj dla odmiany, gdy stoję w kolejce, siedzę w zadymionym biurze pośrednictwa pracy na Warren Street lub gdy wtopię się w tłum na Czterdziestej Drugiej Ulicy, jestem tylko jeszcze jednym pozbawionym pracy robotnikiem. Nieróżniącym się od pozostałych. Jednym z tłumu. Jednym z milionów, którzy co wieczór, wróciwszy do domu bez pracy, ciskają marynarkę w ką, rzucają się na łóżko i przeglądają najświeższą gazetę, czytają artykuł o wakacjach na Florydzie...”<sup>454</sup>

Dwudziestośmioletni w momencie pisania tych słów Mekas był jeszcze na ten rodzaj doświadczeń otwarty. Starszy o parę lat w momencie opuszczania Europy Bobkowski, doskonale wiedział już czego nie chce – życia i umierania w tłumie, a także stania w kolejkach, za czymkolwiek.

„Od 12 lat tutaj – pisał pod koniec życia do Mieczysławskej – nie pokazałem, nie byłem zmuszony do pokazania żadnemu policjantowi mojego dowodu osobistego. Za to ich kocham. Nie stałem w a n i j e d n y m o g o n k u. Za to ich szanuję.”<sup>455</sup>

Jednakże w ocenie Ameryki na tle Europy obydwaj twórcy byli w zupełności zgodni, dostrzegali jej kompromitację, bezprzykładny w dziejach upadek. 7 czerwca 1950 roku Litwin odnotował:

---

<sup>453</sup> J. Mekas, *Nie miałem dokąd iść*, s.293.

<sup>454</sup> Ibidem, s.304.

<sup>455</sup> A. Bobkowski, „Przysiągłem sobie, że jeśli umrę, to nie w tłumie...”, s.161.

„Mój przyjaciel S. pisze do mnie z Francji: << Co, u diabła, robisz w Ameryce, kraju stali, fabryk, biznesu i gangsterów?>>. On, którego rodzina i przyjaciele zostali wymordowani albo rozproszeni na cztery wiatry. Europa to Stalin. Europa to Hitler.”<sup>456</sup>

Nieco niżej skonstratował:

„Drodzy przyjaciele: czy nie nauczyliście się niczego? Nie chcę przez to powiedzieć, że Ameryka jest bardziej humanistyczna od Europy. Nie znam jej na tyle, by się na ten temat wypowiadać. Chcę powiedzieć jedno: że wolę człowieka zakochanego w stali niż zwolennika Hitlera z kwiatkiem w klapie. Albo Stalina przechadzającego się z dobrotliwą miną po ogrodzie, jak w niedawnym sowieckim filmie.”<sup>457</sup>

Parę miesięcy później, w październiku tego samego roku, wrócił do rozważań na ten temat, zainspirowany wizytami w nowojorskich muzeach, bibliotekach, kinach i teatrach:

„Tu wszystko jest konkretne, nowe, mocne. – pisał wówczas – Ta Ameryka to wcale nie jest sen. A gdyby nawet był, to mój ulubiony sen!

Europa jest pełna pustej gadaniny, przechwałek, retoryki. Wszystko to coś znaczyło dawno temu. Dzisiaj jest bezsensowną gadaniną. Odrzuć to wszystko – a król okaże się nagi.”<sup>458</sup>

Uwolniony od ciężaru dziedzictwa Europy, w której nota bene jako Litwin i tak byłby po wojnie pariasem, Mekas wpisał się w amerykańską kulturę, stając się z czasem jedną z jej ikon. Już w 1950 roku kupił pierwszą kamerę i zaczął kręcić awangardowe filmy, w 1967 współtworzył pierwszą spółdzielnię artystów „Soho”, która dała początek słynnej nowojorskiej dzielnicy, zaś w 1970 roku założył na dolnym Manhattanie, a następnie prowadził przez wiele lat Anthology Film Archive. Pozostał także czynnym poetą. Ameryka pozwoliła mu się spełnić życiowo i artystycznie. Obydwaj z Andrzejem Bobkowskim odnaleźli w niej potencjał, który Litwin wykorzystał w sposób totalny, zaś Polak potraktował jako jedną z ważniejszych inspiracji.

Stany Zjednoczone były też ważną przystanią dla Sándora Máraiego. Po opuszczeniu komunistycznych Węgier mieszkał na stałe we Włoszech, a potem właśnie w USA. Już żyjąc w Italii, przed wyjazdem do Ameryki, nie miał wątpliwości jak wygląda rozkład sił w powojennym świecie; codzienne obserwacje nie pozostawiały co do tego wątpliwości:

„W czytelni Instytutu Francuskiego w Neapolu – pisał w 1951 roku – siedzą pogrążone w lekturze tylko cztery młode, rozczochrane dziewczyny. W Bibliotece Amerykańskiej nie ma gdzie

---

<sup>456</sup> J. Mekas, *Nie miałem dokąd iść*, s.318.

<sup>457</sup> Ibidem, s.320.

<sup>458</sup> Ibidem, s.356.



usiąść: o każdej porze dnia i nocy tłoczą się tu setki ludzi. Ten objaw odbija sytuację na świecie jak lusterko kieszonkowe.”<sup>459</sup>

A już w następnym roku, jako pięćdziesięciodwuletni przybysz z Europy zobaczył ze statku widok, który jemu także zaparł dech w piersiach:

„Statek <<Constitucion>> zawinął do portu na Manhattanie zgodnie z rozkładem rejsów, o dziewiątej rano. O siódmej byłem już na pokładzie. Świeciło słońce. Z daleka, z jasnoblękitnej kwietniowej mgły drapacze chmur Manhattanu wyłoniły się niczym ruchoma wizja. W niebiesko złotym świetle był to bajeczny widok, nigdy w piękniejszy sposób nie przybywałem do celu podróży. Wysokościowce kołysały się w miękkim, szaroniebieskim powietrzu, w złotawym świetle. Nowy Jork przypominał mi w tamtej chwili Wenecję. Ale to inna Wenecja, nie *settecenta* lecz epoki atomowej.”<sup>460</sup>

Sándor Márai bywał bardzo krytyczny wobec Ameryki, miał świadomość, iż nigdy nie będzie ona dla niego w pełni ojczyzną, że ze swoją przeszłością patrycjusza i zawodem pisarza pozostanie w niej na zawsze kimś obcym.

„Proletariusz, - pisał - obieżyświat, technik, zdolny fachowiec znajdzie tu dom i zadanie. Lecz pisarz – jeszcze długo – będzie tu obserwowanym z uprzejmą podejrzliwością świadkiem, nie całkiem upragnionym obcym.”<sup>461</sup>

Jego refleksje na temat kraju którego obywatelstwo ostatecznie przyjął bywały gorzkie, ale – prócz ukochanych, zdradzonych w czasie ustaleń jałtańskich Węgier i Włoch – w Europie nie miał już miejsc, które uważał za swoje. Był przekonany, że Stary Kontynent uległ nieodwracalnej degradacji. Jego myśli na ten temat bywał zadziwiająco zbieżne z opiniami Bobkowskiego:

„Pojechać do Europy. – zanotował w roku śmierci autora „Szkiców” – To tak, jakby neapolitańczyk dowiedział się, że Wezuwiusz ma zamiar wybuchnąć, więc szybko wyrusza do Pompei, by jeszcze raz popatrzeć na ruiny.”<sup>462</sup>

Ludzie pióra, przedstawiciele formacji, która świadomie przeżyła wojnę, zetknąwszy się z Ameryką nie mogli pominąć tego doświadczenia milczeniem, tym samym przekroczyło ono granice pojedynczego losu i nabrało charakteru pokoleniowego. USA były fenomenem nie pozostawiającym nikogo obojętnym, wielkim wygranym narzucającym własne zasady gry. Ci spośród wypowiadających się na jego temat, którzy zmuszeni byli do zaakceptowania reguł tamtejszego rynku kultury, którzy uczynili Stany Zjednoczone swoim miejscem docelowym,

---

<sup>459</sup> S. Márai, *Dziennik*, s.174.

<sup>460</sup> Ibidem, s.178.

<sup>461</sup> Ibidem, s.221.

<sup>462</sup> Ibidem, s.307.

bywali w swych opiniach nie tylko admiratorami lecz nierzadko także bezwzględny krytykami nowej ojczyzny. Samotność w tłumie, bezwzględne prawa kapitalistycznej gospodarki, anonimowość wynikająca z bycia jedynie członkiem jednej z wielu mniejszości to dramaty z jakimi musieli zmierzyć się europejscy intelektualiści – emigranci w Ameryce<sup>463</sup>.

Perspektywa z jakiej oceniał ją Bobkowski była specyficzna, przyglądał jej się – by tak powiedzieć – „z wolnej stopy”. Niezależny, wolny od ambicji zdobycia amerykańskiego rynku czy stypendiów, mógł sobie pozwolić na zachwyty i bezinteresowną fascynację. Ameryka była dla niego przygodą, a także przełomem w życiu osobistym – to do niej wyruszył w pierwszą podróż po sześciu latach w Gwatemali, by odbyć dziesiątki rozmów jak też spotkać ludzi, z którymi dotąd tylko korespondował. Miał poczucie sukcesu, więc wszechobecna w Stanach pogoń za nim nie przytłaczała go. Dla swoich amerykańskich dostawców był partnerem, nie petentem, praca jaką wykonał w przybranej ojczyźnie robiła wrażenie wszędzie, gdzie się pojawił. Znużony sennym rytmem Gwatemali z ulgą odkrywał radość jaką dawało – na krótką metę oczywiście – życie w pędzie. Percypował Stany bez uprzedzeń, od lat już nie wierząc w prymat kulturalny Europy, któremu wedle niektórych miałyby one zagrażać. USA były dla niego potężnym bodźcem dla własnego rozwoju, ale także mocarstwem, w którego siłę sprawczą na scenie międzynarodowej mocno wierzył, czerpiąc z tej wiary nadzieję dla powojennego świata.

## 2.5. Gwatemala. Ostatnie lata

Ostatnie gwatemalskie lata Andrzeja Bobkowskiego naznaczone były cierpieniem związanym ze śmiertelną chorobą. Walczył z nią wytrwale, z godnością, do końca próbując zachować wobec bólu ironiczny dystans. Kłopoty zdrowotne prześladowały go w nowej ojczyźnie niemal od samego początku. Już w 1948 roku donosił Jerzemu Giedroycowi, że przeżywa nawroty reumatyzmu, którego nabawił się jeszcze w paryskiej pralni. Uciążliwości te nałożyły się wówczas na bolączki materialne:

---

<sup>463</sup> O niedogodnościach, które prześladowały pisarzy na obczyźnie pisał Cz. Miłosz: „Pisarz zyskuje imię przez złożoną wymianę z czytelnikami, czy zwraca się do szerokiej publiczności, czy do wąskiego kręgu sympatyków. Kształtuje swój obraz widząc go w oczach tych, którzy reagują na jego dzieła. Kiedy emigruje obraz ten zostaje nagle zamazany, co czyni go anonimowym składnikiem masy. Przestaje istnieć nawet jako osoba, której zalety i wady były znane jej bliskim. Nikt nie wie kim jest i jeżeli czyta o sobie w prasie, spozstrzega, że dotyczące go dane są groteskowo przeinaczone. Wówczas jego poniżenie jest proporcjonalne do jego dumy i jest to przypuszczalnie sprawiedliwa kara.” Cz. Miłosz, *Noty o wygnaniu*, „Kultura” 1981, nr 3.

„Pieniądzy wystarczyło tylko na jakąś maść, – pisał – trochę pomagającą, a tu trzeba było tą ręką nie pisać, a piłować, giąć stalowy drut. Uf – łzy same do oczu napływały. Jak miałem pisać listy?”<sup>464</sup>

Także w późniejszych latach ciało wielokrotnie odmawiało mu posłuszeństwa. Zmęczone nieustannym wysiłkiem ponad siły stawiało opór, który Bobkowski wytrwale pokonywał by móc pracować czyli przetrwać. Podjął życiowe, wiążące decyzje więc mimo dolegliwości konsekwentnie narzucał sobie żelazną dyscyplinę. Wiele na temat tego, jak bardzo bywało to trudne dowiedzieć się można z listów pisanych przez autora „Pożegnania” do matki. W 1950 roku zwierzał się:

„ Co do zdrowia to w tym sezonie rzeczywiście dało mi łupnia. Bywały całe okresy, że chodziłem i ruszałem się jak w letargu, zmęczony i stratowany ciągłymi bólami reumatycznymi. [...] Najgorsze w tym to (teraz to już wiem i opanowuję jako tako), że przed przyjściem ataku nerwy zaczynają ci chodzić jak klawisze, ogarnia człowieka jakaś noc ponurych myśli, zgorzknienie, kąśliwość i bezwład. Oczywiście, że jestem przy tym wszystkim naprawdę zmęczony i przemęczony. Jedno działa na drugie.”<sup>465</sup>

Powyższe słowa powstały w okresie gdy Bobkowski zmuszony był podjąć pracę w biurze. W czasie długich, w jego najgłębszym przekonaniu marnowanych, godzin spędzanych za biurkiem powracało poczucie zniewolenia i braku kontroli nad własnym życiem. Jak donosił Stanisławie Bobkowskiej pracował dwanaście godzin na dobę; czasu poświęconego rozwojowi swojej firmy nie żałował, natomiast do otepiałej pracy buchalteryjnej jego zdaniem nie sposób się było przyzwyczaić. Sytuacja przymusu intensyfikowała fizyczne cierpienia.

„ W sierpniu doszło do tego, - pisał matce o swoim ataku reumatycznym – że wyleciałem raz z biura, jakby tknięty amokiem, i poleciałem do szpitala, do znajomego doktora, żeby robił, co chce, bo ja już nie mogę.”<sup>466</sup>

Dramat codziennych zmagania – znieawidzona praca, brak jasno zarysowanych perspektyw i wracające jak bumerang poczucie marnowanego życia nie sprzyjały Bobkowskiemu. Zanim nastał czas wygranej zdążył przeżyć długie miesiące właściwie jedynie – by tak rzec – wysiłkiem woli, mobilizując całą, nadwątloną w końcu także niełatwymi latami paryskimi, witalność. Wiele go to kosztowało i ostatecznie doprowadziło do załamania nerwowego, w co sam pisarz nie mógł uwierzyć, traktując tego rodzaju przypadłość jako fanaberię na którą nie było go przecież stać.

---

<sup>464</sup> J. Giedroyc, A. Bobkowski, *Listy 1946 – 1961*, s.51.

<sup>465</sup> A. Bobkowski, *Listy z Gwatemali do matki*, s.51 – 52.

<sup>466</sup> *Ibidem*, s.52.

„Przypuszczam, że w ten sposób wylazło ze mnie zmęczenie tych pierwszych lat tutaj, - pisał Stanisławie Bobkowskiej w grudniu 1952 roku – i to nie tyle zmęczenie fizyczne, co właśnie nerwowe. Przypuszczam, że w końcu i cały proces dostosowywania się do tego życia tutaj, reprimowania w sobie wielu rzeczy, ciągle wysokie <<C>> woli, samotność, niemożność pracy w tym kierunku, w jakim mnie zawsze i nieuleczalnie ciągnie (pisanie) – jednym słowem cała kupa imponderabiliów.”<sup>467</sup>

W tamtym momencie dręczyła go świadomość, iż ratując z europejskiej pożogi swoje człowieczeństwo nie był w stanie jednocześnie zatroszczyć się o twórczy samorozwój. Te dwa priorytety na tym etapie jego życia wzajemnie się wykluczały. Nie żałował podjętego wyboru ale był po ludzku zmęczony jego konsekwencjami i poczuciem nieodwołalności, które się pojawiło wraz z nimi. „Jak duszący sen.”<sup>468</sup> – pisał matce, podsumowując najtrudniejszy czas.

Na krótką metę wzmocniło jego siły życiowe rzucenie biurowego zajęcia, które jednak miało miejsce dopiero we wrześniu 1953 roku. Odejście sprowokowane było wydarzeniem na tle zdrowotnym, nie pozostawiającym małżonkom wyboru i wymuszającym podjęcie decyzji. Jej ciężar wzięła na siebie Barbara Bobkowska. Pisarz donosił wówczas Jerzemu Giedroyciowi:

„Wyszedłem wieczorem ze sklepu i na trzeciej ulicy upadłem i już nie mogłem się ruszyć. Byłem pewny, że to atak serca i trzeba się zabrać w ostatnią podróż. Taksówka zabrała mnie do szpitala, musieli mnie wynosić, a kiedy przyszła Basia, ledwie mogłem mówić.”<sup>469</sup>

Rzecz okazała się ostatecznie kolejnym załamaniem depresyjnym, ale sygnał zmęczonego organizmu nie został tym razem zignorowany.

„Basia wówczas przejęła sprawę w swoje ręce – kontynuował Bobkowski w tym samym liście – i zdecydowała właściwie za mnie to, czego ja nie miałem odwagi zdecydować: rzucić moje biuro. [...] Po raz nie wiem który przekonałem się, że ta moja mała Basia ukrywa w sobie siły, o jakie trudno ją podejrzewać. Bo niech Pan pomyśli: po tylu latach szamotania się, po całym życiu, w czasie którego niczego nie dorobiliśmy się, żyjąc ciągle w drewnianej chałupie bez możliwości nawet urządzenia jakiego takiego kąta, ona mi mówi: No trudno, jak będzie trzeba, zaciśniemy pasek, dość tego biura, zajmij się tylko tym, co ci odpowiada, doglądnij bardziej twojego interesu, a na pewno zaczniesz więcej sprzedawać, może z czasem uda ci się znowu wrócić do pisania.”<sup>470</sup>

Fragment ten pokazuje nie tylko rozmiary wsparcia, jakiego udzielała Bobkowskiemu żona, ale też wyraźnie odzwierciedla stopień zmęczenia pisarza po pięciu latach zmagania w Gwatemali. Długotrwały wysiłek doprowadził go w pewnym sensie donikąd, do ściany; nie odizolował od

---

<sup>467</sup> Ibidem, s.103.

<sup>468</sup> Ibidem, s.103.

<sup>469</sup> J. Giedroyc, A. Bobkowski, *Listy 1946 – 1961*, s.242

<sup>470</sup> Ibidem, s.242 – 243.

biedy, towarzyszącej mu od lat. Biedy, z którą, jak można sądzić, było mu o tyle trudno, iż nie był w niej urodzony, a zatem musiał postrzegać ją jako pewnego rodzaju anomalie, rzecz „nienormalną”, narzucony przez okoliczności historyczne permanentny dyskomfort.

Pod koniec 1957 roku Andrzej Bobkowski przeszedł pierwszą z szeregu operacji związanych ze śmiertelną chorobą. Data roczna zbiegła się z wydaniem przez Jerzego Giedroycia „Szkieł piórkem”, do którego obydwaj z Bobkowskim przygotowywali się od lat. Sukces książki połączył się zatem w życiu twórcy z początkiem kilkuletniej batalii o zdrowie. W listach do matki i do redaktora „Kultury” pisał o swoim samopoczuciu powściągliwie, bez hysterii, rzeczowo, a często także z humorem. Z wyraźną radością koncentrował się na innych tematach - w roku 1957 był to chociażby *casus* Marka Hłaski, w którym pokładał początkowo duże nadzieje, rozważając nawet możliwość udzielenia mu, jak to ujmował, „rekolekcji” w Gwatemali. O swoim zdrowiu pisał wówczas lakonicznie: „Ja mam się dobrze, w końcu marca mam być znowu u lekarza.”<sup>471</sup> Martwił się twórczym kryzysem, który go dopadł, czuł się blokowany przez własny samokrytycyzm i zmęczony formami para dziennikowymi. Koncentrował się zatem na terażniejszości, wyzwaniach jakie przynosiła.

11 września 1958 roku Bobkowski przeszedł drugą operację na skutek powiększenia się węzłów w pachwinie, w następnym roku konieczna okazała się trzecia. W październiku 1958 roku pisał do matki uspakajająco i z humorem:

„Jem dobrze, wcale nie schudłem w sumie i podobno świetnie wyglądam, więc nie przejmuję się i przygotowuję się już do sporej pracy w okresie Boż. Nar. Przez ten czas dużo siedziałem w domu, dużo czytałem i nawet – o zgrozo – przeczytałem po raz pierwszy w życiu całych *Braci Karamazow* Dostojewskiego od deski do deski. Nie wiem, czy było to oznaką choroby, czy mimo wszystkiego zdrowia – wydaje mi się, że raczej to ostatnie, bo trzeba mieć końskie zdrowie, żeby to przeczytać.”<sup>472</sup>

Pisał matce także o tym, że nie jest ze swoimi zmaganiem sam, że ma opiekę duchową – wielokrotnie, jak wspominał, odwiedzał go w klinice zaprzyjaźniony amerykański proboszcz. Koniec roku 1958 był dla małżeństwa Bobkowskich wyjątkowo ciężki, gdyż rozległą operację przejść musiała także żona pisarza. Mimo to w grudniu uspokajał on matkę, iż czuje się już dobrze i normalnie pracuje. Ostatni list skierowany do Stanisławy Bobkowskiej, spośród zebranych w przywoływanym w niniejszej pracy tomie, pochodzi z 22 kwietnia 1960 roku. Prócz kilku słów uspokojenia, promieniujących optymizmem i ufnością w wyroki Opatrzności pisarz nie poświęcił w nim miejsca chorobie. ( „[...] o tym całym choróbsku nie myślę, bo to nic nie

---

<sup>471</sup> Ibidem, s.516.

<sup>472</sup> A. Bobkowski, *Listy z Gwatemali do matki*, s.219 – 220.

pomoże, tym bardziej że w takim wypadku trzeba zdać się całkowicie na Łaskę Boga.”<sup>473</sup>) Wolał pisać o książkach, które go zajmowały i które polecał matce - były wśród nich „Il Gattopardo” Lampedusy i biografia Conrada Jocelyna Bainesa. Dodał też parę słów o własnych twórczych planach – był to czas w którym powstawał nieukończony ostatecznie „Zmierzch”. Nie miał jednak zbyt wiele nadziei na przekroczenie wyznaczonych przez siebie granic amatorskiego pisania. Na kilkanaście miesięcy przed śmiercią konstatował:

„Żeby naprawdę pisać, to trzeba PISAĆ tyle i tyle godzin dziennie, odwalać kawałek jak urzędnik. Bez tego o prawdziwym pisaniu mowy nie ma. Trzeba mieć czas się męczyć, pocić nad kartką papieru, stękać, odchodzić z bólem głowy. Inaczej, to amatorskie partactwo. Poza nie prawdopodobnie nigdy nie wyjdę.”<sup>474</sup>

W tych słowach wracał do najpoważniejszej konsekwencji swoich wyborów, przyjmując jednocześnie perspektywę człowieka pogodzonego z połowicznością zwycięstwa, jakie udało mu się w życiu odnieść. Dopóki to tylko było możliwe, pisząc do matki, swoją chorobę umniejszał i permanentnie uważał za minioną, co, jak można być przekonany, miało ją uspokoić i pocieszyć.

Z Jerzym Giedroyciem rozmawiał inaczej, bez ogródek wyznając mu, że liczy się z możliwością śmierci, jak też i to, że przemknęła mu przez głowę myśl o samobójstwie.

„No może nie będzie tak źle – pisał do redaktora we wrześniu 1958 roku, na parę dni przed operacją – w każdym razie mam zamiar walczyć do ostatka, tzn. do ostatniego kawałka możliwego do wycięcia. Życia sobie nie odbiorę, bo 1. to sprzeczne z moimi zasadami, a 2. To też przeżycie, a to coś warte. Byleby tylko zanadto nie cierpieć i mieć dość pieniędzy na te szaleństwa.”<sup>475</sup>

Próbował oswoić sytuację w jakiej się znalazł, nabrać do niej dystansu czy nawet uczynić z cierpienia i śmierci doświadczenie warte dotknięcia, kontynuację doznań, jakie do tej pory przynosiło trwanie. Nie szukał łatwych pocieszeń, wiedział, że zbliża się do krawędzi niepojętego. Przez całe życie jako apologeta wolności dostrzegał, jak ważny jest jej nadprzyrodzony fundament. Był przekonany, iż bez poszukiwań, choćby religijnych, jego „pokoleniu uciekinierów etycznych” grozi swoiste, duchowe niewolnictwo<sup>476</sup>. Mając świadomość własnej niedoskonałości jako katolika, pozostawał człowiekiem wierzącym, a jego religijność

<sup>473</sup> Ibidem, s.224.

<sup>474</sup> Ibidem, s.226.

<sup>475</sup> J. Giedroyc, A. Bobkowski, *Listy 1946 – 1961*, s.539.

<sup>476</sup> Rozważania na ten temat pojawiły się na przykład w *Spotkaniu* z 1956 roku, gdzie Gilbert, bohater opowiadania, dyskutował ze sobą „broniąc się przed prostym stwierdzeniem, że bez głębokiej wiary w coś, może choćby tylko w Boga, wszystko było bez sensu i wszystko było niewolnictwem, [...]”, A. Bobkowski, *Spotkanie*, [w:] A. Bobkowski, *Punkt równowagi*, s. 268. Inna postać z tego opowiadania posłużyła się określeniem „pokolenia uciekinierów etycznych”, ibidem, s.262.

Michał Chmielowiec nazwał słusznie „dyskretną, wstydliwą a żarliwą”<sup>477</sup>. Nie czyniąc z Boga sztandaru, zachowywał w swych metafizycznych rozważaniach - których ślady odnaleźć można także w listach - skromność, pokorę i niepewność człowieka świadomego własnej ograniczoności. Te poszukiwania kontynuował z całym przekonaniem również wówczas, gdy był już śmiertelnie chory. Wtedy jednak, jak się zdaje, na ile tylko było to możliwe, pozwolił sobie na ufność, pewność. Osiągnięciu stanu zawierzenia Bogu, sprzyjał na pewno kontakt z ojcem Innocentym Bocheńskim.

„To jednak fajna głowa – pisał o duchownym do Giedroycia w 1959 roku – W tych dniach wraca do Fryburga. Napisał mi, że odprawił mszę na moje konto, z czego się bardzo ucieszyłem, bo to jedno mi zostało.”<sup>478</sup>

Jak to już zostało powiedziane, nie czuł się jednak nawet wówczas, w ostatnich latach przed śmiercią, katolikiem pozbawionym wątpliwości. Zdawał sobie sprawę, że wiara traktowana bezrefleksyjnie oddalić może człowieka od Boga, a już na pewno od bliźniego. Pisząc „Czarny piasek” zwierzał się Giedroyciowi:

„Czym bliżej śmierci, tym jestem w coraz większej niezgodzie z tymi wszystkimi esami – floresami normalnie przyjętego katolicyzmu. [...] Nie – Bogu co boskie, a cesarowi co cezara rozumiem jako Bogu co boskie i życiu co życia.”<sup>479</sup>

Życie to prawo do wątpliwości, do niezgody na przemijalność odczuwanej niemal organicznie, wreszcie – do buntu. Pisarz nie chciał i nie mógł deprecjonować doczesności, bo ona definiowała go duchowo –w jego przekonaniu zbudowało go przede wszystkim to, co świadomie przeżył. W obliczu śmierci, jak sądził, człowieczeństwo jest w dużej mierze równoznaczne z tęsknotą za trwaniem.

„Śmierć. – pisał w eseju *Wielki Akwizytor* – Myśli się o niej, mówi i pisze, nadużywa jej imienia na każdym kroku, ale prawie zawsze, gdy chodzi o drugich, lub gdy miga z daleka. I nawet wtedy, gdy ukaże się w monstualnym zbliżeniu, wskazując palcem wyraźnie, najpełniejsza rezygnacja nie jest nigdy całkowicie pełna. Pozostaje jakiś luz, jakaś przedziwna szpara, w którą gdyby wepchało się wszystko, gdyby wypełniło się ją pakunkiem całej wiary, wszystkimi słowami Chrystusa i doszlifowało osobno z precyzją <<bądź wola Twoja>> jako wkładkę, to jeszcze ciągle pozostanie szczelina. A w niej zaciśnięte, sprasowane jak ładunek dynamitu,

<sup>477</sup> M. Sambor [ M. Chmielowiec], *Uwagi o prozie beletrystycznej*, [w:] *Literatura polska na obczyźnie 1940 – 1960*, red. T. Terlecki, Londyn 1964, t.1 s.179. O korespondencyjnej przyjaźni Andrzeja Bobkowskiego i Michała Chmielowca ( twórcy spotkali się pierwszy raz w sierpniu 1956 roku w Monachium, kiedy to Bobkowski w czasie swojej europejskiej podróży mieszkał u Chmielowców przez kilka dni) pisał Krzysztof Ćwikliński („Trzy listy Andrzeja Bobkowskiego do Michała Chmielowca”, „Twórczość”, nr 10, październik 2007.) K. Ćwikliński opracował też tytułowe listy zamieszczone w tym samym numerze pisma.

<sup>478</sup> J. Giedroyc, A. Bobkowski, *Listy 1946 – 1961*, s.567.

<sup>479</sup> Ibidem, s.575.

gniecie się życie; zawsze gotowe do wybuchu, pełne niewyraźnych szeptów, nadziei, marzeń o przyszłości. O przyszłości tu – nie Tam.”<sup>480</sup>

Nadzieja na przeżycie, na przyszłość, a potem pogodzenie się z nieuchronnym ze świadomością, że rezygnacja nigdy nie będzie pełna. Bobkowski wiedział, iż przed nim taka właśnie kolej rzeczy, że pozostało mu już tylko wywarzyć proporcje tak, by zachować godność. Nie chciał zachowywać się jak spanikowane zwierzę w klatce, przybrać wobec wieczności postawę spłoszonego uciekiniera. Pragnął odejść w poczuciu sensowności trudu, z którym się zmierzył, nadać kształt wysiłkowi całego życia. Zamknąć je klamrą, uwierzyć, że stanowiło jego własną drogę do człowieczej pełni. Ale przyjęcie takiego sposobu myślenia, czy też mówiąc wprost – umierania, nie było łatwe. W notatniku z ostatnich lat życia, w czerwcu 1959 roku, napisał:

„A więc jednak. Pojutrze operacja – trzecia runda meczu bokserskiego. [...]

Rano wstałem wcześniej, o siódmej, i bez śniadania pojechałem do kościoła, do „Maryknoll” do spowiedzi i do komunii. Jak się należy do tego <<Dżokej klubu>>, to trzeba zachowywać reguły. Nie wiedziałem właściwie z czego się spowiadać. Tak jak w mojej sztuce mówi gdzieś Maria: <<Jest tylko jeden grzech – wyrządzić komuś krzywdę>>. Nikomu jej nigdy nie wyrządziłem. Katabas był w kłopotcie – raczej on nie ja. – Did you get angry? Spowiadałem się po angielsku, z fasonem. – Angry? Niby dlaczego? Nigdy. Po cholere get angry, gdy życie jest takie piękne? [...]

Powiedziałem pocziwemu <<pomidorowi>> (Nie wiem dlaczego, ale tak nazywaliśmy w gimnazjum naszego katechetę ks. dr. Czopulę) – że w czasie tej przerwy między rundami z tą wściekłą chorobą miałem ochotę przestać wierzyć. Niby co? Śmierć. To znaczy nic – przechodzi się w nicość. Jeszcze nigdy dotąd nie miałem takiej pokusy powiedzenia sobie <<Nic>>. To nawet ciekawe. Ale jak mu to powiedziałem, przyszło mi na myśl <<Szatan czuwa>> - jak te napisy we francuskich pociągach w czasie wojny. Der Feind hört zu. Nie – WIERZĘ. Niech się dzieje co chce – wierzę. Parę dni temu, pijąc kawę przy kontuarze spotkałem studenta amerykańskiego z Texasu. Rozmowa zesłała na te rzeczy. <<Gdyby nie wiara, że coś się dzieje potem, to życie byłoby nonsensem>> – powiedział mi w pewnej chwili. Rzeczywiście to całe życie nie miałoby sensu. Po cholere męczyć się, nie wyrządzać krzywdy, not to get angry etc..po cholere, pytam się.”<sup>481</sup>

Stając przed ostatnim ważnym wyborem, podjął decyzję jakby rzucał się na głęboką wodę; pewny był jedynie tego, iż będzie to najważniejszy gest duchowy, jaki wykona, pozwalający

---

<sup>480</sup> A. Bobkowski, *Wielki Akwizytor*, „Kultura” 1958, nr 12. Przedruk [w:] *Zmierzch i inne opowiadania*, Biblioteka „Więzi”, Warszawa 2007.

<sup>481</sup> A. Bobkowski, *Fragmety notatnika Andrzeja Bobkowskiego z ostatnich lat życia*, [w:] J. Giedroyć, A. Bobkowski, *Listy 1946 – 1961*, s.711. Pierwodruk: *Fragmety z notatnika*, „Kultura” 1961, nr 9.



nadać sens wszystkiemu czego doświadczył. Pocieszenie wynikłe z wiary nie miało jednak łatwego charakteru, było także rodzajem wyzwania. Bobkowski nie wyobrażał sobie życia wiecznego w kategoriach doczesnych, tym samym nie szedł na duchową łatwiznę, nie pozwalał sobie na religijny infantylizm, na zaprzeczenie istnieniu śmierci. Był na tyle odważny by uznać, że to, co czeka go po drugiej stronie jest z perspektywy doczesnej rodzajem wielkiej pustki.

„Wcale sobie nie wmawiam, że ona właściwie nie istnieje, – pisał o śmierci do Tymona Terleckiego 3 września 1959 roku – że życie idzie dalej, piękniejsze, wieczne i inne chmaje – muje. Bzdury, bieżące brednie powszednich chrześcijan i niedzielnych katolików. Nie przeczenie śmierci jakimis obiegami i chowaniami się, lecz przewyciężenie jej przez wzięcie jej całkiem na serio j a k o k o n i e c z y c i a, świata, wszystkiego – kobiety, wina i śpiewu, a siłę i sens czerpie się z ufności w nadprzyrodzone miłosierdzie Boskie – czego nikt nie rozumie i nigdy nie zrozumie (na całe szczęście – amen).<sup>482</sup>

Na trzy lata przed śmiercią, w 1958 roku, Andrzej Bobkowski w liście do Jerzego Giedroycia nie koncentrował się na swojej chorobie, przeciwnie - prosił o nowiny, komentował dramat Borysa Pasternaka<sup>483</sup>, opowiadał o przygodach lekturowych ( i tu także wrócili, ocenieni bezlitośnie, „Bracia Karamazow”). Konsekwentnie jednak odmawiał przyjęcia pieniędzy, oferowanych mu jako zaliczka na poczet książki, którą miałby napisać. Nie chciał podjąć się jakiegokolwiek zobowiązania jako twórca, dokładać sobie do codziennych trosk poczucia finansowego długu u przyjaciela – wydawcy. „[...] o pisaniu tym czasem nie myślę - stwierdzał – i zobowiązanie do takowego powiększyłoby tylko moje męki.”<sup>484</sup> (Ostatecznie jednak zaliczkę przyjął, pełen wiary, iż starczy mu czasu by na nią „zasłużyć”.)

Wśród innych trosk dopadło go też uczucie „pracowania w kompletnej pustce”<sup>485</sup> i utrata wiary w to, czy jest w ogóle sens się szarpać<sup>486</sup>. Zwierzał się także redaktorowi, iż zdruzgotała go choroba żony. „I pomimo wszystko n i e m a m o c h o t y zdechnąć”<sup>487</sup> – konstatował w liście z 12 listopada 1958 roku. W ostatnich latach, tak jak przez całe życie, bardzo zachłannie czytał. Przykładowo - w niespełna dwa tygodnie później prosił redaktora „Kutury” o „Doktora Żiwago” po francusku, „Wikliny” Staffa, biografię Conrada Aubry’ego a także „Nostromo”, „Złotą strzałę”, „Młodość”, „W oczach Zachodu”, „Freyę z wysp”. Prócz Conrada czytał wówczas także „Lolite” Nabokowa i ważną dla tamtych czasów pozycję „The ugly American” Eugene Burdicka i Wiliama J. Lederera. Nie zasklepiął się w sobie, pozostał ciekawy świata, nie chciał pozwolić by

---

<sup>482</sup> A. Bobkowski, *Listy do Tymona Terleckiego*, s.119.

<sup>483</sup> Napisał na ten temat cytowany już esej pod tytułem „Wielki Akwizytor”.

<sup>484</sup> J. Giedroyc, A. Bobkowski, *Listy 1946 – 1961*, s.557.

<sup>485</sup> Ibidem, s.556.

<sup>486</sup> Ibidem, s.556.

<sup>487</sup> Ibidem, s.560.

choroby przysłoniły mu poznawczy horyzont. Wciąż pochłaniał książki, pracował, a wolnych chwilach planował odpoczynek dla żony i siebie. „To się nam bez przesady należy w tym roku. Co za rok – w życiu takiego nie miałem.”<sup>488</sup> – pisał w grudniu 1958. Wakacyjną podróż udało się im odbyć na przełomie stycznia i lutego; była przerwą w codzienności, dobrym, дарowanym czasem, przy czym w porównaniu do wojaży z lat młodości dramatycznie krótkim:

„Z końcem stycznia i parę dni lutego wyjechaliśmy na 5 dni nad jezioro. - pisał – Pogoda była bajkowa, pływałem, jeździliśmy na spacer. No i zacząłem pisać.”<sup>489</sup>

Rzecz, która zajmowała go twórczo w lutym 1959 roku był, wspomniany już, „Czarny piasek”, sztuka teatralna, mająca pierwodruk w „Kulturze” tegoż roku. W lipcu był już po kolejnej operacji i myślał z wdzięcznością o ewentualności przeżycia choćby kolejnych paru miesięcy bez pogorszenia stanu zdrowia. Nie wymagał już od losu więcej. „[...]choćby znowu 8 miesięcy bez zmian. 8 miesięcy to zawsze coś.”<sup>490</sup> Czas zaczął dla niego przyśpieszać, własna, boleśnie odczuwana, przemijalność nie dawała o sobie zapomnieć:

„Teraz od pewnego czasu ogarnął mnie cholerny pośpiech. – pisał redaktorowi – Czego się tknę, to mi się wydaje, że nie zdążę. Nieprzyjemne uczucie.”<sup>491</sup>

W październiku tegoż roku dodawał: „Jesteśmy i minimy, po co przejmować się głupstwami. Robić swoje tak długo, jak się da – to najważniejsze.”<sup>492</sup>

Powoli, stopniowo doskonalił się – by tak rzecz ująć – w sztuce umierania. Dopracowywał pod okiem przyjaciela własną filozofię odchodzenia. Nie było w niej nic pretensjonalnego, nic na pokaz, żadnego wielosłownia i ani śladu buty czy poczucia własnej wyjątkowości. Radość chwili, praca, zgoda na codzienny dyskomfort związany z chorowaniem - to filary tej pełnej godności postawy.

Cały czas, na ile to tylko było możliwe, żył dynamicznie, jeszcze w lutym 1960 roku donosił Giedroyciowi o planowanej podróży handlowej obejmującej góry i wybrzeże Pacyfiku. Nie ustawał w wysiłkach zawodowych jak też twórczych. Napisał szkic o Conradzie. Interesowały go przemiany na politycznych scenach świata, udawało mu się być uważnym obserwatorem rzeczywistości. Do końca pozostał bardzo gościnny – latem 1960 roku z entuzjazmem przyjął w swoim domu literata Pawła Mayewskiego i cieszył się z rozmów, jakie udało im się przeprowadzić. Usilnie namawiał też na przyjazd do Gwatemali redaktora „Kultury”; niestety zamysłu tego nie udało się zrealizować. Nie spotkali się także w USA wiosną 1961 roku, gdy

---

<sup>488</sup> Ibidem, s.564.

<sup>489</sup> Ibidem, s.571.

<sup>490</sup> Ibidem, s.592.

<sup>491</sup> Ibidem, s.593.

<sup>492</sup> Ibidem, s.606.

Andrzej Bobkowski był tam po raz ostatni. W styczniu 1961 roku pisarz cieszył się z mnogości listów, które wówczas do niego dotarły. „Ludzie masowo się do mnie odezwali myśląc pewnie, że ja już niedługo wykituję.”<sup>493</sup> – pisał Giedroyciowi pół żartem. Ostatni list Bobkowskiego zamieszczony w omawianym tomie pochodzi z 20 marca 1961 roku; swój stan zdrowia, a w szczególności nerwów, pisarz określił w nim jako rozpaczliwy, przyznał też, że niemal nie sypia<sup>494</sup>. Nie przeszkodziło mu to szykować się do amerykańskiej podróży, która jednak miała mieć inny charakter niż wcześniejsze wypadki w tamte strony. Wiązała się z oględzinami lekarskimi, nie wywoływała tak dużego jak poprzednio entuzjazmu. Samotne włóczęgi po kinach czy ulicach miały pomóc pisarzowi się wyciszyć, a dopiero w dalszej kolejności rozbudzić chęć na ewentualne – tak wcześniej lubiane – spotkania towarzyskie.

Andrzejowi Bobkowskiemu udało się umrzeć spokojnie i z godnością. Fragmenty wspomnianego już wyżej notatnika, prowadzonego w ostatnich latach życia, zamyka zapis z grudnia 1960 roku. Kilka dodanych potem zdań nie jest opatrzonych datą. Notatnik prowadzony był od 6 października 1958 roku i stał się niezwykłym zapisem pożegnania z doczesnością. W obliczu śmiertelnego zagrożenia twórca decydował się pisać już niemal tylko o tym, co najistotniejsze: życiu, lęku, sposobach mentalnego radzenia sobie z traumą nowotworu. Książki wciąż czytał, lecz, jak sam przyznawał nie miał już siły ich omawiać. Ten nietypowy dziariusz jest próbą zdystansowania się od koszmaru prywatnej historii. Bobkowski powrócił tu do metody jaką stosował spierając się z Historią przez wielkie H. – pisał, by złapać dystans, zachować odwagę, sformułować myśli, w jakiś sposób wygrać samego siebie. Inaczej mówiąc by „przetrwąć” tę „ostatnią prostą” z piórem w ręku, a zatem godnie, tak jakby była to kolejna potyczka z losem. Jednocześnie jednak przeczuwał, iż tym razem nieodwołalnie przegrywa; że do życia wrócić może już tylko pozornie, pozostając w głębi duszy w stanie wyczerpującej gotowości.

W tych skąpych notatkach, obejmujących siedem datowanych zapisów pojawiło się też kilka słów dotyczących kilkudniowej podróży Bobkowskich nad morze. Dorosłe życie pisarza zatoczyło tutaj koło, zamknęło się klamrą. W czasie swojej śródziemnomorskiej peregrynacji z początków wojny potrafił niemal roztopić się w błękicie nieba i wody, a tym samym zatrzymać czas by żyć w błogosławionym „teraz”, na bazie którego powstała jego prywatna filozofia przetrwania. Wtedy pisał:

---

<sup>493</sup> Ibidem, s.682.

<sup>494</sup> Ibidem, s.668.

„Najważniejsze jest TERAZ i trzeba się nie bać wyssać to TERAZ do końca, potem odrzucić i zastanowić się, jakby następne TERAZ najlepiej wykorzystać.”<sup>495</sup>

A w innym miejscu:

„Słońce wyjada ze mnie wszystkie kolory, wybiela wewnątrz i czerni tylko skórę. Jestem bryłą mięsa. Wchodzę do wody i jestem rybą. Chłód wody podziałał na mnie, jak przejechanie ręką po całej klawiaturze fortepianu. Zapełniam się tonami i półtonami, barwię się. Wyśnił mi się sen o morzach południowych Londona i Maughama. Nurkuję. Woda jest zielonkawa. Odwracam się na wznak i jadę wolno w górę, jak cichy lift. Na którymś piętrze mijam zawieszoną w szmaragdzie różową meduzę. A potem znowu słońce.”<sup>496</sup>

Tamto lato było dla pisarza swoistym prezentem od losu - zatrzymanym ponad szaleństwem historii okruczem młodości. Nauczyło go jak radzić sobie ze strachem i kolejami życia na które nie sposób mieć większego wpływu. Wiele lat potem, zmagając się ze śmiertelną chorobą, znowu wyjechał nad morze i niemal dokładnie tak jak przed laty pisał:

„Trzy dni nad morzem. Tropik. Gorące dni, noce, woda, wszystko.”<sup>497</sup>

A prawie miesiąc później, w osobnym zapisie, pojawiła się refleksja:

„Żyję <<teraz>>. Żaden inny czas dla mnie nie istnieje. I to <<teraz>>, które dawniej było tak nieuchwytnie, materializuje mi się na każdym kroku. O przeszłości nigdy nie lubiłem myśleć, o przyszłości teraz w ogóle nie myślę. I to ma wielki urok.”<sup>498</sup>

Zanurzenie w terażniejszości stało się ponownie jedynym sposobem na codzienność, dobrze już znaną strategią przetrwania, która zawsze przynosiła rezultaty. Przeciwnikiem z jakim należało się zmierzyć był nie tylko rak, ale też strach. Bobkowski pisał o nim zwięźle, przejmująco i obrazowo: „Znowu. Wczoraj, w czasie badania miesięcznego, lekarz stwierdził powiększenie gruczołu pod lewą pachą. Kartka do kardiologa – prześwietlić płuca. A już mi się zdawało... Miałem wrażenie, że ktoś gorącą, świeżą krwią oblał mi głowę.”<sup>499</sup>

Po kolejnej operacji wrócił do swoich zajęć, pozwalał by natłok pracy rozpraszał myśli o chorobie, przygotowywał się do odejścia dyskretnie, jednocześnie niemal łączywie chwytając kolejne dni. Jak kiedyś na przekór Historii, tak teraz na przekór śmierci żył pełnią życia.

„Rok i pół. Nic. – zanotował w grudniu 1960 rok – Chłodny wieczór. Odgłosy petard z ulicy. Rok i sześć miesięcy mignęły jak mgnienie oka. Nie myślałem, że dożyję do dzisiaj. Cieszę się życiem, choć śmierć stale stoi poza moimi plecami. Czuję ją zawsze. Poszedłem na koegzystencję

---

<sup>495</sup> A. Bobkowski, *Szkice piórkiem...*, t.1, s.93.

<sup>496</sup> Ibidem, s.57.

<sup>497</sup> A. Bobkowski, *Fragmety notatnika Andrzeja Bobkowskiego z ostatnich lat życia*, s.710.

<sup>498</sup> Ibidem, s.710.

<sup>499</sup> Ibidem., 710.

i jakoś się to udaje. Szalona rozkosz życia, zwyczajnego istnienia, kręcenia się, pracy, najdrobniejszych głupstw. Na stole rzodkiewka. Jedzmy rzodkiewkę. I pijmy piwo. Ubóstwione piwo. Nastrój przedświąteczny.”<sup>500</sup>

Święta, o których pisał były jego ostatnim Bożym Narodzeniem. Zmarł 26 czerwca 1961 roku. Jego śmierć żona Barbara określiła jako cichą i spokojną jak rzadko bywa<sup>501</sup>; udało mu się odejść bez gwałtownego lęku, umrzeć tak, jakby wyruszał w od dawna przygotowaną podróż.

---

<sup>500</sup> Ibidem., s.712.

<sup>501</sup> B. Bobkowska, *Fragment listu Barbary Bobkowskiej do Aleksandra Bobkowskiego*, [w:] J. Giedroyc, A. Bobkowski, *Listy 1946 – 1961*, s.706.

## ZAKOŃCZENIE

Formy diarystyczne i epistolograficzne pozostałe jako spuścizna po Andrzeju Bobkowskim odzwierciedlają osobowość tragiczną, uwikłaną w spór z historią. Wybitnie inteligentny, świetnie wykształcony młody ekonomista z dobrej rodziny skonfrontować się musiał z pokoleniową traumą skompromitowanego człowieczeństwa i zdegradowanej kultury. Jego najważniejszym celem pozostało zachowanie twarzy czyli poczucia, iż żyje przyzwoicie, w zgodzie z własnym sumieniem. Chciał też umrzeć „nie w tłumie”, co w piekle XX wieku wydawać się mogło ambicją zbyt wygórowaną. Tym bardziej, że zależało mu na tym, by to pragnienie zaspokoić dzięki własnym decyzjom i pracy, bez oglądania się na czyjekolwiek wsparcie. Wybrał Gwatemalę mimo iż Europę kochał, czując się duchowo jej dzieckiem. Ta sprzed katastrofy ukształtowała go wszak najdoskonalej - dziełami swych pisarzy jak też filozofów uformowała osobowość, przekonania, umocniła kręgosłup; Bobkowski miał tego świadomość. Wiedział, iż we Francji narodził się po raz drugi, ona oszlifowała jego intelekt, nauczyła myśleć. Ale po wojnie kraj ten stał się dla niego nieudolną kopią samego siebie, Francja to falsyfikat obrazu – pisał do Giedroycia – prawdziwy zaginął w historii.<sup>502</sup> By kontynuować tę metaforę Gwatemala, jego przybrana ojczyzna, była obrazem oryginalnym, lecz – w przeciwieństwie do zaginionej Francji - nie arcydziełem. Jej podstawową zaletą było to, iż pozwalała zachować twórcy przytomność umysłu, poczucie rzeczywistości i postawę wyprostowaną. Wadą natomiast był gwatemalski klimat intelektualny, duchowa pustynia, na której Bobkowski chciał zbudować swoją podbudowaną etycznie normalność, obiekt wielkiej powojennej tęsknoty. Wiele wysiłku włożył w to, by mieć poczucie sukcesu; troskliwie pielęgnował też radość życia, z uwagą magazynując dobre chwile w nowej ojczyźnie. Lecz mimo iż zaklinał rzeczywistość, uporczywie powracało poczucie zawodu, bezdennej duchowej samotności w obcym kulturowo środowisku. Gwatemala nie była – w przeciwieństwie do starej Europy – przestrzenią konwersacji, w jakimś sensie zamykała Bobkowskiemu usta, skazywała na nieustające wrzenie w głowie niewypowiedzianych myśli.

Jego powojenna trauma wykluczenia duchowego i wynikłej stąd konieczności walki o swoje człowieczeństwo, była doświadczeniem wspólnym dla całej formacji intelektualnej. Dramat drugiej wojny światowej a potem – jeśli dane było im przeżyć - poczucie swoistego niedopasowania do szeroko rozumianej nowej rzeczywistości połączył część intelektualistów z całej Europy. Stąd myśl, by kontekstem dla twórczości Bobkowskiego, poza tekstami rodzimych

---

<sup>502</sup> J. Giedroyc, A. Bobkowski, *Listy 1946 – 1961*, s. 173. Bobkowski napisał w tym miejscu: „Cała gra o Francję jest po prostu graniem o falsyfikat cennego obrazu. Prawdziwy zaginął w historii.”

twórców, były dzienniki Mihaila Sebastiana, Sándora Máraiego czy Jonasa Mekasa. Głosy rumuńskiego pisarza, węgierskiego mistrza pióra czy litewskiego poety „przylegają” do myśli autora „Szkiców piórkiem”, ukazując uniwersalność doświadczenia samotności umysłów udręczonych oblędem dwudziestowiecznego świata. Po drugiej stronie barykady – choć też nie całkowicie i nie w oczywisty sposób – pozostawał Ernst Jünger, którego przywołuję przekonana przez Wojciecha Kunickiego, który dostrzegł interesujące powiązania między diariuszami Niemca i Polaka, przebywających w czasie okupacji w Paryżu<sup>503</sup>.

W okresie gwatemalskim swojego życia Andrzej Bobkowski zafascynował się Stanami Zjednoczonymi; kraj ten, do którego chętnie podróżował, stanowił dla niego źródło inspiracji i generował wiele pozytywnych emocji. Energia, jaką przypisywał mieszkańcom USA była tego samego gatunku, co jego własna – pozwalała tworzyć od podstaw, umożliwiała ciężką ale efektywną pracę. Pisarz wiedział, iż gdy popatrzeć na to z określonej perspektywy, jemu także wysnił się w Gwatemali amerykański sen; miewał chwile, w których czerpał satysfakcję z faktu, iż wpisuje się w pochodzący z tamtej części świata paradygmat człowieka sukcesu. USA były bowiem kwintesencją wielowymiarowego „teraz”, kluczowego w filozofii istnienia pisarza. Zwycięskie i dumne zdawały się stwarzać od podstaw świat nowoczesny, nietknięty kompromitacją, przyjazny człowiekowi. W optyce Bobkowskiego były też po prostu „młode”, w przeciwieństwie do gwałtownie postarzałej po wojnie, zmurszałej Europy. Jego osobista tragedia wynikała jednak z faktu, iż inspirujący amerykański sposób myślenia nie mógł stać się na co dzień jego strategią przetrwania; ciągle tlił się w nim bowiem świat, z którego się wywodził, jego własna Europa, zawarta w stopniu zaangażowania w to, co wokół, w permanentnym głodzie wartościowej myśli i wyrosłej z niej dyskusji. Nie było mu zatem łatwo w Gwatemali, nawet widzianej przez pryzmat amerykański. Mimo wszystko pokochał nową ojczyznę, doceniając fakt, iż w zamian za ciężką pracę zyskał poczucie przynależności, godności, spokoju sumienia. Być może nie była to wielka miłość, ale wysiłek był na pewno gigantyczny, co wystarczyło by na zawsze związać polskiego twórcę z tą przestrzenią. Stało się zatem trochę tak, jak w „Dzienniku” Máraiego, który obserwując na emigracji w 1954 roku swego przybranego syna, zanotował:

„János zbudował sobie szałas w zaroślach Innwood Hill – prawdziwy indiański szałas z gałęzi i suchych liści. To rzeczywiste zdobycie ojczyzny – człowiek, który w obcym świecie dwiema własnymi rękami stawia szałas, i od tej przenośnej nieruchomości zaczyna owo tajemnicze <<budowanie>>, które staje się dlań domem i ojczyzną. János zbudował szałas całkowicie sam,

---

<sup>503</sup> Por. także: M. Urbanowski, *Doświadczenie historii w dziennikach wojennych ( Na przykładzie Szkiców piórkiem Andrzeja Bobkowskiego, Promieniowań Ernsta Jüngera oraz Journal 1939 – 1945 Pierre’a Drieu la Rochelle’a )*, [w:] *Zapisywanie historii. Literaturoznawstwo i historiografia*, t. 90, pod redakcją W. Boleckiego i J. Madejskiego, Instytut Badań Literackich PAN Wydawnictwo, Warszawa 2010, s.187 – 197.

co bardzo słuszne, bo ojczyznę trzeba zdobyć własnoręcznie. Wszystko inne to spekulacja gruntami.”<sup>504</sup>

Andrzej Bobkowski zbudował sobie ojczyznę od podstaw, rzucając wyzwanie historii, która przeznaczyła mu życie w pogorzelisku. Nie przyjął jej wyroku, zawalczył o siebie z odwagą i konsekwencją. Wierzył, że decyzja o wyjeździe „na koniec świata” zagwarantuje mu normalność po latach spędzonych w oszalałej Europie. Jak się zdaje już wtedy wiedział jednak, że tak czy inaczej pozostanie na posterunku, bo moment, w którym żył, był czasem frontu i to frontu, którego linia, wedle jego własnych słów, „przebiegała wszędzie, a przede wszystkim w każdym człowieku, w każdym poszczególnym obywatelu każdego kraju.”<sup>505</sup> Mimo wszystko spróbował żyć szczęśliwie, nie zgodzić się na to, by wielka historia przytłoczyła go i złamała. Czy jednak miał w starciu z nią realne szanse? Czy człowiek jest w ogóle predysponowany do wygranej z losem – rozumianej jakkolwiek – skoro ostatecznie czeka go śmierć? Pewnie nie. Ale konsekwentnie podejmowane próby walki o siebie dają szansę na życie niezwykle. Andrzej Bobkowski tę swoją w pełni wykorzystał.

---

<sup>504</sup> S. Márai, *Dziennik*, s.211.

<sup>505</sup> J. Giedroyć, A. Bobkowski, *Listy 1946 – 1961*, s.320.



## BIBLIOGRAFIA

### Literatura podmiotowa

- A. Bobkowski do M. Grydzewskiego – *Listy*, opracował K. Ćwikliński, „Archiwum Emigracji”, Toruń 1998, z 1.
- A. Bobkowski, *Coco de Oro. Szkice i opowiadania*, Instytut Literacki, Paryż 1970.
- A. Bobkowski, *Fragmenty notatnika Andrzeja Bobkowskiego z ostatnich lat życia*, [w:] J. Giedroyć, A. Bobkowski, *Listy 1946 – 196*, wybrał, opracował i wstępem opatrzył J. Zieliński, Archiwum „Kultury”, Warszawa 1997. Pierwodruk: *Fragmenty z notatnika*, „Kultura” 1961, nr 9.
- A. Bobkowski, *Ikkos i Sotion oraz inne szkice*, zebrał i opracował P. Kądziała, Biblioteka „Więzi”, Warszawa 2009.
- A. Bobkowski, *Kazanie i śmierć ojca Paneloux*, „Kultura”, Paryż 1948, nr 4. ( tłumaczenie fragmentu *Dżumy* Camusa ).
- A. Bobkowski, *Keyserling*, „Horyzonty” (Fryburg) 1946, nr 7 i 8.
- A. Bobkowski, *List do Kazimierza Wyki*, „Dekada Literacka” 1993, nr 5.
- A. Bobkowski, *Listy do Andrzeja Chciuka i Szymona Konarskiego*, „Wiadomości” 1962, nr 32/33.
- A. Bobkowski, *Listy do Tymona Terleckiego 1956 – 1961*, opracowała i posłowiem opatrzyła N. Taylor – Terlecka, Biblioteka „Więzi”, Warszawa 2006.
- A. Bobkowski, *Listy z Gwatemali do matki*, słowo wstępne W. Odojewski, opracowała E. Jurczyszyn, Wydawnictwo Książkowe Twój Styl, Warszawa 2008.
- A. Bobkowski, *Na tyłach*, „Kultura” 1949, nr 16/17.
- A. Bobkowski, *Opowiadania i szkice*, Warszawa 1994.
- A. Bobkowski, *Punkt równowagi*, wybór i opracowanie K. Ćwikliński, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2008.
- A. Bobkowski, *Pralnia „Pod wezwaniem Ducha Świętego”*, do druku podała B. Shallcross, „NaGłos” 1993, nr 12.
- A. Bobkowski, *„Przysiągłem sobie, że jeśli umrę to nie w tłumie...” Korespondencja z Anielą Mieczysławką 1951 – 1961*, do druku podał, wstępem i przypisami opatrzył A.S. Kowalczyk, Wydawnictwo Ruta, Wałbrzych 2003.
- A. Bobkowski, *Sienkiewicz*, „Wiadomości” 1961, nr 11.
- A. Bobkowski, *Synopsis życiorysu*, [w:] J. Giedroyć, A. Bobkowski, *Listy 1946 – 1961*, wybrał, opracował i wstępem opatrzył J. Zieliński, Archiwum „Kultury”, Warszawa 1997.

- A. Bobkowski, *Szkice piórkami, Francja 1940 – 1944*, Instytut Literacki, Paryż 1957, niedatowany, drugoobiegowy przedruk za tą edycją; wyd. IV, Towarzystwo Opieki nad Archiwum Instytutu Literackiego w Paryżu, Warszawa 2001.
- A. Bobkowski, „*Tobie zapisuję Europę*”. *Listy do Jarosława Iwaszkiewicza 1947 – 1958*, podał do druku i opracował J. Zieliński, Warszawa 2009.
- A. Bobkowski, *Trzy listy do Józefa Wittlina*, opracował K. Ćwikliński, „Przegląd Artystyczno – Literacki” 1999, nr 6.
- A. Bobkowski, *W Chatillon*, „Wiadomości” 1973, nr 21.
- A. Bobkowski, *Wielki Akwizytor*, „Kultura” 1958, nr 12. Przedruk [w:] tenże, *Zmierzch i inne opowiadania*, Biblioteka „Więzi”, Warszawa 2006.
- A. Bobkowski, *Zabawa w drożdże. Notatka z rozmowy z Borejszą*, „Więź” 20011, nr 5 – 6.
- A. Bobkowski, *Zachód nareszcie wyzwala*, „Kultura” 1955, nr 1- 2.
- A. Bobkowski, *Z dziennika podróży*, Biblioteka „Więzi”, Warszawa 2006.
- A. Bobkowski, *Zmierzch i inne opowiadania*, Biblioteka „Więzi”, Warszawa 2007.
- A. Bobkowski, Z. Koziański, *Sprawozdanie z działalności Biura Polskiego przy Atelier de Construction de Chatillon w czasie okupacji niemieckiej*, [w:] J. Giedroyć, A. Bobkowski, *Listy 1946 – 1961*, wybrał, opracował i wstępem opatrzył J. Zieliński, Archiwum „Kultury”, Warszawa 1997.
- J. Giedroyć, A. Bobkowski, *Listy 1946 – 1961*, wybrał, opracował i wstępem opatrzył J. Zieliński, Archiwum „Kultury”, Warszawa 1997.
- List A. Bobkowskiego do Aleksandra Bobkowskiego*, opracował K. Ćwikliński, „Odra” 1994, nr 7/8.
- Listy A. Bobkowskiego do A. Grobickiego*, opracował K. Ćwikliński, „Odra” 1994, nr 7/8.
- Listy A. Bobkowskiego do B. J. Jennego*, opracował K. Ćwikliński, „Odra” 1992, nr 6.
- Trzy listy A. Bobkowskiego do M. Chmielowca*, opracował K. Ćwikliński, „Twórczość” 2007, nr 10.
- Ucieczka z kredowego koła. Listy A. Bobkowskiego do A. Bobkowskiego*, opracowała J. Podolska, Magazyn „Gazety Wyborczej” 1998, nr 48.

### **Literatura przedmiotowa**

- M. Adamiec, *Muzeum wolności i roweru im. Andrzeja Bobkowskiego*, „Przegląd Polityczny” 1997, nr 35.

- Aneks. Korespondencja Barbary Bobkowskiej oraz Toli i Tymona Terleckich*, [w:] A. Bobkowski, *Listy do Tymona Terleckiego 1956 – 1961*, opracowała i posłowiem opatrzyła N. Taylor – Terlecka, B biblioteka „Więzi”, Warszawa 2006.
- A. Bielak, *Sylwiczność czy epopeiczność. O dzienniku Andrzeja Bobkowskiego*, „Roczniki Humanistyczne” 1991/1992, t. 39/40, z.1.
- P. Bravo, *Żywot pisarza rozsypanego*, „Rzeczpospolita”, nr 157 (7754), 7 – 8 lipca 2007.
- A. Chciuk, *O Andrzeju Bobkowskim i jego listach*, „Wiadomości”, nr 32 /33.
- I. Chmielowcowa ( ps. I. Hradyska ), *Talent odłożony na później*, „Wiadomości” 1962, nr 32/33.
- W. Cieśla, *Tajemnica kartonu z 208 East St.*, Magazyn „Dziennika” z 22 – 23 listopada 2008.
- A. Czachowska, *Margines życia, margines literatury*, „Twórczość” 1995, nr 2.
- J. Czapski *Querido Bob*, „Kultura” 1961, nr 9. Przedruk [w:] tenże *Tumult i widma*, Kraków 1997.
- K. Ćwikliński, *Andrzeja Bobkowskiego ars epistolandi*, „Odra” 1992, nr 6.
- K. Ćwikliński, *Appendix: „sprawa Bobkowskiego”*, „Archiwum Emigracji”, Toruń 1998, z.1.
- K. Ćwikliński, *Bobkowski po amatorsku*, „Odra” 1995, nr 6.
- K. Ćwikliński, *Bobkowscy*, „Odra” 1994, nr 7 – 8.
- K. Ćwikliński, *Duke of Portland*, Twórczość 1987, nr 2.
- K. Ćwikliński, *Emigracyjne dzienniki podróży – próba rekonesansu*, „Archiwum Emigracji”, Toruń 2000, z.3.
- K. Ćwikliński, *Godło Gwatemali*, „Twórczość” 2005, nr 1.
- K. Ćwikliński, *Interesowało go wszystko*, „Tygodnik Powszechny” 1986, nr 26.
- K. Ćwikliński, *List z nieba*, „Odra” 2005, nr 3.
- K. Ćwikliński, *Monsieur Sans - Gêne albo pralnia pod wezwaniem Ducha Świętego*, [w:] *Życie literackie Drugiej Emigracji Niepodległościowej*, t.1, pod red. J. Kryszaka i R. Moczkoana, Uniwersytet Mikołaja Kopernika, Toruń 2001.
- K. Ćwikliński, *O Andrzeju Bobkowskim*, „Twórczość” 1995, nr 5.
- K. Ćwikliński, *O listach i „Liście z Gwatemali”*, „Kwartalnik Artystyczny”, 1995, nr 1.
- K. Ćwikliński, *Nieznany fragment „Szkiców piórkiem”*, „Przegląd Artystyczny – Literacki 1999, nr 6.
- K. Ćwikliński, *Po pierwsze – żyć! „Szkice piórkiem” Andrzeja Bobkowskiego na tle krajowej diarystyki okupacyjnej ( Z. Nałkowska, A. Trzebiński)*, [w:] *Polonistyczne drogi. Księga jubileuszowa poświęcona profesorowi Władysławowi Sawryckiemu w 70. rocznicę urodzin*, pod red. M. Wróblewskiego, Toruń 2008.
- K. Ćwikliński, *Pożegnanie z mitem*, „Kierunki” 1986, nr 18.

- K. Ćwikliński, *Raca wystrzelona w ciemność. O eseistyce Andrzeja Bobkowskiego*, [w:] *Proza polska na obczyźnie. Problemy – dyskursy – uzupełnienia*, pod red. Z. Andersa, J. Pasterskiego i A. Wal, t.1, Rzeszów 2007.
- K. Ćwikliński, *Radość z obecności. O listach A. Bobkowskiego do J. Wittlina*, *Przegląd Artystyczno – Literacki* 1999, nr 6.
- K. Ćwikliński, *Rak na bezrybiu*, „*Przegląd Artystyczno – Literacki*” 1995, nr 3.
- K. Ćwikliński, *Rozstanie z formą. O „Fragmentach z notatnika” i „Fragmentach wspomnień” Andrzeja Bobkowskiego*, *Pamiętnik Literacki* 2000, z. 4.
- K. Ćwikliński, *Totschweigen*, „*Tytuł*” 1993, nr 2.
- K. Ćwikliński, *„Trochę różnych myśli, które przyjdą do głowy”. O literackiej formule notatnika w twórczości Andrzeja Bobkowskiego*, [w:] *W kręgu twórczości pisarzy emigracyjnych*, pod red. Z. Andersa, Rzeszów 1999.
- K. Ćwikliński, *Wspomnienie, którego nie było. Andrzej Bobkowski o Juliuszu Osterwie*, „*Przegląd Artystyczno – Literacki*” 1993, nr 9/10.
- K. Ćwikliński, *Znani i nieobecni. Studia z problematyki polskiej literatury emigracyjnej i życia literackiego na uchodźstwie*, Wydawnictwo Naukowe Uniwersytetu Mikołaja Kopernika, Toruń 2008, s. 19 – 143 i dalsze.
- K. Ćwikliński, *Znani i nieobecni. Studia i szkice o Andrzeju Bobkowskim i innych pisarzach emigracyjnych*, Wydawnictwo Naukowe Uniwersytetu Mikołaja Kopernika, Toruń 20011.
- M. Danielewicz – Zielińska, *Przypomnienie Andrzeja Bobkowskiego*, „*Literatura*”, zima 1980.
- M. Dąbrowski, *Między Inter- a trans kulturowością: przypadek Bobkowskiego*, [w:] M. Dąbrowski, *Projekt krytyki etycznej. Studia i szkice literackie*, Kraków 2005.
- W. Duszka, *Suknia od Paquin*, „*Tygodnik Powszechny*” 1989 nr 18.
- K. Dybciak, *Personalistyczna krytyka literacka. Teoria i opis nurtu z lat trzydziestych*, Ossolineum, Wrocław 1981.
- K. Dybciak, *Sztuka bycia wolnym człowiekiem*, „*Tygodnik Solidarność*” 1996, nr 23.
- W. Dymel, *„Nie chcę odstąpić od kilku zasad przyzwoitości” – Conrad a Bobkowski*, „*Kresy*” 2002, nr 1.
- A. Fiut, *Ucieczka z Europy (Witold Gombrowicz i Andrzej Bobkowski)*, „*Kresy*” 1992, nr 12. Przedruk [w:] A. Fiut, *Pytania o tożsamość*, Kraków 1995.
- Z. Florczak, *Ja, chuligan wolności*, „*Tygodnik Powszechny*” 1997, nr 45.
- Z. Florczak, *Wpływ pisarza*, *Biuletyn Rozgłośni „Kraj”* 1956, nr 33.

- Fragment listu Barbary Bobkowskiej do Aleksandra Bobkowskiego, [w:] J. Giedroyć, A. Bobkowski, *Listy 1946 – 1961*, wybrał, opracował i wstępem opatrzył J. Zieliński, Archiwum „Kultury”, Warszawa 1997.
- S. Gębala, *Andrzej Bobkowski: „Brzydzą się czystych intelektów”*, [w:] *Szkice o polskich pisarzach emigracyjnych*, pod red. M. Kisiela i W. Wójcika, Katowice 1996.
- S. Gębala, *W tym jest trucizna!*, „Zdanie” 1986, nr 3.
- J. Gondowicz, *Kochanek Europy*, „Potop” 1991, nr 12.
- H. Gosk, *Inaczej. O „Szkicach piórkiem” Andrzeja Bobkowskiego*, „Przegląd Humanistyczny” 1994, nr 6.
- A. Grabowski, *Polak mały albo hipereuropejczyk*, „Znak” 1997, nr 3.
- A. Grobicki, *Ślady na czarnym piasku*, „Kultura” 1961, nr 1 – 2.
- R. Habielski, *Człowiek jasnych barw*, [w:] S. Badeni, *Świat przedwczorajszy*, Warszawa 1996.
- R. Habielski, „Grande hombre” i redaktor, „Więź” 1999, nr 7.
- T. Jastrun, *Piórkiem i dłutem, O pisarstwie Andrzeja Bobkowskiego*, „Rzeczpospolita” 1997, nr 284.
- A. Jastrzębska – Piotrowicz, *Diarysta po drugiej stronie lustra*, „Znaczenia” nr 2, 2009.
- B. J. Jenne, *El Travieso Bob*, „Merkuriusz Polski” 1961, nr 11 – 12.
- E. Kalemba – Kasprzak, *Andrzeja Bobkowskiego wieża Babel*, „Dialog” 1993, nr 1 – 2.
- W. Kaliszewski, *Jak figury na szachownicy*, „Więź” 1999, nr 3.
- B. Kazimierczyk, „Robinson tragiczny”, „Odrodzenie” 1988, nr 35.
- S. Konarski, *List do redakcji*, „Kultura” 1963, nr 3.
- J. Kopciński, *Umrzeć jak najtaniej stąd*, „Życie” 1997, nr 293.
- M. Kopczyk, *Andrzej Bobkowski uciekinier z historii*, [w:] *Poza historią*, pod red. J. Lyszczyny i M. Barłowskiej, Katowice 2006.
- M. Kopczyk, *Arkadia i apokalipsa. Refleksja nad kulturą w pisarstwie Andrzeja Bobkowskiego*, „Śląsk” Wydawnictwo Naukowe, Katowice 2003.
- M. Kopczyk, *Dziennik rozmów. O dialogowym charakterze „Szkiców piórkiem” Andrzeja Bobkowskiego*, [w:] *Žanrove metamorfozy v stredoevropskem kontextu, sv. II. Stabilita a labilita žanru*, Opava 2005.
- M. Kopczyk, „La douce France” czyli rozprawa z mitem, [w:] *Z zagadnień literatury, kultury i języka*, pod red. B. Tokarz, Katowice 2002.
- M. Kopczyk, *Tożsamość kosmopolity ( O uniwersalizmie Konstantego A. Jeleńskiego i Andrzeja Bobkowskiego)*, „Świat i Słowo” 2004, nr 1.
- A. S. Kowalczyk, *Maison – Laffitte – Gwatemala*, „Res Publica Nowa” 1998, nr 1.

- A. S. Kowalczyk, *Słowa – rzeczy – życie. Świat według Bobkowskiego*, [w:] *Codzienne, przedmiotowe, cielesne. Języki nowej wrażliwości w literaturze polskiej XX wieku*, pod. red. H. Gosk, Izabelin 2002. Przedruk [w:] A. Bobkowski, *„Przysięgłem sobie, że jeśli umrę to nie w tłumie...” Korespondencja z Anielą Mieczysławką 1951 – 1961*, Wałbrzych 2003.
- R. Kwiecień, *„Nie bójmy się – Qerido Jorge!”*, „Znak” 1998, nr 4.
- J. Łobodowski, *O twórczości Andrzeja Bobkowskiego*, „Orzeł Biały” 1961, nr 35.
- K. Masłoń, *Conrad i Hemingway w jednym*, „Rzeczpospolita” 1998, nr 227.
- K. Masłoń, *Koniec pewnego świata*, „Rzeczpospolita” 1996, nr 115.
- K. Masłoń, *W temperaturze wrzenia*, „Rzeczpospolita” 1996, nr 112.
- R. Matuszewski, *Wojna w słońcu Francji*, „Tygodnik Kulturalny” 1988, nr 44.
- T. Merta, *Z perspektywy cyklisty*, „Tygodnik Solidarność” 1991, nr 48.
- Cz. Miłosz, *Polemiki*, „Kultura” 1956, nr 7 – 8.
- Cz. Miłosz, *Uwagi do uwag Gombrowicza*, „Kultura” 1962, nr 12.
- E. Morawiec, *Summa odwagi*, „Gazeta Krakowska” 1995, nr 188.
- A. Nasalska, *Wakacje 1940. O dzienniku z podróży Andrzeja Bobkowskiego*, „Kresy” 1996, nr 3.
- M. Nowak, *„Chuligan wolności” Przywracanie pamięci*, „Etos” 2009, nr 3 – 4 (87 – 88).
- M. Nowak, *Religijny wymiar opowiadań Andrzeja Bobkowskiego: „Punkt równowagi”, „Spotkanie”, „Spadek”, „Roczniki Humanistyczne”* 1998, z.1.
- M. Nowak, *„Wolność bez oparcia się o coś”. Bobkowski o podstawie etyki*, „Ethos” 2009, nr 3 – 4 (87 – 88).
- A. Nowakowski, *Żyć, po prostu żyć. Przypomnienie Andrzeja Bobkowskiego*, „Dekada Literacka” 1992, nr 37.
- O Andrzeju Bobkowskim. Z Jackiem Stworą rozmawia Maciej Urbanowski*, „Dekada Literacka” 1992, nr 9.
- W. Odojewski, *Andrzej Bobkowski – nowa młodość*, [w:] A. Bobkowski, *Listy z Gwatemali do matki*, opracowała E. Jurczyszyn, Wydawnictwo Książkowe Twój Styl, Warszawa 2008.
- M. Orski, *Odkrywanie Andrzeja Bobkowskiego*, „Przegląd Powszechny” 1991, nr 7/8.
- M. Pieczara, *Latarnik. O twórczości Andrzeja Bobkowskiego*, „Więź” 1983, nr 7.
- M. Pieczara, *Pod wulkanem*, „Nowe Książki” 1998, nr 2.
- K. Plucińska – Smorawska, *Między historią a literaturą. O „Szkicach piórkiem” Andrzeja Bobkowskiego*, Warszawa 2005.
- J. Podolska, *Dwóch panów B. i poeta*, „Więź” 2011, nr 5 – 6.
- J. Podolska, *Pożegnanie z Europą*, „Gazeta Wyborcza” 1998, nr 161.
- J. Polit, *„Szkice piórkiem” po latach*, „Dekada Literacka” 1996, nr 9.

- Potluczona mozaika: Andrzeja Bobkowskiego myśli o epoce*, wybór, wstęp i opracowanie J. Podolska, Wydawnictwo Uniwersytetu Marii Curie – Skłodowskiej, Lublin 2002.
- P. Rodak, *Dwa dzienniki. Bobkowski i Trzebiński*, „Twórczość” 1995, nr 3.
- P. Rodak, *Dziennik osobisty i historia*, [w:] *Zapisywanie historii. Literaturoznawstwo i historiografia*, t.90, pod red. W. Boleckiego i J. Madejskiego, Instytut Badań Literackich PAN Wydawnictwo, Warszawa 2010.
- P. Rodak, *Giedroyc – Bobkowski, czyli o tym, jak działać listami*, [w:] *Jerzy Giedroyc: kultura, polityka, wiek XX*, redakcja: A. Mencwel, A. S. Kowalczyk, L. Szaruga, Z. Grębecka, Warszawa 2009.
- P. Rodak, *Wojna w dzienniku – „Spokój” i „Śmierć”*, „Teksty Drugie” 1995, nr 1.
- J. Sakowski, *Na linii życia*, „Wiadomości” 1958, nr 16.
- P. Skórzyński, *Andrzej Bobkowski*, „Gazeta Polska” 1998, nr 7.
- Z. Skrok, *Bezkompromisowy witalista*, „Literatura” 1998, nr 1.
- S. Stabro, *Andrzej Bobkowski – biografia symboliczna*, „Ruch Literacki” 1993, z. 4.
- S. Stabro, *Europa odrzucona*, „Twórczość” 1991, nr 9.
- S. Stabro, *Grymas Bobkowskiego*, „Przegląd Tygodniowy” 1991, nr 42.
- S. Stabro, *Obraz Polski w korespondencji Andrzeja Bobkowskiego z Jerzym Giedroyciem 1946 – 1961*, „Ruch Literacki” 2002, z.4/5.
- S. Stabro, *„Polska usiadła nam na mózgach”*, „Odra” 1991, nr 1.
- M. Stępień, *Ani „krybden”, ani „anafanda”*: ( o decyzji Andrzeja Bobkowskiego), [w:] M. Stępień, *„Jak grecka tragedia” Pisarz polski w sytuacji wyboru (1944 – 1948)*, Kraków 2005.
- A. Sulikowski, *Pasje sportowe Andrzeja Bobkowskiego*, „Kresy” 1992, nr 12.
- P. Szewc, *Ciągle szukam*, „Odra” 1990, nr 10.
- P. Szewc, *Z głębi zachwyty*, „Nowe Książki” 1996, nr 7.
- A. Ścibor – Ryłski, *O za długiej książce*, „Nowa Kultura” 1958, nr 11.
- T. Terlecki, *Andrzej Bobkowski*, [w:] T. Terlecki, *Spotkania ze swoimi*, Wydawnictwo Uniwersytetu Wrocławskiego, Wrocław 1999. Także [w:] T. Terlecki, *Szkice literackie i publicystyczne*, Londyn 1988. Pierwodruk: „Wiadomości” 1962, nr 32/33.
- J. Turowicz, *Andrzej Bobkowski*, „Tygodnik Powszechny” 1961, nr 31.
- J. Tomkowski, *Testament Keyserlinga ( O Andrzeju Bobkowskim)*, [w:] *Sporne postaci polskiej literatury współczesnej*, pod. red. A. Brodzkiej i L. Burskiej, Warszawa 1995. Przedruk [w:] J. Tomkowski, *„Don Juan we mgle. Eseje o wierności”*, Rosner & Wspólnicy, Warszawa 2005.
- J. Trznadel, *Andrzej Bobkowski. Unikalne doświadczenie*, [w:] J. Trznadel, *Spojrzenie na Eurydykę. Szkice literackie*, Kraków 2003.

- T. Umer, *Ucieczka z „Europalager”*, „Rzeczpospolita” 1990, nr 115.
- M. Urbanowski, *Bobkowski i Miłosz – dwa realizmy*, „Arcana” 1996, nr 4.
- M. Urbanowski, *Doświadczenie historii w dziennikach wojennych ( Na przykładzie „Szkiców piórkem” Andrzeja Bobkowskiego, „Promieniowań” Ernsta Jüngera oraz „Journal 1939 – 1945 Pierre’a Drieu la Rochelle’a)* [w:] *Zapisywanie historii. Literaturoznawstwo i historiografia*, T. 90, pod red. W. Boleckiego i J. Madejskiego, Instytut Badań Literackich PAN Wydawnictwo, Warszawa 2010.
- M. Urbanowski, *Konkwistador Bobkowski*, „Wprost” 2008, nr 30.
- M. Urbanowski, *Krzyk chuligana*, „Arcana” 1995, nr 4.
- M. Urbanowski, *Patriotyzm Bobkowskiego*, „Dekada Literacka” 2006, nr 6.
- M. Urbanowski, *Szczęście pod wulkanem*, „Nowe Państwo” 2001, nr 24.
- M. Urbanowski, *„Szkice piórkem” – autentyk czy powieść?*, „Dekada Literacka” 1993, nr 15.
- R. Węgrzyniak, *Senor Don Andres Bobkowski de Gwatemala*, „Zeszyty Literackie” 2004, nr 1.
- A. Wiatr, *Szkice rylcem*, „Twórczość” 2007, nr 1.
- I. Wieniewski, *O spuściznę po Andrzeju Bobkowskim*, „Wiadomości” 1962, nr 35.
- K. Wierzyński, *Andrzej Bobkowski*, [w:] K. Wierzyński, *Szkice i portrety literackie*, zebrał i posłowiem opatrzył P. Kądziała, Warszawa 1990.
- J. Winiarski, *„Coco de Oro”*, „Magazyn Literacki” 1998, nr 4.
- M. Wiszniowska, *Bobkowski na nowo odczytany*, „Przegląd Humanistyczny” 2007, nr 4.
- J. Wittlin, *Andrzej Bobkowski – pisarz*, „Nowy Świat” – dodatek tygodniowy z 8 lipca 1961r.
- W. Wohnout, *„Szkice piórkem”*, „Orzeł Biały” 1958, nr 10.
- T. A. Włodkowski, *Polski wulkan*, „Odgłosy” 1986, nr 50.
- M. Wróblewski, *Homo viator. Motyw podróżującego bohatera u Czesława Miłosza, Andrzeja Bobkowskiego i Jerzego Stempowskiego*, „Przegląd Artystyczno – Literacki” 1997, nr 5.
- M. Wróblewski, *O diariuszu podróży Andrzeja Bobkowskiego*, „Polonistyka” 2001, nr 3.
- M. Zagańczyk, *Najpierw żyć*, „Kultura Niezależna” 1990, nr 59.
- H. Zaworska, *Fanatyk wolności*, [w:] H. Zaworska, *Szczerłość aż do bólu*, Warszawa 1998.
- P. Zdziechowski, *Wizja Andrzeja Bobkowskiego*, „Kultura” 1971, nr 4.
- J. Zieliński, *Kronika walki*, [w:] J. Giedroyć, A. Bobkowski, *Listy 1946 – 1961*, Archiwum „Kultury”, Warszawa 1997.
- J. Zieliński, *„Ode mnie przynajmniej listy są coś warte” (O listach Andrzeja Bobkowskiego do rodziny)*, „Twórczość” 1984, nr 8.
- J. Zieliński, *Pożegnanie Europy. Tryptyk*, [w:] A. Bobkowski, *„Tobie zapisuję Europę”. Listy do Jarosława Iwaszkiewicza 1947 – 1958*, Warszawa 2009.



- J. Zieliński, *Radość życia*, „Rzeczpospolita” 2003, nr 208.
- J. Zieliński, *Wielki Spokój*, „Teksty Drugie” 1991, nr 1 – 2.
- R. Zimand, *Wojna i spokój*, [w:] Andrzej Bobkowski, „*Szkice piórkiem*”, Towarzystwo Opieki nad Archiwum Instytutu Literackiego w Paryżu, Warszawa 2001. Przedruk za *Wojna i spokój. Szkice trzecie*, Polonia, Londyn, 1984.
- Ł. Zwoliński, *Przeciw totalitaryzmom: rzecz o Andrzeju Bobkowskim*, „Opcje” 2000, nr 4.
- T. J. Żółciński, *Kosmopolak z Gwatemali*, „Więź” 1963, nr 2.
- Życiorys Andrzeja Bobkowskiego sporządzony przez żonę Barbarę w Gwatemali we wrześniu 1970 r., przesłany redaktorowi Jerzemu Giedroycowi*. [w:] K. Plucińska – Smorawska, *Między historią a literaturą. O „Szkicach piórkiem” Andrzeja Bobkowskiego*, Warszawa 2005.

### **Pozostałe opracowania i konteksty (wybór)**

- P. Aries, *Czas historii*, przeł. B. Szwarzman – Czarnota, Gdańsk – Warszawa 1996.
- J. Baszkiewicz, *Historia Francji*, Wrocław 1974.
- J. Bielatowicz, *Literatura na emigracji*, Londyn 1970, II wydanie: Londyn 1998.
- M. Bloch, *Dziwna klęska*, przeł. K. Marczewska, Oficyna Naukowa, Warszawa 2008.
- M. Bloch, *Pochwała historii czyli o zawodzie historyka*, przeł. W. Jedlicka, PWN, 1960.
- P. Boski, M. Jarymowicz, H. Malewska – Peyre, *Tożsamość a odmienność kulturowa*, Warszawa 1992.
- J. Brezko, *Poglądy historyzoficzne pisarzy z kręgu „Kultury” paryskiej. Przewyciężenie katastrofizmu, odrzucenie mesjanizmu*, Lublin 2010.
- J. St. Bystron, *Paryż. Dwadzieścia wieków*, Książnica – Atlas, Lwów – Warszawa 1939.
- J. Ch. Chasteen, *Ogień i krew. Historia Ameryki Łacińskiej*, przeł. K. Bartuzi, Warszawa 2007.
- M. Chmielowiec, *Literatura na emigracji*, *Kultura* 1953, nr 6.
- M. Chmielowiec, *Uwagi o prozie beletrystycznej*, [w:] *Literatura polska na obczyźnie 1940 – 1960*, t.1, red. T. Terlecki, Londyn 1964.
- J. Czapski, *Groby czy skarby*, „Kultura” 1948, nr 5. Przedruk [w:] J. Czapski, *Patrząc*, oprac. J. Pollakówna, Kraków 1983.
- M. Czermińska, *Autobiograficzny trójkąt. Świadectwo, wyznanie i wyzwanie*, Kraków 2000.
- K. Ćwikliński, *Filozof na rozdrożu (O Hermannie Keyserlingu)*, „Odra” 1995, nr 9.
- M. Danielewicz – Zielińska, *Szkice o literaturze emigracyjnej*, Wrocław 1992.
- M. Dąbrowska, J. Stempowski, *Listy 1959 – 1965*, t.3, opracował, wstępem i przypisami opatrzył A. S. Kowalczyk, Warszawa 2010.

- P. Drobniaak, *Jedność w różnorodności. Europa w twórczości Jarosława Iwaszkiewicza*, Wydawnictwo Uniwersytetu Wrocławskiego, Wrocław 2002.
- K. Dybciak, *Historyczne znaczenie oraz różnorodność ruchów migracyjnych i społeczności migrujących*, „Ethos”, nr 87 – 88, lipiec – grudzień 2010.
- K. Dybciak, *Panorama literatury na obczyźnie*, Kraków 1990.
- J. Eisler, *Kolaboracja we Francji*, Warszawa 1989.
- M. Fik, *Kultura polska po Jałcie 1944 – 1981*, Londyn 1989.
- A. Fiut, *Widmo nieokreśloności ( O Witoldzie Gombrowiczu i Czesławie Miłoszu )*, [w:] A. Fiut, *Być ( albo nie być ) Środkowoeuropejczykiem*, Kraków 1999.
- A. Friszke, *Życie polityczne emigracji*, Biblioteka „Więzi”, Warszawa 1999.
- F. S., *Między Marną i Loarą*, Książnica Polska, Polish Library, 240 Hope Street, Glasgow, C.2. Brak daty wydania.
- A. Galant, *Prywatne, publiczne, autobiograficzne. O dziennikach i esejach Jana Lechonia, Zofii Nałkowskiej i Jerzego Stempowskiego*, Warszawa 2010.
- Ch. De Gaulle, *Pamiętniki wojenne. Apel 1940 – 1942*, przeł. J. Nowacki, Warszawa 1962.
- S. Gębała, *Blaski i cienie wygnania w eseistyce emigracyjnej*, „Ruch Literacki” 1991, nr 6.
- Jerzy Giedroyc: kultura – polityka – wiek XX*, red. A. Mencwel, A. S. Kowalczyk, L. Szaruga, Z. Grębecka, Warszawa 2009.
- J. Giedroyc, J. Stempowski, *Listy 1946 – 1969*, wybrał, wstępem i przypisami opatrzył A. S. Kowalczyk, t. I i II, Warszawa 1998.
- M. Głowiński, *Muza zmyślonych podróży*, „Teksty Drugie” 1991, nr1/2.
- W. Gombrowicz, *Dziennik 1957 – 1961*, t. 1, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1988.
- H. Gosk, *A gdy to wszystko zapomnę...Szkice o polskim piarstwie emigracyjnym XX wieku*, Izabelin 1995.
- Z. Grabowski, *Ojczyzna – Europa*, t. 1 – 2, Gryf Publications, Londyn 1967.
- M. Grochowska, *Jerzy Giedroyc. Do Polski ze snu*, Świat Książki, Warszawa 2009.
- A. Gruszczak, *Ameryka Łacińska wobec kryzysu środkowoamerykańskiego*, Toruń 1996.
- M. Grydzewski, J. Lechoń, *Listy 1923 – 1956*, z autografu do druku przygotowała, wstępem i przypisami opatrzyła B. Dorosz, t. I i II, Warszawa 2006.
- R. Habielski, *Życie społeczne i kulturalne emigracji. Druga wielka emigracja 1945 – 1990*, t. III, Warszawa 1999.
- M. Heller, *Maszyna i śrubki. Jak hartował się człowiek sowiecki*, Paryż 1988.
- Z. Herbert, *Raport z oblężonego miasta i inne wiersze*, Wrocław 1992.
- Idee Europy. Wybór tekstów*, wybór i opracowanie K. Polus – Rogalska, Bydgoszcz 2004.

- I. Hofman, *Szkice o paryskiej „Kulturze”*, Toruń 2004.
- A. Jamrozek – Sowa, *Życie powtórzone. O pisarstwie Zofii Romanowiczowej*, Rzeszów 2008.
- M. Janion, *Placz generała. Eseje o wojnie*, Warszawa 1998.
- A. Janta, *Nowe odkrycie Ameryki*, Paryż 1973.
- A. Jastrzębska – Piotrowicz, „Człowiek to najgorsza z bestii.” *O dzienniku litewskiego panteisty*, „Znaczenia” 2008, nr 1.
- A. Jastrzębska – Piotrowicz, *Południe jako przestrzeń pocieszenia. O dziennikowych obrazach Włoch Sándora Máraiego*, „Znaczenia” 2010, nr 3.
- A. Jastrzębska – Piotrowicz, *Zły czas na dobrą codzienność. O „Dzienniku” Mihaila Sebastiana*, „Migotania, przejaśnienia” 2008, nr 1 – 2 ( 18 – 19).
- E. Jünger, *Promieniowania. Pierwszy dziennik paryski. Zapiski kaukaskie. Drugi dziennik paryski*, przeł. S. Błaut, posłowiem i przypisami opatrzył W. Kunicki, Czytelnik, Warszawa 2004.
- Sz. Konarski, *Cztery lata w okupowanym Paryżu. 14. VI. 1940 – 25. VIII. 1944*, Paryż 1963.
- A. S. Kowalczyk, *Kryzys świadomości europejskiej w eseistyce polskiej 1945 – 1977 (Wincent – Stempowski – Miłosz)*, Warszawa 1990.
- A. S. Kowalczyk, *Od Bukaresztu do Laffitów. Jerzego Giedroycia rzeczpospolita epistolarna*, Sejny 2006.
- P. Kowalski, *O podróżowaniu, znakach podróży i metaforyzowaniu jej sensów*, [w:] *Wędrować, pielgrzymować, być turystą. Podróż w dyskursach kultury*, studia pod redakcją P. Kowalskiego, Opole 2003.
- P. Léautaud, *Journal litteraire*, (fragmenty) przeł. K. Brandys.
- J. Lechoń, *Aut Caesar aut nihil*, przedmowa E. Kołodziejczyk, Warszawa 2007.
- Ph. Lejeune, *Pakt autobiograficzny*, przeł. A. W. Labuda, „Teksty” 1975, nr
- W. Lewandowski, *Strofy dla mew i mgieł... Z dziejów literatury Drugiej Emigracji ( i jej relacji komunikacyjnych)*, Toruń 2005.
- W. Ligęza, *Jerozolima i Babilon. Miasta poetów emigracyjnych*, Kraków 1998.
- Literatura polska na obczyźnie 1940 – 1960*, pod red. Tymona Terleckiego, t. I i II, Londyn 1964 – 1965.
- S. Márai, *Dziennik (fragmenty)*, przeł. T. Worowska, Warszawa 2004.
- S. Márai, *Ziemia! Ziemia!...Wspomnienia*, przełożyła i posłowiem opatrzyła T. Worowska, Warszawa 2005.
- R. Matuszewski, *Olśnienia i świadectwa. Od Leśmiana do Barańczaka*, Warszawa 1995.
- J. Mekas, *Nie miałem dokąd iść*, przeł. M. Wawrzyńczak, Pogranicze, Sejny 2007.
- B. Miciński, *Pisma. Eseje, artykuły, listy*, Kraków 1970.

- J. Mieroszewski, *Final klasycznej Europy*, wybrał, opracował i wstępem opatrzył Rafał Habielski, Wydawnictwo Uniwersytetu Marii Curie – Skłodowskiej, Lublin 1997.
- Między Polską a światem. Kultura emigracyjna po 1939 roku*, pod red. M. Fik, Warszawa 1992.
- Cz. Miłosz, *Noty o wygnaniu*, „Kultura” 1981, nr 3.
- Cz. Miłosz, *Rodzinna Europa*, Czytelnik, Warszawa 1990.
- Cz. Miłosz, *Widzenia nad zatoką San Francisco*, Instytut Literacki, Paryż 1988.
- S. Mrożek, A. Tarn, *Listy 1963 – 1975*, wstęp E. Axer, posłowie i komentarze M. Prussak, Kraków 2009.
- S. Mrożek, W. Skalmowski, *Listy 1970 – 2003*, Kraków 2007.
- B. Olszewska – Dyonizak, *Oblicza kultury. Wstęp do antropologii międzykulturowej komunikacji*, Kraków 1998.
- J. Patočka, *Eseje heretyckie z filozofii dziejów*, przeł. A. Czcibor – Piotrowski, E. Szczepańska, J. Zychowicz, Warszawa 1998.
- R. O. Paxton, *Francja Vichy. Stara gwardia i nowy ład, 1940 – 1944*, przeł. J. Lang, Bukowy Las, Wrocław 2011.
- Pisarz na emigracji. Mitologie, style, strategie przetrwania*, redakcja naukowa: H. Gosk, A. S. Kowalczyk.
- K. Pomian, *Europa i jej narody*, przeł. M. Szpakowska, Gdańsk 2004.
- K. Pomian, *W kręgu Giedroycia*, Warszawa 2000.
- M. Pytasz, *Wygnanie. Emigracja. Diaspora. Poeta w poszukiwaniu czytelnika*, Katowice 1998.
- M. Scheler, *O człowieku i sprawach ludzkich*, przeł. A. W., „Znak” 1975, nr 2.
- M. Sebastian, *Dziennik 1935 – 1944*, przeł. J. Kotliński, Sejny 2006.
- F. Spotts, *Haniebny pokój. Jak francuscy artyści i intelektualiści przetrwali nazistowską okupację*, przeł. J. Barczyński, Warszawa 2010.
- M. Stępień, *„Jak grecka tragedia”. Pisarz polski w sytuacji wyboru (1944 – 1948)*, Wydawnictwo Uniwersytetu Jagiellońskiego, Kraków 2005.
- M. Stępień, *Wśród emigrantów*, Wydawnictwo Uniwersytetu Jagiellońskiego, Kraków 2007.
- M. Stojić, *Via Vienna*, przeł. M. Siwkowska – Latuszyńska, G. Łatuszyński, Warszawa 2005.
- Cz. Straszewicz, *Katedra Sandwiczów*, „Kultura” 1952, nr 10.
- T. Szarota, *Życie codzienne w stolicach okupowanej Europy*, Warszawa 1995.
- W. D. Sylwestrowicz, *Listy niewysłane. Dziennik z okresu wojny. Wrzesień 1939 – kwiecień 1945*, Instytut Literacki, Paryż 1988.
- T. Terlecki, *O standard moralny emigracji*, Wiadomości 1947, nr 25.
- T. Terlecki, *Paryż*, Londyn 1952.

- B. Toruńczyk, *Rozmowy w Maison – Laffitte, 1981*, Fundacja „Zeszytów Literackich”, Warszawa 2006.
- Yi – Fu Tuan, *Przestrzeń i miejsce*, Warszawa 1987.
- J. Winczakiewicz, *Z szuflady emigranta*, Biblioteka Uniwersytecka, Toruń 2001.
- J. Wittlin, *Orfeusz w piekle XX wieku*, Paryż 1963.
- W kręgu twórczości pisarzy emigracyjnych. Studia i szkice*, pod red. Z. Andersa, Rzeszów 1999.
- W. Wójcik, *Skamandryci i inni nad Sekwaną*, Katowice 1995.
- W. Wyskiel, *Kręgi wygnania. Jan Lechoń na obczyźnie (krąg pierwszy i drugi)*, Kraków 1988.
- S. Zabierowski, *Dziedzictwo Conrada w literaturze polskiej XX wieku*, Kraków 1992.
- K. Zbyszewski, *Polscy pisarze są bez szans*, „Kultura” 1954, nr 4.
- R. Zimand, *Diarysta Stefan Ż.*, Wrocław 1990.
- Życie literackie Drugiej Emigracji Niepodległościowej*, t. I, pod red. J. Kryszaka i R. Moczkodana, Toruń 2001.
- Życie literackie Drugiej Emigracji Niepodległościowej*, t. II, pod red. J. Kryszaka i B. Czarneckiej, Toruń 2004.

